



Po filmie Sekielskich:
KS. ADAM BONIECKI
KS. JACEK PRUSAK



WIESŁAW MYŚLIWSKI
Nie ufam
rzeczywistości

POWTÓRKA Z ROSPUDY
Nowa czteropasmówka:
czy tiry rozjadą Mazury

Kraków 19 maja 2019 nr 20 (3645)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Usłysz swoje dziecko

RAPORT O ZDROWIU
PSYCHICZNYM
NAJMŁODSZYCH



W NUMERZE DODATKI:
**KATALOG
FESTIWALOWY
COPERNICUS
MAŁOPOLSKIE DNI
DZIEDZICTWA KULTUROWEGO**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Po stronie ofiar

CO CHWILA KTOŚ PYTA: „WIDZIAŁEŚ FILM Se-kielskich?”. Tak, byłem wśród pierwszych pięciu i pół miliona widzów.

Smutek, wstyd. I żal. Koszmarne relacje ofiar, żałosne postacie winnych, błędy w tym kontekście fragmenty wypowiedzi biskupów – i ta informacja o nieprzyjętych przez nich zaproszeniach do wypowiedzenia się w filmie, bo... słyszeli o braku bezstronności autorów. Żaden nie zaryzykował.

Po obejrzeniu „Tylko nie mów nikomu” prymas abp Wojciech Polak i przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki zmienili zdanie. Ksiądz prymas: „Jestem głęboko poruszony tym, co zobaczyłem w filmie pana Tomasza Sekielskiego. Ogromne cierpienie osób skrzywdzonych budzi ból i wstyd”. Abp Gądecki nawet za film dziękuje: „Ze wzruszeniem i smutkiem obejrzałem dzisiaj film pana Sekielskiego, za który pragnę podziękować reżyserowi. (...) Jestem przekonany, że także ten film przyczyni się do jeszcze dokładniejszego przestrzegania wytycznych dotyczących ochrony dzieci i młodzieży w Kościele, jak i do wprowadzenia w życie zasad prewencji w każdej diecezji przez wszystkich księży biskupów oraz do przestrzegania wczoraj ogłoszonego motu proprio papieża Franciszka”.

Internetowe komentarze pod tymi oświadczeniami to niewiara w ich szczerość. Mimo gigantycznej ofensywy papieża Franciszka, mimo uporczywej pracy o. Adama Żaka, koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży przy Konferencji Episkopatu Polski, mimo ogłoszenia wytycznych i procedur. To wciąż za mało, żeby Kościół odzyskał wiarygodność.

Kościelnych przełożonych oskarża się o niepodjęcie odpowiednich działań wobec księży krzywdzących nieletnich. Niewiedza? Naiwna troska o wizerunek Kościoła? Może, lecz nie tylko. W filmie pojawia się też wątek ks. Eugeniusza M., byłego kustosa Lichenia. Z mojego zgromadzenia. Ofiara opowiada, że była przez niego molestowana prawie 40 lat temu, „jakoś zaraz po ogłoszeniu



stanu wojennego”. Nie byłem wtedy jeszcze przełożonym generalnym, pracowałem w Rzymie, jako redaktor naczelny polskiego wydania „L'Osservatore Romano”. Takimi przypadkami z natury rzeczy zajmuje się przełożony prowincji w danym kraju, nie generał, jednak przełożony generalny dwukrotnie w ciągu sześciu lat wizytuje wszystkie prowincje. Ja też, gdy pełniłem tę funkcję w latach 1993-99, wi-

zytowałem. Sprawdziłem teraz: kiedy byłem generałem zakonu, ani do mnie, ani do prowincjała nie wpłynęła żadna informacja o nadużyciach księdza kustosa wobec nieletnich. Wpłynęło inne oskarżenie, które nie dotyczyło nieletnich – chodziło o molestowanie dorosłego mężczyzny, co oczywiście także wymagało interwencji. Jednak pokrzywdzony kategorycznie odmówił wniesienia formalnego oskarżenia. Dramatyczne rozmowy nie dały rezultatu. W żaden sposób nie można było kustoszowi winy udowodnić. Rozmawiałem z nim. Zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył. Żalił się, że jest ofiarą oszczerstw, nawet wskazywał ich autora, kogoś od lat pracującego za granicą. Postępowanie trwało dłużej niż urzędowanie moje i ówczesnego prowincjała, kontynuowali je nasi następcy. Ostatecznie kustosz najpierw został zdjęty z urzędu i wycofany z duszpasterstwa, potem – co w filmie oświadczył rzecznik obecnego prowincjała – został poddany wymaganym procedurom prawnym.

Doświadczyłem wówczas, jak trudno było w tego rodzaju sprawach udowodnić winę. Wtedy. Dziś to się zmienia. Ofiara, której zeznanie przytoczono w filmie, dopiero niedawno zdobyła się na mówienie o sprawach sprzed wielu lat.

To bardzo smutne, że musiał powstać taki dokument, żeby – jak przekonuje abp Gądecki – przyczynić się do „przestrzegania wytycznych dotyczących ochrony dzieci i młodzieży w Kościele”.

A czy film jest bezstronny? Bez wątpienia nie jest – i całe szczęście. Bo jest po stronie ofiar. ©©

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

DĄBROWA GÓRNICZA, czwartek, 16 maja, godz. 17.00

Kawiarenka obywatelska.

Miejsce: Pałac Kultury Zagłębia (pl. Wolności 1).

Wstęp wolny.

KRAKÓW, czwartek, 23 maja, godz. 10.00

Spotkanie „Śniadanie mistrzów” w ramach Copernicus Festival.

Prowadzenie: Anna Goc.

DeRevolutionibus Books&Café (Bracka 14). Wstęp wolny.

TEMAT „TYGODNIKA”

12 Szpitale w depresji

KRZYSZTOF STORY

Psychiatria dziecięca w Polsce to dzisiaj głównie braki: pieniędzy, lekarzy, wolnych miejsc. Zasady gry są więc proste: łóżko dostaje ten, kto przed chwilą próbował się zabić.

16 Zanim będzie za późno

ROZMOWA Z ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ:

Próba samobójcza, wybuch furii czy samookaleczenie to komunikaty, których nie dało się wyrazić słowami. Nawet takie zdarzenia możemy potraktować jako szansę, by ten komunikat zrozumieć.

**22 Mazury, cud infrastruktury**

ADAM ROBIŃSKI

Komu potrzebna czteropasmowa droga przez Krainę Wielkich Jezior Mazurskich, która wyrządzi nieodwracalne szkody środowisku?

32 Bóg incognito

KS. TOMÁŠ HALÍK

Czy Kościoły chrześcijańskie mają dość żywotności, siły przekonywania i uzdrawiania, aby przeciwstawić się zagrażającej dziś Europie niebezpiecznej fali populizmu?

**37 Nie profanuj bliźniego swego**

PIOTR SIKORA

Nasze polskie chrześcijaństwo znów pokazało swoją słabość. Zamiast przynosić pojednanie, daje się łatwo użyć w walce o władzę i w kulturowej wojnie.

**72 Nasze globalne Westeros**

JAKUB MAJMUREK

W „Grze o tron” nawet groźba globalnej katastrofy nie likwiduje rodowej walki o władzę, wpływy, prestiż i terytorium. Co najwyżej może ją na chwilę zamrozić.

**66 Nie ufam rzeczywistości**

Z WIESŁAWEM MYŚLIWSKIM, PISARZEM, ROZMAWIA ANNA GOC:

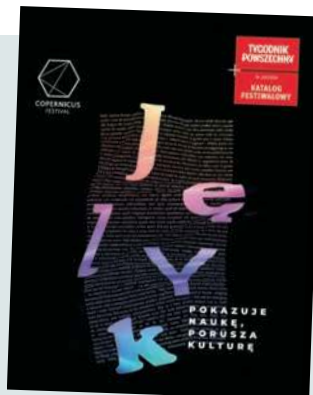
W miarę jak się oddalamy od jakiegoś zdarzenia, oddajemy się w jasyr wyobraźni. I w końcu nie mamy pewności, czy tak było naprawdę, czy fantazjujemy.

6 Kościelna morfina

KS. JACEK PRUSAK SJ

7-11 Wiadomości / Komentarze**20-21 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****22 Mazury, cud infrastruktury**

ADAM ROBIŃSKI

26 Sukcesu nie dowieźliMAREK RABIJ: *Szydłowiec,
matecznik polskiego bezrobocia***29 Ballada o Schumanie to za
mało** RAFAŁ WOŚ: *Euroentuzjaści
i eurosceptycy przed wyborami*■ ■ **WIARA****32 Bóg incognito** KS. TOMAŚ HALÍK**37 Nie profanuj bliźniego swego**
PIOTR SIKORA**40 Stworzeni dla uczty weselnej**WOJCIECH BONOWICZ: *Zmarł
Jean Vanier, przyjaciel osób
z niepełnosprawnością intelektualną
i wielki autorytet duchowy*■ ■ **ŚWIAT****44 W cieniu pekińskiego smoka**JAN SMOLEŃSKI: *Chiny Ludowe
zwiększają presję na Tajwan, który
od 70 lat opiera się mocarstwu***47 Modny miękki antyterroryzm**JAKUB MEJER: *o akcjach pomocowych
na globalnym Południu***50 Człowiek morza nie ufa Unii**PATRYCJA BUKALSKA: *Szkocja
między brexitem i niepodległością***KATALOG
FESTIWALOWY
COPERNICUS**■ Jak język
wzbogaca umysł?
Czy maszyny
mogą tworzyć
dzieła literackie?■ Czy matematyka
jest poezją? Jak Homo
erectus wynalazł język?M.in. o tym opowiedzą nasi goście specjálni:
**CHARLES TAYLOR, ELŻBIETA TABAKOWSKA,
JERZY BRALCZYK, DANIEL EVERETT oraz PAUL DAVIES.****PONADTO DODATEK
SPECJALNY
MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO**■ **FELIETONY** ■**31 ANNA DZIEWIT-MELLER****43 SZYMON HOŁOWNIA 61 ANDRZEJ STASIUK****84 JAN KLATA 85 PAWEŁ BRAVO****90 STANISŁAW MANCEWICZ****90 BARTOSZ MINKIEWICZ**Foto na okładce: STOCK.ADOBE.COM
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA**52 Kto stanie do walki
z Trumpem?**

MARTA ZDZIEBORSKA

■ ■ **HISTORIA****56 Żydzie, Hitler po cię idzie**DAWID GOLIĆ: *Czy mieszkańcy
Ochotnicy Górnej posłuchali
napomnień swojego proboszcza***60 Dwa lwowskie powstania**WOJCIECH PIĘCIAK: *o książce „Dwa
powstania. Bitwa o Lwów 1918”*■ ■ **NAUKA****62 Bakterie, zęby i Alzheimer**MARIUSZ GOGÓŁ: *o nowych
hipotezach nt. przyczyn demencji***65 Podobno nie jest za późno**WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Zagłada
naszej planety już się zaczęła*■ ■ **KULTURA****66 Nie ufam rzeczywistości**ROZMOWA Z WIESŁAWEM
MYŚLIWSKIM**72 Nasze globalne Westeros**

JAKUB MAJMUŁEK

74 Balast tożsamościANITA PIOTROWSKA: *o filmie
„Złota” Tomasza Knittla***76 Pasażerka z bydłęcych**wagonów DOROTA KOZIŃSKA:
*Opera „Pasażerka” Mieczysława
Wajnburga***84 Pochwała utopii** LEKTORo książce Adama Zagajewskiego
„Substancja nieuporządkowana”■ ■ **ZMYŚŁY****86 Półtorej prawdy** ADAMROBIŃSKI: *Kim był Bruce Chatwin,
jeden z patronów rubryki „Zmyśły”?*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

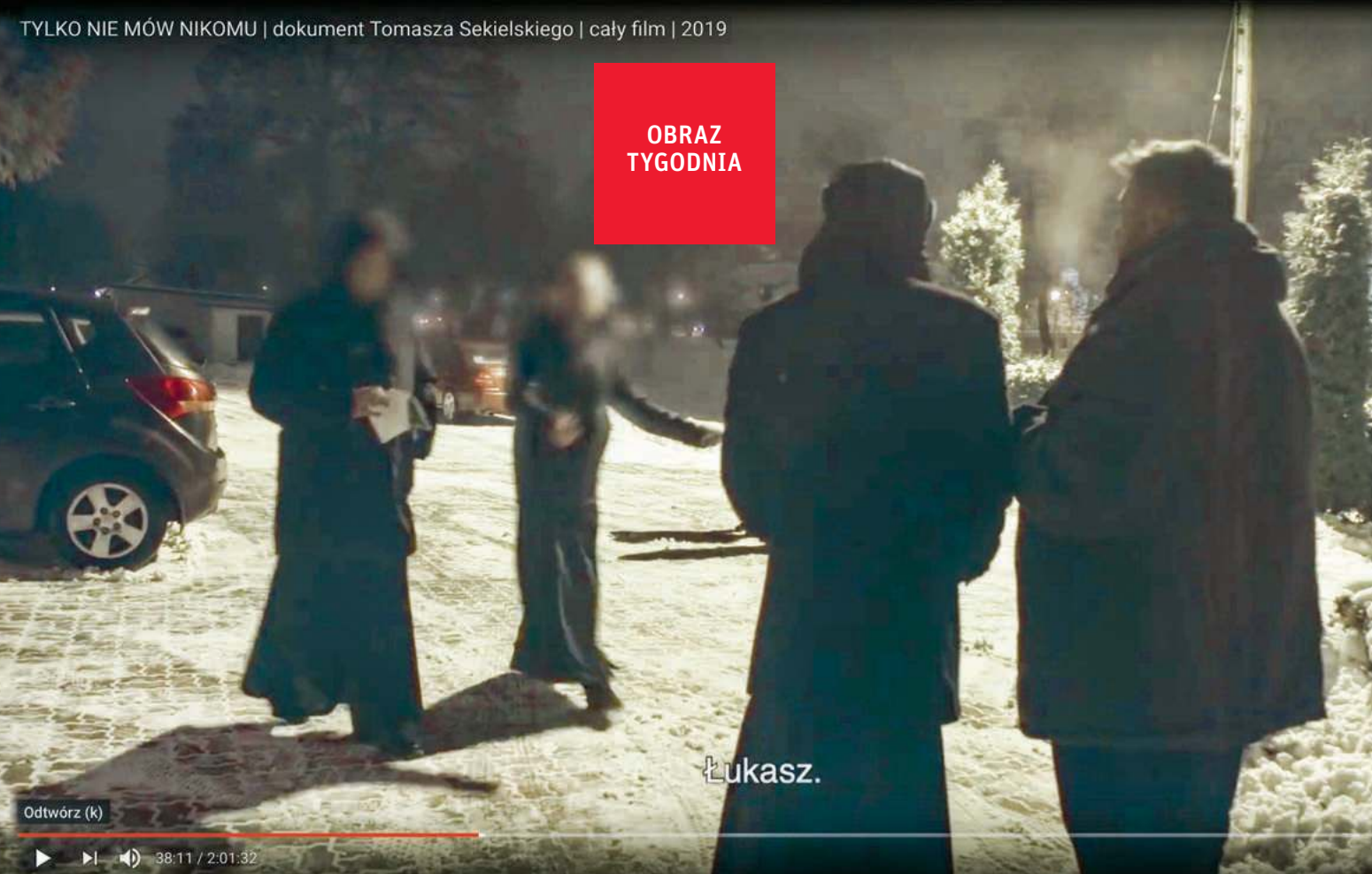
➔ **Woś się jeży**Kierowcy Ubera zorganizowali dziki strajk. To poważny test dla
możliwości obrony praw pracowniczych w XXI wieku – **RAFAŁ WOŚ**
pyta, czy w Polsce zostanie dopisany osobny rozdział tej historii.
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy➔ **Kościół a pedofilia – serwis specjalny**Film „Tylko nie mów nikomu” rodzi najpierw niedowierzanie, potem
gniew, na końcu jednak poczucie bezsilności – **pisze ARTUR SPORNIĄK**
o dokumencie Tomasza Sekielskiego. Więcej w specjalnym serwisie
powszech.net/kosciol-pedofilia

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

/TygodnikPowszechny ■
 /Tygodnik ■
 /Tygodnik ■
 YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ
TYGODNIA

Odtwórz (k)

▶ 38:11 / 2:01:32

KOŚCIELNA MORFINA

Jeśli po filmie Sekielskich mam nadal ze spokojnym sumieniem patrzeć jako ksiądz w twarz wiernym, przekona mnie do tego jedynie powołanie komisji z udziałem świeckich do badania nadużyć.

KS. JACEK PRUSAK SJ

LUBIMY W KOŚCIELE PODKREŚLAĆ, ŻE PAN BÓG nie ma tłumów, że każdy człowiek istnieje osobno. Głosimy, że tylko w świetle naszej wiary każdy jest chciany przez Boga, że takie właśnie przesłanie Biblia wniosła do kultury świata. I co robimy z tą jedną, jedyną, a zarazem zranioną w Kościele i przez Kościół niepowtarzalną osobą? W czyich rękach są owe Jezusowe owce? Co mają myśleć o duchownych rodzice, prowadzący w tych dniach dzieci do Pierwszej Komunii Świętej, po tym, jak zobaczyli, opublikowany 11 maja na YouTube, wstrząsający film dokumentalny „Tylko nie mów nikomu”?

Tam, gdzie wykorzystywane bywa dziecko, czyjeś oczy są z definicji zamknięte. To pewnik. Chyba wszystko, co było do obnażenia w tej kwestii, obnażył właśnie ten film, bo w nim

wszystko dzieje się na naszych oczach. Mamy ofiary, sprawców i tych, którzy tych drugich chronili i chronią, a więc instytucje – zamknięte nie tylko oczy, ale związane języki i nieczułe serca. Czy tak wolno reagować na krzywdę ofiar, równocześnie „zasłaniając się” Bogiem, głosząc Ewangelię i sprawując Eucharystię? Czego więcej trzeba, by pozbyć się złudzeń, że polski Kościół opornie wprowadza wytyczne Watykanu, i że nawet jeśli te zmiany zachodzą – to nie zmieniają mentalności hierarchów i duchownych oraz tych katolików, którzy racjonalizują ich zachowania? Nieobecność biskupów w tym filmie mówi więcej niż jakiegokolwiek deklaracje Episkopatu czy potrzebne, ale indywidualne komentarze hierarchów po jego obejrzeniu.

Jeśli mam nadal wierzyć ich słowom i ze spokojnym sumieniem patrzeć jako ksiądz w twarz

*Kadr z filmu
„Tylko nie mów
nikomu”*

wiernym, to przekona mnie do tego jedynie powołanie specjalnej mieszanej (z udziałem świeckich) Komisji wewnątrzkościelnej do badania nadużyć ze strony duchownych. W przeciwnym wypadku nie dojdzie do strukturalnej zmiany w stosowaniu mechanizmów zapobiegania przestępstwom i ochrony ofiar. Nie bez powodu jeden z „czarnych bohaterów” filmu to hierarcha, który zablokował pomysł powołania takiej komisji. Albo mamy jeden Kościół wszystkich ochrzczonych, duchownych i świeckich, albo Kościół Episkopatu i „reszty”. Sęk w tym, że ten drugi (do)prowadzi do wewnętrznej schizmy, bo tylko ten pierwszy jest Chrystusowy. Pierwsze reakcje na film pokazują, że ludzie już ten podział widzą i sami domagają się, by hierarchowie byli spójni w tym, co deklarują, z tym, co robią, bo skończyła im się cierpliwość w przyjmowaniu „słowa biskupa” na wiarę. A młodym ludziom nie wystarczy opowiadanie o chwalebnej przeszłości naszego Kościoła, skoro przed oczami mają teraźniejszość zaprzeczającą Ewangelię. Tamte czasy się skończyły, nawet jeśli nie wszyscy się z tym chcą pogodzić.

Nie bez kozery ktoś rzucił złośliwie, „że nawrócić księdza, to jak próbować wyprostować ogon świni”. Gdy patrzy się na reakcje duchownych – i nie mam tu na myśli tylko sprawców, ale ich kolegów w koloratkach – to widać, że mamy do czynienia nie tylko z masowymi zaprzeczeniami, racjonalizacjami i innymi mechanizmami obronnymi, ale z czymś więcej. Ten film obnażył ich ludzkie zepsucie. „Nikt mi tu nie podskoczy” – deklaruje jeden z nich, chroniąc skazanego duchownego pod swoim dachem.

To tylko lżejsza postać tej degrengolady. Wyżsi rangą duchowni, tworzący peany na cześć przestępców w koloratkach, to już niestety ciężka duchowa choroba. A mimo to ciągle nas pouczają, znieczuleni na swoją chorobę. Nie wiem, ile kościelnej morfiny trzeba sobie wstrzyknąć, aby być do tego zdolnym. To nie głos biskupów, lecz głos ofiar jest głosem Boga. Skoro z Jego owczarni czynimy stado dla wilków w koloratkach, On przyjdzie ze swoją odsieczą. Nam pozostaje trwać w Kościele zbudowanym na Jezusie, a nie na księżach, i robić wszystko, aby do takich tragedii nie dochodziło, a zranione owce nie czuły na sobie spojżenia wilków. © P

Kaczyński zakładnikiem radykałów

ANDRZEJ STANKIEWICZ



WSZYSCY ZBIEGOWIE Z PiS MÓWIĄ, ŻE jedną z politycznych obsesji Kaczyńskiego jest to, aby na prawo od PiS nie wykielkowała żadna partia. Utrata nawet paru punktów to ryzyko wyborczej przewagi obozu liberalnego i utraty władzy. Oto jednak niespodziewanie Kaczyńskiemu wyrosła groźna konkurencja – narodowo-katolicka, nieco antyamerykańska Konfederacja.

Do tej pory Ruch Narodowy nie był w stanie niczego poważnego zbudować. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Różne nurty prawicy radykalnej zjednoczyły się właśnie pod szyldem Konfederacji. Poza narodowcami są tam m.in.: groteskowy weteran Janusz Korwin-Mikke, twórca antysemickich teorii Grzegorz Braun oraz antyaborcyjna ikona Kaja Godek.

W wyścigu między PiS a Platformą umyka to, że Konfederacja atakuje Kaczyńskiego momentami nawet mocniej niż Grzegorz Schetyna z Donaldem Tuskiem razem wzięci. No bo jak się wytłumaczyć z zarzutu, że PiS jest na smyczy USA i Izraela? Albo że toleruje przerywanie ciąży, przez co aborcji jest więcej niż za czasów Platformy?

Kaczyński nie może Konfederacji ignorować, bo każdy odebrany przez nią punkt może ułatwić zwycięstwo Platformie.

A według wewnętrznych badań różnych partii korwinowo-braunowi narodowcy sięgają od 3 do 6 proc. poparcia.

Efekt było widać w ostatnich dniach. Niespodziewanie Kaczyński wspierany przez premiera Mateusza Morawieckiego i szefa MSWiA Joachima Brudzińskiego przystąpili do zmasowanego ataku na amerykańską „ustawę 447”, czyli przepisy zobowiązujące administrację USA do przygotowania raportu dotyczącego zwrotu bezspadkowego mienia żydowskiego przejętego podczas II wojny światowej. Wspólny refren: nie oddamy ani guzika.

Do tej pory Konfederacja grała strachem przed żydowskimi roszczeniami, zarzucając PiS bezwzględność. A PiS przekonywało, że „447” nie ma żadnego znaczenia. Zmiana tej taktyki jest ryzykowna. Konflikt z USA wokół ustawy o IPN pokazał, że Amerykanie w sprawach jakkolwiek związanych z Holocaustem są niezwykle poważni. To jednak wciąż Polska – a PiS najbardziej – jest petentem administracji Donalda Trumpa. Przekona się o tym prezydent Duda, gdy w czerwcu ponownie odwiedzi Biały Dom. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Zdrowie w labiryncie

W STYCZNIU zespół lekarzy powołany na mocy porozumienia ministra z rezydentami złożył w Ministerstwie Zdrowia projekt uporządkowania przepisów dotyczących wykształcenia, specjalizowania i wynagradzania medyków. Dokument przepadł, a minister Łukasz Szumowski w ubiegłym tygodniu zapowiedział procedowanie własnego. Z przedstawionych informacji (projektu nie zaprezentowano) wynikało m.in., że ustawa nie określi minimalnych wynagrodzeń dla lekarzy, a szpitale nadal nie będą zobowiązane wypłacać specjalistom pieniędzy za tzw. zejścia po dyżurze (rezydentom to zagwarantowano). Za to dla specjalistów spoza Unii zostanie uproszczona procedura tzw. nostryfikacji dyplomu. Oburzeni lekarze zapowiedzieli na 1 czerwca wielką manifestację w Warszawie.

Minister w ostatnich tygodniach zwoływał liczne briefingi, a na portalach mnożyły się nagłówki o sukcesach i propozycjach reform. System ochrony zdrowia jest rzeczywistością skomplikowaną, co ułatwia rządowi narrację, a lekarzom utrudnia wyjaśnienie, na czym właściwie polega spór. Przykład? Rezydenci w październiku 2017 r. walczyli o zwiększenie nakładów na zdrowie do wysokości 6,8 proc. PKB w trzy lata. W porozumieniu z lutego 2018 r. przystali na 6 proc. PKB w pięć lat. Ostatnio okazało się, że rząd będzie brał pod uwagę wskaźnik PKB nie bieżący, ale sprzed dwóch lat. Harmonogram zmian nie ma więc wiele wspólnego z postulatami – tylko jak to wytłumaczyć odbiorcom w rzeczywistości nagłówkowo-twitterowej? A jest to zagadnienie trywialne w porównaniu choćby do refundacji leków i odpowiedzialności finansowej lekarzy związanej z wypisywaniem recept. © P MAM

500 jeszcze bardziej plus (minus)

„PROGRAM POPRAWIŁ JAKOŚĆ ŻYCIA wielu rodzin, ale nie ma przesłanek, by twierdzić, że dzięki niemu wzrosła istotnie i trwale dietność” – to jeden z głównych wniosków ogłoszonego w zeszłym tygodniu raportu bilansującego działanie 500 plus. Autorzy – eksperci m.in. Instytutu Badań Strukturalnych, UW i SGH – mnożą wątpliwości. Program, punktują, wpływa negatywnie na rynek pracy, wypychając zeń kobiety. W dodatku „nie został wpisany w całość działań polityki rodzinnej”. Nawet niepodważalny sukces „pięćsetki”, czyli wyraźne ograniczenie skali skrajnego ubóstwa, został osiągnięty większym kosztem, niż było to konieczne: „Świadczenie (...) jest umiarkowanie efektywne w sensie redystrybucyjnym, jako że (...) jedynie 37 proc. całego budżetu trafia do rodzin (relatywnie) ubogich. Na to, by zniwelować skrajne ubóstwo dzieci, potrzeba byłoby na to jedynie 12,4 proc. całkowitych rocznych kosztów programu” – czytamy.

Raport – pokazujący, że program, który stał się już nienaruszalnym dogmatem w świecie polityki, wywołuje coraz większe kontrowersje w świecie ekspertów – zbiega się z najpoważniejszą zmianą zasad funkcjonowania 500 plus. Od 1 lipca znika próg dochodowy w wypłatach na pierwsze dziecko, co zwiększy roczne koszty świadczenia do ponad 40 mld zł. © P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jak w zegarku

93,06 PROC. – tyle pociągów PKP w pierwszym kwartale 2019 r. dojechało do celu punktualnie. Kolejarze mogliby sobie gratulować wyniku, gdyby nie fakt, że PKP zawdzięcza go zmianie definicji spóźnienia wprowadzonej przez Urząd Transportu Kolejowego.

Statystycy UTK w ramach teje po prostu zwiększyli kolejarzom margines bezpieczeństwa o minutę – do 5 minut i 59 sekund. Gdyby w użyciu był dotychczasowy, punktualnymi można by nazwać tylko 79,8 proc. połączeń PKP.

PKP i UTK tłumaczą zmianę koniecznością ujednolicenia metodologii ze stosowaną w Europie Zachodniej. Jej efektem – pytanie, na ile ubocznym – jest jednak skokowa poprawa punktualności PKP Intercity, która – jak zauważa „Rzeczpospolita” – w 2018 r. notowała spóźnienia ponad 62 proc. połączeń.

PKP daleko wprowadzie do punktualności japońskich pociągów Shinkansen, które odjeżdżają ze stacji ze średnią punktualnością 15 sekund, ale na tle innych przewoźników nie mają powodów do wstydu. Brytyjskie pociągi dalekobieżne nawet ze spóźnieniem do 10 minut są uważane za punktualne. © P MR

KRAJ W SKRÓCIE

USTAWKA. Jeden z tabloidów poinformował, że dzieci premiera są adoptowane, a redakcja zaznaczyła, że „nie wiadomo, czy zdają sobie sprawę”, że pochodzą z domu dziecka. Dzień później ten sam brukowiec zachwycał się rodziną Morawieckich, która „stworzyła dzieciom dom pełen miłości”. Znający media uważają, że obie publikacje przygotowano za wiedzą otoczenia szefa rządu.

KIEŁBASA. Na finiszu kampanii zobaczymy jeszcze niejedno. Min. Joachim Brudziński umieścił na Twitterze zdjęcie prezesa PiS na łodzi, wypuszczającego do wody rybę. „Dzisiejsza wizyta Jarosława Kaczyńskiego na Pomorzu Zachodnim dla dwóch złowionych szczupaków była wyjątkowo szczęśliwa” – głosił podpis; z kolejnego zdjęcia wynikało, że prezes woli mięso („Po ciężkim tygodniu nic tak nie smakuje jak niedzielna kiełbasa z ogniska”).

MECZ. Żeby łowić i posilać się z prezesem, min. Brudziński udał się na Pomorze helikopterem – wylądował na boisku w Choszczynie, podczas meczu trampkarzy, który został z tej okazji przerwany. „Gazeta Lubuska” twierdzi, że polityk przesiadł się do limuzyny, młodym sportowcom zaś, czekającym na możliwość wznowienia gry, łaskawie zaoferowano możliwość zrobienia zdjęcia przy śmigłowcu.

OCHRONA. I tak dobrze, że nikt nie został podstruchany – z informacji „Dziennika Gazety Prawnej” wynika, że rozmowy policjantów ochraniających imprezy z udziałem najważniejszych osób w państwie można poznać dzięki sprzętowi wartemu kilkaset złotych – redakcja dysponuje np. nagraniami meldunków z zabezpieczenia 3 Maja.

RDC **MAREK RABIJ** opowie o polskim bezrobociu (s. 26) Grzegorzowi Chłacie w śróde 15 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie



ARCHIWUM PRYWATNE

Kardynał włamywacz

W NOCY Z SOBOTĘ NA NIEDZIELĘ kardynał Konrad Krajewski włamał się do pomieszczeń rozdzielni elektrycznej w opuszczonym biurowcu w centrum Rzymu, od pięciu lat nielegalnie zajmowanym przez osoby bezdomne. Po zerwaniu plomb uruchomił zasilanie, wyłączone przez zakład energetyczny. „To był akt desperacji. Mieszka tam ponad 400 osób, rodziny z dziećmi” – tłumaczył hierarcha (na zdjęciu z mieszkańcami). Dodał, że działał na własną odpowiedzialność, świadomy grożących mu konsekwencji. „Liczę na to, że papieski jałmużnik ureguluje teraz należne rachunki” – powiedział na wiecu wyborczym włoski wicepremier Matteo Salvini, lider prawicowej Ligi Północnej. Zakład energetyczny szacuje zaległości na 300 tys. euro. © P EA

Inwestycje na czysto

KILKA KATOLICKICH DIECEZJI położonych w pobliżu wielkich portów handlowych wpisało się na listę instytucji, które zobowiązały się do pozbycia udziałów w firmach produkujących i transportujących ropę naftową, gaz ziemny i węgiel. To m.in. archidiecezja Panamy, diecezja San Carlos na Filipinach, archidiecezja maltańska i neapolitańska. Decyzję podjęto wkrótce po konferencji o „wspólnym dobru na wspólnych morzach” zorganizowanej w Kopenhadze przez watykańską Dykasterię ds. Integralnego Rozwoju Człowieka (3–5 maja). „Nie ma czasu do stracenia w walce z kryzysem klimatycznym” – oświadczył Tomás Insua, dyrektor wykonawczy Globalnego Katolickiego Ruchu Klimatycznego. Ruch, skupiający ponad 800 instytucji i tysiące działaczy, pracuje nad wcieleniem w życie wizji przedstawionej w encyklice Franciszka „Laudato si”. Rezygnację z inwestycji w paliwa kopalne zadeklarowało już ponad 120 instytucji katolickich – diecezji, klasztorów, oddziałów Caritasu i in.

© P MAM

Nowe przepisy mają wadę

ARTUR SPORNIAK



PAPIEŻ ZNOWELIZOWAŁ PRAWO KOŚCIELNE DOTYCZĄCE POSTĘPOWANIA w przypadkach wykorzystania seksualnego przez duchownych i zakonników. W *motu proprio* „Vos estis lux mundi” („Wy jesteście światłem świata”) Franciszek przede wszystkim rozszerzył zakres dotychczasowych przepisów na przypadki zmuszania do seksu osób dorosłych przez stosowanie przemocy, groźby lub nadużywanie władzy. Od 1 czerwca, czyli od chwili wejścia w życie tych przepisów, o wiele skuteczniej będzie można sądzić np. przypadki gwałtów na zakonnicach czy molestowania kleryków.

Drugą ważną nowością jest ustanowienie precyzyjnych procedur rozliczania wyższych przełożonych kościelnych – biskupów i prowincjałów zakonnych – za wszelkie nieprawidłowości. Jeśli więc biskup próbował w jakikolwiek sposób zakłócić procedowanie spraw związanych z wykorzystaniem seksualnym dzieci i dorosłych, musi się w tej chwili liczyć, że zostanie z tego rozliczony.

List papieża precyzuje czas trwania dochodzeń – biskupi mają na nie 90 dni, a metropolici zobowiązani zostali do przesyłania co 30 dni sprawozdań o stanie dochodzeń. Proponowane jest także utworzenie funduszu na wsparcie kosztów dochodzeń.

Dokument papieża niestety nie zlikwidował największej wady dotychczasowych przepisów: nie przyznał podmiotowości prawnej ofiarom nadużyć. W dalszym ciągu ofiary nie mogą np. domagać się informacji na temat procesu w ich sprawie. Uniemożliwia to tzw. tajemnica papieska, która w założeniu miała chronić osoby zaangażowane w sprawę (np. inne ofiary), a jest wykorzystywana w celu „uciszania” ofiar i obrony instytucji Kościoła. Mechanizm ten dosadnie ujawnił film „Tylko nie mów nikomu”. © P



DELEGACJĘ 500 ROMÓW przyjął w minioną środę papież Franciszek. Zbiegło się to z głośną we Włoszech sprawą romskiej rodziny, której skrajnie prawicowe bojówki próbowały nie dopuścić do przydzielonego jej lokalu socjalnego na przedmieściach Rzymu (papież spotkał się z nią osobno). „Istnieją obywatele drugiej kategorii, ale to ci, którzy odrzucają ludzi, mają usta pełne epitetów, z miotłą w ręku próbują usunąć innych” – mówił Franciszek. © P PB

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KARDYNAŁ NA LESBOS.

100 tys. dolarów od papieża Franciszka dla greckiego Caritasu przekazał kard. Konrad Krajewski. Pieniądze przeznaczone będą na pomoc uchodźcom, z którymi papieski jałmużnik spotkał się w ubiegłym tygodniu w obozie Moria na wyspie Lesbos. Trzy lata temu, w szczycie greckiego kryzysu migracyjnego, to właśnie miejsce odwiedził papież. Dziś o „bramie do Europy”, która dla tysięcy osób stała się więzieniem, mało kto pamięta.



MARK LASYK / REPORTER

STRÓŻEWSKI WYRÓŻNIONY.

Wieloletni współpracownik „Tygodnika Powszechnego” prof. Władysław Stróżewski został odznaczony przez papieża Orderem św. Sylwestra, przyznawanym osobom świeckim za zasługi dla Kościoła oraz w dziedzinie nauki i sztuki. W ostatnich dniach emerytowany profesor filozofii UJ otrzymał też doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naszemu Przyjacielowi serdecznie gratulujemy!

ASIA BIBI JUŻ W KANADZIE.

Pakistańska chrześcijanka Asia Bibi, która spędziła osiem lat, czekając na egzekucję za bluźnierstwo przeciwko Mahometowi, wyjechała z Pakistanu do Kanady. Sąd uniewinnił Bibi w październiku 2018 r., a w styczniu Sąd Najwyższy Pakistanu oddalił apelację fundamentalistów islamskich.



Kto stanie do walki z Trumpem – opowie **MARTA ZDZIEBORSKA** (tekst na s. 52) w rozmowie z Agnieszką Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 15 maja o godz. 15.00. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Wracająca sprawa śmierci Aldo Moro

CÓRKA ZAMORDOWANEGO w 1978 r. byłego premiera Włoch apeluje do papieża o wstrzymanie procesu beatyfikacyjnego jej ojca. „Od 41 lat różne hieny próbują zrobić biznes na tej śmierci i wykorzystać jego imię do własnych celów” – napisała do Franciszka.

Aldo Moro, wybitny polityk i gorliwy katolik, został porwany i zamordowany w 1978 r. przez Czerwone Brygady, skrajnie lewicową organizację terrorystyczną. W próby jego uwolnienia angażował się Paweł VI (nawet ofiarował się na zakładnika). Nieskuteczne negocjacje były – jak się dziś sądzi – rozmyślnym działaniem włoskich władz: Moro, szef rządzącej chadecji, dążył do porozumienia z partią komunistyczną, a jego śmierć była na rękę wielu politykom niechętnym temu kompromisowi.

Proces beatyfikacyjny zaczął się w 2012 r. Po odwołaniu pierwszego postulatora (informował o naciskach i fałszywych zeznaniach), ubiegłotygodniowej rezygnacji kolejnego (twierdzi, że grożono mu śmiercią) i apelu córki, z pomysłu beatyfikacji być może przyjdzie się wycofać. © P EDWARD AUGUSTYN

Niewiedza biskupa

BISKUP TARNOWSKI ANDRZEJ JEŻ podczas wielkoczwartkowej homilii cytował antysemicką fałszywkę zamieszczoną w diecezjalnym tygodniku z 1937 r. Ujawniając ten fakt na naszych łamach, Zuzanna Radzik pytała: „Jak interpretować obecność antysemickiego cytatu w wielkoczwartkowym kazaniu? Jako dowód niewiedzy? Złej woli? Antysemityzmu, i to w wersji spiskowej?” (powszech.net/biskupjez).

Doczekaliśmy się odpowiedzi. „Przywołując parafrazę tejże wypowiedzi, zakładałem jej prawdziwość” – napisał bp Jeż w oświadczeniu. Zapowiedział też „podjęcie kwerendy historycznej w tej materii”. © P ASK

Pożegnanie Jürgena Wahla



PAWEŁ MORAS

PRZED ROKIEM 1989, gdy Europę dzieliła żelazna kurtyna, a polityki nie robiło się za pomocą Twittera, kluczową rolę w budowa-

niu niezależnych od władz PRL kontaktów między Polakami i Niemcami z RFN – tych, które miały zaprocentować po upadku komunizmu, ułatwiając integrację Polski z Zachodem – odgrywało budowanie więzi między konkretnymi ludźmi, politycznych i prywatnych. A w środowisku zachodnioniemieckiej chadecji istotną rolę pełnił tu Jürgen Wahl. Dziennikarz prasy chadeckiej i działacz katolicki, członek „komisji wschodniej” Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich, w latach 70. i 80. był przewodnikiem i pośrednikiem: przybył z Polski, także z „Tygodnika”, otwierał drzwi do gabinetów polityków CDU/CSU. Uważany za „człowieka Helmuta Kohla”, dzielił z nim doświadczenie pokoleniowe: zwykły mówić, że motywacją dla jego wysiłków na rzecz zbliżenia z Polską była II wojna światowa, na którą patrzył oczami nastolatka.

Jürgen Wahl zmarł 22 kwietnia w Bonn, w wieku 89 lat.

© P WOJCIECH PIĘCIAK

Otyłość: wiejski problem

WYDAWAŁO SIĘ JASNE: to mieszkańcy miast nie prowadzą zdrowego trybu życia, gdyż mają łatwy dostęp do wysoko przetworzonej żywności, transport publiczny zniechęca ich do spacerów, a w pracy siedzą stale przed komputerem. Otyłość postrzegana była więc jako problem miejski. Jednak wyniki badań opublikowanych w „Nature” kwestionują taki pogląd. Już teraz otyłość jest częstszym zjawiskiem na wsi niż w miastach niemal we wszystkich krajach świata, poza Afryką Saharyjską, południową Azją i kilkoma innymi miejscami, co wynika z mechanizacji rolnictwa i powszechnej dostępności śmieciowego jedzenia. W miastach istnieje też więcej rozwiązań i przepisów sprzyjających zdrowszemu życiu. Pora, aby wprowadzać je także na wsi. © P ŁK

Iran–USA: groźna eskalacja

ROK PO TYM, JAK USA WYCOFAŁY SIĘ z tzw. umowy atomowej, zawartej w 2015 r., teraz Iran wypowiedział to porozumienie w dwóch ważnych punktach: ogłosił, że nadwyżki lekko wzbogaconego uranu i ciężkiej wody nie będzie już sprzedawać, lecz magazynować. Prezydent Rohani postawił też ultimatum pięciu pozostałym krajom-sygnatariuszom umowy (są to Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Rosja i Chiny): dał im 60 dni na uratowanie całego porozumienia. W przeciwnym razie, zagroził, Iran podejmie na nowo produkcję znacznie bardziej wzbogaconego uranu.

Rohani zaznaczył, że Iran jest gotowy do negocjacji. „To nie my opuściliśmy stół rokowań” – rzucił pod adresem prezydenta USA, który w maju 2018 r. jednostronnie wypowiedział umowę. Od tego czasu Donald Trump zaostroził stopniowo sankcje, by wzmacniać presję na Iran. Mimo to aż dotąd Teheran trzymał się konsekwentnie umowy.

Jednak kilkanaście dni temu Trump nie przedłużył regulacji, które – na drodze wyjątku – pozwalały Iranowi na wymianę wzbogaconego uranu na uran naturalny i sprzedawanie ciężkiej wody. „Obec-

na decyzja Iranu to reakcja na te właśnie działania USA” – powiedział Ali Akbar Salehi, szef irańskiego programu atomowego. Zgodnie z umową, Teheranowi wolno wykorzystywać we własnym zakresie do 300 kg lekko wzbogaconego uranu i 130 ton ciężkiej wody; resztę musi sprzedawać. Gdyby Iran zaczął na nowo wzbogacać uran na dużą skalę, byłoby tylko kwestią czasu, kiedy mógłby zacząć produkcję materiału rozszczepialnego, który można wykorzystać w broni atomowej.

Teheran obrał tym samym kurs na groźną eskalację – nie tylko z USA, ale też z Europą: trzy unijne kraje-sygnatariusze i szefowa unijnej dyplomacji odrzucili ultimatum Rohaniego. Natomiast Chiny i Rosja stanęły demonstracyjnie po stronie Teheranu. Premier Benjamin Netanjahu, który zawsze odrzucał umowę z 2015 r., powtórzył, że Izrael nie dopuści, by Iran zbudował broń atomową. Irańczycy stale podkreślają, iż nie jest to ich celem.

Decyzja Teheranu zapadła w chwili, gdy narasta napięcie między Iranem a USA. Choć Rohani podkreśla, że Iran nie ma planów wojennych, dalsza eskalacja wydaje się zaprogramowana. USA skierowały do regionu lotniskowiec i bombowce strategiczne.

© INGA ROGGE ze Stambułu

Więcej na: powszech.net/iran

Samowie kontra kolej

Z FIŃSKIEGO ROVANIEMI droga na północ prowadzi prosto. Po godzinie jazdy pasażerowie przywykają do lasów i jezior, jedyne tu krajobrazy. Autobus przewozi pasażerów i pocztę; kierowca co jakiś czas zwalnia, otwiera harmonijkowe drzwi i, nie zatrzymując pojazdu, wrzuca przesyłki do skrzynek na poboczu.

Miejsca zamieszkania znajdują się na uboczu, daleko w lesie. To kraina Samów, ostatnich (nie licząc Nieńców) rdzennych mieszkańców Europy. Dziś ich terenom zagraża nowa inwestycja. Ma tu powstać linia kolejowa łącząca fińską Laponię z norweskim Kirkenes, portem nad Morzem Barentsa. To kolejna oznaka rosnącej presji na wykorzystanie nowych linii żeglugowych, które na Północy otwiera topniejący lód. Samowie martwią się, że kolej przetnie drogi wędrowek reniferów, od wiosny do jesieni żyjących samopas. To podstawa ich kultury i tożsamości: podobno na opisanie wyglądu i zachowania tych zwierząt mają tysiąc słów.



JANA KRECKLER / ADOBE STOCK

Tymczasem w Rovaniemi na zebraniu Rady Arktycznej Mike Pompeo, amerykański sekretarz stanu, mówił... o zaletach zmiany klimatu – w tym o szansie na rozwój transportu. Dla pozostałych delegacji jego wystąpienie było kuriozum. Ale jeśli o losie Arktyki rzeczywiście zaczną decydować głównie Amerykanie (a zwłaszcza obecna administracja), ich śladami podążą mniejsze państwa, w tym Finlandia i inne kraje nordyckie. Najbardziej stratne – oprócz przyrody – będą na tym lokalne społeczności Północy.

© P ŻYM



KOMNATA SFINKSA – tak nazwano salę odkrytą w rzymskim Złotym Domu Nerona. Budowę pałacu, zlokalizowanego wśród winnic i ogrodów między wzgórzami Palatyn i Eskwilin, przerwano w roku 68, tuż po śmierci cesarza. Wykopaliska na tym terenie trwają od końca XVIII w., jednak na ślad nieznaney, zasypanej dotąd komnaty natrafiono nieoczekiwanie pod koniec 2018 r. Na zaprezentowanych w minionym tygodniu zdjęciach z odkrytej części pałacu widzimy m.in. fresk przedstawiający Sfinksa. Badacze sfotografowali także malowidło przedstawiające walczącego z panterą fauna (na zdjęciu) oraz inne, równie fantastyczne stworzenia.

© P MOC

Futbol ma się świetnie

ROZEGRANE W MINIONYM TYGODNIU półfinały Ligi Mistrzów były niezwykle nie tylko ze względu na rozstrzygnięcia – odpadnięcie Barcelony i Ajaksu, mimo iż w pierwszym meczu Katalończycy wygrali z Liverpooliem 3:0, a Holendrzy zwyciężyli Tottenham 1:0, a w drugim spotkaniu prowadzili do przerwy już dwiema bramkami. Ważniejsze od porażek faworytów jest to, co miniony sezon mówi o stanie futbolu – który ma się dobrze, jak nigdy w historii. Nie chodzi o to, że wciąż oglądamy najlepszego piłkarza w dziejach, Leo Messiego (Liverpoolowi strzelił

dwa gole), a w Amsterdamie wciąż wychowują młodych geniuszy. Że horyzonty myśli taktycznej wyznacza trener Manchesteru City (odpadł w ćwierćfinale) Pep Guardiola. Że wyszkolenie i wytrzymałość piłkarzy albo praca wspieranych przez technologię sędziów zostały wyśrubowane na poziomy dotąd nienotowane. Głównie chodzi o to, że nadal nie rządzą pieniądze (w półfinałach zabrakło najbogatszych: Realu, MU, MC, Bayernu czy PSG) i że przegrywają trenerzy skupieni na przeszkadzaniu rywalom (José Mourinho). Że do finału awansowali ci, którzy pokazali, że wygrywa się sercem – nawet jeśli się wydaje, że wszystko już stracone.

© P MICHAŁ OKOŃSKI

Hulajnogi pod specjalnym nadzorem

FRANCUSKIE MINISTERSTWO TRANSPORTU od 1 września zakaze jazdy hulajnogami elektrycznymi po chodnikach – twierdzi dziennik „Le Parisien”. Nowe przepisy mają również wprowadzić ograniczenie prędkości dla tych jednośladów do 25 km/h i zobowiązać wypożyczalnie do wyposażenia każdego z nich w dzwonek oraz w przednie i tylne światła.

Powodem decyzji jest gwałtownie rosnąca liczba wypadków z udziałem hulajnóg z napę-

dem elektrycznym, które mogą rozpędzić się nawet do 50 km/h. Nowe przepisy wypchną je z chodników na ścieżki rowerowe i ulice – ale tylko te, na których obowiązuje maksymalne ograniczenie prędkości do 50 km/h. Mandat będzie grozić również osobom jadącym takim jednośladem ze słuchawkami.

Podobne regulacje wprowadził niedawno Paryż, gdzie za jazdę hulajnogą elektryczną po chodniku grozi 135 euro kary. W Polsce na razie tylko władze Krakowa rozważają wprowadzenie ograniczeń ruchu dla hulajnóg z napędem elektrycznym.

© P MR

KULTURA W SKRÓCIE

MĘKI TWÓRCZE. „Mówi się, że każdy nosi w sobie jedną książkę do opowiedzenia” – zdradza w wywiadzie dla Onetu młoda prozaiczka tuż po premierze swej drugiej powieści. „Mam poczucie, że już wszystko, co ważne w swoim życiu, opowiedziałam. Kolejną książkę musiałabym dopiero wymyślić”. Współczujemy.

DŁA PIENIĘDZY. W trudnej materii wyobraźni pracuje od lat Ken Follett, autor kilkunastu powieści szpiegowskich i historycznych. Pierwszą książkę (wydaną pod pseudonimem) napisał ponoć z braku pieniędzy na naprawę auta. Tym razem chodzi o dużo większy budżet. Autor „Filarów Ziemi” wyda niepublikowany dotąd tekst o katedrze Notre Dame w Paryżu, a zyski ze sprzedaży przekaże na jej odbudowę.

Z POŚPIECHEU. Żadne fundusze nie wybawią z opresji Atlasa, który stanął na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu. W mitologii greckiej tytan został skazany na dźwiganie sklepienia. Mogłoby się wydawać, że władze uczelni były bardziej wyrozumiałe: tamtejszy Atlas trzyma nad głową jedynie globus z nazwą uniwersytetu. Dodatkową męką jest jednak podtrzymujący pomnik stupek, który umieszczono między nagimi pośladkami tytana. „To z pośpiechu” – tłumaczy rzecznik uczelni.

NAGI KSIĘGARZ. Z powodu nagości znany był zmarły w zeszłym tygodniu Amerykanin Paul Winer, chyba jedyny człowiek na świecie, który przez blisko 30 lat sprzedawał książki, obsługując klientów nago. Z dumą przyznawał, że wygrał 68 spraw sądowych, w tym jedną na szczeblu federalnym, która utorowała mu drogę do legalnego paradowania bez ubrania na terenie całego kraju. Winer pracował zimą, lato w Arizonie było dla niego zbyt gorące.



TEMAT
TYGODNIKA

SZPITALE W DEPRESJI

Psychiatria dziecięca w Polsce to dzisiaj głównie braki: pieniędzy, lekarzy, wolnych miejsc. Zasady gry są więc proste: łóżko dostaje ten, kto przed chwilą próbował się zabić. To największy kryzys polskiej służby zdrowia.

KRZYSZTOF STORY

PRZYNAJMNIEJ 10 PROC. DZIECI W POLSCE MA zaburzenia psychiczne. Wielu z nich potrzebna jest pomoc – psychiatrów, psychologów, terapeutów. Dziesięć procent, czyli 600 tysięcy dzieci. To liczba pierwsza.

Liczba druga: 28. Tyle łóżek jest na Oddziale Psychiatrii Dzieci i Młodzieży przy ul. Sobieskiego 9 w Warszawie. Gdy 21 listopada 2018 r. dr Lidia Popek wychodzi z oddziału, wszystkie są zajęte. Oprócz tego 15 pacjentów śpi na tzw. dostawkach. Zabrakło nawet łóżek polowych, więc niektóre dzieci leżą na materacach na podłodze. To nie jest dzień wyjątkowy. Obłożenie dziecięcych oddziałów psychiatrycznych w całej Polsce sięga 150 proc.

15 stycznia w Sejmie dr hab. Barbara Remberk (ordynatorka oddziału przy Sobieskiego) podsumowuje sytuację w swojej dziedzinie: „Brak miejsc w szpitalach, brak zaplecza ambulatoryjnego, zagrożonych zamknięciem jest kilka ośrodków w kraju. Mamy problem z kadrami, a warunki pracy są nie do zniesienia. Musimy odmawiać pacjentom z myślami samobójczymi przyjęcia, bo brak miejsc, a oni nam grożą, że się zabiją”.

Liczba trzecia: w 2017 r. policja odnotowała 116 śmierci samobójczych wśród osób poniżej 18. roku życia. Pod tym względem Polska zajmuje drugie miejsce w Europie. Samobójstwa są dziś najczęstszą przyczyną śmierci dzieci. W grudniu 2017 r. w samym tylko Białymstoku życie odebrały sobie trzy osoby. Jeden chłopak, dwie dziewczyny. W sumie mieli 44 lata.

Pilny znaczą zagrożony

Te trzy liczby pojawiały się już na łamach „Tygodnika”. Kryzys w polskiej psychiatrii dziecięcej trwa od dawna. Jak dotąd brakuje skutecznych rozwiązań i danych pokazujących skalę problemu. Między szpitalami a NFZ zdarzały się nawet rozbieżności co do liczby łóżek na oddziałach. Kompletny raport postanowiła stworzyć organizacja Sieć Obywatelska Watchdog Polska.

– W ostatnich miesiącach wiele mediów donosiło o katastrofalnej sytuacji w psychiatrii dziecięcej – mówi jej przedstawicielka Martyna Bójko. – Poruszeni takimi artykułami postanowiliśmy wykorzystać prawo do informacji publicznej, by zebrać kompleksowe dane o leczeniu psychiatrycznym dzieci i młodzieży.

– Wysłaliśmy ankiety do wszystkich szpitali prowadzących dziecięce oddziały psychiatryczne – opisuje Bójko. – Przepytyaliśmy również Ministerstwo Zdrowia i wojewódzkie oddziały NFZ.

W ten sposób powstała mapa polskiej psychiatrii dziecięcej. Jej najbardziej widocznym elementem jest 35 stacjonarnych oddziałów

psychiatrii dzieci i młodzieży. Według danych z oddziałów NFZ mają 1039 łóżek.

Na mapie widać jaśniejsze punkty. Dolnośląskie: 135 łóżek w czterech ośrodkach. Lubuskie: 90 łóżek w Centrum Leczenia Dzieci i Młodzieży w Zaborze. Tutaj na jedno łóżko w województwie przypada niewiele więcej niż 2 tys. dzieci. Dominują jednak psychiatryczne pustynie. Wielkopolskie: 50 łóżek. Małopolskie: 50 (ani jednego poza Krakowem). Podkarpackie: 24. Tutaj na jedno łóżko przypada nawet 14 tys. dzieci. Na Podlasiu statystyka przestaje mieć sens. Od kiedy zamknięto szpital psychiatryczny w Choroszczu, na 218 tys. dzieci przypada tutaj zero łóżek.

Wyobraźmy sobie, że któregoś z nastolatków z Białegostoku udaje się uratować. Karetka zabiera go po nieudanej próbie samobójczej i zaczyna się poszukiwanie oddziału. Najbliższy jest 200 kilometrów dalej – w Warszawie. I jest zajęty do ostatniego łóżka. W stanie zagrożenia życia miejsce znaleźć się musi, więc pacjent trafia na dostawkę. Łóżko polowe, materac w korytarzu, cokolwiek. W 30 szpitalach, które wypełniły ankietę, na dostawkach leczyło się 108 dzieci. Ponad 10 proc. wszystkich pacjentów.

Dr hab. Maciej Pilecki jest ordynatorem oddziału psychiatrycznego Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie: – Jeśli pacjent bezwzględnie wymaga hospitalizacji, nie zostanie odesłany – mówi. – Albo przyjmujemy go na dostawkę, albo wysyłamy do innego szpitala, błagając koleżanki i kolegów, żeby go przyjęli. To jest skrajnie trudna sytuacja dla lekarzy dyżurujących. Codziennie mają do kilku konsultacji pacjentów zgłaszających myśli samobójcze, a nie mają żadnego wolnego łóżka. Wiedzą, że mogą przyjąć pacjenta, ale tylko takiego, który, jeśli nie zostanie przyjęty, umrze.

I przyjmują, choć znalezienie wolnego łóżka nie jest łatwe, a szpital często nie wie, jak dostawki potraktuje NFZ. Pacjenci z Podlasia najczęściej trafiają do Warszawy. Pacjenci z Warszawy bywają kierowani do Kielc albo na oddział dr. Pileckiego. W wąskich korytarzach Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie ciężko o miejsce na dodatkowe materace. Do dużego szpitala w Zaborze trafiają dzieci z całej Polski. Miejsce znajduje się tylko dla tych przypadków, które stanowią bezpośrednie zagrożenie życia.

– W psychiatrii ta granica nie zawsze jest wyraźna – opisuje Pilecki. – Zgłoszenie pilne to osoba, która ma myśli samobójcze, mówi, że chce się powiesić. Stan zagrożenia życia to taki, w którym pacjenta przywozi do nas karetka w kołnierzu ortopedycznym po próbie powieszenia się.

→ W ankiecie przygotowanej przez Sieć Obywatelską jest pytanie o przyjęcia w trybie pilnym. Większość szpitali odpowiada, że takie realizuje natychmiast.

Pilecki: – Pacjentów, których odsyłamy, bo nie mamy dla nich miejsca, nie wpisujemy przecież na listę oczekujących, tylko bierzemy w częsty kontakt terapeutyczny. Lekarz, który dyżuruje, umawia się z nim co tydzień lub nawet częściej. To powoduje, że po kilku miesiącach pracy każdy lekarz ma pod opieką ambulatoryjną kilkunastu do kilkudziesięciu pacjentów z myślami samobójczymi. Kolejki nie wydają się tak długie, bo bierzemy na siebie opiekę nad pacjentami, których nie mamy gdzie przyjąć.

Czas oczekiwania poza trybem pilnym? Tylko 12 szpitali oceniło go na mniej niż 30 dni. Średnio na miejsce trzeba poczekać prawie trzy miesiące. Centrum Pediatrii w Sosnowcu: 321 dni. Szpital Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu: 720 dni. Centrum Psychiatryczne w Warcie: „Nie realizujemy kolejek. Tylko ostre przyjęcia”.

Nieudana próba samobójcza jest dzisiaj jedynym gwarantem miejsca w szpitalu. Pozostali muszą czekać. Na pobyt w 30 szpitalach ze skierowaniami czeka dziś 626 dzieci. Kolejka przesuwana się powoli. Oddział w Sosnowcu zbudowano na 25 łóżek. Zakontraktowane z NFZ są 62 miejsca. Narodowy Fundusz Zdrowia wydał niedawno oświadczenie: w stacjach zagrożenia życia dzieci, dla których nie starczy miejsca, będą tymczasowo hospitalizowane na oddziałach psychiatrycznych dla dorosłych.

77 etatów

Psychiatria dzieci i młodzieży jest odrębną specjalizacją. Mało popularną, bo w oświadczeniu Ministerstwa Zdrowia czytamy: „Dane NFZ wskazują na ogromną przepaść pomiędzy realnymi potrzebami a możliwościami systemu. Naczelna Izba Lekarska podaje, że na koniec 2017 roku w Polsce było 362 lekarzy specjalistów psychiatrii dzieci i młodzieży”.

Według zaleceń Światowej Organizacji Zdrowia na 100 tys. populacji dzieci i młodzieży powinno przypadać 10 psychiatrów dziecięcych. W Polsce ten współczynnik wynosi 5,2.

Jednak braki kadrowe dużo lepiej widać na mapie niż ze współczynników. Bo na mapie nie ma wcale tych 362 lekarzy. W 30 szpitalach (na 35 wszystkich), które wypełniły ankietę, jest w sumie 800 łóżek

Nieudana próba samobójcza jest dzisiaj jedynym gwarantem miejsca w szpitalu.

Pozostali muszą czekać.
Na pobyt w 30 szpitalach
ze skierowaniami
czeka dziś 626 dzieci.

Kolejka przesuwana się powoli.

i 108 dostawek. Etatów dla lekarzy (specjalistów psychiatrii dzieci i młodzieży) jest 77.

Maciej Pilecki: – Z mojego doświadczenia: jeśli lekarz pracujący na pełen etat ma pod opieką więcej niż pięciu, sześciu pacjentów, to jest to za dużo. Żeby dobrze sprawować opiekę, konsultować pacjentów, którzy są kierowani do przyjęć, rozstrzygać o ich dalszych losach, nie można tej granicy przekraczać.

Centrum Onkologii w Pieszcach ma 40 pacjentów i 1,5 lekarza (etatu przeleczniowego). Wojewódzki Szpital w Toruniu: 23 pacjentów, 1 lekarz. Centrum Psychiatryczne w Warcie: 30 pacjentów, 1 lekarz. Wielospecjalistyczny Szpital w Zgorzelcu: 25 pacjentów, 0,8 lekarza.

Wyliczać można dalej, bo problemy kadrowe dotyczą wszystkich bez wyjątku oddziałów w kraju. – Radzimy sobie, ale to przestaje być bezpieczne, także dla nas. W tym momencie na oddziale jest dwóch specjalistów psychiatrii dzieci i młodzieży – mówi Maciej Pilecki. – Jeśli z koleżanką zachorujemy w tym samym momencie, oddział zostaje bez wsparcia.

Ministerstwo Zdrowia dostrzega problem. Od kilku lat psychiatria dziecięca jest specjalizacją priorytetową. Nieco wyższe zarobki i większa pula miejsc nie pomagają. Młodzi lekarze nie chcą się specjalizować w tym kierunku. Ci już wykształceni masowo odchodzą ze szpitali do sektora prywatnego, który oferuje lepsze stawki i warunki pracy. Od zeszłego roku w badanych szpitalach ubywało ponad 8 etatów. Trudno zresztą mówić o aktualności danych, które zmieniają się z dnia na dzień. Funkcjonowanie całych oddziałów zależy dziś od jednej, dwóch osobistych decyzji konkretnych lekarzy. Zimą z powodu zwolnień na kilka tygodni za-

mknięto oddział w Józefowie. Bliski zamknięcia jest oddział w Szpitalu im. Bałbińskiego w Łodzi – największa placówka w całym województwie.

1 kwietnia z mapy znikł punkt przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie. To oddział psychiatryczny w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym kierowany przez prof. Tomasza Wolańczyka. Pod koniec 2018 r. wypowiedzenia złożyli tam wszyscy lekarze, a ordynator musiał rozwiązać kontrakt z NFZ. Klinika działa nadal, ale przekształcono ją w oddział nerwic, który nie przyjmuje nagłych i ciężkich przypadków.

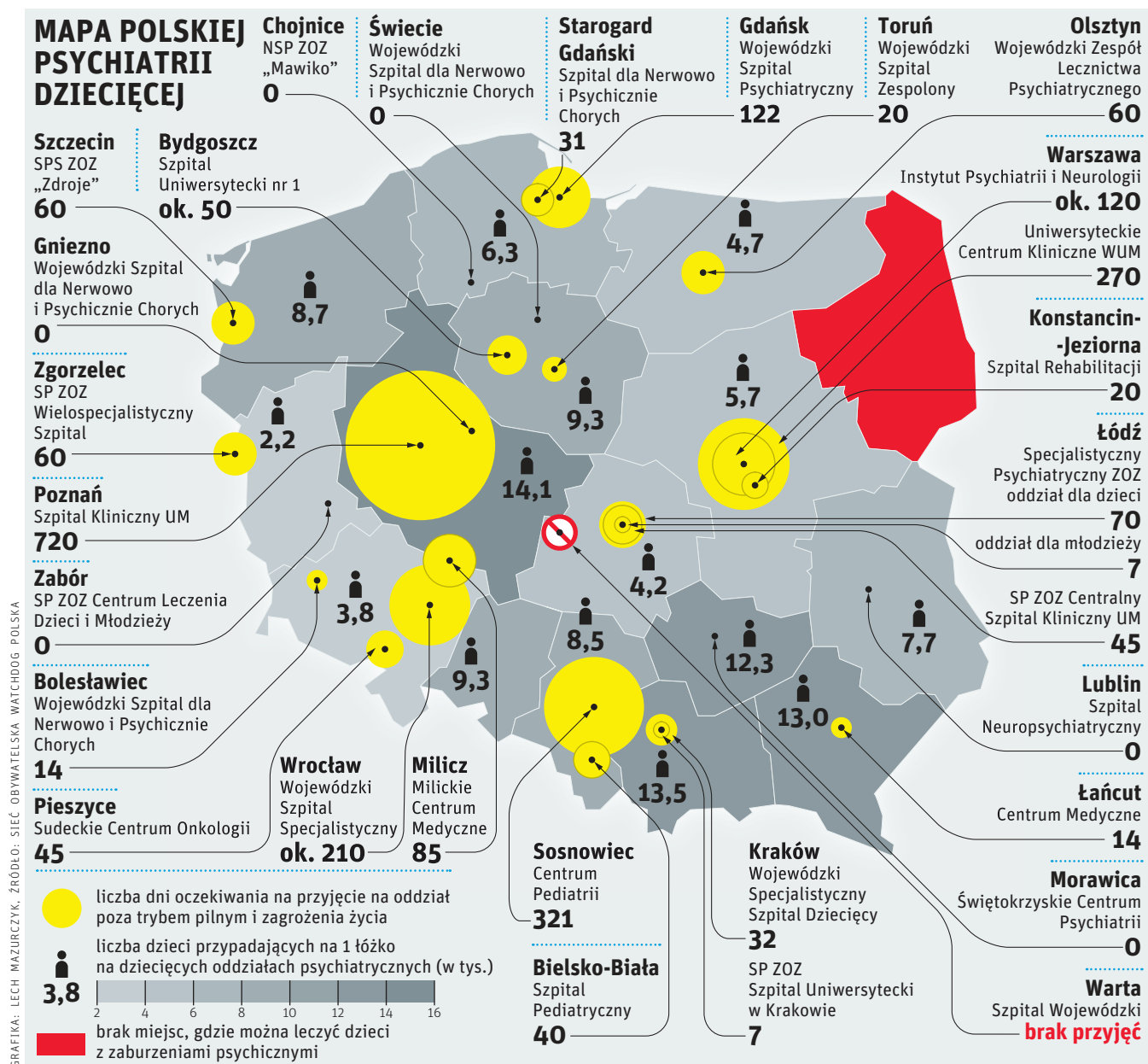
Dlaczego cała załoga zdecydowała się odejść z oddziału? Tłumaczy to sprawozdanie z kontroli sądowej na oddziale z 17 grudnia 2018 r.: „Profesor Wolańczyk podkreślił, że rezygnacja z pracy przez specjalistów nie jest związana z żądaniami finansowymi, a wynika z warunków pracy, które są nie do przyjęcia i zagrażają bezpieczeństwu (...) obecnie placówka dysponująca 20 łózkami jest jedynym oddziałem przyjmującym dzieci i młodzież do 15. roku życia w województwie mazowieckim i podlaskim. Maksymalny stan obłożenia w Oddziale wynosił 40 osób na 20 łózkach, obecnie jest 34 pacjentów. (...) W ocenie Kierownika Oddziału przy stanie 40 pacjentów zagrożone jest zdrowie i życie personelu”.

Dwie dziesiąte grosza

Z każdych stu złotych wydanych w Polsce na służbę zdrowia, psychiatria dostaje około 2,90 zł. Dla porównania w Niemczech byłoby to ponad 8 zł, w Szwajcarii prawie 12. Z tych 2,90 zł do systemu psychiatrii dziecięcej trafia 0,002 zł. Dwie dziesiąte grosza.

Co można kupić za dwie dziesiąte grosza? – Szpitale są kontrolowane przez Sanepid i sądy – mówi Martyna Bójko z Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska. – Dokumenty z tych kontroli są częścią naszego raportu.

Dokumenty przypominają meldunki z pola bitwy. Szpital w Konstancinie: „W kilku oddziałach sytuacja (...) jest dramatyczna, łącznie z kwaterowaniem pacjentów na materacach na podłogach w korytarzach oddziałów”. Szpital w Sosnowcu: „Oddział przewidziany jest na 62 łóżka, z tym że zasoby personalne (...) na 50 pacjentów”. Szpital w Olsztynie: „Oddział nadmiernie obciążony pracą, ponad 100 procent obłożenia, dostawiane łóżka, większość pacjentów przyjmowana



w trybie nagłym, przywieziona przez zespół ratownictwa medycznego”.

Sześciuosobowe sale, kilka wspólnych toalet i łazienek, zbyt mało pielęgniarek i sanitariuszy. To wszystko stanowi codzienność polskiej psychiatrii dziecięcej. Od początku roku w służbie zdrowia obowiązują nowe normy zatrudnienia pielęgniarek. Na oddziałach pediatricznych na jedno łóżko małego pacjenta ma przypadać 0,8 etatu pielęgniarskiego. Oddziałów psychiatrycznych, gdzie trafiają pacjenci ze skłonnościami samobójczymi, rozporządzenie nie dotyczy. Na 900 pacjentów w 30 szpitalach etatów pielęgniarskich jest mniej niż 400.

Poradnia cierpliwego czekania

Na mapie najlepiej widać stacjonarne oddziały w dużych szpitalach. Łatwo je policzyć, opisać, zbadać. Zapytać o liczbę łóżek, toalet, etatów. Są dobrym papierkiem lakmusowym systemu. I zaledwie jedną z jego części. Wcale nie najważniejszą.

Maciej Pilecki: – Opieranie całego systemu wyłącznie na szpitalach jest bardzo niekorzystne. Dla wielu pacjentów oznacza to chroniczającą, utrwalenie problemów. Na jednego lekarza pracującego w oddziale powinno przypadać kilkunastu psychologów czy terapeutów, którzy mogą przejąć opiekę nad pacjentem bądź podjąć ją zamiast hospitalizacji.

Jest pięć rodzajów opieki psychiatrycznej: doraźna, ambulatoryjna, środowiskowa, dzienna i szpitalna. Ta ostatnia powinna być ostatecznością, gdy inne zawiodą, miejscem zalecenia ostrego kryzysu. Skuteczna ochrona zdrowia psychicznego wymaga integracji na wszystkich poziomach. Inaczej pacjent wychodzi ze szpitala i trafia w pustkę.

W psychiatrii dziecięcej istotne są oddziały dzienne. Dzieci chodzą w nich do szkoły, przechodzą terapię, na wieczór wracają do domów. By taki oddział miał sens, powinien znajdować się nie dalej niż 30–40 kilometrów od domu. Tymczasem w całej Polsce jest ich 37. Aż pięć ➔

→ województw nie ma żadnego. Śląskie, warmińsko-mazurskie, opolskie, lubuskie i zachodniopomorskie. Mieszka w nich ponad milion dzieci.

Nie mniej ważne są kolejne części systemu. – Wróćmy do pacjenta z myślami samobójczymi – mówi dr Pilecki. – Jeśli mielibyśmy możliwość skierowania go do doświadczonego zespołu środowiskowego, który spotka się z nim codziennie, rozpocznie terapię rodziny, dokona interwencji w systemie szkolnym, to tej osoby nie musielibyśmy przyjmować na zamknięty oddział. Natomiast jeśli pacjent ten u siebie w rejonie na spotkanie z psychologiem będzie czekać trzy miesiące, nie mamy innego wyjścia.

Tymczasem terapia rodzin, jedno z najważniejszych narzędzi w psychiatrii dzieci i młodzieży, jest stosowana zaledwie w kilku procentach przypadków. NFZ wyliczenia ją bowiem niżej niż terapię indywidualną, więc dla szpitali i poradni oznacza ona straty finansowe. Psychoterapeutom, którzy na uprawnienia pracują cztery lata i wydać kilkadziesiąt tysięcy złotych, NFZ oferuje stawki „między pielęgniarką a salową”. To cytat z jednego z wywiadów, ale jeszcze kilka miesięcy temu w pewnym warszawskim szpitalu terapeuta zarabiał 1800 zł na rękę. Te kwoty mają się zmienić wraz z reformą, ale na razie swobodny dostęp do psychoterapii nie dotyczy sektora publicznego. Członkowie Sieci Obywatelskiej zadzwonili do wybranych poradni, pytając o najbliższe terminy. Nadal obowiązuje prosty podział. Kogo stać – leczy dziecko prywatnie. Kogo nie stać – czeka. Najczęściej dwa miesiące.

Spóźnieni z profilaktyką

By ratować sytuację, w lutym 2018 r. minister Łukasz Szumowski powołał specjalny zespół ds. zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Grupa specjalistów, lekarzy, psychologów miała znaleźć wyjście z kryzysu. Między innymi Barbara Remberk i Maciej Pilecki.

– Zdaliśmy sobie sprawę, że nie damy rady wykształcić więcej psychiatrów dziecięcych – tłumaczy Pilecki. – Próbowaliśmy to zrobić przez kilka lat, specjalizacja była uznana za deficytową. Nie udało się.

Zespół opracował rozwiązanie: na listę specjalizacji medycznych miałyby trafić trzy nowe pozycje: psychoterapeuci, psychologowie i terapeuci środowiskowi pracujący z dziećmi i młodzieżą. Mieliby odciażyć oddziały szpitalne. Byłoby to

odwrócenie systemu. Większą odpowiedzialność miałby przejąć spójny system psychoterapii i opieki środowiskowej, a do psychiatry pacjent miałby trafiać na konsultację lub w ostrym kryzysie.

Dziś jest szansa, że szkolenie nawet tysiąca nowych psychoterapeutów uda się sfinansować z unijnego programu POWER. – Wszystkie elementy systemu są gotowe – mówi Pilecki. – Jest rozporządzenie ministerialne, przygotowujemy jest koszyk świadczeń, powstały też nowe specjalizacje. Jest duże prawdopodobieństwo, że szkolenie będzie finansowane z pieniędzy unijnych. Czekamy na informację, co z tego projektu zostanie zrealizowane. Na ile wystarczy pieniędzy.

I dodaje: – Trzeba przyznać obecnemu rządowi, że zaczął działania na rzecz reformy jako pierwszy, choć stało się to chwilę przed katastrofą. Zjawiska kulturowe, socjospołeczne, którym podlegają młodzi ludzie, powodują, że jesteśmy coraz bardziej potrzebni. Już teraz w populacji nastolatków więcej dzieci ginie z powodu samobójstw niż wypadków komunikacyjnych. Tu nie chodzi tylko o samobójstwa, chodzi o możliwość satysfakcjonującego życia, a w perspektywie dobrego rodzicielstwa. To nie jest proces, który kończy się w jednym pokoleniu. Potrzeba znacznie więcej działań profilaktycznych, które spowodują, że psychiatrzy będą mieli mniej pracy. Zajmując się pacjentem z myślami samobójczymi, z poważnymi zaburzeniami, zazwyczaj jesteśmy o kilka lat spóźnieni. Spóźnieni ze wsparciem rodziny, z edukacją, z terapią środowiskową. Z rakiem płuc też nie poradzimy sobie wyłącznie przez rozwój onkologii. Warto również myśleć o rzuceniu palenia.

Na mapie polskiej psychiatrii dziecięcej dominują liczby. Tylko w tym tekście pojawia się ich ponad setka. Jeszcze więcej jest w raporcie przygotowanym przez Sieć Obywatelską. Te liczby opisują największe wyzwanie polskiej służby zdrowia na następne lata. Za każdą z nich stoją osobiste wybory i dramaty. Praca kilkudziesięciu psychiatrów na przepełnionych oddziałach w całym kraju. Tysiące młodych ludzi, którzy potrzebują pomocy. I jak na razie – tysiące sytuacji, w których państwo jest wobec tej potrzeby bezradne. ©

KRZYSZTOF STORY

Tekst powstał przy współpracy z Siecią Obywatelską Watchdog Polska
– www.siecobywatekska.pl

Zanim będzie za późno

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA,
PSYCHOTERAPEUTKA:

Próba samobójcza, wybuch nienawistnej furii czy samookaleczanie to komunikaty, których nie dało się wyrazić słowami. Nawet takie zdarzenia możemy potraktować jako szansę, by ten komunikat zrozumieć.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Katastrofa? Zapaść?

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA: Zanim odpowiem, proszę pozwolić na dwie dygresje.

Pierwsza: sam fakt, że zauważamy problem, jest miarą postępu, jaki dokonał się w postrzeganiu dzieci. Postępu w uznawaniu ich uczuć, potrzeb, podmiotowości, co przecież pół wieku temu nie było oczywistością.

Dygresja druga: jestem wdzięczna psychiatrom, że mieli determinację, by powiedzieć: „dość!”. Że w skrajnych przypadkach – a tak było chociażby w dwóch zagrożonych zamknięciem warszawskich oddziałach dziecięcych – zaczęli składać wypowiedzenia, dzięki czemu zostali usłyszani. Że zainicjowali ministerialną szybką pracę nad specjalizacją: psychoterapeuta dzieci i młodzieży. Że coś się wreszcie ruszyło. My, psychoterapeuci i psychologowie, nie mamy takiej siły przebicia.

A co do pana pytania: nie, to nie jest katastrofa. Bo katastrofa to jest coś, co się dzieje nagle. Tu mamy wieloletnią erozję, i to nie tylko w systemie psychiatrii dziecięcej. Także w szkolnictwie, w którym brakuje kompetentnych psychologów, w poradniach psy-

chologiczno-pedagogicznych, w których trafiają się wykwalifikowani psychoterapeuci, ale zajmują się np. wydawaniem zaświadczeń. W służbie zdrowia, gdzie brakuje pediatrów i pielęgniarek pediatrycznych.

A więc nie katastrofa. Raczej narastający latami problem, który był bagatelizowany i pomijany.

To trochę tak, jak z krzysami młodych ludzi: dostrzegamy je na etapie próby samobójczej czy ostrej depresji. A to przecież długie historie.

Badania nad ludzkim mózgiem nie pozostawiają dziś wątpliwości: 90 proc. jego rozwoju odbywa się, i to bardzo dynamicznie, w pierwszych dwóch, trzech latach życia. Oczywiście są wrodzone predyspozycje, ale mózg rozwija się przede wszystkim poprzez nasze doświadczenia, zwłaszcza te najwcześniejsze.

Doświadczenia, których nie pamiętamy.

Inaczej: nie obejmujemy ich tzw. pamięcią werbalną. Ale – jak to się mówi – „ciało pamięta”. Mózg pamięta. Pamięta traumatyczne przeżycia, krzyk, ból, pozostawienie w szpitalu bez możliwości odwiedzin.

Tu muszę znowu zrobić nawias, by podzielić się z panem wątpliwością.

Bardzo proszę.

Zawsze się zastanawiam, jak o tym opowiadać, żeby nadmiernie nie obwiniać rodziców. Więc znowu kilka uwag. Pierwsza: nie ma rodziców idealnych, każdy popełnił błędy. Druga: gdy się umawialiśmy na spotkanie, zaproponował pan rozmowę o przegapieniu. Podobna mi się to słowo, bo wpisana jest weń nieintencjonalność. Trzecia: to, że w pierwszych trzech latach życia dzieją się najważniejsze rzeczy, które być może przegapiliśmy, nie oznacza, że w wieku lat czternastu – a nawet czterdziestu trzech – nie da się niczego naprawić.

Co przegapiamy w pierwszych trzech latach?

Utratę. Nawet nie tę dramatyczną, gdy nagle wyjeżdżamy na miesiąc albo dwa. Chodzi mi o znikanie z oczu malutkiemu dziecku, takie zwyczajne, codzienne. Na dziesięć godzin do pracy.

Trudno w dzisiejszych czasach nie zniknąć.



ADAM KOZAK / AGENCJA GAZETA

ZOFIA MILSKA-WRZOŚIŃSKA jest psycholożką, psychoterapeutką i superwizorem z Laboratorium Psychoedukacji w Warszawie. Ma czworo dzieci i ośmioro wnuków.

Dlatego znowu włącza mi się tryb powściągliwości. Gdy mówiłam wcześniej o tym porzucaniu, zwrócono mi uwagę, że to okrutne. Okrutne choćby dla kobiet, które muszą iść do pracy. Ale przecież milczenie o tym jest okrutne wobec ich dzieci.

Jesteśmy dziś w biegu, praca jest dla nas ważna, w dodatku mamy dzieci później niż kiedyś – po trzydziestce, czterdziestce, a więc w momencie, gdy jesteśmy już rozpędzeni. W tym rozpędzeniu wysyłamy dzieci do żłobków. Oskarża Pani młode pokolenie?

W ogóle to słowo nie przysłoby mi do głowy. Wolę inne: apeluję.

Co to za apel?

Byśmy rozważyli, czy to na pewno konieczne, żeby oboje rodzice rocznego dziecka szli do pracy na dziewięć godzin. A jeśli już, to czy dzieckiem może zająć się ktoś, kto je kocha? Jeśli nie ma kogoś takiego, czy to musi być koniecznie osiem, dziesięć godzin dziennie? A jeśli jednak musi, to czy konieczna jest zmiana nagła?

Dlaczego nie powinna być nagła?

Bo wtedy dziecko nie ma możliwości stopniowego oswojenia się z tą sytuacją. Wiemy, że trauma z dzieciństwa nie jest niszcząca, gdy dziecko dostaje ukojenie.

A gdy wyobrazimy sobie żłobek, w którym jedna pani przypada na siódmkę półtorarocznych dzieci, to nawet jeśli jest ona kobietą o złotym sercu, nie odpowie na potrzeby każdego dziecka przez te dziewięć godzin. Nie ukoj jej lęku czy rozpaczy.

Dlaczego mówi Pani w ogóle o traumie?

Podczas II wojny światowej w czasie bombardowań Londynu postanowiono chronić dzieci, wywożąc je na wieś, jak bohaterów znanej książki dla dzieci „Lew, czarownica i stara szafa” C.S. Lewisa. Wtedy psychoterapeuci i pediatrzy w liście otwartym przekonywali, że szkoda, jaka się dokona za sprawą oddzielenia najmniejszych dzieci od rodziców, będzie trudna do naprawienia...

Rozstanie z kimś kochającym i kochanym, opuszczenie dziecka, które nie ma perspektywy czasowej, nie rozumie komunikatu: „mama wróci po szesnastej”, bywa dla dziecka rozstaniem bezpowrotnym. Dopóki zmiana jest płynna, stopniowa, rozstanie jest ukojone, to psychika dziecka ma szansę sobie z tym poradzić. Ale wyobraźmy sobie rodzica, który w ogóle nie uwzględnia perspektywy dziecka. Lub – co gorsza – używa figury porzucenia jako straszaka.

To już sytuacja skrajna.

Ale zdarzająca się! Nieraz widziałam na ulicy mamę, która tzw. niegrzeczne dziecko straszyla, że je „tu zostawi i sobie pójdzie”, albo używała Bogu ducha winnego, przechodzącego przypadkiem pana, mającego to dziecko jakoby „zabrać do worka”. Słyszałam też o katechetce, która tłumaczyła dzieciom, że piekło polega na braku mamusi i tatusia.

Coś, co nam wydaje się błahe, dla dziecka może być końcem świata. Na przykład wrzask w obecności dzieci: dla kilkulatek oznacza, że zaraz stanie się coś strasznego. Podczas terapii par często słyszę o złości, krzyku, także przy dzieciach. Dość katagorycznie nakłaniam rodziców, by podobne sytuacje ograniczali.

Umawiamy się: koniec z kłótniami przy dzieciach?

Powstrzymujemy się.

Czyli udajemy.

Dorosłość jest w jakimś sensie udawaniem – w sensie konstruktywnego radzenia sobie z emocjami. Na ogół nie

→ szarpiemy współpracownika, nie rzucamy się z zamiarem seksu na pociągającą obcą osobę, nie wysiadamy z samochodu, by nawrzeszczyć na innego kierowcę, choć mamy na to ochotę. Jesteśmy w rozpacz, a nie podcinamy sobie żył.

Nasze dzieci mają przestrzeń, by radzić sobie ze złością, frustracją, smutkiem?

Coraz mniej. Jeśli taka przestrzeń się stworzy, często ją ograniczamy. Rodzeństwo się kłóci, szarpie, a my w panice wkraczamy przedwcześnie w tę ich awanturę.

Co w tym złego?

Blokujemy przestrzeń na naukę przez samodzielne doświadczenie. „Nie denerwuj się!”, „nie krzycz na mnie!” – mówimy. A dziecko powinno się nauczyć rozpoznać złość, by kiedyś radzić sobie z nią po dorosłości, i zamiast ulegać cierpieć lub nawymyślać szefowi, móc powiedzieć: „Panie dyrektorze, bardzo proszę, żeby pan nie podnosił na mnie głosu przy zespole”.

Dlaczego blokujemy złość?

Bo sami sobie z nią nie radzimy. Wybitny psychiatra i psychoterapeuta Harry Sullivan opisywał, jak za sprawą reakcji rodziców w dziecku kształtuje się: „dobre ja”, „złe ja” i „nie ja”. „Dobre ja” to to, na co rodzice reagują przychylnie. „Złe ja” – np. sytuacje, gdy według nas dziecko jest niegrzeczne – wzbudza dezaprobatę. Sfera „nie ja” to coś, czego według rodzica ma nie być. Tabu – np. gdy dziecko jest zainteresowane swoimi narzędziami płciowymi albo wyraża zazdrość wobec młodszego bratka. Im więcej „nie ja”, tym trudniej dziecko będzie sobie radziło z emocjami w przyszłości.

Być może już na kolejnym etapie życia, przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Tu pojawia się nowy element: grupa rówieśnicza.

Pojawia się zupełnie inaczej niż dekady temu. Bo nie ma już podwórka, które spełniało ważną rolę: poligonu doświadczać negocjacji emocji i relacji z innymi.

Pamięta Pani swoje podwórko?

Gwiazdą była córka dozorcy, bo miała klucz do składziku, w którym można było się schować (*śmiej*). Był chłopak, który uchodził za „niedobrego”, potrafił szarpać albo szturchnąć. Odkryłam, że on potrafił takich, którzy próbują przemknąć

Życiem naszych dzieci często nie jesteśmy zaciekawieni. Uważamy ich sprawy za błahe, w odróżnieniu od naszych, „poważnych”, które dzieją się np. w biurze.



Albo zagrożenie, np. w postaci tzw. kłopotliwego dziecka, które dość szybko próbujemy – jako rodzice i nauczyciele – wykluczyć.

Na przykład przedwcześnie, czasem ze szkodą dla dziecka, ordynując nauczanie indywidualne. Jedną z najwybitniejszych twórczyni społecznej szkolnictwa w Polsce, Krystyna Starczewska, podkreśla wartość przebywania w grupie dzieci z różnych środowisk, tak jak się to dzieje we współtworzonym przez nią zespole szkół słynnej „Bednarskiej”. Moja córka chodziła tam do klasy z uczennicą z domu dziecka. Kiedy zaczęły znikać różne cenne drobiazgi – telefony czy pióra wieczne – dziewczynka wyznała, że koleżanki z domu dziecka żądały od niej codziennych „fantów” za to, że ma tak dobrze. Ani szkoła, ani rodzice nie zrobili afery, chociaż niełatwo było znaleźć wyjście. A dla dzieci była to ważna lekcja życia. Innym razem pobili się chłopcy – synowie dwóch znanych, skłóconych ze sobą polityków. Zrobiono rozmowę o tolerancji, nie wzywając rodziców i nie robiąc rabanu.

Z takich wydarzeń mogą wyjść dobre rzeczy. Ale potrzebujemy do tego przytomnych i cierpliwych dorosłych.

Znowu: do cierpliwości potrzebny jest czas.

Brak czasu nie jest główną barierą. Myżyciem naszych dzieci bardzo często nie jesteśmy w ogóle zaciekawieni. Uważamy ich sprawy za błahe, w odróżnieniu od naszych, „bardzo poważnych”, które dzieją się np. w biurze.

Ważniejszy od świata dziecka bywa dla nas świat naszych oczekiwań?

Dziecko przynosi czwórkę z plusem, a my na to: „I co pani powiedziała? Że dlaczego?”. Nie interesuje nas, jak dziecko czuje się z tą czwórką – dumne jest czy smutne. Przeżywamy dzieci jako nasze „narcystyczne przedłużenie”. Córeczka będzie uczoną, a syn piłkarzem, albo prędej czy później przejmie moją kancelarię.

Wtedy trudniej zwrócić uwagę na to, że dziecko jest smutne albo robi coś tylko po to, by nas zadowolić.

Pani opowiada o egoizmie.

Nie do końca. „Gdybym ja był w jego wieku piłkarzem, to byłbym najszcześliwszy pod słońcem” – powie panu ojciec wyrażający od syna obecności na każdym treningu, i w jakimś sensie będzie miał ra-

ukradkiem, więc postanowiłam się nie bać – szłam z sercem w gardło wprost na niego, patrząc mu w oczy. Zadziałało! A moja rówieśniczka była na swoim podwórku najmłodsza i najmniejsza, nikt się nie chciał z nią bawić. Jak zaczęła wymyślać nowe zabawy, grupa ją przyjęła. Oczywiście nie zawsze jest tak pięknie jak w czytance. Grupa bywa okrutna, ale nie ma lepszego przygotowania do życia.

Dziś grupa jest w przedszkolu i szkole.

Tyle że ona jest zbyt często postrzegana jako zbiorowość konkurentów.

cję. On rzeczywiście chce czegoś nie dla siebie, tylko dla syna, ale nie jest na niego uważny, nie wie, jaki syn jest.

Na różne sposoby chcemy – najchętniej oddając dzieci w ręce innych dorosłych: szkoły, instytucji, kółka zainteresowań – wyposażyć dziecko w kompetencje, które mu się przydadzą. Za tym również stoją zwykle dobre intencje.

Kłopot zaczyna się wtedy, gdy przegapiamy moment utraty radości?

Jeśli nasze relacje do tej pory jakoś się układały, to utraty radości nie przegapiamy, bo dziecko nam po prostu powie: „Mamo, ja już mam dość tego japońskiego”.

A jeśli się nie układały?

To możemy się spodziewać, że będzie swój smutek, frustrację przed nami ukrywać. Żeby nie robić przykrości mamie, żeby nie rozczarować taty. A narzuconą mu grę na harfie będzie ukradkiem sabotować.

Co przegapiamy w początkowej fazie okresu dojrzewania?

Zmianie! A czasami nie tyle nawet ją przegapiamy, co się na nią nie godzimy. „To był zawsze dobry chłopak, a teraz tak się zmienił, odpyskuję mi. To wpływ kolegów” – mówimy. Tymczasem jeśli okres dojrzewania ma być rozwojowy, to dziecko musi się od nas odsunąć. Przestajemy być jedynym autorytetem, czasem nawet nie jesteśmy przedmiotem emocjonalnego zainteresowania. Zdarza mi się podczas terapii osób dorosłych usły-

sząć: „Gdy miałam 14 lat, towarzyszyło mi straszne uczucie, że w ogóle nie kocham rodziców”. Rzeczywiście tak może być: nastolatki świat dorosłych jawi się jako obcy. Życie zaczyna być gdzie indziej.

Dla rodzica to moment bolesny.

Dziecko w okresie dojrzewania jest trudne do kochania: robi okropne rzeczy, działa nam na nerwy, zachowuje się w sposób nieprzewidywalny, często szalony. Pamiętam parę, która całkiem serio uznała, że w ich córkę wstąpił diabeł. Zaczęli nawet czytać coś o opętaniu.

W tym trudnym okresie, w którym nie rozpoznajemy naszego dziecka, łatwo przegapić, że to jest to samo dziecko, które – wbrew pozorom – tak samo potrzebuje naszej miłości i akceptacji. Że się oddala, buntuje, kontestuje, a my mamy je po staremu kochać i stawiać sensowne granice. Nadal jesteśmy dla niego punktem odniesienia. I żeby za kilka lat zacząć budować z nim relację opartą na wzajemności, musimy teraz ten okres rozumnie przetrwać.

Założmy na koniec, że wszystko to, o czym Pani do tej pory mówiła, nie zagrało. Ani nie byliśmy przy naszym dziecku w jego pierwszych latach, ani później. W dodatku mamy za sobą wyniszczający rozwód, a w życiu dziecka dzieją się rzeczy dramatyczne...

...pierwsza zasada: nie obwiniać się.

Tyle że ono mówi, że chce się zabić. Ma nawet za sobą pierwszą próbę samobójczą. Tnie się.

I to już jest moment, w którym potrzebna jest ingerencja z zewnątrz. Musimy szukać pomocy nie tylko dla dziecka, ale i dla siebie, bo my też przeżywamy traumę.

Tymczasem nawet w sytuacji, gdy szpital oferuje terapię rodzinną, korzysta z tego mniej niż połowa rodziców. Dorosli nie chcą uznać, że to, co dzieje się z dzieckiem, ma związek z nimi.

Boimy się przyznać do klęski?

Albo nawet do tego, że w jakikolwiek sposób przyczyniliśmy się do kryzysu. Brzemie winy jest ciężkie, próbujemy go uniknąć.

Dlatego zamiast winą, zajmijmy się swoją odpowiedzialnością. Nie mówmy sobie: „Jestem beznadziejną matką, wszystko zawałam”, tylko: „Ja też odpowiadam za to, co się dzieje z moim dzieckiem. Zrobię, co mogę, by jemu i sobie pomóc”.

Spróbuję już nie przegapić?

I potraktuję to dramatyczne zdarzenie jako sygnał alarmowy. Szansę. Bo przecież ta próba samobójcza, wybuchy nienawistnej furii albo cięcie to też komunikat. Komunikat, którego z jakichś powodów nie dało się wyrazić słowami: „Czuję się samotna w klasie, wszyscy się ze mnie śmieją”, albo: „Jak się tnę, to przez chwilę nie czuję tego okropnego napięcia, o którym nawet nie potrafię powiedzieć”.

Nigdy nie jest za późno: zawsze mamy szansę, by taki komunikat zrozumieć.

© © Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Buniński
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Łamza
Kultura: Kalina Błażejewska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmirska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmirska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Wezwanie



„PAN SKIEROWAŁ DO JONASZA, SYNA AMITAJA, te słowa: »Wstań, idź do Niniwy – wielkiego miasta – i upomnij ją, albowiem nieprawość jej dotarła przed moje oblicze«. A Jonasz wstał, aby uciec do Tarszisz przed Panem. Zszedł do Jafy, znalazł okręt płynący do Tarszisz, uścił należną opłatę i wsiadł na niego, by udać się nim do Tarszisz, daleko od Pana”.

Księga zaczyna się bez wstępów i wyjaśnień. Nagle Jonasz, znany już z Drugiej Księgi Królewskiej (14, 25) jako prorok z czasów Joroboama II, znów usłyszał głos Boga i zamiast iść za wezwaniem, ucieka.

Nie wiemy, dlaczego tak postanowił. Nie wiemy, za kogo się uważał i jakie stały za nim racje. Raszi, największy przewodnik po Tanach (Biblii), uważał, że Bóg nie dał Jonaszowi dokładnych zaleceń. Kazał mu tylko opuścić ziemię rodzinne i ruszyć ku miastu nieprzyjaciół. Nie wiedząc, czego chce od niego Pan, uznał, że to go nie dotyczy. Uciekając tak daleko, do Tarszisz – miasta na zachodnim brzegu Morza Śródziemnego – pragnął uciec przed obecnością Boga, wierząc naiwnie – tak sugerował Raszi – że Bóg ze swoją potęgą nie sięga poza ziemię obiecaną. Coś w tym było dziecięcego, coś z gry w chowanego. Jonasz szukał schronienia, gdzie nikt go nie znajdzie. Komentator porównywał tę sytuację do zachowania służącego kapłana, który obawiając się jego złości pobiegł na cmentarz, gdzie kapłan nie mógł wejść. Nic w oczach Rasziego nie usprawiedliwiała proroka.

Nieco więcej życzliwości okazał mu filozof Abraham Ibn Ezra (1089–1167). Nie potrafił uwierzyć w to, że ktoś obdarzony tytułem proroka mógł nic nie wiedzieć o chwale Boga. Wszak cała ziemia jest jej pełna. Powiadał Ibn Ezra, że Jonasz tylko co usłyszał wezwanie, ale wszak w swej wolności mógł się uchylić od zaproszenia i odmówić wyjścia do Niniwy. Brzmi to jednak nieprzekonywająco. Może chodziło o coś innego: Bóg obcym dawał szansę naprawy, skruchy, a swój lud karał stale i ciągle stawiał mu nowe wymagania. Ibn Ezra w innym miejscu tłumaczył, że są poeci, którzy piszą bez żadnych nauk, jakby ze swojego wnętrza, siłą swej wyobraźni. Są też tacy, co wymagają najpierw wiedzy, studiów. Podobnie jest z prorokiem. Jedni wiedzą od razu, co im polecono, inni powinni się nad słowami Boga dobrze zastanowić. Jonasz należał do tej drugiej grupy. Nie od razu pojął, o co Bogu chodzi. Jonasz nie tyle uciekał przed Bogiem, ile nie chciał być w jego obecności. Nie był przygotowany do takiej bliskości i do tak wielkiej odpowiedzialności. Wychowany w kulcie sprawiedliwości musiał przy tym zmienić obraz Boga. Zastąpić go obrazem Boga litości i miłosierdzia. Musiał pojąć nową etykę. Jedno jest oczywiste: nie ma prostego wyjaśnienia zachowania proroka. Jest i pozostaje w nas aż nadto zagadkowe. Był oporny wobec głosu Boga. Potrzebował z pewnością dość czasu, by przemyśleć, jaka jest natura Boskiego wezwania. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Biskup Judasz



UMIŁOWANEMU UCZNIOWI PANA „SZYMON Piotr dał znak, aby dowiedział się, o kim mówił. On więc oparł się na piersi Jezusa i zapytał: »Panie, kto to jest?«. Jezus odrzekł: »To ten, dla którego zamoczę kawałek chleba i dam mu«. I po zamoczeniu kawałka chleba

dał go Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty. A gdy spożył kawałek chleba, wszedł w niego szatan”.

Niektórzy twierdzą, że Judasz, przyjmując ten chleb, dopuścił się świętokradczego przyjęcia komunii. Ma o tym świadczyć jego samobójcza śmierć. Jan Ewangelista jednak o tym nie wspomina. Mówi natomiast, że Jezus zwrócił się do Judasza: „»Zrób szybciej, co masz uczynić«. (...) On więc przyjął ów kawałek chleba i zaraz wyszedł. A była noc”. Po jego wyjściu Jezus powiedział: „Teraz Syn Człowieczy dostał chwały, ale i w Nim Bóg doznał chwały. Jeśli w Nim Bóg doznał chwały, to i Jego Bóg obdarzy w sobie chwałą – i to zaraz obdarzy”. Ale czym jest ta chwała?

W Ewangelii Jezus nazywa siebie dobrym pasterzem, a tych, którzy Mu zaufali – owcami. Mówi: „Mój Ojciec, który jest większy od wszystkich, dał Mi je i nikt nie może ich wyrwać z ręki Ojca”; „Posiadam jeszcze inne owce, które wprawdzie nie są z tej zagrody, lecz trzeba, abym je przyprowadził”. Wśród tych „innych” owiec w pewnym momencie znalazł się Judasz i to on przyczynił się do śmierci swojego Pasterza.

My też. Ale Jezus szuka nas i chce znowu mieć nas w swoim kierdłu. Podanie kęsa chleba Judaszowi należy więc rozumieć jako wyraz miłości. Czyż nie to samo dzieje się podczas mszy? Owszem, szatan zagarnął Judasza, ale czy nie zagarnia również nas? Z wieczernika Judasz wyszedł w towarzystwie szatana, ale i w towarzystwie Jezusa – przecież „przyjął ów kawałek chleba”.

Papież Franciszek mówi, że ze wszystkich zagubionych owiec najbardziej zagubioną jest Judasz. Trzymający wszystkich na dystans, zgorzkniały i sączący tę gorycz w dusze innych ludzi. Wszystkich i wszystko krytykujący. Nieznający smaku życia bezinteresownego i tak jak owa owca z przypowieści „nigdy nie była zadowolona, podobnie i Judasz nigdy nie był człowiekiem zadowolonym!”. Skryty, wciąż uciekał „w mrok”, „bo był złodziejem”.

Powiedział jeszcze papież, że w Kościele również są tacy, w których „sercu jest owa [Judaszowa] ciemność, oddzielająca ich od owczarni. I mamy wówczas do czynienia z podwójnym życiem wielu chrześcijan, nawet musimy powiedzieć z bólem – księży, biskupów... A Judasz był biskupem, był jednym z pierwszych biskupów. Owca zagubiona, biedaczysko!”. Zamiast potępiać, należy współczuć. Czy więc ktokolwiek ma prawo wyłączać Judasza z Bożej owczarni, skoro to wierność w miłości jest pięknem, chwałą Boga? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Odbudowa

*Bądź spokojny
i nieporuszony w umyśle
i w duchu, i ucisz swoje
własne myśli. A wówczas
odczujesz, jak boska
zasada zwraca twój
umysł ku Panu, Bogu;
i otrzymasz Jego moc
i siłę – stamtąd,
skąd pochodzi życie.*

GEORGE FOX



*Jest tylko jeden Nauczyciel
– bez względu na to,
jak był nazywany
na przestrzeni dziejów
– który przychodzi
nieustannie,
aby budzić ludzkość
ze snu i aby prowadzić
ludzi w kierunku
boskiej doskonałości.*

HAZRAT INAYAT KHAN



Wybrał PIOTR SIKORA



CHCIAŁBYM PODZIELIĆ się myślami, które towarzyszyły mi przy organizacji koncertu na rzecz odbudowy katedry Notre Dame (odbył się w Łodzi w ostatni piątek). Najpierw wydawało mi się, że wydarzenie to nie potrzebuje uzasadnienia: wystarczyłoby za nie kilka zdjęć dokumentujących pożar łódzkiej katedry 11 maja 1971 r. Pół roku wcześniej katedra była gospodynią złotego jubileuszu łódzkiej diecezji; to on zapewne zmotywował do podjęcia prac renowacyjnych. W ich trakcie wybuchł pożar, a gaszenie utrudniały rusztowania.

Łódzki biskup Józef Rozwadowski stwierdził, że zaangażowanie i jedność ludzi, zrodzone tym dramatem, swoim zakresem i głębią daleko przerosły te, które pokazało 50-lecie łódzkiego Kościoła. Ból i dramat przełamały granice, których nie była w stanie przekroczyć atmosfera święta. Zdumienie biskupa odkrywa piękny horyzont nadziei: oto ludzie, którzy nie mają powodów lub nie chcą, może nawet nie mogą z nami świętować – zapewne staną przy nas w momencie „głodu, ognia i wojny”. Tak będzie – ufamy – również z nami. Biada nam, gdy nie potrafimy być przy ludziach doświadczonych złem tylko dlatego, że na co dzień inaczej definiujemy dobro.

Właściwie tutaj powinienem skończyć, ale... W związku z koncertem usłyszałem dwa pytania. Pierwsze: skąd pewność, że „to”, co zostanie odbudowane, będzie katedrą, miejscem świętym, a nie „jedynie” muzeum? Miejscem celebracji wiary, a nie jedynie tak czy inaczej pojętych wartości humanistycznych? Drugie: po co dalej zbierać, skoro znane są deklaracje o już zebranej su-

mie ponad miliarda euro? Czy nie ma pilniejszych potrzeb?

Szkicowanie odpowiedzi chciałbym zacząć od przywołania świadectwa... „Kroniki” Wincentego Kadłubka. To pierwszy znany Polak, który zdobył, używając naszych kategorii, wykształcenie wyższe. Studiował w Paryżu. Ta formacja stała się fundamentem, na którym wyrósł polski wiek XIII: czas pogłębionej ewangelizacji, owocującej gronem świętych (Jacek i Bronisława, Salomea, Kinga, Jolanta, Sadok, Prandota). Przejrzyjmy jego dzieło, a poznamy źródła jego myśli. Jest w „Kronice” cytowana Biblia, to oczywiste. Jest Ambroży, obficie od niego Augustyn, jest jeszcze Hieronim i Leon Wielki. No i Gracjan z Bolonii, ale o wiele częściej cesarz Justynian. A dalej: Cyceon, Horacy, Owidiusz, Seneka, Wergiliusz. Wiele można z tego źródła wyczytać, tylko nie opozycję między wiarą a kulturą – owszem: pogańską, która w ukształtowanej w Paryżu myśli Kadłubka znalazła syntezę z Objawieniem.

Żyjący w tym samym czasie św. Franciszek zapytany, dlaczego ratuje od zniszczenia pisma pogan, w których nie ma imienia Pańskiego, odpowiedział: „Bo są tam litery, z których składa się najprzewielebniejsze imię Pana Boga. Dobro, które tam jest, nie należy do pogan, ani do jakichś ludzi, ale do samego Boga, którego jest wszelkie dobro”.

Jak daleko jesteśmy od tamtego myślenia? Może zadanie (owe konieczne potrzeby), które przed nami stoi, dotyczy odbudowy nie tylko katedry Notre Dame? Ile rzeczy, spraw, postaw, wartości mamy do odbudowania w sobie? Każdy z nas obojętnie i my jako Kościół? Właśnie dlatego także ten koncert. I ta zbiórka. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 V)

5. niedziela wielkanocna: Dz 14, 21b-27;
Ps 145; Ap 21, 1-5a; J 13, 31-33a. 34-35;
Poniedziałek: Dz 14, 5-18; Ps 115; J 14, 21-26;
Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a;
Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8;

Czwartek: Dz 15, 7-21; Ps 96; J 15, 9-11;
Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;
Sobota: Dz 16, 1-10; Ps 100; J 15, 18-21;
6. niedziela wielkanocna: Dz 15, 1-2. 22-29;
Ps 67; Ap 21, 10-14. 22-23; J 14, 23-29.

MAZURY, CUD INFRASTRUKTURY

Komu potrzebna czteropasmowa droga przez Krainę Wielkich Jezior Mazurskich, która wyrządzi nieodwracalne szkody środowisku? Wbrew argumentom drogowców nie posłuży mieszkańcom i turystom, lecz tirom.

ADAM ROBIŃSKI



SKOJARZENIE Z PIOSENKĄ NARZUCA SIĘ samo. Bo jeśli – jak za muzykiem Cezarym Makiewiczem śpiewają co roku goście mazurskiego Pikniku Country – „wszystkie drogi prowadzą do Mrągowa”, to zapowiadana przez olsztyński oddział Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad ekspresówka S16 jest po prostu bardzo dosłowną realizacją tego hasła.

Oto szeroka na cztery pasy droga łączy Olsztyn z Elkiem. Zastąpi wysłużoną, krętą i dziurawą krajową szesnastkę, i stanie się nowym kręgosłupem Mazur. Połączy też drogi S51 i S61, łątając tym samym dużą dziurę w północnowschodniej części drogowej mapy Polski.

S16 nie jest nowym pomysłem. W 2008 r. GDDKiA zaproponowała 16 różnych wariantów jej przebiegu, potem zwiększyła tę pulę do 41 opcji. Gdy jednak przyjrzała się im Pracownia Projektowo-Konsultin-

gowa Dróg i Mostów Dromos, okazało się, że nie można zrealizować żadnej z nich. Bo każda zagraża ważnym siedliskom przyrodniczym.

Teraz jednak trzy z nich wróciły na stół.

Most nad Tałtami

Zgodnie z planem GDDKiA, „nowoczesna trasa o wysokich parametrach” skanalizuje ruch, przejmując go z istniejących dróg krajowych 16, 58 i 59 oraz dróg wojewódzkich 655, 656, 610, a tym samym „odciąży tereny atrakcyjne przyrodniczo i turystycznie z nadmiernego ruchu pojazdów”. Dzięki niej warmińsko-mazurskie, wciąż jeden z najbiedniejszych regionów w całej Unii Europejskiej (wypracowuje tylko 2,6 proc. polskiego PKB, a stopa bezrobocia w czwartym kwartale ubiegłego roku wynosiła 11,8 proc.), zyskać ma rozwojowy impuls: ludzie przestaną wyjeź-

dzać, a biznes polubi tutejszy młodogłębny krajobraz.

Tak też sprawę zaprezentowali przedstawiciele Dyrekcji podczas spotkań informacyjnych, które zorganizowano w pierwszych dniach kwietnia w Mrągowie, Mikołajkach, Orzyszu, Elku i Rynie – a więc w miejscach, gdzie powstać miałyby najważniejsze węzły przyszłej ekspresówki. Równocześnie urzędnicy wyrysowali trzy możliwe warianty przebiegu S16 pomiędzy Mrągowem i wsią Woźnice za Mikołajkami, gdzie znajduje się kilka dużych jezior.

– Nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego spośród 41 propozycji przedstawionych dziesięć lat temu teraz wybrano akurat te. Drogowcy pewnie znają odpowiedź, ale kiedy o to pytaliśmy, nie dostaliśmy żadnej – mówi „Tygodnikowi” Krzysztof Worobiec z działającego na Mazurach Stowarzyszenia Sadyba. – Poza tym na odcinku Mrągowo–Mikołajki to nie są trzy, ale tak naprawdę tylko dwa warianty, z czego jeden zawiera dwie nieznacznie różniące się od siebie propozycje na odcinku paru kilometrów. To nie jest żadna alternatywa. Alternatywą byłoby zupełnie inne spojrzenie na problem. Na przykład zastanowienie się, jak ominąć cały rejon Wielkich Jezior bez wyrządzania nieodwracalnych szkód środowisku naturalnemu.

– Ten wybór był poprzedzony latami analiz, wzięliśmy pod uwagę czynniki środowiskowe, ekonomiczne, techniczne i społeczne – przekonuje z kolei Karol Głębiński, rzecznik prasowy olsztyńskiego GDDKiA. – Jeśli mamy dwa punkty i chcemy je połączyć drogą, to poruszamy się w obrębie możliwie krótkiego odcinka. Oczywiście nie musimy prowadzić prostej, ale powinniśmy ją modyfikować w granicach rozsądku. Proponując te warianty, zbadaliśmy teren o długości ok. 80 km i szerokości 20 km.

Ofiarami proponowanych przez GDDKiA wariantów padają przede wszystkim jeziora Tałty i Juksty, przez które – jeśli droga powstanie – trzeba będzie poprowadzić mosty i estakady. Nie trzeba jednak specjalnie bogatej wyobraźni, by uświadomić sobie konsekwencje dla okolicznych rezerwatów przyrody (m.in. Łuknajno i Krutynia), obszarów ochrony Natura 2000 czy największej w tej części kraju populacji zagrożonego wyginieciem żółwia →



IAN BIELECKI / EAST NEWS

W Mikołajkach, 2012 r.

→ błotnego, z którego siedliskami trasa ma siasadować.

W czym ogródku

Spotkania informacyjne w mazurskich miastach nie miały formy konsultacji społecznych.

– Nie byliśmy zobligowani do ich organizowania, były one naszą inicjatywą i pewnym wyjściem do przodu. Chcieliśmy pokazać, co robimy. Konsultacje społeczne odbywać się będą dopiero po złożeniu przez nas wniosku do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, gdy jej dyrektor przejmie procedurę – mówi Głębocki. – Nie zajmujemy się tym od wczoraj, ta inwestycja jest przygotowywana od 2007 r. i już wcześniej były sygnały, że pojawi się opór. Przystępując do tak znaczącej inwestycji, zawsze trzeba spodziewać się sprzeciwów, bo niemal zawsze narusza się czyjeś interesy. Jest takie angielskie powiedzenie: *yes, but not in my backyard*, czyli: inwestycja jest w porządku, ale pod warunkiem, że nie przechodzi przez moje podwórko. To dokładnie ten przypadek.

Na ów opór składa się rozkręcona w ekspresowym tempie akcja „Ratujmy Mazury” (ratujmymazury.pl), medialny rozgłos i stanowczy sprzeciw samorządów, przez których tereny droga miałaby przebiegać.

– Potrzebna jest obwodnica Mazur, a nie europejski korytarz transportowy przez samo serce Krainy Wielkich Jezior – mówi Radek Olsztyn Piotr Jakubowski, burmistrz Mikołajek. – My nie mamy tutaj przemysłu, naszym przemysłem jest turystyka, czyli ludzie, którzy przyjeżdżają na Mazury odpoczywać. Szukają ciszy, spokoju, miejsc ekologicznych. Lokalizując tego typu korytarz transportowy możemy to wszystko zaburzyć.

W podobnym tonie wypowiadają się władze i mieszkańcy Mrągowo, Rynu i Orzysza. „Drogą tą ma przejeżdżać nawet 22 tys. samochodów dziennie, w tym wiele tysięcy tirów. (...) Droga ekspresowa w każdym z proponowanych wariantów zniszczy liczne siedliska chronionych gatunków roślin i zwierząt oraz unikatowy krajobraz Mazur” – to już cytaty ze wspieranej przez Greenpeace petycji do ministrów środowiska Henryka Kowalczyka i infrastruktury Andrzeja Adamczyka.

Grzybowe Klondike

Nie da się myśleć o Warmii i Mazurach, nie mając na uwadze tego, jak blisko tam

JERZY SZMIT,

PREZES OLSZTYŃSKIEGO KOŁA PIS:

Czy mosty przez jeziora
na pewno będą szpeciły?

Wcale nie muszą.

Czy Golden Gate
szpeci krajobraz
San Francisco?

z Warszawy. Od kiedy obie – historycznie pruskie – krainy weszły po II wojnie światowej w skład Polski, a PRL-owskie władze rozpoczęły intensywną polonizację tych ziem, stolica upatrzyła sobie tamtejsze jeziora i lasy za trzeci – po Bałtyku i Tatrach – główny cel weekendowego i letniego wypoczynku. Nie było to trudne: sieć kanałów łączących jeziora w żeglowny szlak dostaliśmy w spadku po Prusach, zresztą jeszcze Krzyżacy w kompleksie akwenów widzieli jedną całość. Dziś szlak łączący jeziora liczy ponad 110 km, a wokół niego wyrosły kurorty m.in. w Mikołajkach, Giżycku, Mrągowie.

Na Mazury nie jeżdżą wyłącznie warszawiacy, ale w zalewie stołecznych tablic rejestracyjnych inne województwa wypadają blade. Łomża, Ostrołęka i Pułtusk – trzy kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców leżące na trzech głównych drogach prowadzących z południa na północ, w piątkowe i niedzielne popołudnia pekają w szwach.

Jeżdżenie na Mazury od zawsze związane jest też z utyskiwaniem na rosnące tłumy letników. Tak było nawet w latach 80. Pisarz Tadeusz Ostojki, autor niewielkiego „Śniardwiska”, pierwsze lata po wojnie wspominał jako czas, gdy na północ od Giżycka można było chodzić i żeglować choćby nago, bo nie było szans na spotkanie kogokolwiek innego. Podobną tęsknotę można znaleźć w twórczości stołecznych literatów, którzy w cieplejszą połowę roku zaludniali „bermudzki trójkąt” Puszczy Piskiej, położony między Rucianem-Nidą, Piszem i Niedźwiedzim Rogiem. „Nie ma linii w lesie, na której nie byłoby samochodu, a przynajmniej motocykla. Zawszą rozlegają się głosy” – pisał w 1981 r. o „grzybowym Klondike” Kazimierz Dziewanowski w zbiorze „Zapowiada się ostra zima”.

Jeszcze lepszą ilustracją więzi łączącej Warszawę z Mazurami są „Nostalgie mazurskie” Bohdana Czeszki (1987), literacka pochwała prostoty życia w otoczeniu drzew i jezior, przeciwstawionej egzystencji wśród bloków i asfaltu, pełna tytułowej nostalgii za tym, co już minęło.

Minąć nie musiało. Prof. Władysław Szaffer, pomysłodawca powołania parków narodowych m.in. w Białowieży i Pieninach, który ideę tej formy ochrony podpatrzył jeszcze przed wojną w amerykańskim Yellowstone, chciał ją wcielić w życie w formie Mazurskiego Parku Narodowego. Kilkadziesiąt jezior, lasy, Krutynia, wilki, ryś, bieliki, rybołowy i czarne bociany były wystarczającym powodem, by go powołać do życia. Sercem parku miały się stać północna część Puszczy Piskiej i Jezioro Nidzkie.

Sprzeciw leśników, myśliwych i rozwiniętej już w latach 70. turystyki był jednak zbyt duży. W 1977 r. na 49 tys. hektarów powołano jedynie park krajobrazowy (potem powiększony do 53 tys.), oficjalnie jako formę przejściową, w praktyce – docelową. I nieskuteczną: ochrona krajobrazowa to twór, za którym nie kryją się niemal żadne rygorystyczne przepisy.

Będzie tłumniej

Od lat 70. Mazury są więc po prostu zalepiane. Z każdą kolejną dekadą coraz intensywniej. Listę grzechów przeciw tamtejszej przyrodzie otwierają intensywna wycinka drzew, hotele giganty na brzegach jezior, flotyle spalinowych silników na ich taflach, wreszcie niszczenie nabrzeżnej roślinności przez usypywanie gruzu i ziemi, by powiększyć działki kosztem jezior. Ten proceder praktykowano również swego czasu na Półwyspie Helskim, gdzie na przestrzeni paru dekad właściciele kempingów przydali Polsce pokazy skrawek ładu.

Nic nie zapowiada, aby ta tendencja miała się nagle odwrócić. Że będzie tylko gorzej, przekonuje też rzecznik olsztyńskiego GDDKiA. Dlatego, dodaje, potrzebna jest nowa droga.

– Dzięki wybudowaniu S16 pozostałe tereny zostaną od ruchu uwolnione, będzie spokojniej – mówi.

Ale mimo tłumów i dewastacji, Mazury to nadal region cenny przyrodniczo w skali kraju i Europy. W rozległej Puszczy Piskiej wciąż żyją ryś. W 2016 r. amerykańska edycja magazynu „National Geographic Traveler” wpisała Mazury na li-

stę 20 najważniejszych kierunków turystycznych roku, zwracając uwagę przede wszystkim na fakt, że to jeden z ostatnich przykładów klasycznego, niezaburzonego krajobrazu europejskiej prowincji.

Wcześniej, w 2009 r., pojezierze trafiło do finału światowego konkursu na siedem nowych cudów natury. Plebiscytowi towarzyszyła akcja promocyjna „Mazury – cud natury”.

Drogowy skansen

– Jesteśmy przekonani, że droga ekspresowa ze wschodu na zachód nie jest w tym miejscu w ogóle potrzebna – twierdzi Worobiec. – Drogowcy mówią, że będzie łączyć wschód z zachodem, ale jaki to zachód i jaki wschód? Przecież ona ma się kończyć w Grudziądzu. Nie ma kontynuacji, chyba że ma nią być autostrada A1 biegnąca południkowo. Po co więc budować tak gigantycznym kosztem drogę przecinającą serce Mazur, skoro na południe mamy już A2, a na północ niedługo będziemy mieć Via Baltikę? Dla tych, którzy będą z Suwałk jeździć do Grudziądza? Z Elku do Olsztyna? Ile to ludzi?

Zdaniem działacza Sadyby, droga S16 wcale nie jest budowana dla mieszkańców okolicznych gmin, ale stanie się potężnym korytarzem tranzytowym ze wschodu na zachód: nie ułatwi życia mieszkańcom ani turystom, tylko tirom. Wskazuje też, że mazurskim kręgosłupem mogłaby być stara, wyremontowana szesnaśka, która po korekcie łuków i poprowadzeniu objazdów paru wsi, m.in. Kosewa i Baranowa, doskonale służyłaby lokalnemu transportowi i turystom.

– Zarzuca się nam, że jesteśmy antyrozwojowi i chcemy mieć na Mazurach skansen. Ale to drogowcy konserwują nieadekwatny do współczesności system drogowy, który powstał jeszcze w czasach pruskich, w XIX w. – przekonuje Worobiec. – Wtedy poruszanie się w naszych stronach ze wschodu na zachód było istotne, bo jeżdżono stąd głównie do Berlina, Gdańska lub Królewca. Nikt nie jeździł do Warszawy, bo to było obce państwo. Proszę spojrzeć, jak dziś wyjeżdża się z Mikołajek, Mrągowa, Pisz czy Elku pociągami: najpierw trzeba się dostać do Olsztyna, potem do Iławy i dopiero stamtąd można ruszyć do Warszawy i dalej na zachód lub południe. To też jest pozostałość po XIX-wiecznej infrastrukturze, zupełnie nieprzystająca do współczesnych potrzeb. Dziś niemal cały ruch odbywa

KRZYSZTOF WOROBIEC,
STOWARZYSZENIE SADYBA:

Drogowcy mówią, że S16
będzie łączyć wschód
z zachodem, ale jaki to zachód
i jaki wschód? To będzie droga
dla jeżdżących z Suwałk
do Grudziądza? Ile to ludzi?

się w kierunku z i na Warszawę. I drogi, które służą rozwojowi regionu, powinny temu odpowiadać. Drogowcy chcieliby, żeby samochody jeździły tak jak pociągi, naokoło?

Budujemy Golden Gate

– My, mieszkańcy Warmii i Mazur, potrzebujemy dróg o przebiegu wschód–zachód i północ–południe. Oburzają nas za to protesty ludzi, którzy nie mieszkają tu na stałe, ale kupili działki, pobudowali domki letniskowe i chcą mieć wyłącznie ciszę i spokój, chociaż bywają tu bardzo rzadko. To, jak cały rok żyjemy tu my, mieszkańcy, jeszcze mniej ich obchodzi – przekonuje Jerzy Szmit, prezes olsztyńskiego koła Prawa i Sprawiedliwości, do niedawna wiceminister infrastruktury. I pyta: – Dlaczego burmistrzowi Orzysza nie przeszkadza poligon i manewry z udziałem czołgów i lotnictwa, które się na nim odbywają, a przeszkadza droga? Z kolei burmistrz Mikołajek znany jest z tego, że blokuje każdy proponowany przebieg drogi. Czy to sprzyja Mikołajkom? Nie sądzę. Mimo pięknego położenia i inwestycji miasto żyje z turystów tylko kilka tygodni w roku.

Szmit na konferencji prasowej w ostatnich dniach kwietnia zapowiedział, że S16 powstanie tak czy inaczej, niezależnie od protestów. I dołał tylko oliwy do ognia. Jego wystąpienie każe się zastanowić nad logiką obowiązujących przepisów. Od 2001 r. to do samorządów – każdego szczebla – należy decydujący głos w sprawie powoływania i powiększania parków narodowych. W efekcie od tamtej pory powstał tylko jeden nowy park (w Ujściu Warty), a starania o powołanie kolejnych (jak choćby Turnickiego PN na Pogórze Przemyskim) przypominają walkę z wiatrakami.

– Swego czasu zebraliśmy ćwierć miliona podpisów pod projektem zmieniającym ustawę o ochronie przyrody, który miał odebrać samorządom to współczesne *liberum veto*. Słyszeliśmy wtedy, że przecież to samorządy wiedzą najlepiej, czego potrzebują na swoim terenie, co przysłuży się ich rozwojowi, i nie można pozbawiać ich głosu – mówi Worobiec, który po fiasku obywatelskiej inicjatywy wystąpił w ramach protestu z komitetu akcji „Mazury – cud natury”. – A teraz okazuje się, że w przypadku drogi samorządy nie mają nic do gadania, bo to drogowcy wiedzą najlepiej.

– Droga jest tak projektowana, aby ograniczyć lub wyeliminować każde negatywne oddziaływanie na mieszkańców i środowisko. Na Warmii i Mazurach bardzo dobrze rozumiemy te potrzeby, ponieważ lasy i jeziora to nasze bogactwo – zapewnia Szmit. Pytany, czy jemu samemu, mieszkańcowi regionu, nie szkoda tamtejszego krajobrazu, odpowiada wizjonersko: – Czy te mosty na pewno będą szpecić? Wcale nie muszą, o ile zostaną odpowiednio zaprojektowane. Są przecież mosty, które uważa się za niemal legendarne. Czy Golden Gate szpeci krajobraz San Francisco? Albo mosty kolejowe w Stańczykach? Czy ktoś mówi, że ich budowa zrujnowała krajobraz parowu? Turyści się nimi zachwycają, są wielką atrakcją turystyczną.

Na razie do budowy mazurskiego Golden Gate jeszcze długa droga. Do końca roku GDDKiA zbierać będzie materiały potrzebne do uzyskania decyzji środowiskowej, potem przekaze sprawę Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska wraz z rekomendowanym wariantem przebiegu trasy.

Czy RDOŚ ją wstrzyma? Jak pokazał przykład przekopu przez Mierzę Wiaślaną – niekoniecznie. Kiedy w czerwcu ub.r. dyrektorka gdańskiego RDOŚ wydała negatywną opinię w tej sprawie, straciła stanowisko. Jej następcą do przekopu się przychylił.

Dlatego Worobiec ma nadzieję, że sprzeciw społeczny powstrzyma inwestycję w przedbiegach. W przeciwnym razie trzeba będzie zmienić teksty kilku popularnych mazurskich piosenek, bo zamiast kormoranów, między Mikołajkami i Mrągowiecią ciągnąć będą sznury ciężarówek.

A trasa S16 stanie się jeszcze jednym z polskich przedsięwzięć, o których wkrótce usłyszy cała Europa.

© ADAM ROBIŃSKI

Sukcesu nie dowieźli

TEKST I ZDJĘCIA **MAREK RABIJ**

W Szydłowcu żartują, że program Rodzina 500 Plus wymyślono w Warszawie, ale dopiero tu, w mateczniku polskiego bezrobocia, doprowadzono go do perfekcji.

DAISY, WRACAJ! DO NOGI, MÓWIĘ! Co za uparty pies. Przepraszam. Ale krzywdy panu nie zrobi – zapewniam za płotu pani Katarzyna.

Daisy, umaszczony na szaro kundelek, bez trudu przecisnęła się pomiędzy prętami pomalowanej na zielono bramy, nasikała obok jednego z kół samochodu i okrąża go teraz triumfalnie, warcząc na intruza, który zatrzymał się przy jej posesji. W oddali, jakiś kilometr od domu pani Katarzyny, prosta asfaltowa droga kończy się ścianą świerkowego młodnika. Aż do lasu we wsi nie widać żywego ducha. Dzieci, jak mówi gospodyni, są teraz w szkole. Dziadkowie w domach, ewentualnie na targu, bo akurat dzisiaj wypada.

– A rodzice? To zależy. W tej części Szydłówka będzie ze 150 numerów, ale ode mnie to się pan nie dowie, kto ma pracę, a kto bezrobotny – zastrzega Katarzyna. – U nas różnie z tym bywa. Jedni jej nie mają tylko w papierach do urzędu, inni nie mogą jej znaleźć naprawdę, ale wielu jest też takich, co jej nie mają, bo nie szukają. Choćby ja sama.

Na dobre wyszło

Główny Urząd Statystyczny podał niedawno, że w marcu br. liczba bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy wyniosła 984,7 tys. Tak niskiego, zaledwie 5,9-procentowego bezrobocia Polska nie widziała o tej porze roku od 1990 r.

W powiecie szydłowieckim bez pracy było w tym czasie 24,6 proc. wszystkich mieszkańców w wieku produkcyjnym. Włącznie z 33-letnią panią Katarzyną z Szydłówka, wsi oddzielonej od Szydłowca świeżo wybudowaną dwupasmową trasą S7, która od niedawna przebiega na tym odcinku w zagłębieniu ogrodzonym dźwiękoszczelnymi ekranami.

– W listopadzie zmarł właściciel spożywczego, w którym pracowałam – ciągnie Katarzyna. Spadkobiercy nie dopilnowali jakichś formalności, od nowego roku sklep trzeba było zamknąć i wylądowałam na zasiłku. Ale wie pan? Właściwie to na dobre wyszło.

Na szczęśliwy zbieg okoliczności, o którym mówi pani Katarzyna, złożyło się państwo oraz teoretycznie były małżonek,

przebywający aktualnie za granicą, ale zobowiązany do zapłaty alimentów. Eks płać nie chce, wyręcza go w tym więc fundusz alimentacyjny comiesięcznym przelewem na niespełna 600 zł. Do tego dochodzi zasiłek dla bezrobotnych, aktualnie nieco ponad 660 zł. Na dwójkę młodszych dzieci pani Katarzyna dostaje łącznie tysiąc złotych. A od lipca państwo ma dołożyć jeszcze 500 zł na najstarszą, 12-letnią córkę. Razem wyjdzie jakieś 2,7 tys. zł miesięcznie.

– Tylko żeby mnie pan źle nie zrozumiał – zastrzega pani Katarzyna. – Ja nie z tych, co lubią zasiłki. Odkąd skończyłam szkołę, właściwie zawsze miałam jakąś pracę. Tylko praca musi mieć sens, albo się przynajmniej opłacać. A ja tu mogę iść tylko na kasę do sklepu, za góra dwa tysiące na rękę. Dojeżdżać bym musiała, jeść poza domem, a to kosztuje. Kombinować bym z odbiorem najmłodszej córki z przedszkola musiała. A tak to spokojnie sobie żyjemy. Luksusów nie ma, ale dzieci są nakarmione, ubrane i zadbane. No i mają matkę w domu na zawołanie, a to być może najważniejsze, co mogę im zafundować.

Średnia minimalna

Tadeusz Piętowski, dyrektor powiatowego urzędu pracy w Szydłowcu, zaprasza do gabinetu. Ścianę przy jego biurku pokrywa kratka dyplomów uznania i certyfikatów ze szkoleń. Polskich i zagranicznych, nawet amerykańskich, jak podkreśla z dumą. Z bezrobociem w powiecie dyrektor Piętowski wojuje nieprzerwanie od 2002 r. Czy skutecznie? Odpowiedź na to pytanie jest, niestety, wypadkową

Jeden z wiaduktów łączących centrum Szydłowca z dzielnicą przemysłową, kwiecień 2019 r.



politycznych sympatii. Przed wyborami w 2015 r. w mieście zorganizowano akcję pod hasłem „skuwania szydłowieckiego betonu”, która miała przypomnieć współpracującym wówczas politykom PSL, że choć w okolicy bezrobocie od lat utrzymuje się na poziomie wręcz dramatycznie wysokim w relacji do reszty kraju, lokalnych urzędników, na czele z należącym do PSL dyrektorem urzędu pracy, nie opuszcza dobre samopoczucie. Po wyborach Tadeusz Piętowski zatrzymał stanowisko dyrektora. Bezrobocie też pozostało wysokie. Już nie tak, jak na początku wieku, gdy pracy nie miało tu oficjalnie prawie 40 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym, ale 24 proc. to wciąż niemal cztery razy więcej od średniej krajowej. Potyczkę dyrektora z anomaliami rynku pracy przy najmniej z czysto statystycznego punktu widzenia trzeba zatem uznać za porażkę. Ale zdaniem samego zainteresowanego politycy w Warszawie też powinni uderzyć się w piersi.

– Nie zamierzam pana przekonywać, że w naszym powiecie nie ma wysokiego bezrobocia – zaznacza dyrektor. – Ale czy widział pan tu również wielką biedę? Gdyby co czwarty mieszkaniec naprawdę nie miał tu z czego żyć, mielibyśmy tłumy żebraków na ulicach. A ja ich jakoś nie widzę. Właściwie codziennie stykam się za to z ludźmi, którzy nauczyli się żyć bez oficjalnego zatrudnienia. W rejestrze mamy bezrobotnych zarejestrowanych bez przerwy od wielu lat. Chyba nie muszę dodawać, ilu z nich szuka pracy?

Zerkamy do tabelki. Z 3541 osób zarejestrowanych na koniec ub. roku w powiecie jako bezrobotni, aż 1107 widnieje w tych rejestrach od co najmniej dwóch lat. Jako poszukujących pracy odnotowano tylko 67 osób.

A wszystko przez to, że w Szydłowcu, jak mówi Piętowski, kapitalizm nie zdołał nigdy wrzucić wyższego biegu. Lata 90., podobnie jak w innych regionach, przyniosły upadek większości i tak nielicznych zakładów przemysłowych w rolniczej okolicy. Następnie diabli wzięli szkoły zawodowe. Efekt? Kiedy po wejściu Polski do Unii zaczęły nad Wisłę płynąć inwestycje zagraniczne, niemal zawsze okazywało się, że są dla nich dogodniejsze miejsca od powiatu szydłowieckiego. Stolica polskiego bezrobocia: nawet politycy z lubością używali tego terminu, jak gdyby nazwanie problemu w taki sposób zdejmowało z nich odpowiedzialność za jego trwanie. Szy-



Krystyna Minda na stacji kolejowej w Szydłowcu, kwiecień 2019 r.

dłowiec zdaniem dyrektora Piętowskiego został w pewnym momencie uznany za strefę, w której zmiana na lepsze wymaga nakładów nieproporcjonalnych do potencjalnych politycznych korzyści.

Warszawa nie chciała nawet zgodzić się na interwencyjne obsadzanie nieużytków rolnych drzewami, które za kilkadziesiąt lat można by ścinać z zyskiem. W okolicy dominują gleby klasy piątej, a mówiąc prościej: piaski, na których nie da się prowadzić sensownie upraw. Wyuczony za granicą Piętowski miał więc pomysł na szydłowiecką wersję New Dealu: żeby za pieniądze z funduszy na walkę z bezrobociem wynająć leżące odłogi pola od ich właścicieli, a potem zatrudniać okolicznych mieszkańców przy sadzeniu drzew, pielęgnacji i wycinie. Ale kto by się przejmował losem zaledwie 39 tys. mieszkańców małego powiatu, skoro 32 kilometry bliżej stolicy, w ponad dwustutysięcznym Radomiu również szaleje bezrobocie? Zwłaszcza gdy za paradygmat polityki gospodarczej kraju ma się rozwój większych ośrodków, które pociągną za sobą te mniejsze.

Po jakimś czasie stało się jasne, że szydłowieckich peryferiów z gospodarczego marazmu nie wyrwie nawet najszybciej rozwijające się centrum.

– Terenów pod inwestycje mieliśmy i mamy co niemiara. Do Warszawy niedaleko. Oczekiwań płacowych ludzie też nigdy nie mieli tu wygórowanych, bo nawet dziś średnią płacę brutto w zasadzie mamy na poziomie krajowej minimalnej – wylicza dyrektor Piętowski. – Tylko co z tego? Po tylu latach stagnacji większość naszych bezrobotnych nie ma żadnych kwalifikacji zawodowych. Kto w takim miejscu postawi zakład? Doszło do tego, że jak w ze-

szłym roku padła Biella, właściciele okolicznych firm błyskawicznie pościgali do siebie do pracy tych, którzy coś umieli.

Ofiara globalizacji

Do fabryki szwajcarskiej grupy kapitałowej Biella, która w Szydłowcu produkowała materiały biurowe, prowadzi z centrum miasteczka wiadukt przerzucony ponad ekspresówką. Przy skrzyżowaniu uchował się jeszcze drogowski do nieczynnego od lipca zakładu, obok stoi kamienny krzyż wotywny z 1867 r. Ówczesni mieszkańcy wypisali na nim suplikę, aby Bóg przyjął ofiarę, „którą ci wznosimy”.

Nie wiadomo, co zrobił Stwórca, Szwajcarzy w każdym razie okazali się niewzruszeni i na prośby pracowników, i na argumenty lokalnych urzędników gotowych ratować ponoc za wszelką cenę 179 etatów szydłowieckiej Bielli. Decyzję o zamknięciu fabryki Piotr Miętka, jej dyrektor techniczny, tłumaczył lokalnym mediom zbyt dużą odległością od rynków zbytu w krajach Europy Zachodniej, co rzekomo wiązało się ze zbyt dużymi kosztami transportu. Dyrektor nie wyjaśnił jednak, co zmieniło się w odległości fabryki od wymienionych rynków od chwili jej otwarcia. Dziennikarze taktownie nie dopytywali, być może przeczuwając, że prawdziwą przyczyną likwidacji zakładu jest to, że bardziej opłaca się wybudować go od zera jeszcze dalej na wschodzie, w Bułgarii lub Serbii. Nawet pobliska ekspresówka z gładkim jak stół asfaltem okazała się przecież niedostatecznym argumentem za utrzymaniem produkcji. Szydłowiec na krótko poczuł się jak wygrany globalizacji, posmakował teraz jej gorzkiego smaku. Dziś ➞

→ jedynym śladem aktywności biznesowej na terenie zakładu jest pracownik firmy ochroniarskiej, który przy głównej bramie toczy z innym mężczyzną ożywioną dyskusję o cenach materiałów budowlanych.

Gdzieś tu rozciąga się szydłowiecka strefa przemysłowa, a mniej wzniosłe: 66 hektarów pod inwestycje, za sprawą których burmistrz Artur Ludew chce wreszcie zwalczyć kryzys rynku pracy. Miasto do tego stopnia ma dość łutki „stolicy polskiego bezrobocia”, że przy każdej okazji podaje, że w samym Szydłowcu stałego zatrudnienia nie ma około 13 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym: wciąż źle, ale już nie dramatycznie, jak w przypadku danych powiatowych. Szkoła w tym, że strefa wciąż istnieje na papierze, a mieszkańcy mają – jak mówią – uzasadnione obawy, że dobre intencje urzędników znów rozbijają się o kalkulację ekonomiczną potencjalnych inwestorów, którym kolejny raz wyjdzie, że bardziej opłaca się budować zakład gdzie indziej. Przy głównej drodze prowadzącej od ekspresówki w stronę dworca kolejowego nadal straszą hale po upadłych dawno zakładach i rozpadający się biurowiec rodem z epoki Gierka.

– Słyszałam, że ma być sukces, ale go chyba jeszcze nie dowieźli – śmieje się Krystyna Minda, kolejny raz przecierając ścierką tablicę z rozkładem jazdy pociągów na stacji Szydłowiec. – Po mojemu to jest tu gorzej. Pociągów coraz mniej przejeżdża przez naszą stację, a jeszcze mniej staje. Bo w normalnym mieście dworzec jest, proszę pana, w centrum, a nie siedem kilometrów za miastem, w lesie, jak u nas. Po zmroku ciemno tu jak w d..., strach wyjść z domu.

Pani Krystyna wraz z mężem mieszka w zdewastowanym budynku kolejowym opodal stacji. Służbowe mieszkanie, za lata

wypracowane przez oboje na kolei. Dziś na emeryturze, dorabia sobie jako sprzątaczką na stacji.

– Dostałam tę robotę, bo nikt młodszy jej nie chciał. Mówili, że za daleko, za mało płacą, że wstyd – wylicza. – Niby bezrobocie szaleje, ale jak trzeba kogoś do pracy za najniższą krajową, nagle okazuje się, że nikomu się to nie kalkuluje.

120 złotych dniówki

Gminny ośrodek pomocy społecznej w Chlewickach, niespełna 10 kilometrów od Szydłowca, mieści się w małym budynku naprzeciwko XVII-wiecznego pałacu Odrowążów, obecnie przerobionego na luksusowy hotel i spa. W tej chwili w ośrodku trwa przyjmowanie żywności, która potem trafi w paczkach do potrzebujących, dlatego pracownice nie zdołają poprosić pani kierownik o zgodę na rozmowę z mediami. Wolałyby zresztą i tak nie wypowiadać się pod nazwiskiem, bo ludziom może się nie spodobać to, co mają do powiedzenia.

Kluczem do zrozumienia tego, co się dzieje z pracą w Szydłowcu, jest zdaniem urzędniczek termin „zaradność”. Mieszkańcom tłoczono przez lata do głowy, że mają brać sprawy w swoje ręce, to wzięli. Tylko nie tak, jak by sobie tego życzyli politycy i ekonomiści.

Ludzie biorą na przykład zasiłek dla bezrobotnych i jednocześnie dorabiają sobie w pobliskim Potworowie przy warzywach. W sezonie, jak mówią urzędniczki, plantatorzy płacą po 120-140 zł dniówki, zapewniają obiad i transport w obie strony. Miesięcznie wychodzi ponad 2,6 tys. zł na rękę. Z zasiłkiem – ponad trzy tysiące. Praca, wiadomo, sezonowa, ale w okolicy oficjalnie nie płaci tyle nikt. Są rodziny, w których na czarno zarabia w ten sposób dwójka

rodziców i jeszcze inkasują po 500 zł na każde z dzieci, bo oficjalnie nie przekraczają progu dochodowego na głowę.

Urzędniczek wiedzą, kto w gminie robi tak państwo na szaro, ale twierdzą, że zrobić z tym nic nie mogą. A prawdę powiedziawszy, nie czują też motywacji. To państwo wieloletnią bezradnością w stosunku do szydłowieckiego bezrobocia stworzyło ten problem. Politycy różnych partii zjeżdżali tu od lat, żeby w świetle kamer oskarżyć o beczynność poprzedników, naobiecować nowych miejsc pracy, programów aktywizacyjnych, po czym tradycyjnie zapadali w apatię. Ksiądz na kazaniu lajał za opilstwo, bałagan na podwórku, za dzieci puszczane samopas po wsi, ale nigdy się nie zająknął, że uznanie 30-40 proc. bezrobocia za naturalny stan rzeczy to co najmniej grzech zaniedbania ze strony władz. Błogosławieni ubodzy, powtarzał. Mieszkańcy uczynili więc z systemu pomocy społecznej największego chlebobawcę regionu. Szkoda tylko, że do życia na państwowym garnuszku połączonego z pracą na czarno tak szybko przyzwyczajają się młodzi.

Bartosz Marcuk, były wiceminister pracy i polityki społecznej odpowiedzialny za wprowadzenie programu Rodzina 500 Plus: – Większość analiz, które przeprowadziliśmy przed startem programu, wskazywała, że dodatkowe pieniądze będą dodatkowym bodźcem do aktywizacji zawodowej. Bezrobotnym bez kwalifikacji łatwiej będzie dzięki temu podjąć pracę na najslabiej opłacanych stanowiskach.

Na pytanie o to, czy 500 plus przymierzono do miejsc takich jak Szydłowiec, Marcuk odpowiada przecząco. Nie było, jak twierdzi, takiej potrzeby.

© MAREK RABIJ

„Tygodnik Powszechny” zaprasza na debatę wokół filmu

„Złota”

w reż. Tomasza Knittla

Czy przeszłość, która nagle powraca wraz z odziedziczoną kamienicą, to tylko przymus wejścia w ledwo zabliznione historyczne traumy i współczesne polityczne porachunki? O tym porozmawiamy z twórcami filmu i jego bohaterem.

Czwartek 30 maja, początek projekcji – 18.45, Kino pod Baranami (Rynek Główny 27)
Bilety można kupić przed seansami oraz w przedsprzedaży na www.krakowfilmfestival.pl

59. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
59th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

26.05 – 2.06.2019
krakowfilmfestival.pl

TYGODNIK
POWSZECHNY

Ballada o Schumanie to za mało

RAFAŁ WOŚ

Podział na euroentuzjastów i eurosceptyków tak obecny w kampanii opozycji odpycha tych, którzy mają dobre powody, żeby domagać się zmian w Unii. Niekoniecznie dlatego, że chcą jej mniej.

HASŁO „PRZYSZŁOŚĆ POLSKI – WIELKI wybór”, pod którym Koalicja Europejska idzie na wybory do Parlamentu Europejskiego, wydaje się z pozoru sensowne. Na pierwszy rzut oka racjonalnie postępują również ci politycy, którzy ozywają stary jak nasz udział w Unii podział na „euroentuzjastów” i „eurosceptyków”. Czego najważniejszym przejawem jest wciągnięcie na czołowe miejsca na listach polityków symbolizujących złote czasy polskiej akcesji do wspólnoty: Leszka Milera, Włodzimierza Cimoszewicza, Jarosława Kalinowskiego czy Danuty Hübner. W praktyce opozycja popełnia strategiczny błąd. Jeśli nic się nie zmieni, to ten krok – w perspektywie kolejnych kilku lat – uczyni z obecnych liberałów ostoję eurokonserwatyzmu. Zadowolili bez wątpienia starszych wyborców, którzy mają do Unii nabożny stosunek. Zostawia jednak bez jakiegokolwiek nadziei tych wszystkich, którzy chcieliby innej – choćby bardziej sprawiedliwej – Europy.

Europa w teorii i praktyce

Aby zrozumieć, o co chodzi, proszę przeczytać poniższy akapit. Euroentuzjaści chcą więcej Europy, eurosceptycy chcą jej mniej (albo najwyżej „tyle samo, co dziś”). Pierwsi odwołują się (nawet jeśli nie wprost) do niedokończonego projektu „Stanów Zjednoczonych Europy”, drudzy mówią o „Europie ojczyzn”. Jedni uważają, że euro trzeba przyjąć, drudzy mówią, że

wspólna waluta to byłby dla nas przepis na gospodarczą i społeczną klęskę. Jedni chętnie przedstawiają się jako szermierze Europy wyrosłej z tzw. oświeceniowych wartości. Drudzy uważają, że fundamentem powinno być chrześcijaństwo. Jednych symbolizuje dziś zmontowana z trudem Koalicja Europejska, drugich Prawo i Sprawiedliwość.

Ale dużo ciekawszy podział przebiega głębiej. Pomiedzy tymi, którzy czytając poprzedni akapit myśleli „tak jest!”, oraz tymi, co w duchu się przeciw niemu buntowali, a w ich głowach piętrzyły się wątpliwości. Co do zasady wśród pierwszych będą dominowali ludzie raczej starsi niż młodszy. Nie jest to oczywiście podział bezwzględny, chodzi raczej o zarysowanie trendu.

Dlaczego kryterium wieku? Z oczywistych powodów. Europa jest doświadczeniem pokoleniowym. Zapytajcie ludzi z grupy 50+ o pierwsze wrażenie na temat Unii. Najpewniej powiedzą o tym, jak mogli wreszcie przekroczyć granicę (najczęściej chodzi o tę polsko-niemiecką) bez kontroli. Dla tego pokolenia doświadczenie Europy jest z natury nanizane na oś „wschód-zachód”. Kilka lat temu Prze-

mysław Czapliński w książce „Poruszona mapa” przeanalizował motyw „Europy” w polskiej literaturze napisanej po roku 1989. I pokazał, jak mocno dominowało „dołączanie”. W cenie były więc te wszystkie wątki (od Mitteleuropy, przez kulturę żydowską, po św. Wojciecha i detektywa Eberharda Mocka we Wrocławiu), które podkreślały, że zanim przyszedł dramat żelaznej kurtyny, to „my byliśmy stamtąd”.

Czapliński zauważa jednak, że w pewnym momencie ta wyrazista oś wschód-zachód zaczyna mieć konkurencję. W literaturze pojawiają się nowe fascynacje. Polscy autorzy odkrywają południe: Mariusz Szczygieł i inni pokazują Czechy. Andrzej Stasiuk włóczy się po słowackich i rumuńskich ostępach. Krzysztof Varga tłumaczy Węgry. Oś odgina się w kierunku północ-południe. A stopniowo również w kierunku wertykalnym pokazującym różne klasy społeczne wewnątrz zachodnich społeczeństw. Polacy zaczynają opowiadać o szorowaniu niemieckich ubikacji albo zmywaniu talerzy w szkockich pubach. Jeśli literatura jest zwierciadłem duszy wspólnoty, to ewidentnie do gry wchodzi tu nowe ➔



Obchody Dnia Europy w Warszawie, 2015 r.

→ doświadczenie Europy. Bardziej praktyczne, a mniej teoretyzujące. To punkt widzenia generacji mającej obecnie mniej niż 50 lat. Europa jest doświadczeniem bardziej naturalnym, często dużo mniej jednoznacznym. Poproszeni o pierwsze skojarzenie z Europą, opowiedzą wam pewnie o jakimś nieoczywistym szoku. Na przykład, że nie wszyscy Niemcy są bogaci, a we Francji istnieją takie dzielnice, gdzie nie wolno się po zmroku zapuszczać, albo że nawet skandynawskie czy duńskie państwo dobrobytu skrywa swoje mroczne tajemnice.

Kto zagospodaruje bunt

Ludziom, którym biograficznie bliżej do tego drugiego obozu, odgrzane w 2019 r. przeciwstawienie eurosceptyków i euroentuzjastów mocno zgrzyta. Zasada się bowiem na przekonaniu, że Polska do Unii wprawdzie dołączyła, ale się w niej jeszcze dobrze nie umościła. To ważny moment. Pod takim zdaniem podpisałby się pewnie zarówno Grzegorz Schetyna, jak i Jarosław Kaczyński. Tyle że wyciągają z tego przeciwstawne wnioski. Liderzy Koalicji Europejskiej mówią: nie denerwujemy Europy, bo jeszcze nas z niej wyproszą i zostaniemy sam na sam ze straszną Rosją. Politycy PiS-u zdają się z kolei kalkulować, że skoro nie ma co oczekiwać, by ktoś się z naszym zdaniem w Unii liczył, to lepiej już trzymać z tymi, którzy powstrzymają dalszą integrację. Po co nam więcej integracji, skoro i tak nas do stołu nie dopuszczają?

Przypomnijmy jednak, że mamy rok 2019, a nie 2004. Mamy za sobą rok 2008, który większość unijnych krajów zaznamił z doświadczeniem kryzysu. Odpowiedzi były różne. W większości przypadków była to jednak droga budżetowych oszczędności i wycofania się państwa z roli łagodźciciela społecznych niesprawiedliwości. Ekonomista Thiemo Fetzer z Uniwersytetu w Warwick pokazał niedawno na przykładzie miasta Blackpool, jak mocno brexit splata się z prowadzoną przez Torysów w latach 2010-15 polityką cięć wydatków na szeroko rozumiane państwo dobrobytu.

Ten schemat pojawia się w wielu innych krajach od Francji po Grecję czy Portugalię. W tym krajobrazie pełnym niezabliźnionych ran przyjdzie nam się zmierzyć z kilkoma fundamentalnymi wyzwaniami. Wymienię tylko trzy, ale listę można wydłużyć. Po pierwsze to strefa euro, która musi się zmienić. Bo kształt, jaki ma obecnie, to wbudowany w serce Europy mechanizm samozniszczenia wspólnoty. Po drugie, migranci. Po trzecie, globalne koncerty w rodzaju Google'a, Facebooka czy Amazona coraz mocniej trzęsą naszym życiem. Z osobna żaden rząd nie stawia im czoła, bo zostanie rozegrany. O geopolityce czy wspólnej walce z rajami podatkowymi nawet nie wspominam.

W kontekście tak zarysowanych wyzwań roku 2019 Koalicja Europejska oferuje nam wspólne zanucenie piosenki o starych dobrych czasach akcesji. W na-

dziei, że wspólnie wywołamy – tak niegdyś ekscytującego – ducha szlachetnego Roberta Schumana. Na tym tle strategia PiS-u wygląda odrobinę lepiej. Oni przynajmniej sygnalizują, że rozumieją np. wyzwania związane z przyjęciem euro (w jego obecnym kształcie). W temacie migrantów albo GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple) jest już niestety gorzej.

Przez moment wydawało się, że ofertę dla potencjalnych buntowników przygotowała Wiosna. W jej programie jest bowiem sporo retoryki spod znaku „nie każda krytyka UE to zaraz polexit”. A nawet parę konkretnych rozwiązań, np. Europejska Karta Sportu i Rekreacji wymyślona przez Adama Traczyka z think tanku Global Lab. Polega ona na przyznaniu każdemu Europejczykowi rodzaju bonu na wydatki związane z rekreacją (kino, teatr, basen, siłownia). Niestety mało doświadczeni biedroniowcy łatwo dali się zagnać do roli niezbyt wiarygodnej przystawki obozu liberalnego oraz ugrupowania skoncentrowanego wyłącznie na tematach obyczajowych. Jeszcze mniej przebija się (teoretycznie wychodząca na przeciw potrzebom buntowników) oferta znajdującej się w trudnym momencie Partii Razem.

Im mniej jest takiej oferty, tym bardziej prawdopodobne, że realny impuls na rzecz zmiany będzie się zbierał tam, gdzie ma jakiekolwiek szanse powodzenia. Czyli bliżej PiS-u (lub na prawo od niego) niż w ramach konserwującej *status quo* Koalicji Europejskiej. © © RAFAŁ WOŚ

REKLAMA



Symetryzm i jego wrogowie

24.05.2019 19:00

Goście

Karolina Wigura
Tomasz Kozak

Cykl spotkań o sprawach kluczowych prowadzą:
Piotr Augustyniak i Bartosz Szydłowski

Scena MOS — ul. Rajska 12
Bilety — 20 pln / 5 pln (studenci)

**SZTUKA
MYŚLENIA**

**Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie**
www.teatrwnakrakovie.pl

**Teatr
w Krakowie**

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA
MIAŁO WOLNOŚĆ

Kultura
i Dziedzictwo
Krajoznictwa

Dołącz do nas!
Kultura i Dziedzictwo
Krajoznictwa

ANNA

Dziewit-Meller:

Co się stanie z naszą klasą



OTÓŻ ZOSTAŁO NAM MNIEJ WIĘCEJ 7 TYGODNI, gdyby liczyć od dnia, w którym piszę te słowa. Siedem ostatnich tygodni pobytu mojego starszego dziecka w publicznej placówce oświatowej, czyli w naszym rejonowym przedszkolu, z którym związani byli-

śmy od czterech lat i żadna siła by nas nie przekonała, że inny wybór mógłby być lepszy. Mieszkamy w centrum Warszawy, tu gdzie tkanka społeczna – choć oczywiście coraz bardziej zgentryfikowana – wciąż pozostaje bardzo zróżnicowana. Idealne miejsce do życia dla każdego sytego lewicowca, gardzącego zadłużoną we franku klasą średnią, który swoje ideały wciela w życie w otrzymanym w spadku po babci mieszkaniu, z którego blisko na plac Zbawiciela (wybaczcie tę drobną sąsiedzką złośliwość).

To zróżnicowanie świetnie oddawała struktura społeczna naszego przedszkola – czyli dzieci z najróżniejszych środowisk. W Tygryskach, Misiach i Sowach Mądrych Głowach spotykali się bowiem synowie i córki sprzedawczyń z pobliskiej Żabki, potomstwo wykładowców znajdującej się tuż obok Politechniki Warszawskiej, dzieci bezrobotnych beneficjentów opieki społecznej, córka emigrantów z Nepału, mali Ukraińcy i Hindusi, ludzie o różnych poziomach dochodów i doświadczeń życiowych, tych dobrych, a czasem tych bardzo złych. A jednak ta mieszanina świetnie się sprawdzała – prowadzona silną ręką przez dyrektorkę, której udawało się łączyć zdawałoby się nie możliwe do połączenia światy, aspiracje rodziców, możliwości dzieci. Ku chwałę ojczyzny.

Od września ubiegłego roku głównym tematem rozmów rodziców w przedszkolnej szatni stała się rzecz jasna szkoła – tajemnicze miejsce, do którego zaraz poślemy nasze dzieciaki, wychowywane jak na razie w placówce, w której problemy całej Polski odbijały się jak w lustrze, a jednak gdzie udawało się zbiorowym wysiłkiem wszystkich jakoś koegzystować bez większego szwanku, za to z wieloma korzyściami dla każdej ze stron. I właśnie teraz owa koegzystacja nieubłaganie się kończy – zaczynamy się dzielić i jest to podział, którego skutki będą nieodwracalne. Każdy bowiem, kogo stać, usiłuje zapisać dziecko do szkoły niepublicznej. Warszawa podobnego oblężenia w szkołach społecznych, jakie ma miejsce w tym roku, nie widziała nigdy. Dość rzec, że do jednej z takich szkół w tym roku zgłoszono ponad 20 osób na jedno miejsce. A gdy dzieci przyjęto, okazało się, że nawet tej świętej zasady, która często obowiązuje w podobnych placówkach – czyli, że pierwszeństwo na listach ma rodzeństwo uczniów już będących w danej szkole – tym razem nie da się zastosować, i że niektórzy rodzice od września będą musieli wozić swoje dzieci do różnych szkół, co w zakorkowanej Warszawie brzmi jak ponury żart. Ale wolą je wozić, niż posyłać do rejonowych podstawówek, które – jak jedna z takich szkół w Wilanowie – ma klasy od „a” do „m”, niech każdy sobie dopowie, co za tym idzie. Ratujmy maluchy

– wołają więc w panice i by je ratować, wysupłują kolejne pieniądze na ucieczkę z systemu.

W „Kulturze Liberalnej” tematem jednego z ostatnich numerów była „druga fala prywatyzacji”, jak redaktorzy tygodnika nazwali procesy zachodzące w Polsce PiS. Opisana przeze mnie ucieczka rodziców dzieci z klasy średniej w objęcia prywatnego, a w każdym razie niepublicznego szkolnictwa jest tego wyrazistym dowodem. Do tej pory tacy ludzie poza systemem jedynie leczyli te dzieci, płacąc dodatkowe składki w prywatnych ośrodkach. Teraz jeszcze – w obliczu chaosu wynikającego z deformy szkolnictwa – masowo przeskakują w prywatne także w edukacji. I złorzeczą, bo te kolejne obciążenia, mimo łaskawie sypanego 500 plus na każde dziecko, zaczynają być zbyt wielkie. PiS nazywając „polityką społeczną” swoje transfery pieniężne, tak naprawdę karmi drugi niepubliczny obieg, bo zamiast ulepszać system, z którego – jak z naszego przedszkola – mogą skorzystać wszyscy, czyni go coraz bardziej niewydolnym i odstrasza od niego ludzi. Socjolożka Małgorzata Jacyno w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej” mówi wprost: „celujemy nie w budowanie wspólnych instytucji, ale w transfer pieniędzy pozwalających niektórym przeżyć i przeboleć rozpad instytucji publicznych. Transfery socjalne będą jedynie uzupełniać wynagrodzenia, po to by ludzie złapali oddech w sytuacji znikania gwarancji systemowych”.

Łukasz Pawłowski dodaje: „rząd zamiast poprawiać jakość usług publicznych decyduje się na indywidualne transfery pieniężne, a obywatele, zniecierpliwieni pogarszającą się jakością systemów publicznych, kupując potrzebne im usługi na rynku prywatnym”.

Ci, którzy mogą, to sobie kupują. Wkurzeni, że muszą za wszystko płacić dodatkowo, coraz bardziej zbuntowani przeciw takiemu porządkowi. Ci, którzy nie mogą, nie kupują, ale są nie mniej wściekli, że ich dziecko pójdzie do klasy 1m, a lekcje będzie miało na popołudniu. Misie, Tygryski i Sowy, które teraz się rozdzielą, nie spotkają się pewnie już na żadnym etapie edukacji, nie mając w przyszłości już nigdy o sobie nawzajem pojęcia. Jedni znikną z oczu drugim, bo trafią do innych obiegów. Z wielką szkodą dla Polski. ©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I/18/246/18 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie:

- o powierzchni 0,05,04 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 568/5, arkusz mapy 5;
 - o powierzchni 0,01,92 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 568/6, arkusz mapy 5;
 - o powierzchni 0,09,67 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 568/6, arkusz mapy 6;
 - o powierzchni 0,17,70 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 568/7, arkusz mapy 6;
- dla której nie była prowadzona księga wieczysta ani zbiór dokumentów.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



BÓG INCOGNITO

Czy Kościoły chrześcijańskie mają dość żywotności, siły przekonywania i uzdrawiania, aby przeciwstawiać się zagrażającej Europie fali populizmu?

KS. TOMAŚ HALÍK

JAKA JEST SYTUACJA CHRZEŚCJAŃSTWA w dzisiejszej Europie? Każdy, kto chce odpowiedzieć na to pytanie, musi mieć świadomość, że spogląda na sytuację z ograniczonej perspektywy. Żyjemy bowiem w erze radykalnego pluralizmu. Jeśli nasze słowa mają mieć jakąś wartość, musimy je korygować i wzbogacać w dialogu, który w jakiejś mierze umoż-

liwia nam udział w doświadczeniach innych.

Gdybym jednak miał odpowiedzieć tylko na podstawie osobistego doświadczenia, mógłbym dać świadectwo pełne nadziei. Kto odwiedzi praski kościół akademicki [św. Salwatora, przy moście Karola – red.], ten w środku kraju uważanego za najbardziej ateistyczny w Europie zo-

baczy w każdą niedzielę wielką świątynię pełną młodych ludzi. To, co wielu kiedyś uważało tylko za krótkotrwałe uniesienie po upadku komunizmu, w tym miejscu trwa i rośnie od 30 lat. W tym czasie w naszej parafii przyjęło sakramenty Kościoła ponad dwa tysiące młodych ludzi, w większości studentów Uniwersytetu Karola. Narodził się tu też szereg kapłańskich i za-



KAROL MAKURAT / REPORTER

Marsz Niepodległości w Warszawie, 2017 r.

konnych powołań. Co roku niemal dwuletni okres przygotowań do chrztu i bierzmowania rozpoczyna kilka dziesiątek dorosłych, którzy wyrosli w rodzinach ateistycznych. Tak, mogą dać świadectwo, że coś takiego jest możliwe.

Odwaga pytań

Jest to możliwe tam, gdzie ewangelizację rozumiemy nie jako indoktrynację, ale jako inkulturację. Gdzie nie prowadzimy kulturowych wojen z otaczającym światem, tylko staramy się zrozumieć kulturę naszego czasu i pytania, które stawiają sobie ludzie. Gdzie przyznajemy, że nie mamy monopolu na jedyne właściwe odpowiedzi. Jest to możliwe tam, gdzie pokazujemy wiarę jako drogę poszukiwań, a nie jako ideologię. Gdzie możemy towarzyszyć szczególnie ludziom młodym w ich drodze. Być poszukującymi dla po-

szukujących, być pytającymi dla pytających. Taką religię miał na myśli Martin Heidegger, który pisał: „Pytanie jest pobożnością myśli”. Jest to możliwe tam, gdzie mamy odwagę odrzucić tęsknotę za prostymi odpowiedziami na złożone pytania, za czarno-białym obrazem świata.

Kiedy szukałem tytułu dla swojej pierwszej książki, znalazłem wiersz czeskiego poety „Co nie jest chwiejne, jest nie-trwałe”. Jest to zatem możliwe tam, gdzie nie proponujemy pewności, tylko odwagę wejścia w obłok tajemnicy i życie z otwartymi pytaniami.

Rzecz jasna, w czasach postprawdy i fake newsów ludzie w zrozumiwały sposób tęsknią do prawdy i pewności. Nie zapominajmy jednak, że Jezus na pytanie Pilata „Czym jest prawda?” milczał. Nie podał żadnej definicji czy prostej odpowiedzi. On sam był tą odpowiedzią. Jego osoba, Jego życie i dziwne, często szokujące przypowieści, które opowiadał. Jezus pokazał, że prawda może być prawdą tylko wtedy, kiedy jest jednocześnie drogą i życiem. Trzeba dać świadectwo prawdzie. Prawdziwa, żywa prawda jest zawsze jednocześnie drogą i życiem. Prawdy nie da się odłączyć od dynamiki ludzkiej egzystencji i zamknąć w systemie zdań i przekonań. Prawda, która przestaje być drogą i oddala się od życia, nie jest prawdziwą prawdą. Jeśli ją komuś w takiej postaci dajemy, ofiarowujemy kamień zamiast chleba, cukier zamiast soli, opium dla ludu zamiast skutecznego leku.

Nie pozwólmy oczarować się sukcesami fundamentalistycznych sekt, które proponują szybką, prostą i taną drogę religii bez krzyża krytycznego myślenia, które wzywają do „wojen kulturowych” – zamiast do cierpliwego dialogu kultur.

Wezwanie Jana Pawła II do Nowej Ewangelizacji Europy niektóre „nowe ruchy religijne” zrozumiały jako zachętę do „religijnej mobilizacji”, naśladującej ewangelikalny czy pentekostalny styl religijny. Trzeba koniecznie rozróżniać między emocjonalnością a duchowością. Nie wszystkie burze emocjonalne przynoszą płomienie Ducha Świętego.

Na temat Nowej Ewangelizacji odbyła się niezliczona liczba konferencji w całej Europie. Szczerze mówiąc, żadnych wyraźnych owoców Nowej Ewangelizacji w Europie nie widzę. Wezwanie do niej brzmi wręcz śmiesznie i obłudnie, jeśli nie towarzyszy mu szczere pragnienie uleczenia samego Kościoła.

Kryzys zaufania

Współczesna sytuacja Kościoła w Europie jest bardzo poważna. Polaryzacja wewnątrz Kościoła przypomina stan sprzed Reformacji. Upadek instytucji kościelnych przypomina stan po rewolucji francuskiej. Kościoły, klasztory i seminaria pustoszeją, świątynie są zamykane i sprzedawane na inne cele. Tym razem jednak ten stan nie jest skutkiem zewnętrznej presji wrogów, tak jak to było w czasach terroru jakobinów albo komunistów. Europa przeżyła odmienne typy sekularyzacji. Jak się wydaje, skutki *hard secularisation* z czasów rządów komunistów, która w szeregu krajów, w szczególności w Czechosłowacji czy we wschodnich Niemczech, wyparła religię ze sfery publicznej, są podobne do *soft secularisation* w społeczeństwach dobrobytu na Zachodzie oraz – już po upadku komunizmu – w krajach postkomunistycznych.

Jednak tłumaczenie wszystkich problemów dzisiejszego Kościoła sekularyzacją i pojmowanie jej jako dzieła „zewnętrznego nieprzyjaciela” jest błędem. Jeśli niektórzy przedstawiciele Kościoła szukają winowajcy zewnętrznego, mówią o niszczącym tsunami sekularyzmu – jest to fałszywa diagnoza. Nie rozumieją oni, jak chrześcijaństwo i sekularyzacja są od siebie głęboko zależne. Sekularyzacja jest niechcianym dzieckiem chrześcijaństwa. Może być nie tylko kryzysem, ale także *katharsis*, okazją do oczyszczenia i pogłębienia wiary.

Przyczyny dzisiejszego kryzysu leżą wewnątrz Kościoła. W poprzednich latach wyszły na jaw długo ukrywane, mroczne tajemnice, takie jak seksualne wykorzystywanie dzieci i nieletnich, ukrywanie dzieci księży czy lobby homoseksualistów, działające także na najwyższych szczeblach hierarchii. Jest całkiem zrozumiałe, że w tej sytuacji dochodzi nie tylko do dalszego spadku zaufania do Kościoła w zsekularyzowanych społeczeństwach, ale także do kryzysu zaufania wewnątrz niego samego.

Te alarmujące zjawiska są wszakże tylko symptomami kryzysu. Papież Franciszek mówi o konieczności objawienia prawdziwych korzeni i zlikwidowania struktur, które na te zjawiska pozwoliły. Za główną przyczynę zjawisk seksualnego wykorzystywania dzieci i nieletnich oraz wykorzystywania kobiet przez księży uznaje on nadużywanie władzy i zaufania. Ten typ nadużywania władzy nazywa klerykalizmem i podaje ➔

→ taką samą diagnozę, jaką znajdujemy w krytyce faryzeuszy ze strony Jezusa. Jezus mianowicie pokazał, że ci, którzy rozumieją religię jako system zakazów i nakazów oraz rytuałów odziedziczonych z tradycji, czynią z religii brzemię, które bez miłosierdzia nakładają na barki innych, a sami siebie stawiają w roli sędziów i kontrolerów. Taka religia prowadzi do powierzchowności, do hipokryzji, do podwójnego życia. Faryzeusze na zewnątrz prezentują się jako czysti. W rzeczywistości są jednak jak pobielane groby – wewnątrz pełne zgnilizny i nieczystości.

Jezus wzywa swoich uczniów, aby nie dopuścili do wytworzenia wśród nich kasty uprzywilejowanych. „Kto chce być między wami pierwszym, niech będzie sługą wszystkich”. Pokusa, aby na wybranych w Kościele projektować „super ego”, nazywać ich ojcami (wręcz świętymi ojcami!), nauczycielami czy przewodnikami – to strata dla obu stron. Świeccy w ten sposób wyzbywają się współodpowiedzialności za wspólnotę, a ci, którzy akceptują rolę wybranych, często w efekcie nie tylko zapominają o swoich ludzkich słabościach, ale także wypierają do nieświadomości własne wady. Im bardziej stylizują się do roli świętych mężów, tym bardziej tracą kontrolę nad grzesznikiem we własnym sercu. Niektórzy potem żyją podwójnym życiem, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Ostatnie lata pokazały, że wcale nie są to wyjątki.

Niedokończona rewolucja

Sobór Watykański II wezwał do likwidacji struktur klerykalizmu. Ta rewolucja pozostała jednak niedokończona. Wskazuje to na fakt, że klerykalizmu nie da się pokonać tylko za pomocą reformy wewnętrznych struktur całej instytucji. Konieczna jest zmiana sposobu myślenia – *metanoia*. Prawdziwa reforma zakładać musi rewolucję duchową: likwidację struktur klerykalizmu, tego „faryzejskiego zaczynu” w świadomości wierzących – zarówno prezbiterów, jak i laików. Eklezjologia musi wrócić do jądra Ewangelii.

To, że toksyczne plody klerykalizmu objawiły się szczególnie w sferze nadużyć seksualnych, jest też skutkiem jednostronności w nauce i praktyce Kościoła po roku 1968. Kościół reagował na rewoltę kulturową roku '68 oraz rewolucję seksualną, która była jej częścią, podobnie jak kiedyś reagował na polityczno-kulturalną rewolucję XIX wieku – ze strachem zamiast mądrości.

Po rewolucji francuskiej Kościół powinien się pytać, co przez te wielkie zmiany w społeczeństwie i kulturze Duch chce powiedzieć Kościołom w Europie. Potraktować oświecenie z mądrością, bez naiwności, ale też bez strachu. Zamiast tego zaczęła się walka z modernizmem i wyrwanie chwastów wraz z pszenicą. Wiodło to do intelektualnej samokastracji katolicyzmu w erze wielkich wyzwań.

Także na powstającą w latach 60. XX wieku „etykę seksualną” Kościół zareagował represjami i strachem, zamiast odwagą i mądrością. Za przesadnym naciskiem na etykę seksualną, za kulturową walką o kryminalizację aborcji i przeciw sztucznej antykoncepcji czy związkom jednopłciowym często kryły się nierozwiązane problemy seksualne samych wojowników.

Histeryczna kampania przeciwko ideologii *gender* i Konwencji stambulskiej [o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – red.] przesłania odkrycia *gender studies* ważne dla głębszego zrozumienia wpływów kultury na rozwój rodziny oraz społecznych ról mężczyzn i kobiet. Nic dziwnego, że zsekularyzowane społeczeństwo na te kampanie odpowiedziało: „Wyjmijcie belkę z własnego oka!”.

Kościół w przeszłości stopniowo tracił całe warstwy mieszkańców Europy, najpierw w ciągu XIX wieku ogromną część robotników i wykształconych ludzi, od lat 60. XX wieku wielką część młodzieży, a teraz, w tym „wieku kobiet”, zaczyna tracić kobiety.

Na zagubionych synów i córki Kościoła spoglądał raczej z uprzedzeniami, pogardą i skrywaną zazdrością, tak jak starszy brat patrzy na marnotrawnego brata z przypowieści Jezusa. Kościół nie był zdolny do bezgranicznej miłości ich wspólnego ojca.

„Dobry pasterz pozostawia 99 owiec i idzie szukać tej jednej, która się zgubiła”. Franciszek do tego zdania Jezusa dodaje dziś: „Pasterz Kościoła musi zostawić tę jedną pozostałą owcę i pójść na poszukiwanie tych 99 zagubionych”. Głównym celem Kościoła jest dziś poszukiwanie tych 99 zagubionych. Wielu z tych, którzy stracili zaufanie do Kościoła, nie stało się ateistami. Stali się częścią wielkiej rodziny poszukujących, którzy dziś stanowią prawdopodobnie największą część dzisiejszych Europejczyków, obok apateistów, czyli ludzi religijnie obojętnych. Przyszłość chrześcijaństwa spoczywa

w zdolności Kościoła do komunikowania się z poszukującymi. Nie chodzi o to, aby tych poszukujących wcisnąć ponownie do istniejących, instytucjonalnych i intelektualnych struktur eklezjalnych. Przecież także Jezus nie zwrócił „zagubionych owiec izraelskiego domu” na powrót do przestrzeni ówczesnej, żydowskiej religii. Zaproponował im nową owczarnię, nową drogę, nowe wino. Musimy otworzyć i rozszerzyć przestrzeń Kościoła, poszerzyć go o doświadczenie poszukujących.

Zalew populizmu

Jedną z przemian religii w naszym świecie jest próba jej zamiany w ideologię polityczną. Dotyczy to nie tylko islamu, ale także chrześcijaństwa. Wobec rosnącej liczby muzułmanów w Europie niektórzy politycy wzywają do powrotu do „chrześcijańskiej Europy” i „chrześcijańskich wartości”. Nostalgia i romantyczne utopie ożywają w ideologii i frazeologii współczesnej prawicy. Szczególnie niewiarygodnie brzmią te wezwania w ustach nacjonalistycznych i populistycznych polityków świata postkomunistycznego, którzy ledwie znają Nowy Testament. W ich zaklanianiu się na „wartości chrześcijańskie” romantyczne wyobrażenia o chrześcijańskiej przeszłości premodernistycznej Europy łączą się z ideologią „katolicyzmu bez chrześcijaństwa”, przypominającą Action Française oraz ideologie autorytarnych państw z lat 30. ubiegłego stulecia. Wiele płomiennych wystąpień o potrzebie ochrony chrześcijańskich wartości, szczególnie w związku z szerzeniem strachu przed imigrantami i muzułmanami, to tylko puste słowa kryjące polityczne aspiracje populistów.

Ich starania, aby zastąpić demokrację parlamentarną systemami autorytarnymi, widać szczególnie wyraźnie w Polsce i na Węgrzech. Kiedy na ulicach Warszawy zobaczyłem szeregi zwolenników Prawa i Sprawiedliwości maszerujących z transparentami z napisem „My chcemy Boga” i skandujących antysemityczne hasła, musiałem się pytać: jakiego Boga chcą ci ludzie? Bóg, którego Jezus z Nazaretu nazywał swoim Ojcem, na pewno nim nie jest.

W wielu częściach Europy znów jesteśmy świadkami zamiany Boga na naród, wiary chrześcijańskiej na niebezpieczną idoliatrię – ksenofobię i populizm.

Reżim Władimira Putina w Rosji prowadzi systematyczną, hybrydową wojnę przeciwko światu demokracji. Jednym

z jego głównych celów jest osłabianie zaufania do Unii Europejskiej w krajach byłego bloku wschodniego. Jest paradoksem, że głównymi zwolennikami tej rosyjskiej propagandy są byli wrogowie: z jednej strony komuniści czy byli komuniści, którzy zachowali związki z Rosją, a z drugiej strony konserwatywni chrześcijanie, szczególnie zwolennicy schizmatyckiego ruchu abp. Marcela Lefebvre'a. W sieciach społecznościowych przedstawiają Putina jako nowego Konstantyna, który poprowadzi chrześcijan do świętej wojny przeciw zepsutemu Zachodowi. W podobnym duchu Viktor Orbán proponuje model „nietoliberalnej demokracji” – co jest tylko nową nazwą na państwo autorytarne, likwidujące krok po kroku kluczowe punkty wolnego społeczeństwa, państwa prawa i demokracji parlamentarnej, takie jak niezależność mediów, uniwersytetów, trybunału konstytucyjnego, sektora pozarządowego.

Populiści starają się przeciągnąć na swoją stronę przedstawicieli Kościoła, obiecując im różne przywileje. Jeśli jednak naprawdę by doszło do jego „związku partnerskiego” z populistycznymi rządami, doprowadzi to do fatalnej utraty wiarygodności Kościoła w oczach młodzieży, inteligencji oraz mieszkańców wielkich miast. To się już dziś dzieje, np. w Polsce, na Węgrzech i na Słowacji. Skutkiem może być zaskakująco szybka sekularyzacja, także w tradycyjnie katolickich krajach.

Miedzy Scyllą a Charybdą

Dziś chrześcijaństwo w wielkiej części świata zachodniego, szczególnie w Europie i Stanach Zjednoczonych, znajduje się między dwoma niebezpiecznymi ekstremami, które wzajemnie się potrzebują i wzajemnie się prowokują: z jednej strony ekstremalny liberalizm i sekularyzm, z drugiej chrześcijański fundamentalizm. Obecnie największym zagrożeniem dla europejskiej jedności i procesu integracji jest nacjonalizm i populizm, który nadużywa symboli chrześcijaństwa. Chrześcijanie, którzy są zdolni czytać znaki czasu i czują odpowiedzialność za przyszłość chrześcijaństwa w Europie, muszą mieć odwagę powiedzieć jasno „nie!” wykorzystywaniu chrześcijaństwa w retoryce populistów takich, jak Viktor Orbán, Jarosław Kaczyński i inni. Chrześcijanie w polityce powinni szukać tej szczególnej, wzajemnej kompatybilności chrześcijaństwa i świeckiego huma-



GRAZYNA MAKARA

KS. TOMÁŠ HALÍK:

Wielka łódź tradycyjnego chrześcijaństwa przeszłości opada na dno. Nie powinniśmy tracić czasu na przesuwanie leżaków na „Titanicu”.

nizmu. Tej „zdrowej laickości”, o którą wołał Benedykt XVI.

Właśnie otwarte społeczeństwo i liberalna demokracja, której być albo nie być zależy od otwartej publicznej debaty i krytycznej konfrontacji poglądów, są jak dotąd najlepszym narzędziem nie tylko dla rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, ale i niezmiennie niezbędnym środkiem do życia i działalności Kościoła.

Patologiczne formy religii panicznie boją się liberalnego społeczeństwa i chętnie prowadzą wojny kulturowe oraz wyprawy krzyżowe przeciw liberalizmowi. Te wojny są jednak już z góry przegrane. Liberalizm, który odwraca się plecami do swoich chrześcijańskich korzeni, i chrześcijaństwo, które obraca się plecami do zasad liberalnej demokracji, są podobnym niebezpieczeństwem.

Chrześcijanin nie może być nacjonalistą, co deklarował jasno Franciszek. Nacjonalizm to narodowy egoizm, utrata solidarności z całością, jaką stanowi Europa. Zdrowy patriotyzm chrześcijan przejawia się w solidarności z pozostałymi narodami Europy, bo tylko zjednoczona Europa może stawiać czoło wyzwaniom nie-demokratycznych mocarstw, takich jak Rosja czy Chiny. Tylko zjednoczona Europa, a nie państwa narodowe, jest w stanie rozwiązywać wielkie problemy, jak globalne ocieplenie, kryzys finansowy, migracja albo hybrydowe ataki putinowskiej Rosji. Polityczny chaos Wielkiej Brytanii po głupim i nieodpowiedzialnym brexicie jest ostrzeżeniem przed izolacjonizmem.

Fałszywe opcje

Ale wróćmy do odnowy Kościoła. W minionych latach na wiele języków przełożono książkę Roda Drehera „Opcja Benedykta. Jak przetrwać czas neopogaństwa”. Autor wzywa w niej chrześcijan, aby wycofali się ze skażonego, zeświecczonego świata i budowali społeczeństwo równoległe. Ten termin Dreher pożyzył od czeskich dysydentów z czasów komunizmu – Václava Havla i Václava Bendy. Jednak to, co było koniecznością w czasie prześladowań w państwie totalitarnym, w otwartym, demokratycznym społeczeństwie jest niebezpieczną pokusą. Sobór Watykański II wezwał Kościół do odejścia od zamkniętej formy katolicyzmu do prawdziwego, katolickiego chrześcijaństwa. Ten proces, który w latach 80. i 90. wyraźnie zwolnił, teraz znów pobudza do życia Franciszek. Obawiam się, że tzw. *Benedict Option* jest opcją tylko dla tych, którzy chcą iść w stronę przeciwną. Kościół jako „społeczeństwo równoległe” jest projektem antykatolickim. Szybko zamieniłby się on w sektę albo raczej w konglomerat wzajemnie niekomunikujących się i skłóconych sekt.

Jednym z fundamentalnych rysów katolicyzmu jest ekumenizm. Współczesne chrześcijaństwo jest podzielone, a jednak linia podziału już dawno nie przebiega pomiędzy poszczególnymi Kościołami, ale w poprzek. To, co chrześcijan dziś dzieli, to już nie różnice w teologii czy liturgii, ale w psychologii.

Amerykański psycholog Gordon Allport rozróżnił dwa typy religijności: zewnętrzną i wewnętrzną. Zewnętrzny używa religii jako instrumentu, np. do wzmocnienia tożsamości narodowej, obrony wartości kulturowych i celów politycznych określonej grupy. Dla typu wewnętrznego religia jest celem samym dla siebie. Potem do tej typologii Daniel Batson dołożył typ trzeci: wiarę jako *quest* – drogę. Myślę, że ten trzeci typ wiary jest najbardziej perspektywiczny na przyszłość.

Na początku wspominałem o pozytywnych doświadczeniach z praskiego kościoła akademickiego. Podobnych, żywych miejsc w Europie jest więcej, ale także w tych przypadkach przyjemny widok pełnej świątyni i statystyki chrztu dorosłych nie mogą nas chronić przed sceptycznymi pytaniami. Kiedy bowiem ci nowi chrześcijanie opuszczają wspólnotę akademicką, spotkają się w parafiach →

→ w naszym kraju z całkiem innym typem Kościoła. Jego przedstawiciele stale uznają się za parafii za główny, a często nawet jedyny sposób działania Kościoła. Jednak ten model stracił swoją naturalną, socjokulturową biosferę – tradycyjną wiejską społeczność.

Zmiana stylu życia i myślenia młodej generacji także na wsi pod wpływem mediów społecznościowych oraz trwały ubytek zainteresowania powołaniami kapłańskimi jasno wskazują, że ten typ Kościoła umiera. Wyjątek stanowią tylko te parafie, w których wspólnota wierzących włączyła się w struktury i życie społeczeństwa obywatelskiego i, nie zapominając o liturgii oraz katechezie, uczestniczy w lokalnych działaniach kulturalnych i socjalnych.

Tam, gdzie wspólnota kościelna zamknie się w sobie, starając się wytworzyć „społeczeństwo równoległe”, szybko pojawiają się patologiczne formy religijne, typowe dla sekt. I przeciwnie – tam, gdzie aktywność społeczna całkowicie przyćmi życie religijne, gmina chrześcijańska traci swoją tożsamość i rozpłaszcza się w zsekularyzowanym społeczeństwie.

Większość krajów Zachodu walczy z katastrofalnym spadkiem powołań kapłańskich. Liczba seminarzystów maleje w całej Europie. Jeśli nawet niektóre seminaria doświadczyły w ostatnich latach wzrostu zainteresowania, to ich rektorzy i ojcowie duchowi często zdradzają zaniepokojenie faktem, że wśród kandydatów coraz częściej trafia się pewien szczególny typ niedojrzałego, młodego mężczyzny, który swoje lęki i brak pewności chce kompensować klerykalizmem i sztywnym tradycjonalizmem. Tożsamość tych osób nie zdołała dojrzeć w ich własnych rodzinach, szukają zatem tożsamości kolektywnej. Często mają mentalność podobną do ludzi, którzy wstępują do sekt albo do grup prawicowego czy lewicowego radykalizmu.

Niewielkie zainteresowanie powołaniami kapłańskimi związane jest także z obowiązkiem celibatu. Seminaria w większości nie są zdolne zaproponować dostatecznej duchowej i psychologicznej formacji do życia w celibacie, umiejętności transformacji energii seksualnej w energię duchową. Skutki wypartej seksualności dramatycznie się dziś ujawniają w postaci wspomnianych już nadużyć seksualnych.

Znam wielu wspaniałych ludzi, którzy byłiby dobrymi księżmi, ale z powodu celi-

batu nimi nie zostali. I przeciwnie – znam niemało tych, którzy nigdy księżmi nie powinni zostać, ale stali się nimi głównie dlatego, aby przy pomocy celibatu zakryć swoją orientację homoseksualną albo osobistą niedojrzałość.

Léon Bloy powiedział, że niektórym ludziom, niekochającym nikogo, wydaje się, że kochają Boga i dlatego powinni zostać księżmi czy zakonnikami. Jednak wraz ze zmianą, która powoduje, że w naszej kulturze orientacja homoseksualna przestaje być stygmatem, ta motywacja do kapłaństwa zanika. To prawda, że z drugiej strony oznacza to także ubytek pewnej liczby kandydatów do kapłaństwa.

Jeśli konwertyci mają zachować żywą wiarę także po opadnięciu pierwszej euforii, muszą nauczyć się stawiać czoło zsekularyzowanemu społeczeństwu, ale też niebezpieczeństwom i traumom, które spotykają wewnątrz Kościoła. Muszę oprzeć się pokusie tworzenia „katolickiego getta” jako ochronnego bunkra, oblężonej twierdzy. Trudno bowiem oprzeć się wrażeniu, że niektórzy niczego się nie nauczyli z efektów antymodernistycznej wojny na progu XX wieku, która doprowadziła do utraty twórczej, myślącej inteligencji właśnie w momencie, kiedy tych ludzi Kościół potrzebował najbardziej.

Nie tęsknijmy za Titanikiem

O co nam, chrześcijanom, naprawdę chodzi? Czego oczekujemy, kiedy mówimy o odnowie Kościoła i Nowej Ewangelizacji? Co jest celem? Co może być kryterium sukcesu? Czy oczekujemy, że kościoły, klasztory i seminaria znów się zapełnią?

To byłby cud.

Wolno nam się modlić o cuda. Ale nie wolno nam wliczać cudów do kalkulacji na przyszłość. Wielka łódź tradycyjnego chrześcijaństwa przeszłości opada na dno. Nie powinniśmy tracić czasu na przesuwanie leżaków na „Titanicu”. Kto myśli, że współczesne burze wokół seksualnych nadużyć miną i wszystko znów będzie tak, jak przedtem – ten się myli. Jeśli chrześcijaństwo w Europie ma mieć inną przyszłość niż zamknięta sekta, trzeba poważnie potraktować wielkanocny charakter wiary chrześcijańskiej. Podstawową częścią opowieści o Jezusie jest jego śmierć i zmartwychwstanie. Śmierć jest ważna i nieunikniona, a zmartwychwstanie to nie jest prosty powrót do przeszłości, do poprzedniego stanu. Ewangelia opowiada, że Jezus po doświadczeniu

śmierci został przemieniony. Nawet jego najbliżsi i ukochani nie byli w stanie go poznać. Uczniowie na drodze do Emaus uważali go za cudzoziemca. Maria Magdalena – za ogrodnika. Apostoł Tomasz poznał go dopiero po ranach. W historii Kościoła zawsze przeplata się śmierć, zmartwychwstanie i kryzys. Także dziś.

Gdy ta jedna znana postać chrześcijaństwa – ta, która zrodziła się w reakcji na oświecenie i na etykę autentyczności lat 60. – zanika, być może pojawia się Jezus pod postacią cudzoziemców, nieznanym pielgrzymów, pod postacią tych, którzy odnieśli rany. Populiści uczą lud wołać: „Precz! Ukrzyżować ich!”. Cyniczni politycy wraz z Piłatem pytają: „Czym jest prawda? Jaką wagę ma prawda? Do czego jest przydatna? Przecież żyjemy w czasie postprawdy!”. Faryzeusz pyta, aby usprawiedliwić swoją obojętność: „Kim jest mój bliźni? Przecież to musi mieć jakąś granicę! Nie mogę wszystkich traktować jako swoich bliźnich!”. A Jezus te pytania odwraca: Nie pytaj, kto jest twoim bliźnim, ale uczyni się bliskim każdemu, kto cię potrzebuje. Nie pytaj, czym jest prawda, ale czyń prawdę w miłości!

Nie oglądaj się z nostalgią w przeszłość, jak żona Lota, która została zamieniona w słup soli, ale bądź solą ziemi! Nie patrz w niebo, jak uczniowie po wniebowstąpieniu Pana, ale rozglądaj się wokół siebie i szukaj Chrystusa w tych, którzy zostali zranieni. On jest z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata. Często jest tu jednak *incognito* i wierzyć oraz ufać Mu oznacza nieustannie Go znów szukać. Najważniejsze, co dziś możemy zrobić dla odnowy chrześcijaństwa w Europie, to wytworzenie platform dialogu, studiów i refleksji, na których będziemy badać „znaki czasu” i uczyć się szukać właściwych odpowiedzi.

© Przetłumaczył TOMASZ MAĆKOWIAK

KS. PROF. TOMÁŠ HALÍK (ur. 1948) jest czeskim teologiem, socjologiem i duszpasterzem; wyświęcony tajnie na księdza w czasach komunistycznych, był współpracownikiem opozycji, a po 1989 r. m.in. doradcą prezydenta Václava Havla. Autor wielu religijnych bestsellerów.

Powyższy tekst jest wykładem wygłoszonym 4 maja w Mariazell podczas europejskiej pielgrzymki międzynarodowej Wspólnoty Ackermann. Dziękujemy Księdzu Profesorowi za zgodę na jego publikację w „Tygodniku”. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.



ALEKSANDER KEPLICZ / FORUM

Protest „Tęcza nie obraża” w obronie Elżbiety Podleśnej, autorki plakatu przedstawiającego Matkę Bożą Częstochowską z tęczowym nimbem, Warszawa, 7 maja 2019 r.

Nie profanuj bliźniego swego

PIOTR SIKORA

Nasze polskie chrześcijaństwo znów pokazało swoją słabość. Zamiast przynosić pojednanie, daje się łatwo użyć w walce o władzę i w kulturowej wojnie.

HISTORIA JEST ZNANA, ALE WARTO PRZYPOMNIEĆ fakty. W Wielki Piątek w kościele św. Dominika w Płocku urządzono Grób Pański, gdzie wśród napisów wyliczających grzechy takie jak „nienawiść”, „pogarda”, „hejt”, „zdrada” i „zbożenia” pojawił się też napis „LGBT”. Pod koniec kwietnia wokół kościoła (także na śmietnikach i przenośnych toaletach) ktoś rozlepił plakaty ze zmodyfikowanym wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej – z nimbami w kolorach tęczy. W poniedziałek 6 maja nad ranem policja weszła do mieszkania Elżbiety Podleśnej – podejrzanej o przeprowadzenie akcji plakatowej. Zatrzymano ją jak groźnego przestępcę, zarekwirowano jej sprzęt elektroniczny. Po przeszukaniu mieszka-

nia wywieziono ją z Warszawy do płockiej komendy policji – tam grożono zatrzymaniem na 48 godzin, zmuszono do zmiany ubrania z osobistego na „aresztowe”, ostatecznie zwolniono po kilkugodzinnym przesłuchaniu.

W nocy z poniedziałku na wtorek plakaty z podobnie zmodyfikowanym wizerunkiem pojawiły się na kilku budynkach w Warszawie, m.in. na budynku prokuratury, a także na murach sanktuarium św. Faustyny i klasztoru Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia.

W internecie zaroilo się od komentarzy i oświadczeń. O bardzo różnym, często przeciwnym wyrażeniu. Ze strony katolickiej dominują głosy pełne oburzenia na czyn Elżbiety Podleśnej oraz tych,

którzy rozlepili plakaty w Warszawie, i wzywające do modlitwy ekspiacyjnej „za akt profanacji”. W tym duchu sformułował swój komunikat rzecznik Komisji Episkopatu Polski. Bp Henryk Tomasik z Radomia oświadczył: „Profanacja obrazu Matki Bożej to wyraz nienawiści do tego, co Boże, to jest brak szacunku dla Boga. To również braku szacunku dla osób wierzących”. Przeor Jasnej Góry stwierdził, że to „uderzenie w serce Polaków” i „brak szacunku dla wierzących” – łącząc kwestie religijne z patriotycznymi, gdyż według niego wizerunek jasnogórski jest nie tylko święty dla katolików, ale też jest „jednym z ważnych elementów, które świadczą o naszej polskości”.

Ze strony oficjalnych instytucji kościelnych najbardziej pogłębione stanowisko zajął prymas Polski abp Wojciech Polak. Z jednej strony podkreślił, że „nie może być zgody, by z jakiegokolwiek powodu naruszać to, co dla poszczególnych ludzi, grup społecznych czy wyznaniowych jest nienaruszalne”. Skrytykował więc akcje „kolorowania” nimbu: „żadna sytuacja nie usprawiedliwia działań, które ranią wrażliwość drugiego człowieka”. Z drugiej strony negatywnie ocenił (choć w zawołany sposób) działania policji, dodając: „ani takich, które w odwecie odbierają godność i poczucie bezpieczeństwa”. Próbował też zaznaczyć szerszy, polityczny →

→ kontekst wydarzeń: „Sytuacja wielu napięć i podziałów, jakie w ostatnim czasie mają miejsce w naszej Ojczyźnie, a które jeszcze bardziej uwypukliły się na kanwie wydarzeń dotyczących wykorzystania jasnogórskiej ikony Matki Bożej do doraźnej walki politycznej i ideologicznej, budzą mój ból i niepokój”.

Na to, że sprawa stała się elementem przedwyborczej walki o władzę, wskazują reakcje polityków. Prawicowi, m.in. Patryk Jaki i Joachim Brudziński (skądinąd szef resortu spraw wewnętrznych), wyrażali przede wszystkim zadowolenie ze zdecydowanych działań policji przeciw Elżbiecie Podleśnej. Krytycznie o jej zatrzymaniu wypowiedzieli się politycy opozycji i Donald Tusk. Nie można jednak nie zauważyć, że Podleśnej broniły także instytucje zajmujące się prawami człowieka, jak Helsińska Fundacja Praw Człowieka czy Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich.

Z kolei w wydawanym przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej „Magazynie Kontakt” ukazał się tekst Stanisława Krawczyka „Tęcza nas nie obraża! Stoimy u boku Elżbiety Podleśnej”, podający w wątpliwość sam fakt dokonania profanacji i przypominający, że „tęczowa Matka Boża” stanowiła reakcję na skandaliczny wystrój wielkopiątkowego Grobu.

Wkrótce potem na internetowych stronach „Więzi” ukazał się list otwarty do biskupów, również wyrażający protest przeciw postępowaniu policji wobec Elżbiety Podleśnej, kwestionujący profanacyjny charakter pokolorowania nimbu na tęczowo, krytykujący upolitycznienie sprawy i wzywający biskupów do sprzeciwu wobec wykorzystywania wiary chrześcijańskiej przez polityków. Wśród blisko czterdziestu sygnatariuszy znaleźli się m.in. prezes Stowarzyszenia im. Jana Karskiego Bogdan Białek, Henryk Woźniakowski i Dominika Kozłowska ze „Znaku”, Cezary Gawryś, Grzegorz Pac i Jakub Halcewicz-Pleskaczewski z „Więzi” oraz piszący te słowa.

Sprawa porusza szerokie kręgi społeczne i ujawnia ważne procesy, które zachodzą w polskim Kościele. Warto uważnie przyrzeć się wątkom, które się w niej spletają.

Chory katolicyzm

Wątek pierwszy dotyczy stosunku Kościoła do ludzi LGBT+. Tu tkwi fundament całego sporu. Tęcza jest przecież starym symbolem chrześcijańskim i pojawia

Nie ma profanacji,
jeśli przekształcenie
symbolu jest zgodne z jego
pierwotnym przesłaniem.

**I z treścią wiary,
którą ma ożywiać.**

się na wielu wizerunkach Chrystusa i Jego Matki. Dopiero jako symbol ruchu LGBT+ może wywoływać jakiekolwiek kontrowersje. Że o takie rozumienie tego symbolu chodziło autorce przeróbki jasnogórskiej ikony, wskazuje kontekst jej akcji. Kiedy homoseksualny mężczyzna zwrócił uwagę proboszczowi kościoła św. Dominika na niestosowność takiej aranżacji Grobu Pańskiego (zrównanie LGBT z niewiścią, zdradą i zboczeniem), usłyszał, że sam „jest zboczony i powinien się leczyć” (warto zauważyć, że ów ksiądz przekroczył określone przez prymasa granice wolności wypowiedzi). Działanie Elżbiety Podleśnej można rozumieć jako reakcję na taką formę religijności, która wiąże się z agresją wobec osób LGBT+, ponizaniem ich i wykluczaniem. Domalowanie Marii i Jezusowi tęczowego nimbu byłoby próbą zwrócenia uwagi, że Bóg jest po stronie odrzuconych i cierpiących z tego powodu – w tym przypadku ludzi odmiennej orientacji seksualnej.

Dotykamy tu poważnej choroby polskiego katolicyzmu. Oficjalne stanowisko Kościoła wyrażone w Katechizmie głosi, że osoby homoseksualne „powinno się traktować z szacunkiem, współczuciem i delikatnością” oraz że „powinno się unikać wobec nich jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji”. W wielu katolickich środowiskach i wspólnotach w Polsce tych zasad się nie przestrzega. Z powodów religijnych osobom LGBT+ trudno jest zaakceptować siebie takimi, jakimi są. Często nie mogą ujawnić swojej orientacji nawet wobec najbliższych – słusznie obawiając się odrzucenia. Gdy zaś się ujawnia – spotykają się nieraz nie tylko z odrzuceniem, ale i agresją. Trzeba zatem próbować zrozumieć działania, które pokazują, że coś tu nie jest w porządku. Nawet jeśli co do formy tych działań można mieć zastrzeżenia.

Aktualizacja symboli

Tu pojawia się wątek drugi: pytanie o granice dostosowywania tradycyjnych symboli religijnych do aktualnego kontekstu. Sakralny charakter pewnych symboli polega na tym, że przynależą one do sfery wyjętej spod władzy i kontroli człowieka – nie można nimi dowolnie rozporządzać i używać „do czczych rzeczy”. Akt takiego użycia zgodnie z własnym pomysłem i wolą jest właśnie próbą przeniesienia symbolu do sfery *profanum* – czyli aktem profanacji. Wszelkie przeróbki obrazów funkcjonujących w sferze sakralnej są obarczone podobnym ryzykiem.

Ryzyko istnieje, ale do profanacji dojść nie musi. Z drugiej strony bowiem symbole religijne, jeśli mają pozostać żywe, muszą bezpośrednio wiązać się z aktualną sytuacją egzystencjalną człowieka. Muszą w swojej warstwie postrzegalnej wiązać się z rzeczywistością, w której zanurzeni są ludzie przywiązujący do nich religijne znaczenie. Ponieważ zaś rzeczywistość ta nieustannie się zmienia, wspólnoty religijne nieustannie dokonują aktualizacji – czyli zmiany swoich symboli. Z takim właśnie procesem mamy do czynienia choćby w tradycji aranżacji Grobów Pańskich – i nie jest to (a przynajmniej być nie musi) profanacja.

Nie ma profanacji, jeśli aktualizujące przekształcenie jest zgodne z pierwotnym przesłaniem danych symboli, z treścią wiary, którą mają ożywiać. W przypadku chrześcijaństwa rdzeniem tego przesłania jest – mówiąc w uproszczeniu – miłość, miłosierdzie, odkrywanie i ochrona godności każdego człowieka, podnoszenie i troska o rozwój każdego dobra, a także jednoczenie i niesienie pokoju.

W tym kontekście przemalowanie nimbów ikony jasnogórskiej w kolory tęczy – nawet pojmowane jako znak ruchu LGBT+ – nie jest profanacją tego symbolu. To zabieg kontrowersyjny – ale tylko dlatego, że dla wielu pobożnych katolików polskich myśl o tym, że Bóg mógłby być po stronie osób LGBT+, jest nie do przyjęcia. Obraz Matki Bożej Częstochowskiej z tęczowym nimbem kwestionuje ich sposób pojmowania i przeżywania chrześcijaństwa, uderza zatem w ich tożsamość na podstawowym poziomie. W tym sensie można powiedzieć, że uraża ich uczucia religijne. Tyle że na przestrzeni dziejów wiele wybitnych postaci, reformatorów religijnych i proroków, urażało uczucia religijne sobie współczesnych, by uratować

świętość tego, co prawdziwie święte, odnowić tradycję i uchronić ją przed degeneracją i zeświecczeniem. Nie uważam, by Elżbieta Podleśna była wybitną religijną reformatorką – ale jej działanie odczytuję raczej po tej linii, choć wiem, że inaczej widzi to wiele katolickich środowisk.

Polityczna profanacja religii

Spór wśród katolików prowadzi nas do politycznego wątku sprawy – karalności obrazy uczuć religijnych i sposobu działania organów państwa w tej konkretnej sytuacji.

Jeśli chodzi o polskie prawo, art. 196 kodeksu karnego stanowi: „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Jak pokazuje sprawa Elżbiety Podleśnej oraz wiele innych podobnych spraw, rozstrzygnięcie, co jest, a co nie jest publicznym znieważeniem przedmiotu czci religij-

nej, nie jest proste. Na pewno zaś nie leży w kompetencjach instytucji świeckiego państwa. Najlepiej by było, gdyby ów przepis zniknął z kodeksu karnego.

I jeszcze jedna kwestia. W ostatnim czasie mieliśmy w Polsce do czynienia z wieloma sytuacjami, w których można było mieć uzasadnione podejrzenie o naruszenie art. 196 – jak choćby podczas agresywnych nacjonalistycznych manifestacji na Jasnej Górze. W tamtych przypadkach organy państwa nie podejmowały jednak żadnych działań. Z drugiej strony wypowiedzi polityków PiS wskazują, że chcą oni użyć lęku przed „innymi” (czy to uchodźcami, czy osobami LGTB+) do zdobycia głosów wyborców – prezentując się jako jedyni obrońcy „naszej chrześcijańskiej kultury”.

Ostatnia akcja policji wygląda więc na wyrachowaną i dość cyniczną próbę wykorzystania kwestii religijnych w walce o polityczną władzę, jednocześnie będąc działaniem godzącym w godność konkretnej osoby. I właśnie dlatego jeśli już w całej tej sytuacji mamy do czynienia z profanacją, to był nią sposób potraktowania przez

policję Elżbiety Podleśnej i komentujące tę akcję głosy, takie jak wypowiedź ministra Brudzińskiego.

Tym większym smutkiem napawa mnie fakt, że polski episkopat widzi profanację obrazu, a nie dostrzega ani cierpienia osób LGBT+ powodowanego działaniami takimi jak płocki Grób Pański, ani nadużycia władzy wobec Elżbiety Podleśnej, ani też gry polityków wykorzystujących wiarę i Kościół w walce o władzę. Nie potrafi zatem, wbrew swoim intencjom, obronić tego, co święte, przed profanacją – „użyciem do czczych rzeczy”.

Smutne jest też, że wiara sporej części polskich katolików okazuje się bardziej przywiązaniem do uświęconych tradycją „naszych” symboli niż otwarciem na innego, w którym przychodzi do nas Inny. Walcząc o utrzymanie partykularnych tożsamości, ranimy się nawzajem i pogłębiamy podziały. Coraz dalej nam do powszechności. Wbrew temu, co głosił ostatni Sobór, my, Kościół w Polsce, nie jesteśmy sakramentem – ani znakiem, ani narzędziem – jednością.

© P. PIOTR SIKORA

REKLAMA



Co to jest muzeum etnograficzne?
Skąd pochodzi nazwa „skansen”?

Jak i dlaczego powstają kolekcje
muzealne?

NA TE I NA WIELE
INNYCH PYTAŃ
ZNAJDZIESZ ODPOWIEDZI
NA WYSTAWIE DLA DZIECI

MUZEUM DO ZABAWY?

ZNAJDUJĄCEJ SIĘ W

MUZEUM – KASZUBSKIM PARKU ETNOGRAFICZNYM
IM. TEODORY I IZYDORA GULGOWSKICH
WE WDZYDZACH KISZEWSKICH

#MUZEUMDOZABAWY

WWW.MUZEUM-WDZYDZE.GDA.PL

Stworzeni dla uczt weselnej

WOJCIECH BONOWICZ

„Mam nadzieję, że moje odchodzenie potrwa dłużej i nie będzie zbyt gwałtowne” – mówił Jean Vanier. Przyjaciel osób z niepełnosprawnością intelektualną i wielki autorytet duchowy zmarł w wieku 90 lat.

WIĘKSZOŚĆ OSÓB ŻYCI SOBIE SZYBKIEJ I ŁAGODNEJ ŚMIERCI. A Jean już w 2006 r. – podczas rozmowy ze mną i Łukaszem Tischnerem dla miesięcznika „Znak” – mówił, że chce, aby jego przyjaciele mieli czas oswoić się z jego odejściem. „Powinienem przejść długą, przewlekłą chorobę” – powiedział.

Nagrywaliśmy ten wywiad w krakowskich Łagiewnikach, gdzie prowadził rekolekcje. Przyjął nas w swoim pokoju, leżąc w łóżku. Odpoczywał pomiędzy kolejnymi konferencjami, a my przyszliśmy rozmawiać o starości i śmierci. Wyraźnie ucieszył się, że chcemy o to pytać. „Historia każdego z nas sprowadza się do tego, że rodzimy się w słabości i umieramy w słabości – mówił. – Przez wiele lat byłem odpowiedzialny za mój dom wspólnotowy, musiałem rozwiązywać konflikty, borykać się z trudnościami. Dziś nie mogę pracować jak dawniej, nie ciąży na mnie w naszym domu żadne obowiązki, poza jednym: że mam ich nie mieć... Teraz, kiedy jestem słabszy i inni widzą moją słabość, pełniej doświadczam, czym jest komunია. Bo kiedy dysponujemy siłą, nie wiemy, czym ona jest. Oczywiście władza czy autorytet mogą wyrażać się w sposób uprzejmy i potrafią budować jedność, niemniej prawdziwa komunია wyklucza siłę. Tajemnica słabości polega na tym, że to ona sprawia, iż jesteśmy razem. Fundamentem każdej wspólnoty, każdej rodziny jest wezwanie: »Potrzebuję cię, nie mogę tego zrobić sam«”.



Zaufanie ojca

Życie Jeana przypomina trochę biografię Brata Alberta. Jako młody człowiek nie brał wprawdzie czynnego udziału w walkach, ale otarł się o wojnę. W 1941 r., jako trzynastolatek, zdecydował się wstąpić do marynarki wojennej. Na decyzję wpłynęły zapewne przeżycia z pierwszych wojennych miesięcy: rodzina gen. Georges'a Vaniera, radcy ambasady kanadyjskiej w Paryżu, przez Walię uciekła do Kanady. W pamięci rodziny zapisał się epizod z portu w Bordeaux: statek handlowy, który zabrał ich do Walii, wypływał w morze, kiedy podpłynął holownik z kolejną grupą uchodźców. Ze względu na bezpieczeństwo tych, którzy już byli na pokładzie, kapitan odmówił ich przyjęcia. W jakiś czas potem popełnił samobójstwo.

Jean zdecydował, że wstąpi do szkoły morskiej w Dartmouth w Anglii. Było to dla całej rodziny trudne wyzwanie. Anglia była bombardowana (w 1942 r. niemiecki nalot zniszczył budynki szkolne), a każde wypłynięcie w morze wiązało się z możliwością ataku ze strony łodzi podwodnych. Mimo to, kiedy Jean oznajmił ojcu, jaka jest jego decyzja, ten odpowiedział krótko: „Ufam ci”. „W ten sposób mój ojciec dał mi życie – mówił po latach Vanier. – Pomogło mi to w przyszłości podobnym zaufaniem obdarzać innych”.

Pochodził z kochającej się rodziny i miał liczne rodzeństwo, sam jednak rodziny nie założył. W 1950 r., jako dobrze się zapowiadający oficer marynarki kanadyjskiej, postanowił nagle porzucić karierę wojskową i poświęcić się poszukiwaniom duchowym. Jedną z inspiracji była dlań książka Thomasa Mertona – „Siedmiopiętrowa góra”. Matka, Thérèse Vanier, poznała go z o. Thomasem Philippe'em, dominikaninem, cenionym duszpasterzem. Spotkanie to zaważyło na dalszych losach Jeana. Najpierw wstąpił do prowadzonej przez o. Philippe'a wspólnoty Eau Vive (Żywa Woda), która skupiała studentów chcących wejść głębiej w chrześcijańską duchowość. Równocześnie rozpoczął studia filozoficzne i teologiczne, przygotowujące do kapłaństwa (święcenia miał przyjąć w Kanadzie). W 1956 r. władze kościelne zażądały jednak od niego opuszczenia wspólnoty, którą oskarżano – jak się okazało, niesprawiedliwie – o odstępstwa od ko-

ścielnej ortodoksji, i przeniesienie się na stałe do seminarium.

9 czerwca miało miejsce zdarzenie, które Jean po latach wspominał z uśmiechem: francuski prowincjał dominikanów podsunął mu do podpisu odpowiedni dokument, a Jean parafował go bez czytania. Okazało się, że prowincjał się pomylił: zamiast rezygnacji z członkostwa we wspólnocie, Jean podpisał oświadczenie, że odrzuca proponowane warunki. Mimo nalegań, nie wycofał później swojego podpisu i w ten sposób znów musiał szukać sobie miejsca.

Jakiś czas mieszkał w klasztorze trapiстів, potem samotnie na farmie, z coraz większym zaangażowaniem studiując filozofię. W tym czasie jego ojciec został powołany na stanowisko gubernatora generalnego Kanady. W 1962 r. w Instytucie Katolickim w Paryżu Jean obronił doktorat o pojęciu szczęścia u Arystotelesa. Dostał zaproszenie na Uniwersytet w Toronto i rok później rozpoczął wykłady z etyki.

I wtedy po raz kolejny na jego drodze zjawiał się o. Philippe: zaprosił Jeana do małego miasteczka Trosly-Breuil (80 km od Paryża), gdzie w domu opieki dla mężczyzn z upośledzeniem umysłowym Val Fleuri pełnił obowiązki kapelana. Wizyta w tym miejscu okazała się kolejnym przełomem. „Usłyszałem wewnątrz przejmujący krzyk ludzi z upośledzeniem” – mówił po latach Jean. Zobaczył grupę mężczyzn o różnym rodzaju i stopniu niepełnosprawności, którzy wprawdzie mogli liczyć na życzliwość lekarzy i wychowawców, ale żyli w izolacji, z dala od swoich rodzin, bez kontaktów z innymi ludźmi. Mieszkańcy domu opieki okazali się osobami niesłyszanie serdecznymi, zaciekawionymi nowym przybyłym, ale nie ze względu na to, co reprezentował, lecz ze względu na to, że po prostu wśród nich był. „Nie obchodził ich mój intelekt, interesowała ich tylko moja osoba. Przyszedłem do nich z hierarchią wartości, która nic dla nich nie znaczyła”. Jedyne, czego oczekiwali, to relacji. „Czy mnie kochasz?”, „Czy jeszcze przyjdiesz?” – pytali i Jean zrozumiał, że na te pytania nie można odpowiedzieć wymijająco.

Przepis na świętowanie

W Kościele katolickim trwał właśnie Sobór Watykański II, powstawały jego

rewolucyjne dokumenty, zmieniało się m.in. myślenie o roli świeckich w kościelnej wspólnocie, a Jean Vanier przygotowywał się do czegoś z pozoru bardzo skromnego. W 1964 r. kupił w Trosly mały kamienny domek i zamieszkał w nim najpierw z trójką, a potem z dwójką mężczyzn, którzy wcześniej byli pensjonariuszami Val Fleuri. Razem z Raphaëlem Simi i Philippe'em Seux stworzył w ten sposób pierwszą wspólnotę Arki (L'Arche).

Początki były ciężkie. Jean musiał się nauczyć opiekować współmieszkańcami, którzy byli niepełnosprawni nie tylko intelektualnie, ale również fizycznie. Niemniej to proste życie szybko go pochłonęło. Wkrótce odkrył, że obok wspólnej pracy najważniejsze jest świętowanie i że niekoniecznie musi ono przybierać jakieś wyrafinowane formy. Istotą świętowania jest uwaga, wzajemne słuchanie się i dzielenie. „Jesteśmy stworzeni dla uczyty weselnej” – mówił Łukaszowi i mnie, nawiązując do opowieści o Kanie Galilejskiej. „A my zamieniliśmy weselną ucztę na zarządzanie przedsiębiorstwem (...) Ludzie są powołani do tworzenia miejsc świętowania. Miejsc niewykluczających nikogo, zapraszających innych na ucztę. Niestety, zamieniliśmy życie w coś zbyt poważnego: działanie, bogacenie się, produkcję (...) Straciliśmy poczucie bujnej płodności – dawania życia, cieszenia się nim – na rzecz produktywności. Tym, co najgłębiej skrywa się w naszym człowieczeństwie, jest radość”.

Zdobywanie Lourdes

Stopniowo wokół Jeana zaczęli pojawiać się ludzie zainteresowani takim sposobem życia. W Wielkanoc 1971 r. wspólnie z Marie-Hélène Mathieu Vanier zorganizował pielgrzymkę do Lourdes, w której wzięły udział osoby z upośledzeniem umysłowym i ich rodziny. Marie-Hélène w książce „Nigdy więcej sami” wspomina, że tuż przed pojawieniem się pielgrzymów w Lourdes panowała atmosfera, jakby zaraz miała wybuchnąć wojna. „Na brzegu rzeki Gave co 50 metrów stał żołnierz z kontyngentu, aby dzieci lub dorośli nie rzucili się albo nie wpadli do wody. Do interwencji gotowi byli nawet nurdowie. (...) Niektórzy sklepikarze opuścili antywłamaniowe rolety, gdyż obawiali się, że ich sklepy będą ograbione”.



PAUL COOPER / REX / EAST NEWS

Jean Vanier z Pascalem, jednym z mieszkańców Arki, 2004 r.

→ Sceny te wiele mówią o tym, jak wyobrażano sobie wówczas osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Spodziewano się incydentów, wybuchów agresji, tymczasem 12 tysięcy pielgrzymów z 15 krajów zachowywało się spokojnie: brało udział w nabożeństwach, występach, odwiedzało miejsca związane ze św. Bernadettą. Pielgrzymka dała początek nowemu ruchowi – Wiara i Światło – który skupia się wokół rodzin mających dzieci z upośledzeniem umysłowym. Tworzą go wspólnoty spotkania: osoby niepełnosprawne mieszkają w swoich domach, ale mają przyjaciół-wolontariuszy, którzy są z nimi w kontakcie, wspólnie organizują wyjścia i rozmaite imprezy, a w wakacje wyjeżdżają razem na obozy.

Podobnie jak w Arce, tak i tu pierwszym celem wspólnot nie jest działanie, lecz tworzenie komunii z tymi, którzy często nie mają innych przyjaciół. Podczas spotkań ważnym elementem jest wspólna modlitwa, rozmowa i zabawa, ale też posiłek, podczas którego jedni mogą usługiwać drugim. Jednym z ciekawszych zwyczajów, jakie są podtrzymywane w ruchu, jest wzajemne umywanie nóg. Podczas tego obrzędu znikają wszelkie podziały: niesprawni lub mniej sprawni myją nogi sprawniejszym, dzieci rodzicom, rodzice młodym wolontariuszom. Ruch Wiara

Vanier podkreślał:
niepełnosprawni
– nastawieni na życie
w bliskości i czułości
– **przypominają nam,
„normalnym”, o tym,
co powinno być
naszym celem.**

i Światło nie ma przełożonych, a jedynie koordynatorów; to także jest wyrazem niehierarchicznego myślenia o wspólnocie.

Sens życia

Na świecie istnieją obecnie 154 wspólnoty Arki w 38 państwach oraz 1450 wspólnot Wiary i Światła w 85 krajach; liczbę członków tych ostatnich szacuje się na około 40-45 tysięcy. Nie są to liczby duże, zważywszy, iż ruchy istnieją już tak długo. Niemniej ich pojawienie się i trwanie, a także cała działalność Jeana Vaniera – liczne konferencje, wykłady, książki i filmy – sprawiły, że stosunek do osób z niepełnosprawnością intelektualną bar-

dzo się zmienił, nie tylko zresztą w Europie. Oba ruchy są zakorzenione w Kościele katolickim, ale mają charakter eklezjalny, a nawet międzyreligijny. Ich członkami bywają też osoby niewyznające żadnej religii.

Bardzo ciekawym świadectwem spotkania odmiennych wrażliwości jest książka „(Bez)sens słabości. Dialog wiary z niewiarą o wykluczeniu”, zawierająca listy Jeana Vaniera i Julii Kristovej, wybitnej językoznawczyni i filozofki, którą zafascynowało życie Arki, mimo iż sama określa siebie jako osobę niereligijną. Vanier wielokrotnie podkreślał, że osoby z niepełnosprawnościami są cementem, który może połączyć rozwarstwiające się i rozpadające społeczeństwa. Nastawieni nie na władzę i konkurowanie z innymi, lecz na życie w bliskości i czułości, przypominają nam, „normalnym”, o tym, co powinno być celem naszych starań. Podczas jednej z wielu rozmów, jakie odbyliśmy, powiedział, że marzy mu się „społeczeństwo oparte nie na strachu, lecz na powitaniu”. W 2015 r. za swoją działalność społeczną i intelektualną Jean Vanier został wyróżniony Nagrodą Templetona.

Jego pragnienie wypowiedziane w Łągowicach spełniło się. Kilka miesięcy temu wykryto u niego nowotwór trzustki. Zaatakowane tkanki zostały usunięte, ale okres rekonwalescencji się przedłużał i nie przynosił poprawy. Mimo cierpienia Jean cieszył się, że może stopniowo pożegnać się z członkami swojej wspólnoty. Zmarł w szpitalu w Paryżu 7 maja o godz. 2.10 w otoczeniu najbliższych przyjaciół. Na kilka dni przed śmiercią zostawił wiadomość dla członków obu ruchów, które stworzył: „Czuję głęboki pokój i zaufanie. Nie wiem, jaka będzie moja przyszłość, ale Bóg jest dobry i cokolwiek się stanie, będzie to najlepsze. Jestem szczęśliwy i dziękuję za wszystko. Z całego serca przekazuję moją miłość do każdego z Was”. © WOJCIECH BONOWICZ

Korzystałem m.in. z książek Kathryn Spink „Cud, przesłanie i historia. Jean Vanier i Arka” w przekł. Dagmary Waszkiewicz (2008), Marie-Hélène Mathieu „Nigdy więcej sami. Przegląd »Wiary i Światła«” w przekł. zbiorowym (2014) oraz Anne-Sophie Constant „Jean Vanier. Biografia” w przekł. Katarzyny i Piotra Wierzbosławskich (2015). Rozmowa publikowana w miesięczniku „Znak”. Zobacz także wspomnienie ks. Adama Bonieckiego o Vanierze na stronie: powszech.net/vanier.

SZYMON

Hołownia:

Jak zgarnąć pulę



MAM W TYM ROKU MAJ SZCZEGÓLNIIE OBFITUJĄCY w spotkania z rodakami: 21 spotkań autorskich, 7 wykładów, od Podkarpacia po okolice Gorzowa, od Dolnego Śląska po Warmię. Na jednym z nich, w pięknym miasteczku w okolicach Tarnowa, komple-

nie olanym przez Koalicję Europejskie, bo przecież to i tak zagłębienie PiS-u (w jednym tygodniu jest tu spotkanie z Patrykiem Jakim na parafii oraz z Ryszardem Legutką i Beatą Szydło w wynajętym domu kultury), w samym środku mojego monologu o fundacjach, pomaganiu i współczesnym świecie pada tradycyjne pytanie: „A dlaczego pan nie pomaga polskim biednym dzieciom, tylko zagranicznym?”

Jak pisałem już na tych łamach, od 17 października ubiegłego roku mam na to pytanie gotową odpowiedź, cytuję z wystąpienia, które tego dnia wygłosił w Gdyni minister Mariusz Błaszczak: „Gdyby nie zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości, wśród dzieci panowałaby bieda. A my, rząd Prawa i Sprawiedliwości, biedę wśród dzieci wyeliminowaliśmy”. Skoro w Polsce biednych dzieci nie ma (no chyba że minister kłamie, ale w to przecież nie uwierzę), a jedynie średnio zamożne lub wręcz bogate, zrozumiałym jest, że pozostaję w tym zakresie bez zająca.

No i wtedy mniej więcej w połowie sali podnosi się głos: „A co pan tak tego PiS-u nie lubi? Co pan się tak z nich wyśmiewa? Mnie się to bardzo nie podoba, że pan ich nie lubi, proszę pana!”. Odpowiadam, starając się zrobić to z możliwie najbardziej czującym uśmiechem, że nie przyjechałem na wybory Miss Ziemi Tarnowskiej, przymusu podobania się zatem w sobie nie noszę. „Ale że pan się z Błaszczaka wyśmiewa, proszę pana! Nieładnie! Ja jestem tym oburzony, bo ja go lubię, proszę pana!”. Znowu staram się wyjaśnić rozmówcy, że o guście co do mężczyzny trudno dyskutować: ktoś woli Błaszczaka, kogoś kręci Prokop, ale naszej dyskusji z pewnością wyszłoby na dobre, gdyby zechciał powiedzieć konkretnie, nie co lubi, ale z czym z tego, co powiedziałem, się nie zgadza.

W odpowiedzi znowu słyszę: „Ale mnie się to nie podoba, że on się panu nie podoba!”. Po raz pięćdziesiąty siódmy poprosiłem o cytaty i argumenty. Organizatorzy patrzą w popłochu, że zaraz będzie rozróżba, że ja może pójść bić tego pana albo mój majestat poczuje się obrażony i wyjdę. A ja szczerze kocham takie właśnie momenty! Mówię więc temu człowiekowi, że naprawdę się cieszę, że zabrał głos, że powiedział, co myśli, że przecież to normalne, to naprawdę nie grzech, że się w swoich preferencjach różnimy. No bo grzech czy nie grzech, w końcu? Nie grzech, co do tego chętnie się obaj zgodziliśmy. Po czym on mnie przeproszał, że zaczął krzyczeć i mi przerwał, ja go zapewniałem, że nie ma za co.

A na koniec zaprosiłem go na scenę i dałem mu to, co akurat miałem pod ręką – Ewangelię, mówiąc, że to oczywiste, że bę-

dziemy głosować inaczej, ale ja i on będziemy przecież czytać ten sam tekst, bo ja mam nawet dokładnie takie samo wydanie. I to nas połączy. I niech zawsze pamięta, że nawet z tym, z kim go coś różni, coś go też zawsze łączy. Później był misio i obaj poszliśmy być gwiazdami okolicznościowego bufetu.

Po wykładzie Leszka Jażdżewskiego, który zamienił się miejscami z Donaldem Tuskiem, i sobotniej (a piszę to w piątek) premierze filmu braci Sekielskich o księżach pedofilach, a także po aferze z tęczą w aureoli Matki Bożej Częstochowskiej stało się przynajmniej jasne, nad czym będziemy w istocie głosować 26 maja, jakie dwie najważniejsze kwestie rozstrzygniemy, jakie pytanie zada nam wyborcza kartka: 1. Czy lubisz polskich biskupów? 2. Czy lubisz homoseksualistów? Co do reszty spraw – wszystko przecież wygląda tak samo. Nawet ci, którzy niedawno nazywali unijną flagę szmatą, zawijają się w nią teraz niczym w ślubny welon, wszyscy obiecują „silną Polskę w silnej Europie” oraz deszcz „ojro”, który już w następny poniedziałek zaleje polskie place i ulice. Wiele razy na tych łamach utyskiwałem na to, że odkąd pamiętam, zawsze to wygląda tak samo: politycy ruszają na tarło pół roku przed każdymi wyborami, a buzujące w nich na tym rykowisku hormony sprawiają, że obiecują ci wszystko, by odejść w siną dal na trzy i pół roku w sekundę po dokonaniu wyborczego aktu.

Gdy jednak złożę sobie to wszystko do kupy: sytuacje takie, jak opisana na wstępie, totalitaryzm sondaży, gorących tematów i socjotechniki, w który zamieniła się polityka, syndrom sztokholmski znacznej części elektoratu, który głośnie na tych, co zawsze kandydują, nie wierząc, że to cokolwiek zmieni (wiem, że nie wszyscy mają tak jak ja, ale ja od 25 lat dokładnie w każdych wyborach głosuję na mniejsze zło) – zaczynam chyba rozumieć, gdzie tkwi grzech pierworodny, przyczyna choroby, wszystkich tych wykwitów i ropni, jakie obserwujemy dziś na twarzy polskiej demokracji.

Ona, w tym wydaniu, jakie mamy, zanegowała bowiem całą swoją istotę: pozbawiła całe rzesze ludzi, niezaliczających się do tzw. betonowych elektoratów tych czy tamtych, poczucia sprawczości, wpływu. Oni przestali wierzyć, że coś jeszcze mogą. Widzą, że partyjna magnateria z tej czy z tamtej strony nad ich głowami przegrywa lub wygrywa właśnie w karty ich miasta, wsie, przychodnie czy szkoły, więc odpuszczają sobie w ogóle to piętro, koncentrując się na obszarze, w którym ich decyzje coś jeszcze znaczą: domu, firmie, osiedlu, wyjeździe na majówkę i grillu.

Skazani na zmęczone głosowania na zmęczonych technologów władzy, podświadomie czujemy chyba, że nic – poza stołkami – nie zmieni się ani w tegorocznych wyborach, ani w przyszłorocznych, jeśli poza owymi betonowymi elektoratami nie ruszy się u nas coś jeszcze. Całą pulę zgarnąłby w nich ten, kto wiedziałby, jak przełożyć na polską politykę wizję Kościoła, którą ma papież Franciszek: Kościoła, który staje na rękach, by choć jeszcze jedną osobę włączyć, wciągnąć, przyjąć, dać szansę (idea tak różna od wizji papieskich krytyków, myślących tylko o tym, jak by tu kogoś jeszcze i na jakiej prawnej podstawie z naszej wspólnoty przeczystych dziewic wyłączyć). Kto umiałby powiedzieć nie tylko swoim wyznawcom i bojówkarzom, ale tym, którzy dawno już na tym wszystkim postawili kreskę: słuchaj, to nie żadna kokieteria. To absolutny fundament tego, o co w tym chodzi: bez ciebie to się nie uda. ©

W CIENIU PEKIŃSKIEGO SMOKA

Chiny Ludowe zwiększają presję na Tajwan, niewielką wyspę,
która od 70 lat opiera się komunistycznemu mocarstwu.
Wykorzystują do tego dezinformację w sieci.

JAN SMOLEŃSKI Z TAJPEJ



TO JEST JUŻ MĘCZĄCE DLA MŁODYCH LUDZI – mówi Yun-Chan. Ma ponad 30 lat, robił doktorat na jednej z nowojorskich uczelni, ale przerwał. Teraz pracuje w przedstawicielstwie Tajwanu w jednym z krajów Unii Europejskiej.

Gdy Yun-Chan mówi „to”, ma na myśli relacje między Chinami kontynentalnymi (Chińską Republiką Ludową) i Republiką Chińską. Tak brzmi oficjalna nazwa państwa, które częściej znamy pod geograficzną nazwą Tajwanu – niewielkiej, bo dziewięciokrotnie mniejszej od Polski wyspy u brzegów azjatyckiego kontynentu, zamieszkałej przez 25 mln ludzi. Dla porównania: ChRL ma niemal półtora miliarda obywateli.

„To” dominuje życie polityczne wyspy. Nie ma tygodnia, by „Taipei Times” – anglojęzyczna gazeta wydawana w stołecznym Tajpej – nie informował o nowych napięciach między Tajwanem a ChRL. I nie jest to propaganda dla obco-krajowców. Również Sherry, 32-latką po studiach z zarządzania, obecnie pracującą w jednej z instytucji badawczych w Tajpej, przyznaje, że trudno od „tego” uciec.

Także różnice między dwiema głównymi partiami politycznymi – Kuomintangiem oraz Partią Postępu i Rozwoju – dotyczą głównie relacji z Pekinem. Inne kwestie, od gospodarczych po obyczajowe, wydają się drugorzędne. – W skrócie: według Kuomintangu pokój i współpraca z Chinami są drogą do dobrobytu, zaś według Partii Postępu i Rozwoju kwestia niezależności i suwerenności stoi na pierwszym miejscu – wyjaśnia Yun-Chan.

– Skupienie na relacjach z Chinami to jednak w dużej mierze sposób na marketing polityczny – uważa młody dyplomata. Bo choć Tajwańczycy uwielbiają rozmawiać o polityce, to przy rodzinnym stole mało kto kłóci się o niuanse.

Tymczasowość na dekady

Niuanse, bo relacje między Pekinem i Tajpej są zawiłe. Aby je zrozumieć, trzeba sięgnąć do historii.

W 1949 r., pod koniec wojny domowej – lub, jak kto woli, komunistycznej rewolucji – przegrani chińscy nacjonaściści z Kuomintangu uciekli na Tajwan. Wraz z pobitą armią na wyspę przedostała się spora część elit intelektualnych i biznesowych. Przywódca Kuomintangu, Czang

Kaj-szek, planował wrócić i odbić Chiny z rąk komunistów Mao Zedonga, a Tajpej traktował jako „stolicę na czas wojny” Republiki Chińskiej. Pobyt tutaj miał być tymczasowy.

Tę tymczasowość widać było na wielu płaszczyznach. W sposobie sprawowania władzy: Czang Kaj-szek rządził Tajwanem twardą ręką i nie dzielił się władzą z nikim (Partia Postępu i Rozwoju powstała dopiero w 1986 r.; założyli ją działacze demokratyczni, wcześniej aktywni w podziemiu). Także w sposobie traktowania miejscowych: przybysze z Kuomintangu, którzy stanowili jedną czwartą populacji wyspy, cieszyli się przywilejami politycznymi i gospodarczymi, których odmawiano Chińczykom mieszkającym tu od pokoleń. Budowanie silnych instytucji państwa i sposobów współżycia przybyszów z miejscowymi nie było priorytetem – wszak wszystko miało być tymczasowe.

Tymczasowość widać nawet w architekturze. Miasta wyglądają na zbudowane niedbale (poza przepięknymi świątyniami), budynki nie przypadłyby do gustu zwolennikom zachodnich standardów estetycznych (dziś ta brzydota nie jest zresztą wyznacznikiem: w budynku z blachą falistą latającą dziury może znajdować się mieszkanie warte setki tysięcy dolarów).

Obecność nacjonalistów na wyspie przypominała wojskową okupację: wprowadzony w 1949 r. stan wojenny zniesiono dopiero w 1987 r., 12 lat po śmierci Czang Kaj-szeka, w trakcie procesu demokratyzacji. W latach 90. zaczęto dbać o estetykę, a na przełomie tysiącleci powstał słynny Taipei 101 – wysoki na pół kilometra wieżowiec.

Metaforycznie potwierdza on to, co było jasne od dawna: na odbicie Chin nie ma szans.

Pod ochroną Waszyngtonu...

Odwojowanie Chin było niemożliwe także dlatego, że zmieniła się sytuacja międzynarodowa Tajwanu.

W 1971 r. Republika Chińska straciła stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ na rzecz Chińskiej Republiki Ludowej. W latach 70. XX w. większość krajów świata uznała władze w Pekinie, wycofując uznanie dla władz w Tajpej. Dziś relacje dyplomatyczne utrzymuje z nimi tylko 16 ze 193 państw ONZ (większość to państwa Ameryki Środkowej, Karaibów i Oceanii). W Europie władze w Tajpej ofi-

cialnie uznaje jedynie Stolica Apostolska (nienależąca do ONZ).

Stany Zjednoczone, główny sojusznik Republiki Chińskiej, uznały władze w Pekinie w 1979 r. Ale nie oznacza to, że opuściły Tajwan.

Amerykanie mają na Tajwanie *de facto* ambasadę. Choć oficjalnie jest to organizacja *non-profit* (Instytut Amerykański w Tajpej), faktycznie pełni funkcje dyplomatyczne i konsularne. Pracują tu dyplomaci (choć rzekomo na urlopie lub emeryturze), a jej ochronę stanowią marines (też nieoficjalnie; patrolują w cywilnych ubraniach).

Co roku w pierwszej połowie listopada organizowany jest bal z okazji rocznicy utworzenia Korpusu Piechoty Morskiej USA. Ze względu na relacje z Pekinem obecni na Tajwanie marines nie mogą nosić mundurów, nawet z tej okazji. Na balu w mundurach występują natomiast *attachés* wojskowi z krajów uznających Tajpej. Bywalcy bali mówią, że wyglądają one jak zebranie wojskowych planujących zamach stanu gdzieś w Trzecim Świecie.

Z powodów, których oficjalnie nikt nie podaje, siedziba pewnej amerykańskiej „firmy doradczej” mieści się wysoko w górach Tajwanu. Wielkie anteny satelitarne skierowane są tam w stronę kontynentu. Część jej pracowników to wojskowi z Navy SEALs („na emeryturze”), oddziałów specjalnych odpowiedzialnych m. in. za operację odszukania i zabicia Osamy bin Ladena w 2011 r.

...i pod presją Pekinu

Przyszłość relacji Tajwanu z USA jest niepewna. Jeśli Stany chcą przeciwdziałać imperialnym aspiracjom Chin Ludowych, potrzebują demokratycznych sojuszników, dla których demokratyczny kapitalizm jest alternatywą wobec chińskiego modelu, który łączy autorytaryzm z kapitalizmem państwowym.

Amerykańskie okręty wojenne regularnie przepływają więc Cieśniną Tajwańską (w 2018 r. trzykrotnie), aby podkreślić, że jakiegokolwiek rozwiązanie siłowe ze strony Pekinu spotka się z odpowiedzią USA. Z podobnych powodów Tajwan ciepło przyjął konfrontacyjną postawę Donalda Trumpa wobec Pekinu. – Mam wrażenie, że dzięki temu sytuacja Tajwanu stała się bardziej widoczna na arenie międzynarodowej. Więcej osób zauważa tę niewielką wyspę, opierającą się potężnemu mocarstwu – mówi Alan H. Yang, dyrektor →

Obchody święta Republiki Chińskiej na Tajwanie, Tajpej, 29 marca 2019 r.

→ Taiwan-Asia Exchange Foundation (rządowego think tanku zajmującego się polityką zagraniczną) i profesor na jednym z uniwersytetów w Tajpej.

Bardziej zagrożone są relacje z mniejszymi państwami, zwłaszcza tymi potrzebującymi inwestycji zagranicznych. – Ambasadorzy ChRL często naciskają na kraje, w których są akredytowani, aby przedstawiciele ich władz nawet się z nami nie spotykali. Ponieważ za ich słowami idą inwestycje, często bywamy ignorowani – mówi dyplomata Yun-Chan.

Nie są to czcze pogroźki. Niedawno, pod wpływem rosnącej presji ze strony Pekinu, grono krajów uznających Tajpej opuściły Dominikana, Salwador i Burkina Faso. Większość krajów Afryki, gdzie Chiny mają rozległe interesy i wpływy gospodarcze, nie utrzymuje nawet nieoficjalnych relacji z Tajwanem.

W odpowiedzi na presję Chin Tajwan wypracował nową politykę zagraniczną, która skupia się na powiązaniach „miękkich” i wymianie w sferach gospodarczej i społeczeństwa obywatelskiego. – Moi koledzy z Chin kontynentalnych często mówią, że ta polityka jest pozbawiona strategicznej wizji, ale to nieprawda – tłumaczy Yun-Chan. – Chcemy pokazać, że Tajwan jest kluczowym regionalnym ogniwem w wymianie gospodarczej i obiegu idei.

Dobrobyt nie dla wszystkich

Utrzymanie niezależności jest trudne także dlatego, że Chiny Ludowe i Tajwan wiele łączy.

Pekin to największy partner handlowy i gospodarczy Tajwanu: jedna trzecia eksportu z wyspy trafia do kontynentalnych Chin. Biznesmeni z kontynentu aktywnie inwestują na wyspie, a firmy z Tajwanu robią interesy na kontynencie. Ułatwiają to wspólny język i kultura.

Do tego dochodzi rozczarowanie młodych ludzi sytuacją gospodarczą na Tajwanie.

Owszem, standard życia na wyspie jest wysoki, Tajwan ma dobrej jakości publiczną opiekę zdrowotną i edukację. Jednak problemem są nierówności. Dochód na głowę wynosi na wyspie 25 tys. dolarów (dla porównania: w Polsce jest to trochę ponad 15 tys. dolarów), a średnie miesięczne zarobki to ponad 1500 dolarów.

Ale, jak zauważa w swoim opracowaniu prof. Chin-fen Chang z Akademii Sinica w Tajpej, powszechny dobrobyt jest statystyczną iluzją. Mediana zarobków,

Na początku roku prezydent Chińskiej Republiki Ludowej ostrzegł, że w razie formalnego ogłoszenia niepodległości przez Tajwan Pekin nie wyklucza użycia siły.

bardziej reprezentatywna niż średnia, to niecały tysiąc dolarów miesięcznie. Przez ostatnią dekadę inflacja pożerała podwyżki dużej części Tajwańczyków. Świeżo upieczeni absolwenci uczelni zarabiają średnio ok. 920 dolarów miesięcznie. Perspektywy na poprawę są niewielkie.

Sytuacja nie wygląda też atrakcyjnie wśród kadry naukowej. Yun-Chan, gdy jeszcze robił doktorat, uchodził za jednego z najbłyszotliwszych studentów, ale zrezygnował z pracy naukowej. – Na akademickim rynku pracy jest duża konkurencja – mówi. Zarobki nie kompensują wysiłku włożonego w skończenie studiów.

Kontynent kusi i dezinformuje

W porównaniu z tym rozwijające się Chiny – zwłaszcza metropolie, jak nadmorski Szanghaj – są kusząco atrakcyjne. Dobrze wie o tym rząd w Pekinie.

Na początku 2018 r. ChRL wprowadziła pakiet 31 rozwiązań dla Tajwańczyków – od zwolnień podatkowych i dopłat dla firm z sektora IT, przez granty na badania akademickie, po umożliwienie firmom z Tajwanu udziału w przetargach publicznych. Mają zachęcić Tajwańczyków do inwestowania w Chinach Ludowych i do podjęcia pracy na kontynencie.

– Młodzi, zawiedzeni sytuacją na wyspie, wyjeżdżają na kontynent, gdzie czują, że otrzymują część bogactwa wyprodukowanego przez chiński boom gospodarczy – mówi prof. Alan H. Yang.

Drenaż mózgów wydaje się skuteczny. Tajwańska siła robocza szacowana jest na ok. 11 mln ludzi. Tymczasem aż 720 tys. Tajwańczyków pracuje za granicą, z czego ponad połowa – głównie młodzi i wykształceni – w Chinach. Pekin stara się to wykorzystać, by uzależnić od siebie Tajwan gospodarczo, umacniając swoją pozycję głównego rynku zbytu dla tajwańskich produktów i rolę pośrednika w kontaktach z innymi krajami.

Prof. Yang dodaje, że Pekin przyczynia się też do kreowania negatywnego obrazu Tajwanu wśród Tajwańczyków. Wyspiarze, zwłaszcza młodzi, są bardzo aktywni cyfrowo. Wyjątkowo popularny jest Line, komunikator, na którym powstają także grupy towarzyskie.

– Poprzez Line ludzie dzielą się też informacjami o różnych wydarzeniach – tłumaczy prof. Yang. – Czasami są to fake newsy preparowane przez Pekin, ale wielu im ufa, bo w końcu dostali je od znajomych.

Choć, jak podkreśla Yang, młodzi mają wszelkie prawo do tego, aby być rozczarowani sytuacją na wyspie, to przynajmniej część wizerunku nieudolnego rzekomo rządu w Tajpej jest efektem fake newsów, czasem dotyczących drobnych spraw.

Wojna informacyjna Pekinu przeciwko władzom Tajwanu to szczególnie paląca kwestia przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi w 2020 r. Tajwańska Narodowa Agencja Bezpieczeństwa ostrzegła niedawno, że Pekin może wykorzystać media społecznościowe do wpływania na opinię publiczną.

Tymczasem do więzów gospodarczych dochodzą więzy osobiste i rodzinne. Wielu Tajwańczyków ma na kontynencie bliskich. Pekin pozwala Tajwańczykom bez ograniczeń wjeżdżać na terytorium ChRL, ale Chińczycy z kontynentu mają ograniczone możliwości odwiedzenia wyspy.

Także z tego powodu całkowite zerwanie relacji nie wchodzi w grę. W praktyce oznacza to też, że Tajwańczycy mają wiele okazji do oglądania chińskiego boomu gospodarczego, natomiast Chińczycy z kontynentu nie widzą zdobyczy demokracji na wyspie.

Niepodległość de facto

Na początku 2019 r. prezydent ChRL Xi Jinping ostrzegł, że w razie formalnej secesji Tajwanu Pekin nie wyklucza użycia siły. Przez niektórych wystąpienie to zostało uznane za wyjątkowo ostre. Jednak prof. Alan H. Yang jest przekonany, że mimo ostrzejszej ostatniej retoryki ze strony prezydenta Xi, Pekin nie zdecyduje się na inwazję militarną.

– Trzy czwarte młodych ludzi na Tajwanie twierdzi, że brałoby czynny udział w obronie wyspy, gdyby doszło do takiego ataku. Poza tym niezależnie od tego, czy Xi podnosi głos, czy też nie, Pekin dobrze wie, że potrafilibyśmy odpowiedzieć na agresję

i zadać Chinom kontynentalnym poważne straty.

Celem wystąpienia Xi mogło być zastraszenie Tajwańczyków przed wyborami. Bo wojna nie jest w niczym interesie.

Na Tajwanie nikt zresztą o ogłoszeniu formalnej niepodległości w najbliższym czasie nie myśli.

– Większość Tajwańczyków optuje za zachowaniem *status quo* – mówi prof. Yang. A *status quo* jest takie, że – jego zdaniem – Tajwan nie potrzebuje formalnej niepodległości, bo jest *de facto* niezależny. Ma własne władze, prowadzi własną politykę zagraniczną, utrzymuje relacje z wieloma państwami, choć te uznają władze w Pekinie.

Liczyby wydadają się to potwierdzać. W listopadzie 2018 r. Tajwańczycy odrzucili w referendum propozycję, aby ich narodowa drużyna występowała pod nazwą „Tajwan” zamiast używanej dotąd „Chińskie Tajpej”. Niektórzy obserwatorzy uznali, że to oznaka słabnącej odrębnej tożsamości tajwańskiej. Jednak przeczą temu badania: tylko 4 proc. badanych uważa się wyłącznie za Chińczyków, 56 proc. za Tajwańczyków, a 37 proc. za Tajwańczyków i Chińczyków. Stopniowo rośnie też poczucie, że Tajwan jest osobnym krajem, a nie częścią Chin.

Zdaniem T. Y. Wang, profesora nauk politycznych na Uniwersytecie Stanowym Illinois w USA, wynik referendum i spadające poparcie dla proniepodległościowej Partii Postępu i Rozwoju (rządzi krajem od 2016 r.) mają inne źródła. W pierwszym wypadku miałyby przeważać niechęć do eskalacji napięć z Pekinem. W drugim – wyborcy ukarali rządzących za niepopularne zmiany w prawie pracy i brak sukcesów w radzeniu sobie z nierównościami.

Prof. Yang również twierdzi, że przyczyną niepowodzeń obecnego rządu jest sytuacja gospodarcza.

Sporo wskazuje jednak, że teraz główne partie odgrzewają stary spór.

– W styczniu 2020 r. mamy wybory prezydenckie i parlamentarne – przypomina Sherry.

Na pytanie, co będzie głównym tematem kampanii, bez wahania odpowiada: relacje chińsko-tajwańskie.

© JAN SMOLEŃSKI



Autobus z syryjskimi uchodźcami w Jordanii, 2016 r.

Modny miękki antyterroryzm

JAKUB MEJER Z JORDANII

Zapobieganie i przeciwdziałanie ekstremizmowi – to najpopularniejsze dziś akcje pomocowe na Globalnym Południu. Niektóre dają efekty odwrotne do zamierzonych.

PARTER WIEŻOWCA W CENTRUM AMMANU. W siedzibie organizacji pozarządowej jest więcej zagranicznych wolontariuszy niż lokalnych pracowników. Byli tu już Włosi, Hiszpanie, Francuzi, Finowie, Polacy. Projekt, w którym uczestniczą, na papierze wygląda ambitnie: zapobieganie brutalnemu ekstremizmowi za pomocą kampanii społecznych w internecie.

Ale wolontariusze – często początkujący dziennikarze lub marketingowcy przybyli do jordańskiej stolicy – szybko zdają sobie sprawę, że ich marzenia o walce z propagandą dżihadystów to mrzonki.

Organizacja ich goszcząca boi się nawet pozwolić na kręcenie przez nich własnych filmów. Zamiast tego mają tworzyć mdłe memy i filmiki o sile przyjaźni, z wykorzystaniem pozbawionych kontekstu „zdjęć

ilustracyjnych” z sieci. Niektórzy się buntują (bezszykownie). Nie wszyscy kończą półroczny wolontariat. Inni się przyzwyczajają. Projekt finansują zachodnie organizacje międzynarodowe, ministerstwa spraw zagranicznych i chrześcijańskie fundacje, zaś pobyt wolontariuszy – Unia Europejska.

Kilka przecznic dalej, w niższym biurku, siedzibę ma inna organizacja pozarządowa, powiązana z jordańską rodziną królewską. Tu zamiast europejskich wolontariuszy dominują Amerykanie na dziekanach lub *gap year* [to tzw. rok przerwy, np. między studiami a podjęciem pierwszej pracy – red.]. Oni z terroryzmem walczą, organizując warsztaty artystyczne i zajęcia sportowe dla młodzieży. Tu najwięcej funduszy pochodzi z ONZ.

→

Słowa wytrychy

→ Tak wyglądają najbardziej skrajne przykłady projektów „zapobiegania brutalnemu ekstremizmowi” (w skrócie: PVE) lub „przeciwdziałania brutalnemu ekstremizmowi” (CVE) – najmodniejszych obecnie strategii pomocowych (często łącznie nazywanych PVE/CVE) w krajach tzw. Globalnego Południa, zwłaszcza muzułmańskich. Z danych ONZ wynika, że w 2017 r. same tylko jej agencje prowadziły 222 takie projekty.

„Kobieta z kanadyjskiej ambasady przyszła do naszego biura i spytała, czy robimy CVE. Powiedziałam, że staramy się, by Jordania była bardziej zintegrowana i lepiej rządzona, co pewnie zmniejsza atrakcyjność radykalizmu. Odpowiedziała, żebyśmy oddzwonili, jak będziemy robić CVE” – mówiła anonimowa pracownica jordańskiej organizacji pozarządowej w artykule libańskiego serwisu Synaps.network.

Ale PVE/CVE to nie tylko wolontariaty dla młodych z Zachodu. To także popularne słowo wytrych na wszelaką działalność wobec muzułmanów. Chiny tłumaczą nią nawet... obozy dla Ujgurów w prowincji Sinciang. W imię „zwalczania brutalnego ekstremizmu”, jak pisze na łamach „New York Review of Books” prof. James Millward z Georgetown University, więźniowie muszą „śpiewać hymny Komunistycznej Partii Chin, wyrzekać się islamu, składać samokrytykę, oglądać filmy propagandowe, uczyć chińskiego i historii kraju”.

Od 11/9 do Państwa Islamskiego

Choć PVE i CVE są powszechnie używanymi terminami w polityce międzynarodowej, nie istnieje ich ogólnie przyjęta definicja. Dokument UNESCO opisuje PVE jako „miękką siłę zapobiegającą zagrożeniom

napędzanym wypaczoną interpretacją kultury, nienawiści i ignorancji”.

Sam pomysł wywodzi się z polityki, jaką kraje Zachodu zaczęły wprowadzać po zamachach Al-Kaidy z 11 września 2001 r. i z kolejnych lat. Szczególnie z brytyjskiej polityki CONTEST, opartej na „czterech P”: Prevent, Pursue, Protect, Prepare (Zapobiegać, Ściągać, Bronić, Przygotowywać). Burmistrz Londynu Sadiq Khan, prezentując po zamachach w 2017 r. swoją strategię CVE mówił, że ma skupiać się na trzech filarach: wzmocnieniu mniejszości i zmarginalizowanych społeczności; ochronie bezbronnych; blokowaniu rozpowszechniania radykalnych teorii.

Tymczasem oceniając już wcześniej, w 2010 r., brytyjskie działania w zakresie PVE, prof. Paul Thomas z University of Huddersfield pisał, że „poniosły one porażkę i dzięki nim straciliśmy przyjaciół”. „Skupienie się na muzułmanach jest zaprzeczeniem celów polityki spójności, ich realizacja spowodowała oskarżenia o inwigilację i inżynierię społeczną” – pisał brytyjski pedagog.

– Ta polityka miała trochę sukcesów w odciąganiu młodych ludzi od radykalizmu skrajnie prawicowego i muzułmańskiego, ale była źle komunikowana – uważa w rozmowie z „Tygodnikiem” Fiyaz Mughal, działacz społeczny i szef organizacji Faith Matters. – Nigdy nie udało się też skutecznie zaangażować w nią środowisk muzułmańskich – dodaje.

Szczególną popularność zyskała jednak dopiero wraz z sukcesami tzw. Państwa Islamskiego i afrykańskiej organizacji dżihadystycznej Boko Haram. W 2016 r. ONZ przyjęła „Plan działań, aby przeciwdziałać brutalnemu ekstremizmowi”. „To bezpośredni atak na Kartę Narodów Zjednoczonych i śmiertelne zagrożenie dla między-

narodowego pokoju i bezpieczeństwa” – uzasadniał sekretarz generalny Ban Ki-moon.

Muzułmanie: grupa docelowa

Projekty PVE/CVE dominują na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej; można też je spotkać na Bałkanach, w Azji Południowo-Wschodniej i Afryce Subsaharyjskiej. Wśród 99 prowadzonych przez UNESCO, 37 było globalnych, 31 w Afryce, 14 w Azji i 13 w państwach arabskich.

– Finansowanie takich projektów wydaje się powszechne na Bliskim Wschodzie – mówi „Tygodnikowi” dr Michal Hattuel-Radoshitzky z Instytutu Studiów Bezpieczeństwa Narodowego w Tel Awiwie.

„Koniec końców są tylko trzy tematy, które mogą liczyć na nasze finansowanie: migracja, reforma sektora bezpieczeństwa i brutalny ekstremizm” – twierdził anonimowy przedstawiciel Unii we wspomnianym już artykule Synaps.network.

– Takie działania są popularne wśród fundacji religijnych, szczególnie związanych z amerykańskimi protestantami – mówi „Tygodnikowi” pracownik jednej z francuskich organizacji pozarządowych.

Natomiast strategia ta nie jest popularna w regionach równie niebezpiecznych, gdzie jednak jest mało muzułmanów, jak Ameryka Południowa. – Tam mamy do czynienia raczej z ekstremalną brutalnością, a nie z brutalnym ekstremizmem – tłumaczy „Tygodnikowi” Dov Lynch, szef działu edukacji w UNESCO.

Skecze, warsztaty, szkoły...

Owszem, projekty przyjmują różną formę – nie tylko tę najbardziej skrajną, jak chińskie obozy koncentracyjne czy wolontariaty-wakacje.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na
„Lekcje czytania”



PRZYBORA W TYCHACH

W czwartek 16 maja Kamila Czaja poprowadzi lekcję
na V Tyskim Festiwalu Słowa LOGOSFEST.

Młodzież uczestnicząca w spotkaniu będzie rozmawiać o wierszach
„Już czas na sen”, „O, Romeo!” i „Zdechł pies!” Jeremiego Przybory,
który jest patronem tej edycji Festiwalu.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na [f](#) / LekcjeCzytania



I tak, amerykański program USAID chwali się konkursem dla grup teatralnych w Czadzie, które miały krzewić właściwe wartości w społeczeństwie poprzez radiowe skecze i opery mydlane (nagrodzono sztuki o rekrutacji do Boko Haram, przemocy w szkole, konflikcie pasterzy z rolnikami). Inny projekt USAID – to warsztaty dla matek z Azji Południowej i Centralnej, jak rozpoznawać pierwsze oznaki radykalizacji.

Z kolei UNESCO promuje się programem naprawy szkół podstawowych w Mosulu (finansowanym przez Holandię), gdzie przez trzy lata rządziło tzw. Państwo Islamskie. Albo współfinansowanym przez Kanadę projektem dla młodzieży: obejmuje on m.in. warsztaty z karykaturzystą w Jordani i spotkania z ekspertami oraz politykami, a także warsztaty w grupach w Maroku.

– Nie możemy jednak tylko odbudować szkół. Jeśli tamtejsi nauczyciele pracowali pod rządami Państwa Islamskiego, jaki jest tego sens? Nie można uciec, gdy opadnie kurz – uważa Dov Lynch.

– Rozumiem przesłanki stojące za finansowaniem przynajmniej niektórych projektów CVE. Jeśli Państwo Islamskie wróci do Syrii, trzeba będzie ograniczyć napływ rekrutów, także dlatego rządy finansują takie projekty. Ponadto rządy muszą pokazać, że ich wydatki zagraniczne odpowiadają na najważniejsze obawy społeczeństwa, dlatego CVE i inne wydatki w sektorze bezpieczeństwa jest łatwiej uzasadnić obywatelom – uważa Todd Helmus, ekspert ds. PVE/CVE w amerykańskim think tanku RAND Corporation.

Związek z problemem

Jednak organizacje pozarządowe w krajach muzułmańskich, które nie uczestniczą w takich projektach, zwracają uwagę, że skupianie się na PVE/CVE ignoruje problem autorytaryzmu, za którym idą takie kwestie jak prawa człowieka, wolność wypowiedzi, dobre zarządzanie krajem. Ich zdaniem marginalizowane są też inne ważne tematy, na które coraz trudniej zdobyć fundusze: rozwój przedsiębiorczości czy dyskryminacja kobiet.

– Nie każdy czuje się komfortowo z projektami PVE – przyznaje Dov Lynch.

– My nie robimy takich rzeczy. Za bardzo skupiają się na kwestiach bezpieczeństwa – przyznaje dyrektor jednej z międzynarodowych organizacji pozarządowych.

LINDA POLMAN:

Fenomen „modnych”
tematów, które dostają
finansowanie, i ignorowanie
tematów „mniej modnych”
to codzienność
w świecie pomocy
międzynarodowej.

– Byłbym ostrożny w zbywaniu projektów, które wspierają oddolne inicjatywy pokojowe. Dzisiaj, jak nigdy wcześniej, społeczeństwo obywatelskie ma siłę i *know-how*, aby zastępować w tej roli państwo – mówi Hatuel-Radoshitzky z Tel Awiwu.

Jessica Trisko-Darden z American Enterprise Institute zauważa, że „programy mogą wyolbrzymiać problem, który chcą rozwiązać, koniec końców zwiększając poparcie dla przemocy w miejscach, gdzie działają ekstremiści”. I zwraca uwagę na projekt INVEST, w którym afgańska młodzież otrzymała po 75 dolarów na „rozwój osobisty”: efekt był taki, że tylko zwiększył popularność wśród nich talibów. Podobnie zadziałał projekt Somali Youth Learners Initiative z budżetem 39 mln dolarów, który miał zwiększyć dostępność edukacji w Somalii. Jego analiza wykazała, że absolwenci tych szkół dużo częściej sięgali po przemoc w rozwiązywaniu problemów.

Jessica Trisko-Darden uważa, że projekty – takie jak wspomniane teatry radiowe, ale też emisje filmów, warsztaty z obsługi mediów społecznościowych i malarstwa lub sadzenie drzew – „z trudem wykazują związek z problemem”.

Tematy modne i niemodne

– Fenomen „modnych” tematów, które dostają finansowanie, oraz równoczesne ignorowanie tematów „mniej modnych”, to codzienność w świecie pomocy międzynarodowej – uważa w rozmowie z „Tygodnikiem” Linda Polman, holenderska dziennikarka i autorka książki „Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej”.

– Zainteresowanie międzynarodowe PVE jest rzeczywiście duże, ale nie idą

jeszcze za tym darczyńcy. Może to kwestia czasu – przyznaje Dov Lynch z UNESCO.

– Pomoc jest sterowana przez darczyńców, a nie aktualne potrzeby. To rządy decydują, gdzie i jak fundusze będą wydane. Popularne tematy zmieniają się wraz ze zmianami w polityce zagranicznej. W ostatnich latach wojna z terroryzmem była takim tematem. Dla USA to nadal najważniejszy cel, choć Unia przekroczyła na „wojnę z migracją” – dodaje Linda Polman.

– Wiele analiz skutków programów CVE pokazuje ich pozytywne efekty. Inne pokazują ograniczony wpływ lub pogarszającą się sytuację. Moim zdaniem recenzji jest zbyt mało, aby stawiać konkretne tezy. Z czasem to się poprawi, będzie można podejmować lepsze decyzje – twierdzi Todd Helmus z RAND Corporation.

– Terroryzm pozostaje globalnym zagrożeniem. Wątpię, aby ktokolwiek wołał więcej interwencji militarnych jako alternatywę dla CVE. Te programy to sposób na powstrzymanie fali ekstremizmu, docierają do źródła problemu, unikając negatywnych konsekwencji interwencji militarnej. Wiele z nich ma pozytywne efekty uboczne, takie jak poprawa edukacji czy pomoc uchodźcom – dodaje Helmus.

„Ocena może być utrudniona”

W 2018 r. Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP) opublikował – wspólnie z organizacją pozarządową International Alert – podręcznik, który ma „poprawić wpływ programów zapobiegania brutalnemu ekstremizmowi”. Ponad 130 stron, których wydanie sfinansowały rządy Norwegii i Japonii, zawiera porady dotyczące planowania, monitorowania i oceny skuteczności tego typu akcji.

Temu ostatniemu aspektowi poświęcono najmniej miejsca (pięć razy mniej niż planowaniu i monitoringowi), zaznaczając na początku rozdziału, że „relatywna nowość PVE, brak dostępnych danych na ten temat i dowodów może utrudniać ocenę”.

Tymczasem dopóki organizacje międzynarodowe, pozarządowe i rządy nie nauczą się skutecznie oceniać tego, co działa, a co niekoniecznie, edukacja na terenach zniszczonych przez terroryzm będzie w budżetach figurować zaraz obok wolontariatów-wakacji dla zachodnich studentów.

© JAKUB MEJER

Człowiek morza nie ufa Unii

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Im większe zamieszanie wokół brexitu, tym bardziej lokalny rząd Szkocji upiera się, by przeprowadzić nowe referendum w sprawie oderwania się od Zjednoczonego Królestwa. Jednak mieszkańcy są wciąż podzieleni w kwestii niepodległości.

NA POCZĄTKU MAJA ULICE GLASGOW – największego, ponad półmilionowego miasta Szkocji – wypełniły się morzem błękitnych flag z białym krzyżem św. Andrzeja.

Marsz poparcia dla przyszłej niepodległości Szkocji zorganizował ruch All Under One Banner (Wszyscy pod Jednym Sztandarem). I rzeczywiście, pod łopoczącymi na wietrze flagami *saltire* – to odpowiednik francuskiego *tricolore* lub naszej biało-czerwonej – maszerowały tysiące ludzi. W różnym wieku, rodziny z dziećmi i psami, z pomalowanymi na błękitno twarzami, w kiltach, z dudami i bębnami.

Atmosfera była niemal karnawałowa. Niektórzy się przebrali, więc obok siebie maszerowali średniowieczni rycerze i szturmowcy z „Gwiezdnych wojen”, rzecz jasna z błękitną flagą. Ktoś rozwinął wielki transparent: „Nadzieja nad strachem”.

Szacunki dotyczące frekwencji jak zawsze się różniły: te policyjne (30-35 tys.) od tych podawanych przez organizatorów (100 tys.). Ale nawet gdyby przyjąć szacunki policyjne, był to wyraz nastrojów, jakie panują dziś w tej jednej z czterech krain Zjednoczonego Królestwa.

Zapowiedziano już kolejne demonstracje. Bo Glasgow to dopiero początek marszowego sezonu. Członkowie AUOB zapowiadają, że zamierzają wychodzić na ulice, „dopóki Szkocja nie będzie wolna”. Maszerowali w ubiegłym roku, będą i w tym: w czerwcu w Galashiels (koło granicy z Anglią), dwa tygodnie później w Oban i tak przez całe lato, aż do kulminacyjnego marszu w Edynburgu, stolicy kraju, na początku października.

Tymczasem maszerować zaczynają u siebie także Walijszczyki... Ferment trwa

również w Irlandii Północnej [patrz „TP” nr 16 – red.]. Królestwo wydaje się coraz mniej zjednoczone, przynajmniej emocjonalnie.

Nicola waleczna

„Uważam, że możliwość wyboru między brexitem a przyszłością Szkocji jako niepodległego europejskiego państwa powinna zostać przedstawiona [obywatelom do decyzji] jeszcze za kadencji tego parlamentu” – powiedziała pod koniec kwietnia szefowa szkockiego rządu autonomicznego Nicola Sturgeon.

To nie był jakiś tam wywiad prasowy, lecz poważna deklaracja – złożona z mównicy lokalnego parlamentu w Edynburgu. Oznacza to, że referendum niepodległościowe miałyby odbyć się nie później niż w maju 2021 r.

Argumentów za kolejnym głosowaniem jest, według Nicoli Sturgeon, kilka. Przede wszystkim katastrofalne skutki, jakie brexit może mieć dla szkockiej gospodarki, oraz chaotyczne działania Londynu, nie dające pewności co do przyszłości. No i jest argument najważniejszy: w referendum brexitowym Szkocja zagłosowała, i to zdecydowanie, za pozostaniem w Unii Europejskiej (62 proc.).

Wprawdzie w 2014 r., we wcześniejszym referendum na temat niepodległości, nieznaczna większość (55 proc.) opowiedziała się za pozostaniem w Wielkiej Brytanii. Jednak wtedy jednym z głównych powodów, by głosować przeciw niepodległości, było właśnie członkostwo w Unii. Pozostanie w ramach Zjednoczonego Królestwa miało to gwarantować, podczas gdy niepodległa Szkocja, zdaniem ekspertów, musiałaby ubiegać się o członkostwo w Unii od nowa.

Teraz proeuropejscy Szkoci czują się oszukani. Nie poprawia nastrojów obcesowy sposób, w jaki premier Theresa May traktowała Szkocję, ignorując opinie i wnioski szkockiego rządu dotyczące brexitu. „Wróć na Skye!” – usłyszał w grudniu 2018 r., podczas debaty w Westminsterze, szef klubu Szkockiej Partii Narodowej (SNP) Ian Blackford od jednego z posłów Partii Konserwatywnej. „To przesłanie dla Szkotów od konserwatystów. Lud Szkocji wyciągnie wnioski z tej ignorancji i arogancji” – ripostował Blackford, który reprezentuje okręg wyborczy obejmujący wyspę Skye.

Wnioski wyciągnęła też Nicola Sturgeon. Bo choć kwestia niepodległości dzieli Szkotów, chaos wokół brexitu zmienia nastroje. Z sondażu Progress Scotland opublikowanego w kwietniu wynika, że 56 proc. ankietowanych jest skłonnych wybrać suwerenne państwo w przypadku brexitu bez porozumienia. 63 proc. uważa, że brexit czyni szkocką secesję bardziej prawdopodobną. Tyle samo wierzy, że w przyszłości Szkocja będzie niepodległą.

Niepodległość: za i przeciw

O kolejnym referendum niepodległościowym zaczęto mówić niemal natychmiast po tamtym głosowaniu z 2014 r. To brexit dał Szkotom powód, by do tej kwestii wrócić. Ale Londyn konsekwentnie odrzuca ten pomysł. Czy jest szansa, że to się zmieni? – Niezbyt duża. Sądzę raczej, że SNP wykorzysta odmowę brytyjskiego rządu w swojej kampanii wyborczej w 2021 r. – mówi „Tygodnikowi” prof. Paul Cairney, politolog z uniwersytetu w szkockim Stirling.

Nicola Sturgeon zdaje sobie sprawę z oporu w Londynie. Dobrze też wie, jak w 2017 r. zakończyło się głosowanie w Katalonii, przez centralny rząd w Madrycie uznane za nielegalne. W końcu jedna z jego inicjatorek, prof. Clara Ponsati, znalazła drugi dom w Szkocji, na uniwersytecie w St. Andrews – po tym, jak w Barcelonie groziło jej aresztowanie (przez pewien czas był wydany za nią międzynarodowy nakaz aresztowania).

Dlatego teraz szefowa szkockiego rządu jest ostrożna i zapowiedziała jedynie możliwość referendum. Żeby doszło do skutku, musi pokonać przeszkody prawne. A przede wszystkim: przekonać do niepodległości zwolenników utrzymania związku z Wielką Brytanią. Na razie głosy są wyrównane: w kwietnio-



JEFF J. MITCHELL / GETTY IMAGES

Manifestacja na rzecz niepodległości Szkocji, Glasgow, 4 maja 2019 r.

wym sondażu YouGov za niepodległością było 44 proc., przeciw 45 proc. Jednak aż 11 proc. deklarowało niezdecydowanie.

Czy kampania przed ewentualnym referendum może przekonać niezdecydowanych? – Tak, może, ale to zbyt nieprzewidywalne do przewidzenia! – śmieje się prof. Cairney. – Głosy „przeciwko” mogą być oparte na obawach związanych z takimi kwestiami jak waluta i gospodarka. Głosy „za” mogą być wynikiem argumentu, że fundamentalne decyzje, jak brexit, są podejmowane za plecami szkockich wyborców.

Pojawiała się też propozycja, by referendum było dwustopniowe: pierwsze głosowanie miało pokazać, jakie są intencje Szkotów, a drugie byłoby oparte już na konkretnych propozycjach secesji wynegocjowanych z Londynem. Wiadomo, że najważniejsze i najtrudniejsze kwestie to przyszła waluta, opieka zdrowotna i gospodarka.

Paradoks szkockiego rybaka

Wyzwaniem dla Nicolii Sturgeon może być przekonanie do idei niepodległości jednej, ale eksponowanej społecznie grupy: szkockich rybaków. W referendum niepodległościowym z 2014 r. ponad 70 proc. z nich głosowało za pozostaniem w Wielkiej Brytanii. Zaś ponad 90 proc. z nich chciałoby opuścić Unię Europejską.

Kim są? Z badań prowadzonych przez Craiga McAngusa z Uniwersytetu Zachod-

niej Szkocji wśród szkockich szyprow i właścicieli łodzi większych niż 10 metrów wynika, że w porównaniu z przeciętnym Szkotem politycznie plasują się oni nieco bardziej na prawo, zwykle są żonaci lub w stałym związku i deklarują się jako osoby wierzące. Nie mają zwykle formalnego wykształcenia, lecz wynika to nie z braku zdolności, ale z faktu, że pracę na morzu zaczyna się wcześniej i liczy się tu praktyka. W wyborach głosują na Partię Konserwatywną. Swoją tożsamość określają jako silnie szkocką, ale równocześnie chcą pozostać w Wielkiej Brytanii.

Brora: kiedyś było inaczej

Jesteśmy w miasteczku Brora – niewielkim, liczącym trochę ponad tysiąc dusz i położonym na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Rybacy zawsze mieszkali w dolnej części miasteczka, w charakterystycznych małych kamiennych domkach. Przypisane do nich ogródki znajdowały się po drugiej stronie drogi.

Chwilami jest tu zacisznie i niemal nie słyszy się ryku wiatru. Ale to tylko do chwili, gdy ruszymy ku przystani. Kiedyś od siły wiatru i od przypyływu zależałoby, czy łodzie wyjdą w morze. Dziś niemal nikt już w Brorze tego nie robi. Pogoda obchodzi tylko turystów.

Jeden z rybaków opowiada mi, że zostało tylko kilka małych łodzi, służących do połowów homarów i krewetek, ale nie

da się z tego utrzymać rodziny. Kiedyś było inaczej, a profesja przechodziła z pokolenia na pokolenie. Przykładowo, jego dziadek był rybakiem i jego ojciec był rybakiem. On sam spędził życie na morzu, ale jego syn dokonał już innego wyboru. – Ja bym jednak stąd nie odszedł. Mówię szczerze, nawet gdyby ktoś dał mi milion funtów, nie mógłbym żyć z dala od morza – wyznaje.

W sąsiednim Helmsdale historie są podobne. Tylko łodzi trochę więcej, około dziesięciu, ale też przystań w Helmsdale jest większa. Zbudowano ją na początku XIX w., gdy stara nie mogła pomieścić rosnącej „śledziowej floty”.

W Szkocji trwał wtedy *boom* na połowy śledzia, który na kontynencie był cennym smakołykiem. W 1907 r., w szczycie „śledziowej gorączki”, Szkoci wyeksportowali aż 250 tys. ton tych ryb, a całe wschodnie wybrzeże uzależniało swą egzystencję od tego jednego gatunku ryby i jej zwyczajów. W sezonie rybackie floty przesuwały się za ławicami śledzia wzdłuż brzegu, w ślad za nimi łodem wędrowały kobiety, które zajmowały się patroszeniem ryb, czekając na łodzie w kolejnych portach. Ten szlak determinował życie całych rodzin. A potem zaczęła się I wojna światowa, mężczyźni poszli walczyć i umierać, a łodzie niszczały. Później była kolejna wojna, a w końcu śledź przestał być tak ceniony.



→ Choć z czasem zmieniała się ryba (śledzia w sieciach zastąpił dorsz) i techniki połowu, to nie zmieniały się rybackie wsie i ich zwarte społeczności.

Dalej takie są, synowie nadal noszą imię po ojcu i po nazwisku można poznać, kto skąd jest: Sutherland, Ross, Gunn. Praca na morzu nadal jest niebezpieczna, wymaga niezależnych i szybkich decyzji. Ona sprawia, że rybacy cenią wolność – tę, którą daje im morze i praca na własnej łodzi. Sami chcą decydować o sobie i wierzą, że umieją o siebie zadbać. To wpływa na ich poglądy.

Morze możliwości

Szkoccy rybacy w jeszcze jednej sprawie pokazują, jak inni są od reszty społeczeństwa: bardziej niż rządowi szkockiemu ufają rządowi w Londynie. Zaufanie dla brytyjskiego rządu deklaruje 40 proc. z ankietowanych przez McAngusa rybaków, a dla szkockiego tylko 20 proc.

Można więc powiedzieć, że ich zaufanie do władz jest w ogóle niewielkie (poza lokalnymi, którym ufa ponad 60 proc.). Ale nikomu nie ufają mniej niż Unii: brak zaufania deklaruje prawie 100 proc. Nie widzą też w niej nic pozytywnego. Dosłownie: pozytywnego wizerunku Unii nie miał ani jeden z ankietowanych. Natomiast bardzo zły lub raczej zły – 90 proc.

Powód jest jeden: Wspólna Polityka Rybołówstwa i kwoty połowowe, tj. ilość ryb, którą mogą złowić rybacy z danego kraju. Unijna strategia ograniczania połowów ma chronić ryby przed przełowieniem, ale uderzyła bardzo mocno w szkockich rybaków.

W przeszłości rybacy mówili, że system kwot zmuszał ich do wyrzucania za burtę dobrych ryb, jeśli dostały się w sieci w złym okresie lub złowili więcej, niż mogli. Teraz, po reformie Wspólnej Polityki, mają obowiązek wyładunku w porcie wszystkich złowionych ryb. To oznacza, że jeśli przypadkowo przekroczą kwotę, muszą przerwać połowy. Grożą im kary (za egzekwowanie przepisów odpowiada szkocki rząd, stąd być może nieufność do niego rybaków). W każdym razie system ten jest niemal powszechnie krytykowany – choć ekolodzy twierdzą, że i tak łowi się za dużo.

O sposobach na zrównoważone i zarazem opłacalne dla rybaków połowy można dyskutować. Problem w tym, że Szkoci mają poczucie, iż na ich głos nie

zwraca się uwagi, a rybacy z innych krajów czerpią zyski z brytyjskich wód. Az 60 proc. ryb ma być stamtąd wyławianych przez obce łodzie. Brexit byłby zatem dla szkockich rybaków – jak ujął to Bertie Armstrong, szef Szkockiej Federacji Rybackiej – „morzem możliwości”. Choć wyjście z Unii stworzyłoby z kolei problem z dostępem do unijnego rynku, na który trafia potężna część połowów, rybacy nie tracą pewności siebie.

Zarazem jednak rybacka flota odpowiada za niewielką część szkockiej gospodarki (0,2 proc.), a na kutrach pracuje zaledwie kilka tysięcy osób (w tym sporo imigrantów z Unii, np. Łotysze). W skali całej Wielkiej Brytanii to niewielka grupa i jej interesy łatwo pominąć.

Dlatego nigdy chyba nie było o rybakach tak głośno jak teraz. Nie pozwalają o sobie zapomnieć. Być może jako jedyni głosowali za brexitem, mając konkretny plan i nie chcąc z niego rezygnować. Chcą decydować, kto i co może łowić na szkockich wodach. Armstrong twierdził (pewnie nie będąc w tej opinii odosobnionym), że pozbawienie ich tego prawa w 1973 r., gdy kraj wszedł do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, było zdradą pokoleń rybaków.

Gdy historia przyspiesza

Kiedy ówczesny brytyjski premier David Cameron ogłaszał – historyczne, jak dziś widzimy – referendum w sprawie wyjścia kraju z Unii Europejskiej, nikt nie przewidywał ani chaosu, w którym pogrąża się teraz kraj, ani jak bardzo ta kwestia podzieli brytyjskie społeczeństwo.

Wydaje się, że postulując teraz kolejne – i być może równie historyczne – szkockie referendum niepodległościowe przed majem 2021 r., Nicola Sturgeon działa pod presją partyjnych kolegów i elektoratu SNP. Jednoznacznego poparcia dla secesji jednak nie ma, a ewentualna kampania może – jak brexit – głęboko podzielić Szkotów.

– Jednak nie na taką skalę jak brexit – przekonuje prof. Cairney.

– Dlaczego, no dlaczego nie mogę być i Szkotem, i Brytyjczykiem? Dlaczego muszę wybierać? – zapytał retorycznie jeden z moich znajomych, zwolennik *statusu quo*, czyli pozostania i w Unii, i w Wielkiej Brytanii.

Gdy o tym mówił, łamał mu się głos.

© PATRYCJA BUKALSKA



Kto stanie do walki z Trumpem?

TEKST I ZDJĘCIA

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Do wyborów prezydenckich w USA zostało półtora roku. Demokraci głowią się nie tylko nad tym, jak wygrać z ubiegającym się o reelekcję Donaldem Trumpem. Pytanie brzmi: kto ma to zrobić? Oto próbka politycznych emocji.

DO EMERALD HILLS, JEDNEJ Z POŁUDNIOWYCH dzielnic San Diego, nie przyjeżdża się bez powodu. Przyklejona do autostrady okolica nie przypomina zadbanych amerykańskich osiedli. Gdy wysiadam z kolejki naziemnej na stacji Euclid Avenue, muszę przedrzeć się przez grupkę



BETO O'ROURKE
stawia na
oddolną kampanię
i bezpośredni kontakt
z wyborcami.
Od ogłoszenia
swojej kandydatury
w połowie marca
odwiedził kilkanaście
stanów, m.in. Iowa,
New Hampshire,
Kariolinę Południową,
Newadę i ostatnio
Kalifornię. Na zdjęciu:
wiec w San Diego,
30 kwietnia 2019 r.

tarasujących przejście Afroamerykanów. Na chodniku walają się śmieci, a pobliski kompleks handlowy nie przypomina centrów kuszących wyprzedazami markowych ubrań. Blichtru nie czuć nawet w Starbucksie, gdzie toaletę okupują bezdomni.

Jak do wielu enklaw zamieszkaných przez Afroamerykanów i Latynosów, klasa średnia dociera tu rzadko. We wtorkowy poranek 30 kwietnia w okolicy panuje jednak duże poruszenie. W stronę lokalnego centrum konferencyjnego suną – prócz wysłużonych pick-upów – także lśniące luksusowe samochody.

Wszyscy spieszą się na wiec Beta O'Rourke'a – byłego kongresmena Partii Demokratycznej z Teksasu, który startował w zeszłorocznych w wyborach do Senatu. Polityk pochodzący z El Paso, miasta tuż przy granicy z Meksykiem, minimalnie przegrał wówczas z Republikaninem Tedem Cruzem. Fakt, że był tak blisko wyrzucenia z siodła Republikanów w jednym z najbardziej konserwatywnych stanów, przysporzył mu rzesze fanów. Na fali popularności w połowie marca O'Rourke ogłosił, że weźmie udział w wyścigu o Biały Dom.

46-letni Beto O'Rourke dołączył tym samym do ponad 20 kandydatów, ostrzegających sobie zęby na wygraną w prawyborach Partii Demokratycznej; zaczynają

się one w lutym 2020 r. Celem trwającego pięć miesięcy etapu kampanii prezydenckiej jest wyłonienie delegatów, którzy wezmą udział w konwencji partyjnej.

Szczególnie kluczowy dla tego wyścigu jest tzw. superwtorek: dzień, w którym prawyborzy odbywają się jednocześnie w kilkunastu stanach. Wybierana jest wówczas duża liczba delegatów, którzy już na tym etapie muszą zadeklarować, czyją kandydaturę na prezydenta poprą podczas konwencji partyjnej. Wygrana w superwtorek, który tym razem odbędzie się 3 marca 2020 r., może mieć przełomowe znaczenie dla zdobycia nominacji Partii Demokratycznej. Zwycięzca stanie do walki w wyborach prezydenckich w listopadzie 2020 r.

Chórzystka kocha Beta

Athena, krótko ostrzyżona 36-letnia brunetka, na wiec O'Rourke'a w San Diego przyjechała z oddalonego o prawie 200 km Los Angeles. Pod salą konferencyjną, gdzie odbędzie się spotkanie wyborcze, koczuje już od szóstej rano. Jest zdeterminowana, bo dwa dni wcześniej ominął ją sobotni wiec O'Rourke'a w Los Angeles.

Athena pracuje jako chórzystka w kościele i ma zajęty każdy weekend. Nie starała się o jednodniowy urlop, bo za wszelką cenę chce utrzymać pracę. Wyznaje, że jest chora na epilepsję i kilka lat

temu zwolniono ją ze względu na często nawracające ataki. Powróciła do pracy dopiero po dwóch operacjach, na które było ją stać tylko dzięki przyjętej w 2010 r. reformie opieki zdrowotnej (tzw. Obamacare).

Dzięki niej za każdy zabieg, przeprowadzony w ramach ubezpieczenia, Athena dopłaciła „tylko” 5 tys. dolarów. Przed wprowadzeniem tej reformy przez Baracka Obamę operacje kosztowałyby ją majątek. Powód? Nie była objęta ubezpieczeniem, bo firmy nie chciały sprzedać jej polisy. Miały do tego prawo, bo ówczesne przepisy nie zakazywały odmowy ubezpieczenia osobom, które jeszcze przed zawarciem polisy cierpią na przewlekłą chorobę.

– To nieprawda, że bardziej zamożni Amerykanie nie mają zmartwień – mówi Athena, która pochodzi z Pacific Palisades, bogatej dzielnicy Los Angeles. – Zanim została objęta ubezpieczeniem zdrowotnym, musiałam płacić za leki 20 tys. dolarów rocznie. Nie dałabym rady, gdyby nie pomoc moich rodziców – opowiada.

Do programu wyborczego Beta O'Rourke'a przyciągnął ją postulat powszechnej opieki zdrowotnej. To samo hasło przyciągnęło jej uwagę w 2016 r., gdy o nominację Partii Demokratycznej w tamtych wyborach prezydenckich walczył Bernie Sanders. I choć ten znany z socjalistycznych poglądów senator ze stanu Vermont znów staje do wyścigu o Biały Dom (ogłosił to w lutym tego roku), Athena chciałaby, żeby to O'Rourke zdobył nominację Demokratów.

– Beto jest centrystą z Teksasu. Istnieje więc szansa, że przekona do siebie część elektoratu Republikanów – tłumaczy kobieta.

Przerywamy rozmowę. Jest godzina 9.30, organizatorzy otwierają drzwi do sali konferencyjnej. Athena wbiega do środka i kieruje się w stronę podestu, na którym będzie przemawiał O'Rourke. Udaje się jej wywalczyć miejsce w pierwszym rzędzie. W geście triumfu rozgląda się wokół i wyjmie smartfon. Zatopiona w przeglądaniu newsów, zadziera głowę dopiero ok. 10.30. Beto, dryblas o 1,93 m wzrostu, wchodzi właśnie na scenę.

Żółw na rozgrzewkę

– *Buenos días!* – krzyczy O'Rourke po hiszpańsku do zgromadzonych na sali. – Dzięki, że chcecie walczyć przeciwko administracji Donalda Trumpa! Pamiętajcie, ➔

→ że każdy z nas, bez względu na to, czy mieszka w Stanach od pokoleń, czy przyjechał dopiero niedawno, może czuć się pełnoprawnym Amerykaninem!

Słowa te, skierowane do latynoskiej części publiczności, zbierają gromkie brawa. Znany z nieformalnego stylu Teksańczyk opowiada po chwili rodzinną anegdotę: – Wczoraj zadzwoniła do mnie 10-letnia córka Molly. Z płaczem w głosie powiedziała, że zaginął jej ukochany żółw. Gdy tylko wrócę dzisiaj do domu, dołączam do poszukiwań!

Tłum patrzy na polityka z żarem w oczach, chciwie słucha jego dalszej przemowy. Przez ponad pół godziny Teksańczyk z charyzmą mówi o wsparciu dla weteranów, walce z polityką imigracyjną Trumpa, zaostreniu przepisów dotyczących dostępu do broni, powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym, bezpłatnym dostępie do publicznych uczelni oraz o zwiększeniu federalnej stawki minimalnej z 7,25 do 15 dolarów za godzinę pracy.

O'Rourke krzyczy: – Zbyt wielu Amerykanów – nauczyciele, bibliotekarze, pedagodzy – haruje w kilku pracach naraz. Musimy mieć pewność, że Ameryka to nie tylko demokracja, w której liczy się każdy oddany głos, ale także kraj, w którym każdy ma godną pracę!

Ta część przemówienia chwyta za serce 29-letnią Lindsay, która trzyma w ręku kartkę z napisem „California for Beto” (Kalifornia wspiera Beta). Już po skończonym wiecu dowiem się, że Lindsay wyklada język angielski. Tak jak wielu innych współpracowników, nie może jednak liczyć na uczelniany etat. Odkąd ograniczono jej liczbę zajęć w semestrze, zarabia tysiąc dolarów miesięcznie. Aby dopiąć domowy budżet, pracuje także przy obsłudze festiwalu.

Nauczycielka śpi w namiocie

Lindsay opowiada, że ostatnie tygodnie były dla niej prawdziwym szaleństwem.

Zajęcia ze studentami prowadzi w poniedziałki i środy. Po ostatniej lekcji wsiadała w samochód i jechała do odległego o ponad 250 km rejonu pustyni Kolorado. Tam, na terenie ekskluzywnego klubu polo w miejscowości Indio, co roku w kwietniu organizowany jest festiwal muzyki i sztuki Coachella. Lindsay była odpowiedzialna za wozenie gości VIP wózkami golfowymi.

– Po kilkunastu godzinach pracy kładłam się spać w nagrzanym od słońca na-



ATHENA, ELEN, CHERYL, LYNN I LEXA czekają na wiec O'Rourke'a. Athena (pierwsza z lewej) przyjechała z odległego o 200 km Los Angeles. San Diego, 30 kwietnia 2019 r.

miocie – wspomina dziewczyna. – Organizatorzy nie zapewнили przecież obsługi miejsca w hotelu lub przyczepie kempingowej. Impreza kończyła się o wpół do drugiej w nocy z niedzieli na poniedziałek. Na zajęcia ze studentami jechałam prosto z festiwalu. Nie miałam nawet jak się przebrać – dodaje Lindsay, która ma już dość takiego tempa życia.

Zdecydowała, że rzuci karierę wykładowcy i zostanie asystentką w kancelarii prawnej. Zanim jednak zacznie przyuczać się do nowego zawodu, chce wykorzystać każdą wolną chwilę na wolontariat przy kampanii Beta O'Rourke'a.

– To polityk, który potrafi słuchać innych – podkreśla. – Podoba mi się, że tak dużo mówi o wyrównywaniu szans wykluczonych społecznie Amerykanów. Prowadzę zajęcia w *community college* [odpowiednik studium policealnego – red.]. To szkoła dla osób, których nie stać na wysokie czesne na renomowanej uczelni. Moi uczniowie to bezdomni, Afroamerykanie i Latynosi: ludzie latami pomijani przez polityków – dodaje.

Weteran nie ufa establishmentowi

Jednak nie wszyscy podzielają entuzjazm Atheny i Lindsay.

– Beto O'Rourke to kolejny przedstawiciel elit, który jest mistrzem pustych obietnic wyborczych – twierdzi 38-letni José. Przyszedł na wiec za namową kolegi. On sam jest zagorzałym zwolennikiem Ber-

niego Sandersa, który już podczas prawyborów Demokratów w 2016 r. przedstawiał się jako kandydat reprezentujący najbiedniejszych Amerykanów. José nie ukrywa frustracji, że to Hillary Clinton zgarnęła wówczas nominację Partii Demokratycznej.

– Clinton jest dla mnie symbolem amerykańskiego establishmentu – twierdzi. – Nie dziwi mnie, że Trump został prezydentem. Ameryka miała do wyboru: albo poprawną politycznie Hillary Clinton, albo nieokrzesanego biznesmena, który przynajmniej obiecywał, że coś zmieni – przekonuje.

José pochodzi z portorykańskiej rodziny. Wychowywał się z trójką rodzeństwa w Paterson w stanie New Jersey. Opowiada, że gdy miał 20 lat, zaciągnął się do armii. Służył w Korpusie Piechoty Morskiej (US Marines), dwa razy był na misji w Iraku. Mówi, że wybrał wojsko, bo chciał uciec od biedy. Po skończonej służbie weterani mogą pójść na darmowe studia. W większości przypadków przysługuje im też bezpłatna opieka zdrowotna.

– Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie poszedł do armii – mówi José, dziś weteran. – Już i tak ledwo wiąże koniec z końcem. Pracuję na kuchni w Szpitalu Weteranów w San Diego. Mam tylko ćwierć etatu i zarabiam 800 dolarów miesięcznie. Jestem w stanie się utrzymać tylko dzięki dożywotniej rencie, którą dostaje ze względu na częściową niepełnosprawność – dodaje.



38-LETNI JOSÉ

*mówi, że bardziej
od Beta O'Rourke'a
przekonuje go
Bernie Sanders.
„Demokratom
potrzebny jest
wyrazisty kandydat”
– uważa weteran
wojny w Iraku.
San Diego,
30 kwietnia 2019 r.*

Senatorka, Latynos i gej

Walka o prawa marginalizowanych mniejszości to jeden z istotnych punktów w kampanii kandydatów Partii Demokratycznej. Na tę przemianę duży wpływ ma fakt, że wyścig o fotel prezydenta nie jest już zdominowany przez białych mężczyzn. Uwagę amerykańskich mediów przykuwa m.in. senatorka o jamajsko-indyjskich korzeniach Kamala Harris (jedna z sześciu kobiet w wyścigu Demokratów), Latynos Julián Castro oraz Pete Buttigieg, 37-letni burmistrz niewielkiego miasta South Bend w stanie Indiana. Ten ostatni jest szczególnie trudny do zaszufładowania: z jednej strony to pierwszy ubiegający się o urząd prezydenta gej, a z drugiej członek Kościoła episkopalnego, który wspiera reformatorskie idee społeczno-ekonomiczne.

W starciu z ubiegającym się o reelekcję Trumpem najważniejszą umiejętnością kandydata lub kandydatki Demokratów będzie zapewne zdolność przyciągnięcia elektoratu Republikanów w tzw. *swing states* (wahających się stanach). Być może największy potencjał w zdobyciu popularności w tych kluczowych dla wyścigu rejonach USA ma Joe Biden, który sprawował funkcję wiceprezydenta w administracji Obamy.

Już podczas swojego pierwszego wiecu wyborczego w Pittsburghu w stanie Pensylwania Biden zadeklarował, że chce walczyć o głosy białej klasy robotniczej. Ten niegdyś twardy elektorat Demokratów w 2016 r. dał się ponieść retoryce Trumpa

i przyniósł mu wygraną w przemysłowych stanach Środkowego Zachodu. Nawiązując do tego faktu, Biden mówił do uczestników wiecu: „Jeśli mam pokonać Donalda Trumpa w 2020 r., stanie się to tutaj”.

Który z kandydatów Partii Demokratycznej ma zdaniem Amerykanów największe szanse na wygraną w prawyborach i zmierzenie się z obecnym prezydentem? W sondażu przeprowadzonym pod koniec kwietnia dla telewizji CNN 39 proc. respondentów uważało, że to właśnie Joe Biden zasługuje na nominację. Na drugim miejscu plasował się senator Bernie Sanders (15 proc.). Obaj wyprzedzali w przedbiegach pozostałych kandydatów, takich jak senatorka Elizabeth Warren (8 proc.), Pete Buttigieg (7 proc.), Beto O'Rourke (6 proc.) czy Kamala Harris (5 proc.).

Kandydatury wytrawnych polityków, jak Biden czy Sanders, mają jednak sporą wadę. Joe Biden w chwili objęcia urzędu prezydenta miałby 78 lat, a Bernie Sanders 79 lat. Dla porównania: Trump miałby wówczas „jedyne” 74 lata. To o rok mniej niż Bill Weld, były gubernator Massachusetts, który zapowiedział start w republikańskich prawyborach. Jego plany pokonania Trumpa w walce o nominację Partii Republikańskiej wydają się jednak mało realne.

Stany (nie)Zjednoczone

Bez względu na to, kto wygra walkę w prawyborach Demokratów, największym

wyzwaniem będzie dla niego stawienie czoła Trumpowi. Amerykańska historia pokazuje, że urzędujący prezydent zwykle zdobywał reelekcję.

Pomocny w realizacji tego scenariusza może okazać się – paradoksalnie – upubliczniony niedawno raport specjalnego prokuratora Roberta Muellera. Po prawie dwóch latach śledztwa nie znaleziono dowodów, że kontakty między ludźmi ze sztabu Trumpa a Rosjanami w czasie kampanii prezydenckiej w 2016 r. miały charakter przestępczy [patrz „TP” nr 14 oraz na powszech.net/raport – red.]. Z sondażu przeprowadzonego dla telewizji CNN wynika, że po zakończeniu śledztwa w sprawie Russiagate Trump cieszy się 43-procentowym poparciem. To najwyższy wynik od kwietnia 2017 r., gdy kończył pierwszych sto dni urzędowania.

Demokratom sen z powiek spędzają też statystyki Federalnej Komisji Wyborczej, dotyczące pieniędzy (sprawy te muszą być jawne). Oto w ciągu trzech pierwszych miesięcy tego roku sztab wyborczy Trumpa zebrał na kolejną kampanię ponad 30 mln dolarów. Jak wynika z informacji „New York Timesa”, sztab Trumpa ma więc zgromadzonych już na ten cel ponad 40 mln dolarów. Dla porównania: Sanders 20 mln, Kamala Harris ponad 13 mln, a sztab O'Rourke'a 9,3 mln. Biden, który ogłosił swoją kandydaturę pod koniec kwietnia, w ciągu pierwszej doby zebrał 6,3 mln dolarów.

Ile potrzeba pieniędzy, aby w nakręcanych siłą dolara wyborach wygrać z Trumpem?

Czekając na wiec wyborczy Beta O'Rourke'a, zadałam to pytanie 65-letniej Lesley, emerytowanej prawniczkę z San Diego. Uśmiechnęła się nerwowo i odparła, że wie na razie jedno: Demokratom potrzebny jest kandydat, który będzie potrafił zjednoczyć Amerykanów.

Lesley: – Od dawna nie byliśmy tak spolaryzowani. Nawet jeśli któraś ze stron – czy to Partia Demokratyczna, czy Republikańska – ma dobry pomysł na jakąś reformę, to i tak spotka się z ostrą krytyką drugiej strony. Od czasu zaprzysiężenia Trumpa na prezydenta naszą debatę polityczną zalała fala nienawiści. Wystarczy włączyć dowolny serwis informacyjny w CNN lub Fox News. Ludzie mają tego dość. Marzę o polityku, który to zmieni.

© MARTA ZDZIEBORSKA



ZE ZBIORÓW TADEUSZA MORAWY

Góralska rodzina z Furcówki z ukrywającym się u nich w czasie wojny Żydem.

ŻYDZIE, HITLER PO CIĘ IDZIE

Nie wolno Żydów krzywdzić, „może taki Żyd modli się lepiej niż niejeden katolik”
– wołał w kazaniu ks. Józef Śledź, proboszcz z Ochotnicy Górnej.
Czy mieszkańcy gminy go posłuchali?

DAWID GOLIK

PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ NA TERENIE gminy Ochotnica w Górcach nie pozostał żaden z jej żydowskich mieszkańców. Ogromną większość zamordowali Niemcy. Nielicznym udało się przetrwać w ukryciu, także dzięki pomocy miejscowych górali. Później jednak wyjechali w inne rejony Polski lub za granicę.

Dzisiaj śladów po ochotnickich Żydach właściwie już nie ma. Pozostały należące kiedyś do nich miejsca, kilka rozsianych

po gminie mogił. A także ludzkie wspomnienia.

Pójdziemy ich śladem.

Plecionki od Heśli

Przed rokiem 1939 na terenie obecnej Ochotnicy Górnej, Ochotnicy Dolnej i Tylmanowej mieszkało ok. 200 Żydów – wielu, biorąc pod uwagę, że gmina liczyła ponad 7 tys. mieszkańców. Ale choć stanowili znikomy procent jej ludności (tak jak

osiadli na jej terenie Romowie), odgrywali istotną rolę w życiu gospodarczym i byli silnie wrośnięci w góralską społeczność.

Mieszkali w centralnych punktach wsi, przy głównych szosach, posiadali kilka tartaków, sklepy, a także spory kompleks lasów (odkupionych od właścicieli dworów) oraz karczmy.

Z funkcjonowaniem tych ostatnich wiązał się sięgający zaborów konflikt z księżmi, którzy oskarżali Żydów o roz-

pijanie górali i doprowadzanie do ich zadłużania się, a potem przejmowanie ich własności.

Aby, jak deklarował, zadbać o trzeźwość i majątki parafian, ks. Jan Słowik – pierwszy administrator parafii w Ochotnicy Górnej – zdecydował się nawet na otwarcie w 1911 r. własnego wyszynku i sklepu z towarami mieszanymi, prowadzonego... w domu parafialnym (można sądzić, że ksiądz nie lękał się, iż uda mu się wywalczyć tym trzeźwość górali; zapewne chciał w ten sposób kontrolować wydatki parafian i ich zadłużanie się u Żydów, co było na beskidzkiej wsi problemem społecznym). W międzywojniu powstał też, z inicjatywy miejscowych działaczy Stronnictwa Ludowego, „polski” sklep w Tylmanowej, mający stanowić konkurencję dla handlarzy żydowskich.

Pojawiające się co jakiś czas konflikty – głównie mające przyczyny ekonomiczne, a nie narodowościowe czy religijne – nie przekładały się w żaden sposób na codzienne relacje polskich i żydowskich mieszkańców gminy.

I jedni, i drudzy potrzebowali siebie nawzajem, a żydowskie tartaki i lasy dawały zatrudnienie wielu góralom, z których większość żyła w prawdziwej biedzie. Z kolei przy okazji świąt lub większych uroczystości korzystano chętnie z zakupów w żydowskich sklepach, zamawiano bułki, ciasta czy tzw. plecionki, z których słynął sklep U Heśli kierowany przez Mechę Gassner. Dzieci żydowskie odwiedzały się z polskimi, podobnie czynili dorośli, załatwiano wspólne interesy, pożyczano od bardziej majątnych Żydów pieniądze, a niekiedy brano coś w sklepie na kredyt, czyli „borgowano”.

We wspomnieniach najstarszych mieszkańców wsi pojawia się związana z tym następująca opowieść. Niedługo przed wojną pewien chłop poszedł do sklepu Kalmana Feldschreibera, żeby „zborgować” mąkę. Kalman odmówił, gdyż wiedział, że nie miałby on z czego spłacić długu. Zdenerwowany góral miał powiedzieć: „Żydzie, Żydzie, Hitler po cię idzie”, na co żona Kalmana odrzekła: „Jeszcze będziesz nas prosił o klucze do kościoła”.

Ostra wymiana zdań rozczarowanego chłopca i właścicieli sklepu (którzy nie chcieli dać się naciągnąć) zapewne poszłyby w zapomnienie, gdyby nie stała się zwiastunem tragedii, jaka niedługo miała dotknąć zarówno polską, jak i żydowską społeczność Ochotnicy.



Ksiądz Józef Śledź najprawdopodobniej w towarzystwie żydowskich właścicieli tartaku w Ochotnicy Górnej, braci Edwarda i Aleksandra Apfelbaumów.

W przededniu Zagłady

Wojna zawitała w Gorce w pierwszych dniach września 1939 r.: do Ochotnicy i Tylmanowej wkroczyły oddziały niemieckie i słowackie, pojawiły się pierwsze ofiary. Byli to polegli żołnierze i zabici w czasie przesuwania się frontu gospodarcze. Ci ostatni ginęli od zablakanych kul lub byli zabijani przez Niemców, którzy widzieli w nich rzekomych partyzantów. Zginęło wówczas kilkunastu cywilów, nie było jednak wśród nich ani jednego Żyda. Jeszcze nie.

Dopiero po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa (GG) i wprowadzeniu niemieckiej administracji oraz prawodawstwa sytuacja Żydów w całym powiecie Nowy Targ (niem. Kreis Neumarkt/Dunajec) uległa, właściwie z dnia na dzień, znacznemu pogorszeniu. Zajęto ich mienie, należące do nich zakłady i sklepy zamknięto lub przekazano tzw. treuhänderom (powiernikom), zagrabiono zdeponowane przed wojną oszczędności. Zaczęła się powszechna rejestracja, przymusowe oznakowanie białą opaską z gwiazdą Dawida i stopniowa separacja od polskiego społeczeństwa.

Dzięki powstałym wówczas spisom wiemy, że na terenie gminy mieszkało wtedy 227 osób narodowości żydowskiej. Osobne przedstawicielstwo wobec Niemców w postaci Rady Żydowskiej (Judenratu), ograniczone możliwości zdobywa-

nia środków do życia, wyprzedawanie się z majątku i handel wymienny z góralskimi sąsiadami – to wszystko wpływało na stopniowe ubożenie Żydów i wytworzało zupełnie nowe stosunki między nimi a Polakami.

Ani jedni, ani drudzy nie zdawali sobie jednak sprawy, że finałem działań Niemców ma być całkowite wymordowanie narodu żydowskiego. Zresztą pauperyzacji ulegała wówczas również ludność polska, zmuszona m.in. do rejestracji bydła, oddawania przymusowych kontyngentów na rzecz okupanta i wysyłania młodzieży do pracy przymusowej w Rzeszy lub służby w tzw. Baudienst (Służbie Budowlanej; mówiono na nich: „junacy”).

Strzelali ich w potylicę

Bezpośrednia eksterminacja żydowskiej ludności Ochotnicy zaczęła się wiosną 1942 r.

Odgórne przyzwolenie na przemoc wobec Żydów, „doświadczenie” zebrane przez Niemców po agresji na Związek Sowiecki i prawdopodobnie potrzeba zażywienia statystyk (związanych z prowadzoną w tym czasie w całej okupowanej Polsce akcją przeciw komunistom) sprawiły, że funkcjonariusze Gestapo z komisariatu w Zakopanem urządzili sobie w Ochotnicy istne „polowanie” na Żydów.

Jadąc przez wieś samochodem, strzelali do napotkanych po drodze Żydów. Dokonali też egzekucji czterech członków miejscowego Judenratu, którzy oczekiwali na Niemców w swojej siedzibie. „Ci radni zmuszeni zostali kolejno do skoku przez parkan i wtedy zbiry strzelali ich w potylicę” – wspominał mieszkaniec Ochotnicy Dolnej.

Podczas tej „spontanicznej” akcji – i kolejnych, podobnych, jakie miały miejsce aż do sierpnia 1942 r. – śmierć poniosło 37 ochotnickich Żydów. Pogrzebano ich w kilku wykopanych naprędce dołach: w osiedlu Młynne, na tzw. Rzece w Tylmanowej oraz w centrum Ochotnicy Górnej.

Zginął też wówczas Kalman Feldschreiber, zastrzelony przed swoim sklepem. Zapamiętano, jak leżał w kałuży krwi przy głównej szosie, mając na nogach charakterystyczne czerwone buty.

Dwanaścioro dzieci

Ekscesy gestapowców z wiosny i lata 1942 r. zapowiadały wielką akcję wysiedleńczą i eksterminacyjną, jakiej zostali poddani podhalańscy Żydzi.

→ Nie ominęła ona Ochotnicy: 30 sierpnia 1942 r. wyruszyła stąd do Nowego Targu kolumna pozostałej przy życiu ludności żydowskiej. Miejscowy działacz Rady Głównej Opiekuńczej (organizacji charytatywnej, której legalne istnienie w GG Niemcy akceptowali) Leon Stanisław Leszczyński wspominał: „Wczesnym rankiem z Ochotnicy wyruszył tragiczny pochód (...). Otwierała go żona Berka Wenzelberga. Ciągnęła ona wózek, na którym znajdowało się dwanaścioro małych dzieci”.

Inny mieszkaniec wsi zapisał po latach: „Szła reszta starców z Lajzerem Manglem, a do zebranych ten starzec o patriarchalnym wyglądzie wołał: »giniemy za wiarę naszą, niech Bóg nas wesprze w tej strasznej godzinie«”.

Szacuje się, że tego dnia Ochotnicę opuściło – pod eskortą Niemców i miejscowej policji granatowej – ok. 150 jej żydowskich mieszkańców. Część z nich zginęła jeszcze po drodze, gdy pijani Niemcy zaczęli strzelać w Łopusznej do maszerującej grupy. Resztę wywieziono koleją do obozu zagłady w Bełżcu lub zamordowano na miejscu w Nowym Targu. Informację o śmierci tych ostatnich przynieśli do wsi „junacy”, których zmuszono do wykopywania dołów śmierci, a następnie zaupywania masowych grobów.

Nie wszyscy ochotniccy Żydzi zdecydowali się podporządkować zarządzonemu przez Niemców wysiedleniu. Zapewne nie chcieli opuszczać rodzinnych stron i bali się, co może się z nimi stać. Widzieli zresztą na własne oczy, jak Niemcy traktują Żydów i jak niewiele warto jest ich życie. Wydawało się więc, że najłatwiej przeżyć im będzie u siebie, wśród swoich.

Śmierć albo życie

Wiemy, że taką próbę podjęło ok. 20 osób. Wiemy również, że nie wszystkim się ona powiodła.

Już we wrześniu 1942 r. granatowa policja wytropiła ukrywające się w pustej góralskiej kolibie dwie rodziny: Mojżesza i Abrahama Wenzelbergów. „Idąc (...) do urzędu gminnego patrzeć na tych nędzarzy: jest ich dwu starców i pięć kobiet. Wyprowadza ich policja z więzienia gminnego (...), wzbraniają tym wygłodzonym biedakom podać kawałek chleba (...). Jedna starszka przypadła do rąk komendanta Gawła [dowódca policji granatowej – red.] całując po rękach i żebrząc o jedzenie daremnie. Dopiero na wóz spoza płotu ktoś



Józef i Blima Fuhrmanowie oraz ich syn Abraham w Ochotnicy Dolnej w czasie okupacji niemieckiej. Nikt z nich nie przeżył.

rzuca kawałek chleba – gdy odjeżdżają” – zapisał Leszczyński.

Aresztowanie nastąpiło najprawdopodobniej na podstawie czyjegós donosu. Ale było też wynikiem rutynowej działalności granatowej policji z posterunku w Ochotnicy Dolnej, która dawała się we znaki zarówno Żydom, jak i Polakom. Począwszy od 1940 r. policjanci szukali ukrywających się w lesie górali, którzy gromadzili porzucaną przez wojsko w 1939 r. broń, tropili też miejscową młodzież uchylającą się od wyjazdu na roboty przymusowe. Cały posterunek bardzo negatywnie zapisał się w okupacyjnych dziejach wsi – nic dziwnego, że w lutym 1944 r. stał się celem ataku oddziału Armii Krajowej.

Zagrożeniem dla podejmujących próbę przetrwania Żydów była jednak nie tylko podległa niemieckiej żandarmerii, a złożona z Polaków miejscowa granatowa policja, lecz także antysemicka agitacja władz powiatowych i kolaborującego z nimi tzw. Komitetu Góralskiego (niem. Goralisches Komitee).

Wprawdzie w powstałej na terenie gminy delegaturze „góralskiej” czynnie działało jedynie kilka osób – powszechnie uznawanych przez miejscowe społeczeństwo za konfidentów niemieckich – ale to hasła mówiące o przejmowaniu majątku Żydów oraz widmo tego, że za brak współpracy z Niemcami może górali spotkać w przyszłości taki sam los, co ich

żydowskich sąsiadów, mogły wpłynąć na postawę ludności. Zwłaszcza że za ewentualną pomoc ukrywającym się Żydom groziła kara śmierci – w myśl ogłoszonego już 25 sierpnia 1942 r. zarządzenia niemieckiego Kreishauptmanna (szefa władz powiatowych, starosty).

Wierzymy w jednego Boga

Na to, jak zachowywali się w czasie wojny Polacy, ogromny wpływ miały miejscowe elity: nauczyciele, księża, urzędnicy, a w późniejszych latach okupacji także ludzie zaangażowani w konspirację niepodległościową. Ich postawa oddziaływała na innych i służyła za swoisty drogowskaz.

Akurat w Ochotnicy pozytywny wpływ takich ludzi na resztę mieszkańców dał się zauważyć już przy próbie namówienia ich do przyjmowania tzw. kenkart góralskich, które w zamyśle Niemców świadczyć miały o rzekomej odrębności „narodu góralskiego” (niem. Goralenvolk). Na terenie gminy, dzięki prowadzonej zrzęcznie przez owych ludzi pracy uświadamiającej, takimi kartami rozpoznawczymi posługiwały się zaledwie 232 osoby (tj. niecałe 3 procent ludności). Zaledwie, bo choć cała tzw. akcja góralska spaliła na panewce, to w wielu podhalańskich miejscowościach kenkart z literą „G” przyjęto znacznie więcej (gdzieniegdzie uczyniło tak nawet ponad 90 proc. mieszkańców).

W analogiczny sposób postawy miejscowych autorytetów i ich wypowiedzi przekładały się na zachowanie wobec Niemców – i wobec ukrywających się Żydów. Mieszkańcy zapamiętali m.in. płomienne kazanie, które wygłosił proboszcz Ochotnicy Górnej, ks. Józef Śledź (był on potem kapłanem AK, spowiednikiem partyzantów).

Widząc, że niektórzy górale, jeszcze przed wysiedleniem Żydów, zaczynają się zachowywać wobec nich wrogo i agresywnie, postanowił na to zareagować. Podczas niedzielnej mszy św., nie bacząc na możliwe konsekwencje ze strony Niemców, proboszcz oświadczył swoim parafianom, że nie wolno Żydów krzywdzić, bo przecież wierzymy w tego samego Boga. Dodał: „Może taki Żyd modli się lepiej niż niejeden katolik. Nie wiadomo więc, kto będzie pierwszy zbawiony – my czy oni”.

W ukryciu

Dzięki takim postawom wielu Żydom, którzy podjęli próbę przetrwania na terenie Ochotnicy, udało się w ukryciu doczekać końca wojny.

W Jurkowskim Potoku, w zabudowaniach Jana Pleciaka, ukrywała się Adela Mangel. Udawała służącą, a w razie zagrożenia chowała się w skrytce w piwnicy. Tak przetrwała do 1945 r. Również w Ochotnicy Górnej ukrywali się przez jakiś czas bracia Wolf i Chaim Gassnerowie; korzystali z pomocy miejscowych górali, dawnych sąsiadów z tego samego osiedla. Nie wiadomo jednak, jakie były ich dalsze losy i czy przeżyli wojnę.

Podobnie nie sposób ustalić historii nieznanego z nazwiska Żyda, przechowywanego przez rodzinę z Furcówki. Wykorzystując fałszywe dokumenty, zatrudniony był przez pewien czas w miejscowej leśniczówce. Zachowały się tylko dwa jego zdjęcia i zdawkowy opis wykonującego je żołnierza AK: „Ukrywający się żyd, przebywał u tych ludzi. Nie wiem czy przeżył” (pisownia oryginalna).

W relacjach i powojennych opracowaniach pojawiają się też inne nazwiska ukrywanych we wsi Żydów: krawca Mangla, Wenzelberga, Leisera czy Adeli Hochhauserówny. Z kolei miejscowa komórka RGO miała pomóc materialnie i umożliwić przetrwanie Janowi Langerowi i jego siostrze Józefie Dyrzowej. W Tylmanowej natomiast miał się schronić, pod zmienionym nazwiskiem, mały żydowski chłopiec pochodzący z Nowego Sącza – Adolf Nolkman (pomagał w miejscowym tartaku).

Niestety brak jest dokładniejszych danych na temat wspomnianych osób, gdyż nie pozostawiły po sobie żadnych świadectw. O życiu ukrywających się w Ochotnicy Żydów wiemy więc w tym przypadku jedynie z relacji Polaków.

W taki sposób wykańczali nas

Tylko w dwóch przypadkach ocalali ochotniccy Żydzi pozostawili po sobie relacje.

Zeznania obciążające zakopiańskich gestapowców złożył po wojnie ukrywający się samotnie członek Judenratu i syn właściciela tartaku w Tylmanowej – Abraham Fuhrman (zwany we wsi Romkiem). Przeżyło też pochodzące z Ochotnicy małżeństwo Fuhrmanów – Abraham i Minca. Ci ostatni korzystali najprawdopodobniej z pomocy mieszkańca Ochotnicy Dolnej, Franciszka Ptaszka.

Fuhrman opisywał to tak: „Wychodziłem jedynie w najciemniejszych nocach na umówione miejsca, gdzie kontaktowałem się z jednym z wiejskich ludzi, który mi od czasu do czasu przynosił różne wiadomości a czasem i coś do jedzenia”.



ZE ZBIORÓW DAWIDA GOLIKA

Strona tytułowa jednej z książek pozostałych po tylmanowskiej rodzinie Fuhrmanów.

Jego doświadczenia związane z ukrywaniem się były jednak gorzkie i już po wojnie, podsumowując pierwszą spędzoną w lesie zimę, stwierdzał: „ludność wiejska puściła się w pogoń za śladami po lasach, borach, polanach i przepaściach, wtenczas włączono nasze siostry i braci ze wszystkich stron wiosek na Gestapo i w taki sposób wykańczali nas”.

Fuhrman wymienia pojedyncze nazwiska swoich polskich prześladowców, wspomina przy tym, że w poszukiwaniu Żydów angażowała się również ludność górska z powiatu limanowskiego. Nie na wszystkich więc można było polegać.

Nie ulega jednak wątpliwości, że to dzięki pomocy górali mógł przetrwać do końca wojny. Próbował też za ich pośrednictwem wejść w skład tworzącego się w tym rejonie w 1944 r. oddziału partyzanckiego AK. Po krótkim pobycie w nim zdezerterował jednak, obawiając się, że panująca w szeregach podziemia, jak to określali sami akowcy, „psychoza konfidencka”, prędzej czy później zogniskuje się na nim. Przybyły znikąd Żyd, do tego chcący walczyć z Niemcami, szybko mógł zostać rozstrzelany jako domniemany niemiecki prowokator czy – jak mawiali partyzanci – tzw. ruskie ucho (działające w tym regionie oddziały sowieckich partyzantów prowadziły także intensywną działalność wywiadowczą, wymierzoną w akowskie podziemie).

Ilu ich było, nikt nie liczył

Po zakończeniu wojny o ochotnickich Żydach szybko we wsi zapomniano.

Romek Fuhrman sprzedał swój tartak jednemu z gospodarzy i wyjechał. Podobnie ze swoim gospodarstwem mieli zrobić Gassnerowie.

Żydowskie domy i sklepy – opuszczone najpierw przez ich właścicieli, a później także przez zakwaterowanych w nich kolejno wysiedleńców z łódzkiego, poznańskiego oraz z Warszawy – przejęło państwo. Miejsca po nich są dzisiaj doskonale rozpoznawalne w terenie. Stoją tam budynki użyteczności publicznej, dawne sklepy spółdzielcze i magazyny, ośrodki zdrowia, remizy oraz szkoły.

Z żydowskiej tkanki Ochotnicy nic nie przetrwało, nawet groby nie zostały odpowiednio oznaczone i zabezpieczone. Zagłada Żydów rozmyśla się – i została przysłonięta przez mające tutaj miejsce w następnych latach walki partyzanckie i kolejne represje. W tym także kilkukrotne najazdy Niemców i krwawe pacyfikacje wsi, które kosztowały życie blisko stu mieszkańców gminy.

O ochotnickich Żydów i ich miejsce w lokalnej historii przez długie lata nikt się nie upominał. Nie miały w tym też propagandowego interesu władze PRL. Nie powstał więc żaden pamiątkowy głaz czy tablica – choć o wojennych dziejach wsi chętnie oficjalnie pisano, zwłaszcza w kontekście działalności partyzantki sowieckiej (aktywnej na tym terenie).

Żydzi żyli więc jedynie w prywatnych opowieściach mieszkańców, którzy znali ich sprzed wojny. O samej pomocy ukrywającym się mówiono przy tym mimochodem – ani ze wstydem, ani z dumą. Tu zastukali do drzwi i dostali coś do zjedzenia, tam skryli się na strychu, gdy w centrum wsi pojawili się Niemcy, kiedy indziej znowu za zgodą gospodarza nakopali sobie na polu ziemniaków, po czym uciekli do lasu. Ilu ich było – nikt nie liczył. Kto z nich przeżył, a kto zginął – tego również nie ujmowały żadne notatki czy statystyki.

Dopiero w 2008 r. groby ochotnickich Żydów zewidencjonowali przebywający na podhalańskim obozie naukowym studenci historii Uniwersytetu Jagiellońskiego (miałem przyjemność być opiekunem naukowym tego obozu; wyniki prac otrzymał Urząd Wojewódzki, a Oddział IPN w Krakowie napisał później opinię w tej sprawie dla Komisji Rabinicznej).

Niedawno zaczęto myśleć o ich ochronie. Miejscowy samorząd zamierza stać w wielokulturowości gminy i bogata ➔

→ tradycję, podkreślając istotną rolę II wojny światowej w lokalnej historii. Jest w tej koncepcji także miejsce na pamięć o Żydach. Na efekty tych projektów trzeba będzie jednak poczekać.

Jestem Polakiem, bo tak mi się podoba

Przeżycie w ukryciu wymagało tak od Żydów, jak i pomagających im Polaków ogromnej odwagi. Odtworzenie tego, jak ono wyglądało, wymaga dziś – po kilku dekadach – nie tylko determinacji, ale też otwarcia się na różne relacje – żydowskie i polskie. A także ogromnego dystansu do badanej materii.

O taki nieraz trudno, kiedy np. na polu z masowym grobem zamordowanych Żydów wciąż pasą się krowy. Albo gdy zapytany o dawnych sąsiadów gospodarz próbuje sprzedać, najlepiej za dolary, znalezione na strychu „żydowskie księgi”. Ciężko też zachować spokój, gdy pojawiają się w przestrzeni publicznej głosy o niemal powszechnym współudziale w Zagładzie góralskich sąsiadów – przy czym brak udzielania pomocy ukrywającym się Żydom urasta do rangi współsprawstwa zbrodni.

A przecież losy Żydów i Polaków były nierozdzielnie związane i stale się przeplatały. Jedni i drudzy w czasie wojny żyli obok siebie i obok siebie umierali – w różnych okolicznościach, zdradzani przez swoich, tropieni przez Niemców czy ich współpracowników, jako ofiary masowych mordów czy rozstrzeliwani zakładnicy.

Polacy mówili o „swoich Żydach”, a Żydzi, bywało, czuli się Polakami. Ocalały Abraham Fuhrman tak napisał: „Otóż jestem żydem z krwi i kości, ale należę do narodowości polskiej”.

Dodał przy tym: „bo mi się tak podoba”. © DAWID GOLIK

Za pomoc w przygotowaniu artykułu dziękuję Wojtkowi Muletowi ze Skansenu Studzionki w Ochotnicy.

DR DAWID GOLIK (ur. 1984) jest historykiem, pracuje w Oddziale IPN w Krakowie. Autor licznych publikacji nt. niemieckiej okupacji i polskiego podziemia wojennego oraz powojennego na Podhalu i w Małopolsce. Sekretarz redakcji „Zeszytów Historycznych WiN-u”.

Dwa lwowskie powstania

Było to klasyczny polski zryw powstańczy. Jednak nie przeszedł w takiej formie do historii. Właściwie dlaczego?

WPOWSZECHNYM PRZEKONANIU – utwierdzanym skwapliwie przez mieszkańców Wielkopolski – jedynym zwycięskim polskim powstaniem było to, które w grudniu 1918 r. wybuchło w Poznaniu. Nic bardziej błędnego: taka wąsko-regionalna interpretacja po pierwsze usuwa w cień cały proces długiego trwania, który miał miejsce na ziemiach polskich w latach 1914–22. W tym procesie Powstanie Wielkopolskie było znaczącym, ale jednym z wydarzeń, które rozgrywały się jesienią 1918 r., a które publicysta Tadeusz A. Olszański nazwał na łamach „Tygodnika” (nr 46/2018) wspólnym pojęciem: Wielkie Powstanie Listopadowe. Po drugie, Wielkopolanie nie byli jedynymi, którzy wtedy powstał i zwyciężył.

To, co zaczęło się we Lwowie rankiem 1 listopada 1918 r., było zbrojnym powstaniem – wymierzonym w rozpoczęte kilka godzin wcześniej ukraińskie powstanie, którego celem było utworzenie własnego państwa w Galicji Wschodniej ze stolicą we Lwowie. Co więcej: historyk Damian K. Markowski wykazuje, że – wbrew wspomnieniom jego dowódców (budujących swoją legendę) – w początkowej dynamice przypomiinało ono te z najgorzej przygotowanych polskich powstań. Zaczęły je nieliczne i słabo uzbrojone polskie grupy, często tworzone spontanicznie (zorganizowana konspiracja była nieliczna i podzielona). W początkowej fazie walk siły ukraińskie miały przygniatającą przewagę – tylko nie umiały jej wykorzystać.

Dlaczego mimo to lwowskie powstanie się udało? Zainteresowanym polecam książkę Markowskiego. Ten 33-letni hi-

storyk z IPN-u należy do młodego pokolenia badaczy, którzy temat ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej podejmują z nowej perspektywy, rzecz można: poza apologią i oskarżeniem. Wcześniej wydał pracę „Anatomia strachu. Sowietyzacja obwodu lwowskiego 1944–1953. Studium zmian polityczno-gospodarczych” (IPN 2018).

A dlaczego nie nazwano go powstaniem? Bo powstanie wymierzone jest przeciw czyjejś władzy (choćby zaborczej, okupacyjnej). Polacy musieliby więc przyznać, że Ukraińcy stworzyli taką władzę, załóżek państwa. Tymczasem dominująca wtedy opinia polska odmawiała Ukraińcom prawa do aspiracji państwowych w Galicji. Stąd do polskiej pamięci walki te weszły jako Obrona Lwowa: pisana tak, z wielkich liter.

Również dlatego interpretacja Markowskiego – ukazanie walk we Lwowie jako dwóch powstań, ukraińskiego i polskiego – otwiera nową perspektywę: taką, która pozwala pielęgnować pamięć o Orłętach (także pisanych z dużej litery), a z drugiej strony uznać rację przeciwnika. Bo dramat lwowskiego listopada 1918 polegał także na tym, że obie strony miały tutaj swoje uzasadnione racje, wtedy – nie do pogodzenia. © © WOJCIECH PIĘCIAK



Damian K. Markowski
„DWA POWSTANIA.
BITWA O LWÓW
1918”. Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2019.

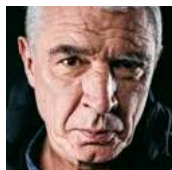
OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim zawiadamia, że pod sygn. I Ns 733/18 toczy się postępowanie z wniosku Krystyny Gajowniczek i Henryka Pleciała o zasiedzenie nieruchomości – działki nr 993, położonej w miejscowości Latowicz, obręb 0010, należącej do Aleksandra i Zofii małżonków Olko.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności spadkobierców właścicieli, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

ANDRZEJ

Stasiuk: Ludzie (5)



NO TO POJECHALIŚMY. TO ZNACZY SASZKO, Ślepy, Grzesiek i ja. Ciemno było, padało, a budynek był wielki jak rynek u mnie w powiecie i nie mogliśmy znaleźć wejścia. Kręciliśmy się jak zagubieni wieśniacy, ale za którymś okrażeniem w końcu się udało.

W środku był już tłum. Z tysięcy narodu, a nowi wciąż nadchodzili. Wszyscy pięknie ubrani, kobiety wymalowane i mimo chłodu i słoty z poodkrywanymi częściami ciała. Mężczyźni nie mogli pomalować się aż tak bardzo, więc na ich twarzach znać było przebyte trudy życia: w końcu branża rozrywkowa.

Żeby wejść dalej, trzeba się było zaobraczkować u eleganckich panien o nieruchomych spojrzeniach. W ogóle odniosłem wrażenie, że wszyscy mieli raczej nieruchome spojrzenia. No ale możliwe, że to ja miałem rozbiegane. W każdym razie potem stało się na schodach i czekało, aż cię wypuszczą. Raz wpuszczali, raz przestawiali. Potem się szło wzdłuż ściany, a za poręczą stali faceci z aparatami fotograficznymi. Jak szliśmy, to nic nie błysnęło. Nikt nas tu nie znał. Ale my też nikogo. Potem tylko Lecha Janerkę spotkałem. Najbardziej zdziwił się Saszko, bo jak jest w Kijowie, to cały czas coś błyska albo ktoś podchodzi. Posadzili nas przy numerowanym stole. Wokół siedziała napięta oraz wyczekująca młodzież.

Byliśmy najstarsi. Gdzieś w oddali, jakiś kilometr od nas stała scena, z której waliła dziwna muzyka i deliryczne obrazy z teledysków, a kobiety w połyskliwych strojach chyba ćwiczyły przed prawdziwym występem. Trochę to zlot spanikowanych robotów przypominało. Bliżej nas stała taka jakby biedaścena. Cztery kobiety przebrane za ruskie matrioski śpiewały białymi głosami znad Prypeci. Trudna mieszanka to była, więc powiedziałem: „Spadamy. Jak nas wyczytają, to ktoś nam potem po-

wie. A jak nie, to bez sensu tu siedzieć”. Chłopaki szukali piwa. Elegancka panna za barem powiedziała, że nic z tego. Dopiero jak się ta msza skończy. Wcale się nie zdziwiłem, bo trudno żeby wszechświatowa oraz elegancka tivi pijane mordy pokazywała. W męskiej toalecie, w jednej kabinie słychać było męskie głosy. „Fajnie – pomyślałem. – Jakieś życie nareszcie”. Ale wyszli i przed lustrem wcale nie pudrowali sobie nosów, tylko ścierali resztki białego proszku. „Też nieźle” – mruknąłem. Saszko z melancholią powiedział, że u nich jest wszystko inaczej, bo od razu wiadomo, kogo wyczytają, albo dają od początku i w ten sposób ludzie się nie denerwują i nie muszą brać narkotyków. Też byłem za takim rozwiązaniem. Wróciliśmy do tego stołu z młodzieżą i ktoś powiedział, że wyczytali kogoś innego.

Stałem w mokrej ciemności i patrzyłem, jak taksówka błędzi po wielkim, czarnym, pustym placu. Zlitowałem się i poszedłem w jej stronę. To był stareńki chevroletik aveo. W środku siedziała pani taksówkarka. Była duża. Usiadłem z tyłu. „Z Fryderyków?” – zapytała. „Taaa...” – odpowiedziałem. „Dali?”. „Nie dali”. „Pan się nie martwi”. „Dam radę. Jutro, pojutrze się zapomni...”. „No właśnie, ja też tak mam” – powiedziała i widziałem, jak popatruje na mnie w lusterko. „Trochę się martwię, ale potem zapominam. Kiedyś miałam salon masażu, taki normalny, wie pan, ale współnik mnie wykiwał”. Przyjrzałem się jej dłoniom na kierownicy. „No wykiwał, bo ja wolałam masować, a powinnam też czasem do papierów, do księgowości zajrzeć. Teraz jeżdżę. Też lubię i współnika nie mam”. Głos miała wesoły, z lekkim śląskim akcentem. „Mąż mógłby ze mną, ale prawa jazdy nie ma”. „Chłop bez prawa jazdy?” – nie mogłem powstrzymać zdziwienia. „Nerwowo jest. Trzy razy zaczynał, ale jak przychodziło do praktyki, to mu słabo szło. Może i lepiej, wie pan...”.

A ona jechała pewnie, spokojnie, sam po tych Katowicach bym tak nie potrafił. No i gadaliśmy, i gadaliśmy. Na choroby zeszło, na lecące lata. „Cukier to sobie pani bada?” – zapytałem. „Ja tylko tak wyglądam – uśmiechnęła się w lusterko. – Jest w porządku. A ten pana zespół to jak się nazywa? Jest na YouTube?”. Powiedziałem jej. Zajechaliśmy pod hotel. Przybiła mi piątkę ze swojego siedzenia, a ja chciałem ją uściskać. „Niech się pan wyśpi” – powiedziała. „Nie. Biorę furę i jadę do domu”. Zawinęła na parking i wyjechała na ulicę. Otworzyła okno i zobaczyłem jej podniesione masywne ramię. „Szerokiej drogi!” – zawołała. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 310/18 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin, o stwierdzenie nabycia spadku po Weronice Kowalewskiej, zm. 9 grudnia 1988 r., Józefie Kowalewskiej, zm. 20 września 1991 r., oraz Jadwidze Łysikowskiej, zm. 1 stycznia 1992 r., ostatnio zamieszkałych w Jarocinie. W skład spadku po zmarłych wchodzi udział w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 60/19, z wniosku Jacka Matczuka toczy się postępowanie o uwłaszczenie nieruchomości składającej się z działki gruntu nr 130, o powierzchni 0,93 ha, położonej w miejscowości Janów, ul. Prusa nr 6, gm. Chełm, pow. chełmski, woj. lubelskie, dla której nie została urządzona księga wieczysta, a której samodzielnymi posiadaczami byli Jadwiga Barbara Matczuk i Ryszard Matczuk.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

BAKTERIE, ZĘBY I ALZHEIMER

Nauka nie zapomina o demencji. Mamy kilka hipotez dotyczących jej przyczyny. Najnowsza mówi o bakteriach rezydujących w jamie ustnej.

MARIUSZ GOGÓL



NA ŚWIECIE CIERPI NA NIĄ BLISKO 44 mln osób. Według raportu Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) liczba chorych wzrosła do 115 mln w 2050 r. W Polsce dotyka ona niemal 15 proc. osób powyżej 65. roku życia. Ten odsetek podwoi się w ciągu kilkunastu lat.

Choroba Alzheimera jest jednym z tych problemów, który zaprzęta głowę ludzkości – dosłownie i w przenośni – w największym stopniu. Ta najczęstsza forma demencji dotyka wielu sfer: życia zawodowego, społecznego, a także codziennego. Mamy wiele hipotez dotyczących jej powstawania (zob. ramka). Najnowsza wskazuje na kluczową rolę bakterii, które występują w jamie ustnej.

Historia demencji

Pierwszy raz słowo *dementia* zanotowano w książce „Etymologie” – średniowiecznej encyklopedii napisanej około 600 r. przez arcybiskupa Seville o imieniu Izidor. Termin oznacza „stan bez umysłu” (*de* – pozbawienie, strata; *ment* – umysł; *ia* – stan). Objawia się on różnymi problemami w sferze intelektualnej, głównie z pamięcią. Oczywiście sam fakt zapisania określenia przez średniowiecznego myśliciela nie może być utożsamiany z pojawieniem się problemu czy też jego dogłębną analizą. Zapewne demencja jest związana nieodłącznie z historią ludzkości od samego początku.

Pewne dysfunkcje naszej pamięci były obserwowane w starożytności. Nawet ówczesni myśliciele łączyli je z mózgiem. Świadomość taką mieli już Egipcjanie 2 tys. lat p.n.e. Z samej świadomości jednak marny pożytek. Człowiek zawsze szuka przyczyny. Zastanawiało się nad nią kilku znakomitych myślicieli, czasem dochodząc do przeciwnych wniosków. Przykładowo Platon łączył demencję ze starzeniem się organizmu. Nie zgadzał się z nim Cyceon, który słusznie wskazał, że nie każda sędziwa osoba posiada takie intelektualne problemy. Rozwijający się nurt rozmyślań nad otępieniem ucichł wraz z upadkiem Cesarstwa Rzymskiego.

W średniowieczu łączono tę przypadłość z karą za złe postępowanie. Badania nad demencją odrodziły się w póź-

niejszych wiekach, co skutkowało powolnym wdrażaniem tego terminu do nomenklatury medycznej. Pierwszy raz określenie „demencja naczyniowa” zostało użyte w książce akademickiej napisanej w XVII w. przez doktora Thomasa Willisa, uznawanego za ojca założyciela neurologii.

Jako diagnozę medyczną demencję wstępnie zaakceptowano w 1797 r. Początek zdefiniowania choroby Alzheimera to przełom XIX i XX w. Nazwę chorobie nadał niemiecki lekarz Emil Kraepelin (1856–1926), który zakwalifikował problem jako demencję starczą oraz demencję przedwczesną. Tę drugą nazwał na cześć Aloisa Alzheimera (1864–1915), badacza, który odkrył jej patologiczne cechy.

Blaszki i splątki

U osób cierpiących na chorobę Alzheimera obserwujemy zanik komórek nerwowych oraz połączeń między nimi. Zmiany zwyrodnieniowe występują w części mózgu, która odpowiedzialna jest za przenoszenie informacji z pamięci krótko- do długotrwałej (w hipokampie), oraz innych obszarach kory mózgowej. Uszkodzenia te wpływają na odbieranie i przetwarzanie informacji związanych z funkcjami językowymi, pamięcią czy też regulacją emocji. Z tego względu osoba cierpiąca na chorobę Alzheimera wraz z jej rozwojem może stawać się agresywna, mieć trudności z mową, a nawet nie rozpoznawać bliskich.

Choć od pierwszego dokładnego opisu tych zmian minęło już ponad sto lat, nie znamy do końca ich przyczyny. Szukamy ich, oczywiście, na poziomie molekularnym. Patrząc na mózg, w którym toczy się choroba, moglibyśmy dostrzec istotne różnice w porównaniu z tkanką zdrową. Do najważniejszych należą zmiany strukturalne zwane blaszkami starczymi.

Składają się one m.in. z beta-amyloidu. Molekuła ta pochodzi od większej cząsteczki, znanej jako APP (ang. *Amyloid precursor protein*). Jest to białko znajdujące się m.in. w tkance mózgowej, które prawdopodobnie chroni komórki nerwowe i je odżywia. U zdrowych osób pewne enzymy – tzw. sekretazy – tną APP na fragmenty, które mają pewne funkcje regulacyjne. W chorobie Alzheimera cięcie wygląda nieco inaczej.

Jeden z fragmentów, który jest bardziej skory do tworzenia złogów, wycinany jest nieco sprawniej. Wynika to m.in. z mutacji

w genie kodującym APP, co sprawia, że powstająca na jego bazie cząsteczka wygląda odmiennie. Enzymy zauważają tę różnicę i obchodzą się z nią inaczej. Dzięki temu, oraz przynajmniej jeszcze kilku innym czynnikom genetyczno-białkowym, tworzą się nierozpuszczalne blaszki starcze.

Odkładanie się beta-amyloidu prowadzi do nadmiernej modyfikacji innej cząsteczki, zwanej białkiem Tau. W normalnych warunkach jest ono również modyfikowane, ale w schorzeniu i ten proces zostaje zaburzony. U osób cierpiących na alzheimera białko Tau przyłącza zbyt dużo reszt fosforanowych. Taka molekuła obwieszona „ozdobnikami” nie jest w stanie czuć nad szkieletem komórki nerwowej i wykonywać innych zadań w jej wnętrzu. Tworzy wtedy tzw. splątki neurofibrylarne, które razem z blaszkami starczymi zaburzają działanie neuronów. Wywołane zmianami procesy zapalne prowadzą w rezultacie do obumierania neuronów, a więc i mózgu.

Przyczyna czy skutek?

Śmierć komórek nerwowych wiąże się z najstarszą hipotezą dotyczącą patogeny tej choroby, jaką jest zanik tzw. neuronów cholinergicznym. Mimo że jest ich stosunkowo niewiele, to odgrywają one ważną rolę w procesie zapamiętywania oraz naszym życiu emocjonalnym. W zaawansowanym stadium choroby, w jednej z części mózgu brakuje aż 90 proc. z nich. Prowadzi to do spadku ilości acetylocholiny, molekuły, która jest najważniejszym neuroprzekaznikiem biorącym udział w zapamiętywaniu. Skutkiem tego są zaburzenia m.in. w procesach poznawczych. Potwierdzają to np. badania Raymonda Bartusa i Dwaine’a Emericha, którzy 20 lat temu wskazali, że nieprawidłowe lub zaburzone funkcjonowanie układu cholinergicznego wywołuje problemy z pamięcią u zwierząt.

Wiele prac naukowych potwierdza rolę czynników genetycznych i białek w rozwoju choroby Alzheimera. Jednak źródeł procesów prowadzących do niszczenia komórek możemy upatrywać nie tylko w naszych molekułach. Być może przyczyna leży nieco głębiej?

Jak wspominałem, choroba Alzheimera jest ściśle związana z procesami zapalnymi. Coraz więcej badań wskazuje, że złogi beta-amyloidu nie muszą być bezpośrednią przyczyną jej rozwoju. Za to mogą być skutkiem reakcji obronnej, który przekłada się →

Kristen Stewart i Julianne Moore jako córka i matka w filmie „Motyl Still Alice” (2014, reż. R. Glatzer, W. Westmoreland). Moore gra profesor lingwistyki, która zapada na chorobę Alzheimera.

→ na zaostrzenie choroby. Do takich wniosków doszli naukowcy, gdy odkryli, że cząsteczki budujące blaszki starcze są czynnikiem przeciwdrobnoustrojowym.

Przyczyną odkładania się blaszek starczych, a więc i rozwoju choroby, mogą być bakterie *Porphyromonas gingivalis*. Te niewielkie beztlenowe mikroorganizmy żyją w jamach ustnych ok. 25 proc. zdrowych osób, nie sprawiając żadnego problemu swoim gospodarzom. Najczęściej kojarzą się z inną chorobą, którą powodują – zapaleniem przyzębia.

Działanie tego mikroorganizmu na komórki leżące w naszej jamie ustnej rozpoczyna procesy zapalne, których rezultatem jest zniszczenie tkanek. Może to doprowadzić do utraty zębów. W badaniach na myszach pokazano, że jeśli zakazimy doustnie gryzonia, bakterie *P. gingivalis* mogą dotrzeć do mózgu. Cząsteczki zaś, z których zbudowana jest komórka tego drobnoustroju, znaleziono także w ludzkiej tkance mózgowej.

Środki transportu

W jaki sposób ten mikroorganizm dostaje się do mózgu? Potencjalnych dróg jest kilka, ale wydaje się, że *P. gingivalis* po zakażeniu jamy ustnej przenika do komórek odpornościowych zwanych monocytami, gdzie znajduje schronienie. Te zaś, pełzając w głąb naszej głowy, pełnią dla bakcyla rolę środka komunikacji.

Prawdopodobnie zakażenie zachodzi przez nerwy czaszkowe bądź też bez-

pośrednio poprzez inwazję śródbłonna, który tworzy zaporę oddzielającą naczynia krwionośne od tkanki mózgowej. Strukturę tę nazywamy barierą krew-mózg. Jej zadaniem jest regulacja transportu różnych substancji z naczyń krwionośnych do mózgu. Pełni ona rolę weryfikatora tego, co może, i tego, co nie powinno dostać się do mózgu. Przykładowo, umożliwia transport glukozy, ale blokuje neuroprzekazniki, które pełnią rolę w obwodowym układzie nerwowym.

Pod naporem bakterii bariera ta może przestać działać prawidłowo. Naukowcy przypuszczają, że spadek jej skuteczności może także następować wraz z wiekiem. Po jej sforsowaniu bakcyl poprzez wypustki neuronów może przenosić się na dalsze obszary. Takie spektakularne przenoszenie *P. gingivalis* w naszym organizmie nie jest czymś zupełnie zaskakującym. Jego obecność dokumentowana była już w różnych tkankach, takich jak łożysko, wątroba czy tętnice, gdzie wykrywa się go u 100 proc. pacjentów z chorobą sercowo-naczyniową.

Niedawne badania zespołu kierowanego przez prof. Jana Potemę z Uniwersytetu Jagiellońskiego wskazały, że istotną rolę w procesie rozwoju choroby Alzheimera mogą odgrywać tzw. gingipainy, produkowane przez *P. gingivalis*. Cząsteczki te są enzymami. Należą do tzw. czynników wirulencji, czyli arsenału broni mikroorganizmów. Każdy z patogennych mikroorganizmów posiada charakterystyczny

dla siebie zestaw takich czynników. Ma on umożliwić mu wzrost i przetrwanie w ciele gospodarza.

Rolą gingipain jest niszczenie tkanek, zapobieganie atakowi komórek układu immunologicznego gospodarza, jak również pomoc w pozyskiwaniu żelaza i składników odżywczych. U osób chorych na alzheimera gingipainy swoją złośliwą naturę ujawniają także w mózgu. Udało się jednak opracować cząsteczkę, która potrafi zatrzymać aktywność tych złośliwych enzymów. Została już przetestowana na myszach. Podana doustnie jest w stanie dotrzeć w odpowiednie miejsce w mózgu i przyczynić się do poprawy stanu zdrowia zwierzęcia. Badania pokazały, że jeśli zahamujemy działanie gingipain, to zmniejsza się ilość produkowanego beta-amyloidu, zmniejsza stan zapalny i obniża niszczenie neuronów w hipokampie.

Oczywiście badania na zwierzętach nie muszą mieć bezpośredniego przełożenia na organizm człowieka. Jednak ich rezultaty napawają optymizmem, fizjologia małych gryzoni nie różni się bowiem znacznie od ludzkiej. Czy zagadka dotycząca najgłębszych przyczyn choroby Alzheimera czeka na ostateczne rozwiązanie? Moim zdaniem jest taka szansa. W wielu innych chorobach coraz częściej dopatrujemy się związku z mikroorganizmami. W tym przypadku również powinniśmy brać to pod uwagę.

© MARIUSZ GOGÓŁ

Przyczyny choroby Alzheimera

WIELE MECHANIZMÓW – często powiązanych – może powodować zmiany kojarzone z chorobą Alzheimera. Najważniejsze hipotezy dotyczące rozwoju tej choroby wskazują na następujące czynniki.

PŁYTKI STARCZE. Są one zbudowane z cząsteczek beta-amyloidu, którego złogi są głównym czynnikiem w początkowych etapach choroby. Konsekwencją odkładania się

tego białka jest tworzenie się splątków neurofibrilarnych, uszkodzenia komórek nerwowych i naczyń.

ZŁOGI BIAŁKA TAU. W wypustkach nerwowych zwanych aksonami białko Tau reguluje tworzenie molekularnego rusztowania. Zbyt duża modyfikacja tej cząsteczki powoduje tworzenie agregatów w postaci splątków neurofibrilarnych. Osłabia to strukturę komórek, które mogą ulegać degeneracji.

PROBLEMY UKŁADU CHOLINERGICZNEGO. Według innej hipotezy u pacjentów ma dochodzić do zaburzenia funkcji oraz zaniku neuronów układu

cholinergicznego, czyli takich, które do przesyłania informacji wykorzystują cząsteczkę zwaną acetylocholiną. Ten neuroprzekaznik zaangażowany jest w krytyczne procesy fizjologiczne, takie jak kontrola uwagi, pamięci czy uczenie się.

PROCES ZAPALNY. Mikroglej i astrocyty to komórki spełniające różne funkcje. Złogi beta-amyloidu aktywują je, zachęcając do uwalniania cząsteczek zapalnych zwanych cytokinami. Produkowane są także reaktywne formy tlenu i tlenek azotu, które pobudzają nasz układ odpornościowy do działania. Utrata kontroli nad procesami zapalnymi prowadzi

w konsekwencji do degeneracji własnych tkanek.

MIKROORGANIZMY JELITOWE.

W ludzkim jelicie mieszka zróżnicowana mikroflora, która może regulować działanie naszego układu odpornościowego. Mikroorganizmy produkują cząsteczki odpowiedzialne za procesy zapalne, które działają bezpośrednio na mózg, oraz takie, które regulują zapalenie w sposób pośredni, np. działając na inne komórki uczestniczące w procesach odpornościowych. Badania wskazują, że nasi lokatorzy mogą wpływać na rozwój i skład elementów układu odpornościowego, a także regulować produkcję hormonów.

© MG



DOMENA PUBLICZNA

Wysychające Jezioro Aralskie, Kazachstan

Podobno nie jest za późno

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Największe w historii badanie stanu naszej planety nie zostawia złudzeń: zagłada już się zaczęła. Mamy jeszcze czas, by ją powstrzymać. Ale czy będziemy chcieli?

LICZĄCY 1,8 TYS. STRON RAPORT MIĘDZY-
Urządowej Platformy ds. Różnorodności
Biologicznej i Funkcji Ekosystemu (IPBES)
brzmi jak raport z końca świata. Opraco-
wanie, przez trzy lata przygotowywane
przez 145 ekspertów z 50 krajów na pod-
stawie 15 tys. dokumentów naukowych
i rządowych wylicza wszystko, co straci-
liśmy w ciągu ostatnich dziesięcioleci de-
wastacji planety.

Milion gatunków zwierząt i roślin sto-
jących na granicy wymarcia – 40 proc. pła-
zów, 33 proc. koralowców, 33 proc. gatu-
ków morskich i co najmniej 10 proc. owa-
dów. Wiele z nich tę granicę przekroczy
w ciągu najbliższych dziesięcioleci. Uby-
tek 82 proc. dzikich ssaków, skurczenie
się naturalnych ekosystemów o połowę,
utrata lasów o obszarze równym łącznej
powierzchni Francji i Wielkiej Brytanii
w ciągu zaledwie pierwszych 13 lat tego
wieku.

Planeta, której obszar rysuje raport, jest
tak zdominowana przez jeden gatunek

– nasz gatunek – że cała reszta istot jest
z niej niemal wypychana.

**„TO NAJBARDZIEJ DOGŁĘBNE, SZCZEGÓ-
ŁOWE I KOMPLETNE BADANIE ZDROWIA NA-
SZEJ PLANETY** – mówił prof. Andy Purvis
z Muzeum Historii Naturalnej w Londy-
nie, jeden z czołowych autorów raportu,
na ubiegłotygodniowej konferencji pra-
sowej towarzyszącej publikacji jego skró-
conej wersji. – Podstawowa wiadomość
brzmi: powinniśmy byli wcześniej pójść
do lekarza. Jest bardzo źle. Społeczeństwo,
które chcielibyśmy pozostawić naszym
dzieciom i wnukom, jest zagrożone. Jeśli
zostawimy próbę rozwiązania problemu
następnym pokoleniom, nigdy nam nie
wybaczą”.

Problem opisywany przez raport – kata-
strofalna utrata bioróżnorodności – jest od-
rębny, choć powiązany ze zmianami kli-
matu. Uczeni szacują, że podniesienie glo-
balnej temperatury o 2 stopnie Celsjusza,
czyli do poziomu ustalonego jako cel Poro-
zumienia Paryskiego, doprowadziłoby do
wymarcia 5 proc. gatunków zwierząt i ro-
ślin. Przy 4,3 stopni Celsjusza – już 16 proc.

GŁÓWNYM WROGIEM BIORÓŻNORODNOŚCI
jest jednak bezpośrednia działalność czło-
wieka. Produkcja rolna zajmuje jedną trze-
cią powierzchni Ziemi i pochłania 75 proc.
zasobów słodkiej wody. Ludzkość wydo-
bywa 60 mld ton surowców naturalnych
rocznie – dwa razy więcej niż w latach 80.,
choć populacja świata wzrosła w tym cza-
sie tylko o 66 proc. Ponad 80 proc. ścieków
komunalnych trafia do rzek bez oczysz-
czenia. Miesza się w nich z nawet 400 mln
ton przemysłowych odpadów. Plastikow-
ych śmieci w 40 lat przybyło dziesię-
ciokrotnie, a wpływające do mórz nawozy
sztuczne stworzyły 400 martwych stref,
w których żyją już tylko meduzy.

Katastrofalnie cierpi także gospodarka.
Wymieranie owadów zapylających za-
groża produkcji rolnej o łącznej wartości
ponad 2 trylionów złotych, a degradacja
gleb już dziś zmniejszyła produktywność
23 proc. ziemi uprawnej na świecie.

„Nie możemy już mówić, że nie wiedzie-
liśmy”, powiedziała na konferencji sekre-
tarz IPBES, Anne Larigauderie.

**MAMY WCIĄŻ CZAS NA POWSTRZYMANIE ZA-
GŁADY**, ale działania muszą być natychmia-
stowe i drastyczne. Gwałtowna redukcja
emisji gazów cieplarnianych, sadzenie
i ratowanie lasów, mniej inwazyjne tech-
niki pozyskiwania żywności oraz zmiana
naszych nawyków. Przykładowo – pro-
dukcja mięsa i nabiału pochłania 83 proc.
gruntów rolnych i odpowiada za 58 proc.
produkowanych przez rolnictwo gazów
cieplarnianych, choć przynosi nam jedy-
nie 18 proc. spożywanych przez ludzkość
kalorii.

Naukowcy liczą na narastający ruch
protestu, pod sztandarami organizacji ta-
kich jak Extinction Rebellion. W Wielkiej
Brytanii odniósł on już pierwszy, symbo-
liczny sukces. Po wielu dniach masowych,
pokojoych protestów w Londynie Izba
Gmin przegłosowała ogłoszenie „alertu
klimatycznego”. Jednak sam z siebie pozo-
staje on tylko pustym gestem. Teraz czas
na prawdziwe działania. Po raz pierwszy
utrata bioróżnorodności trafiła na agendę
spotkania grupy G8.

Jeden z członków tej grupy nie wydaje
się jednak czuć presji. Podczas niedaw-
nego szczytu Rady Arktycznej w Finlan-
dii, poświęconego m.in. utracie przez Ark-
tykę większości pokrywy lodowej, sekre-
tarz stanu USA Mike Pompeo uznał za sto-
sowne ucieszyć się z racji otwierających
się w ten sposób nowych szlaków handlo-
wych.

ZIEMIA NIE UMRZE. Biosfera naszej pla-
nety przez setki milionów lat wykazała
się zdumiewającą zdolnością do odra-
dzania się po kataklizmach. Uderzenia
asteroid, erupcje wulkanów niszczące
całe kontynenty czy oszalałe reakcje che-
miczne zmieniające oceany w kwasową,
toksyzną zupę, pochłaniały życie mili-
ardów istot, ale nigdy nie zdołały uśmiercić
Ziemi do końca.

My też nie damy rady. Ale jeśli nie zro-
bimy niczego, żeby powstrzymać wywo-
lane przez nas szóste Wielkie Wymiera-
nie, pochłonie ono także nas. ©



NIE UFAM RZECZYWISTOŚCI

WIESŁAW MYŚLIWSKI:

Książkę pisze się w równym stopniu świadomie, co nieświadomie.
Pisze się jakiś fragment i nie wie się, dlaczego, ale takie fragmenty bywają najlepsze.
Jakby to język sam je pisał, jakby język wiedział więcej,
jakby był mądrzejszy od nas.



MATEUSZ OCHOCKI / KFP

Jest Nałkowską ze względu na literackie utwory, a nie ze względu na to, co opowiada w dziennikach. Co mam jeszcze opowiadać o moim życiu? Wystarczy, że inspirowało moje książki.

Które, jak Pan mówi, nie są autobiograficzne.

Nie są, w żadnym przypadku.

Musiał się Pan złościć czytając recenzje „Widnokładu”. Tam wątków biograficznych dopatrywano się najchętniej.

Z tego, że mieszkalem tuż po wojnie w Sandomierzu, niecały zresztą rok, że potem chodziłem w tym mieście do gimnazjum i liceum, że zakochałem się w szkolnej koleżance, która została moją żoną – nic jeszcze nie wynika. A że komuś się wydaje, że to mu wystarczy, aby posądzić książkę o autobiografizm, cóż ja na to poradzę. Któż może wiedzieć, że aby napisać „Widnokład”, musiałem zerwać z wiernością wobec własnej biografii.

Jak to?

„Widnokład” zacząłem pisać jeszcze przed wydaniem „Kamienia na kamieniu”. Napisałem kilkadziesiąt stron, ale było to niedobre. I w zastępstwie napisałem właśnie „Kamień na kamieniu”. Zastanawiając się, dlaczego mi ten „Widnokład” wtedy nie wyszedł, doszedłem do wniosku, że byłem właśnie zbyt przywiązany do własnej biografii. Miałem do niej liryczny, sentymentalny stosunek.

I to Panu przeszkadzało.

Autobiografia determinuje pisarza, zniewała jego wyobraźnię.

To jak Pan wykorzystuje własną?

Zwyczajnie. Zwykle bardziej jej ufam niż jakiemuś zdarzeniu, które miało miejsce w moim życiu. Zdarzenia dzielą się na ważne i mniej ważne, banalne, pospolite. Otóż te mniej ważne niosą niekiedy taką potencję kreatywną, że wyzwalają wyobraźnię z wszelkich ograniczeń biograficznych. A te ważne, choćby dramatyczne, tragiczne, gaszą ją.

Nieraz tak sobie myślę, że gdyby dało się rejestrować, poza oczywiście naszą świadomością i naszą wolą, strumienie wyobrażeń, które przez nas przepływają, to dopiero byłaby literatura.

Znając Pana biografię...

...pani nie zna mojej biografii.

Znając niektóre wydarzenia z Pana życia...

...pani nie zna mojego życia. Bo nawet ja nie wiem, czy je znam, poza ogólnym zarysem, że się urodziłem, że umrę pewnie niedługo, że skończyłem takie, inne szkoły, że mieszkalem tu, tam. Ale co to jest za wiedza o życiu? Zewnętrzna, naskórkowa. Tym bardziej że tzw. pamięć nieustannie tworzy nasze życie. To energia tworząca, nie odtwarzająca.

Bliskie relacje chyba jednak pozwalają czegoś się o sobie dowiedzieć. Myślę o Pana żonie, którą Pan poznał prawie 70 lat temu.

Proszę pani, nawet w najbliższych relacjach człowiek dla człowieka pozostaje tajemnicą, przynajmniej w jakimś stopniu. Nie jesteśmy w stanie wnikać w czyjeś wewnętrzne przeżywanie tych relacji.

Znalazłam w „Uchu igielnym” zdanie: „Ich charaktery były tak różne, odmienne, żeby nie powiedzieć niezgodne, że mogłoby dziwić, jak przetrwali razem aż do śmierci. Ale kto wie, czy ta odmienność nie dawała im poczucia pełni”.

Na ogół się sądzi, że szczęśliwe małżeństwo wynika ze zgodności charakterów. Spotykała się pani z taką opinią?

Tak.

A moim zdaniem właśnie niezgodność charakterów jest podstawą więzi. W geometrii jest takie pojęcie „figury przystające”. Pamiętam ze szkoły średniej rysunek dwóch takich różnych postaci, kobiety i mężczyzny, które przystają do siebie. Tak i my z żoną mamy różne charaktery, a widzi pani, żyjemy w zgodzie już tyle lat. Nie mówiąc, że kobiety są z natury mądrzejsze. Ale mnie to jako mężczyzny nie obraża. Przeciwnie, korzystam szczerze chociażby z wrażliwości mojej żony. Kobiety posiadają jakiś dodatkowy zmysł, którego nam, mężczyznom, brakuje. Ich biologiczne doświadczenie jest mężczyznom niedostępne. Bo co my, na przykład, możemy wiedzieć, jak kobieta przeżywa stan swojej ciąży?

Przyznał Pan kiedyś, że ukształtowały Pana kobiety.

Tak, moja matka, żona i siostra, chociaż młodsza ode mnie o 10 lat. Można ➔

WIESŁAW MYŚLIWSKI: To jest prawdopodobnie ostatni wywiad, na który się zgodziłem. Co miałem do powiedzenia, a ściślej, co chciałem powiedzieć, powiedziałem.

ANNA GOC: Nie będzie więc wywiadu rzeki?

Nie będzie. Wielokrotnie mnie namawiano. Odmawiałem. Każda opowieść o sobie jest autokreacją, często mistyfikacją. Nie piszę też dziennika. Bo po co pisarze piszą dzienniki, może mi pani powie?

Z „Dzienników”, na przykład Nałkowskiej, można się sporo dowiedzieć.

Ale przecież nie będę oceniał Nałkowskiej na podstawie jej „Dzienników”.

→ powiedzieć, że zawsze byłem feministą, tylko nie wiedziałem o tym.

Ja jednak spróbuję spytać o te wątki autobiograficzne, wyzwalające.

Zgadza się Pan?

Proszę, niech pani pyta, nie obiecuję, że odpowiem.

„Jeślibym pragnął jeszcze kimś w życiu zostać, to tylko synem” – napisał Pan w „Nagim sadzie”, debiutanckiej powieści. To jest książka o miłości ojca i syna. Czy u podstaw „Nagiego sadu” można się dopatrywać Pana relacji z ojcem, którego Pan stracił?

W „Nagim sadzie” nie ma żadnych wątków autobiograficznych. Miałem 35 lat, gdy się ukazał, a narrator jest starym człowiekiem. Konstrukcja „Nagiego sadu” jest taka, że to syn obdarza ojca własną wyobraźnią na swój temat. Nie ma pewności co do tego, że ojciec tak bardzo kochał syna. Syn wyobraża sobie tę wielką miłość ojca do siebie, czym rewanżuje się swoją wielką miłością do ojca. Być może działały we mnie jakieś nieświadomione emocje. Straciłem ojca, gdy miałem trzynaście lat. Być może tęskniłem za nim, choć go właściwie mało znałem. Nigdy nie wiem, jakie emocje leżą u podstaw książki. I nie muszę wiedzieć. Po co?

Pisze Pan bez emocji?

Proszę pani, książki biorą się z namiętności intelektualnego, nie z emocji. Emocje mogą wciągać pisarza w publicystykę. I często tak się zdarza.

Pisząc pierwszą książkę też był Pan spokojny?

Pierwszą książkę pisałem przede wszystkim bez wiary w siebie. Nie zakładałem sobie, że zostanę pisarzem.

Złożył Pan nawet dokumenty na Politechnikę Gdańską, na budowę okrętów.

Ale co to ma do rzeczy? Chyba tylko tyle, że nie miałem zamiaru iść na żadną polonistykę. Polonistyka nie jest konieczna, żeby pisać książki. Z uzdolnień byłem fizykiem i matematykiem. Budowa okrętów na Politechnice Gdańskiej to był kierunek nowy, bardzo modny, nawet snobistyczny. A jak się jest fizykiem i matematykiem, to się idzie na politechnikę. Tak się jednak złożyło, że mnie nie przy-

Pamiętać to znaczy kreować.

W miarę jak się oddalamy
od jakiegoś zdarzenia,
oddajemy się w jasyr
wyobraźni. I w końcu nie
mamy pewności, czy tak było
naprawdę, czy fantazjujemy.

jęli. I potem już nie miałem zamiaru iść na żadne studia.

Pana przyszła żona namówiła Pana na polonistykę.

Tak, dowiedziała się, że przyjmują jeszcze na KUL-u. To były dość dramatyczne momenty, wahałem się do ostatniej chwili. Ale w końcu dałem się jej namówić. Przechodziliśmy jakieś egzaminy, rodzaj sprawdzianu ogólnego, choć prawdę mówiąc, przyjmowali wszystkich – młodych i starych, żonatych. Ale nie mogłem się przez trzy lata odnaleźć na tej polonistyce. Dużo czytałem, odkrywałem literaturę na własną rękę, nie poprzez zadawane lektury. Byłem wychowankiem prof. Ireny Sławińskiej, która chyba czuła, że coś ze mną jest nie tak. Proponowała mi różne tematy pracy magisterskiej, a mnie się te wszystkie propozycje nie podobały. No i wreszcie podsunęła mi temat: „Psychologizm w prozie dwudziestolecia międzywojennego”. Rzecz raczej na habilitację, a nie na magisterium. Ale zainteresowałem się tym tematem, głównie ze względu na psychologiczny, nie literacki aspekt.

Pierwszą książkę pisał Pan podobno po kryjomu.

Wiedziała tylko moja żona. Pracowałem wtedy w wydawnictwie. Gdy skończyłem, zaniósłem egzemplarz do Państwowego Instytutu Wydawniczego, gdzie nikogo nie znałem. Byłem przygotowany na to, że może nie zechcą wydać. Ryzykowałem, bo mogłem we własnym wydawnictwie opublikować.

Debiut został dobrze przyjęty.

Sprzyjało mi szczęście. Drzwi do literatury otworzył mi wielki poeta Julian Przyboś. Zналиśmy się już wcześniej, więc gdy

wydałem „Nagi sad”, dałem mu egzemplarz. Prowadził wtedy w „Życiu Warszawy” rubrykę, w której recenzował prozę. Przeczytał tę moją książkę i powiedział, że mu się podoba, ale nie może o niej napisać. „Bo wie pan – powiedział – oni mi tam każą tylko o sławnych pisać”. Nie oczekiwałem zresztą jego recenzji. A tymczasem w jakiś czas potem ukazała się recenzja Przybosia pt. „Niezwyczajny debiut”.

I co Pan na to?

No cóż. Może pani sobie wyobrazić, jak się cieszyłem. W ślad za Przybosiem pojawiło się wiele recenzji, wszystkie pochwalne, wszystkie powołujące się na Przybosia, a „Nagi sad” wkrótce wznowiono. Ja natomiast postanowiłem napisać antypowieść. „Pałac” to była najszybciej napisana przeze mnie rzecz. I napisałem ją dwukrotnie: pierwszą wersję w rok, drugą – w pół. Ale „Pałac” został już przyjęty z rezerwą.

Krytyka pisała brednie o tej książce. Z chłopaka król, tego typu rzeczy. Krytyka polska była wtedy socjologiczna. Do dziś taka jest. Na każdą książkę patrzono w kategoriach, na ile oddaje tzw. rzeczywistość, na ile jest współczesna. Pojęcie powieści współczesnej – to pojęcie raczej administracyjne, nie estetyczne.

Ale ktoś z wybitnych ludzi powiedział mi niedawno: „Wie pan co, ten »Pałac« jest najbardziej współczesną książką, jaka się w Polsce ukazała”. Spytałem, dlaczego tak sądzi. Na co on, że „Pałac” ukazuje stan duchowości społeczeństwa polskiego.

Pan nie zabiera głosu w sprawach bieżących. Dlaczego?

Nie mam temperamentu publicysty. Próba zrozumienia świata, rzeczy, zjawisk, zdarzeń, zachowań ludzkich skazuje pisarza na inną perspektywę, bardziej osobną, zdystansowaną wobec emocji zbiorowości. Nade wszystko wyzbycie się uprzedzeń. W konsekwencji wymaga to innego języka. Znaleźć język dla swoich intencji, dla opisanego tego chaosu, który nas otacza, ale który jest i w nas, to decyduje, czy coś jest literaturą. Poza tym jeśli pani czyta którąkolwiek z moich książek, to przecież dostrzega pani, że każda jest zanurzona w historii, tej dawniejszej i tej wciąż gorącej. Tylko że ta historia nie tyle dzieje się na zewnątrz – ona przepływa przez moich bohaterów.

Niech się pani poczęstuje chociaż ciastem, a ja sobie papierosy przyniosę.

Pan podobno zdrowieje po napisaniu każdej książki.

Pisanie to jest stan chorobowy. Trzeba więc wyzdrowieć, odciąć się od napisanej książki.

Po napisaniu książki wie się więcej?

Nie. Wie się mniej. Świat się poszerza. Jego granice oddalają się od nas. Toteż siadając do następnej książki, próbuję znaleźć jakiś inny punkt wyjścia, z nadzieją, że z niego może gdzieś dojść. Poznanie jest, niestety, nieskończonym pasmem złudzeń. Określam ten punkt jako zero, oznacza to stopień naiwności, na którą muszę się zdobyć, żeby znów zacząć pisać. Nieraz sobie myślę, że idealnym stanem byłoby nie wiedzieć, że istnieje coś takiego jak literatura. To oczywiście niemożliwe.

I Pan wie, kiedy przychodzi ten moment, że można zacząć?

Kiedy się pojawia pierwsze zdanie. Czekam nieraz latami na to pierwsze zdanie. Ale nie cierpię, gdy nie piszę. Nie odczuwam żadnej presji wewnętrznej, ani tym bardziej presji rynku czy presji znajomych, czytelników. Chociaż nieraz spotykam się ze zdziwieniem, że nie piszę: to co robię? Nic nie robię. Żyję. Życie wymaga więcej czasu niż pisanie. Gdzieś mi wyliczono, co ile lat wydaję książkę. Miałoby z tego wynikać, że tyle lat ją piszę. Otóż nie piszę tyle lat. To, że napisałem jedną książkę,

nie znaczy, że muszę napisać zaraz po niej drugą, a może trzecią mieć już w zanzardzu, czwartą w planie. Nie umiem sobie nawet takiego pośpiechu wyobrazić. I po co? W sztuce ilość nie przechodzi w jakość.

Ale w tym stanie między pisaniem o pisaniu chyba nie da się zapomnieć.

Można by i zapomnieć, dlaczego nie. Jeśli następna książka nie chciałaby być napisana. Albo nie miałbym żadnego poczucia, że na coś mnie jeszcze stać. Nie wystarczy powiedzieć sobie, że chciałbym napisać. Należałoby raczej odwozić się od takich zamiarów, a może książka sama namówi człowieka, żeby ją napisał. Wtedy da w taki lub inny sposób znać. Jak? Przyjdzie nieoczekiwane do głowy jakieś zdanie, jakiś fragmencik sytuacji, jakiś kawałek dialogu, wyłoni się jakaś postać itd. Na wszelki wypadek notuję te niewiążące się z sobą drobiazgi. Zbierają się, zbierają i bywa, że wydadzą z siebie jakiś głos. Ale niekiedy umierają bezgłośnie. Mam sporo takich martwych notatek.

Załóżmy, że ma Pan w pamięci jakąś postać. Co Pan z niej bierze?

W pamięci mam dużo postaci. Ale żadnej nie przeniosłem na karty książki. Nie tak przebiega ten proces, że coś się pamięta i przenosi wiernie do książki. Bo co to znaczy, że się pamięta? Pamiętać to znaczy kreować. Tyle przecież pamiętamy, co zapominamy. Pamięć jest w ciągłym ruchu. W miarę, jak się oddalamy od jakiegoś zdarzenia, oddajemy się w jasny wy-

obraźni. I w końcu nie mamy pewności, czy tak było naprawdę, czy fantazjujemy. Czasem z wielu postaci tworzy się jedną. A czasem z tej jednej bierze się tylko jej ręce czy chód, sposób mówienia lub stawia się ją w sytuacji, do której nigdy w rzeczywistości by nie doszło.

„Pisząc »Pałac« sam byłem Jakubem” – powiedział Pan po premierze.

Bo nie ma innej możliwości, jak tylko wcielić się w postać, którą się powołuje. Słowem: być tą postacią, czy to dobry, czy zły człowiek, przeżywać to, co ona przeżywa, czy to główna postać, czy epizodyczna. Kogoś takiego jak Jakub w ogóle nie spotkałem, nie znałem. Ani takiej sytuacji, w jakiej występuje Jakub, nie znałem. „Pałac” jest w całości wytworem wyobraźni.

Chciał Pan zrozumieć Jakuba?

Nie wiem, czy zrozumieć. Wcielić się w niego. Flaubert powiedział: „Madame Bovary to ja”. To jest kanoniczne dla literatury stwierdzenie. Nie muszę rozumieć stworzonych przeze mnie postaci, bo każdy może je inaczej rozumieć, niekoniecznie zgodnie z moją intencją. Zresztą nie zawsze wiem, jakie są moje intencje. Książkę pisze się w równym stopniu świadomie, co nieświadomie. Pisze się jakiś fragment i nie wie się, dlaczego to się pisze, ale takie fragmenty bywają nierzadko najlepsze. Jakby to język sam je pisał, jakby język wiedział więcej, jakby był mądrzejszy od nas.

→

REKLAMA

COPERNICUS FESTIVAL

ZAPRASZA NA

„LEONARDO DA VINCI – GRAMATYKI TWORZENIA”

KONCERT INAUGURACYJNY W WYKONANIU:

ŚŁAWOMIRA ZUBRZYCKIEGO – VIOLA ORGANISTA
DANIELA ELGERSMY – KONTRATENOR



COPERNICUS
FESTIVAL

WTOREK
21.05.2019
GODZ. 19:00

Bezpłatne wejściówki do pobrania na powszech.net/copernicus

MUZEUM NARODOWE
W KRAKOWIE
GMACH GŁÓWNY

→ Pisząc wie Pan, o czym będzie książka?

Nie, tego nigdy nie wiem. Mam jedynie to pierwsze zdanie. A co się z tego pierwszego zdania rozwinie, nie wiem. Towarzyszy mi najwyżej jakieś niejasne przeżucie, że to pierwsze zdanie nie zawiedzie mnie, pokieruje moim pisaniem.

Wie pani, na prywatny użytek dzielę literaturę na dwa rodzaje: literaturę tematu i literaturę języka. Otóż swoje pisanie sytuuję w obszarze literatury języka. Literatura tematu jest obca mojej wyobraźni, która by chciała zmieścić w książce wszystko, całe doświadczenie tego straszego XX wieku. To po pierwsze. Po drugie: język. Staram się pisać językiem pochodzącym ze źródeł mowy, nie pisma. Mowa jest wolnym językiem, mowa odkrywa możliwości języka, zbliża nas o wiele bardziej do prawdy kryjącej się w człowieku niż pismo zachwaszczone regułami, standardami.

Moją namiętnością nieomal jest śledzenie, jak ludzie mówią, nie to, co mówią, bo wydaje mi się, że to, co mówią, to wiem. To jest fascynujące. Niech pani kiedyś uważnie posłucha. Nikt nie opowiada tematycznie, linearnie. Każdy mówi, jakby chciał naraz wszystko opowiedzieć, co mu przychodzi do głowy. A ileż w tych opowieściach języków. Chociaż komunikujemy się wspólnym językiem, każdy człowiek ma swój język.

Nie ma Pan planu książki?

Plan? Gdybym miał robić plan, nie napisałbym żadnej książki. Bo co to znaczy plan? Musiałbym wiedzieć, co będzie na początku, w środku, na końcu. Znać przebieg akcji, znać postacie. A to by mnie nie ciekawiło. I po co miałbym pisać książkę, którą znam. A ja się również chcę czegoś dowiedzieć z książki, którą piszę. Podobnie jak czytelnik, kiedy będzie ją czytał. Kiedyś trafiłem u Stendhala na uwagę, że gdyby miał plan, niczego by nie napisał.

Kim jest Pana czytelnik?

Kiedy piszę, nie myślę o żadnym czytelniku.

Nie ma Pan kogoś, dla kogo Pan pisze?

A kogo miałbym mieć na myśli? Przecież nie wiem, kto będzie czytał. Julian Przyboś powiedział mi kiedyś, że pisze się dla idealnego czytelnika. A idealnym czytelnikiem jest on sam.

Julian Przyboś
powiedział mi kiedyś,
że pisze się
dla idealnego czytelnika.
**A idealnym czytelnikiem
jest on sam.**

To może ma Pan chociaż pierwszego czytelnika.

Pierwszym moim czytelnikiem jest moja żona. Bardzo ostry, wymagający czytelnik. Czyta długo, zdanie po zdaniu. I bez taryfy ulgowej. Nieraz muszę się z nią wyklócać, żeby mi darowała to czy tamto zdanie lub jakiś fragment.

Pana żona czyta fragmenty?

Nie, czeka, aż skończę. Nie lubi choćby czegoś posłuchać, bo rękopisu mojego nawet ona nie daje rady przeczytać. Czyta dopiero całą powieść, aby poznać jej konstrukcję, także i do konstrukcji ma nieraz uwagi.

A Pan bierze jej uwagi pod uwagę.

W większości tak. Jest wnikliwa, wrażliwa, czuła na różne szczegóły, nawet na poszczególne słowa. Ale nie mogę jej tak bardzo wychwalać, bo będzie niezadowolona. Jest osobą nieprawdopodobnie skromną. W dodatku pracowała przez lata w wydawnictwie, ma doświadczenie redaktorskie.

Pana ostatnia książka miała podobno kilka wersji.

O tym, jak pisałem „Ucho igielne”, nawet nie chce mi się mówić. Pisałem ją takim sposobem, w jaki nie napisałem żadnej poprzedniej książki.

Ale u mnie tak bywa: oddam książkę, a potem myślę o niej i zaczynają pojawiać się nowe pomysły. Jak to się mówi: najlepsze przychodzą na schodach. I skoro przychodzą, nie mogę ich nie wprowadzić.

Nożyczki zostały użyte?

O, wiele razy, wycinałem fragmenty, wyrzucałem, przestawiałem, dopisywałem nowe. Żeby długo nie opowiadać: książka, która wyszła, jest niepodobna do rękopisu.

Zachował Pan poprzednie wersje?

(Śmiech) Rękopis i przedostatnią, z zaznaczonymi czerwonym długopisem fragmentami.

Muszę spytać: kogo Pan czyta?

Niewiele czytam literatury. Ostatnio najwięcej czytam książek historycznych, filozoficznych. Skończyłem właśnie czytać wydaną przez Znak książkę „Dzieci Hitlera”. Historia interesowała mnie zawsze, od starożytności, przez średniowiecze, po współczesność. Mam syna historyka, który pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Zawsze mówię, że czytam, żeby rozmawiając z nim nie być ignorantem. Historię uważam za podstawową wiedzę, cokolwiek człowiek studiuje, powinien to opierać na znajomości historii. Po moich licealnych dyspozycjach matematyczno-fizycznych właściwie całe życie się humanizowałem.

Ale zachwycał Pana język, zwłaszcza ten, który „wybuchął” – jak określił Pan język relacji chłopskich.

To się stało, gdy założyłem kwartalnik „Regiony”. Pięć po dwunastej, moim zdaniem. Ale chcieliśmy uratować coś z zapisów chłopów polskich, którzy prawie cały wiek, bo gdzieś od połowy XIX wieku do połowy XX, przechodzili z kultury mowy w kulturę pisma. Udało nam się odnaleźć i opublikować sporo takich zapisów. Dzięki tym chłopskim zapisom, również dzięki nim, zrozumiałem, co to znaczy wolny język. Chłop we wszystkim przez wieki niewolny, wolny był zawsze w języku. Wolny także od wszelkich przepisów na poprawną polszczyznę. Stąd się wzięło moje przekonanie, że źródłem literatury powinna być mowa, a nie pismo. Utwierdził mnie w tym również Ludwig Wittgenstein – jaki język, taki świat.

Zapamiętałaś historię, o której Pan kiedyś wspomniał: nauczył Pan pewną kobietę alfabetu i własnego podpisu. Ale ona Panu nie uwierzyła, że tak się nazywa.

Brałem udział w szkole średniej w akcji walki z analfabetyzmem. Nauczyłem pewną starszą kobietę alfabetu, a potem poprosiłem, żeby napisała swoje imię i nazwisko. Tak się pani nazywa, jak pani tu napisała – powiedziałam. A ona, że nie tak, tylko tak jak mówię do pana. Dla niej słowa miały wagę pieczęci. A dziś? Np. język internetu to nie są słowa, które są

w ludziach. To są słowa, którymi ludzie zostali zainfekowani.

Korzysta Pan z internetu?

Nie, programowo nie. Internet to źródło choroby słów, która przerodziła się w epidemię, ale i w okropne gadulstwo.

Bohater „Ucha igielnego”, Pana najnowszej książki, spotyka Cygankę. Ale i Panu Cyganka powróżyła w młodości.

To było przypadkowe spotkanie. Miałem 17, może 18 lat. Cyganka przysiadła się do mnie w parku i zaproponowała, że powróży. Nie miałem pieniędzy, ale jej wystarczyło na grzechotkę dla dziecka. Powiedziała, że dożyje 81 lat. Wiek z przepowiedni wydał mi się tak odległy, że szybko o niej zapomniałem. Przypomniałem sobie dopiero, gdy przekroczyłem 81 lat.

W dniu urodzin?

Nie wiem, czy akurat w dniu urodzin. Ale z tego przypomnienia wziął się pomysł na „Ucho igielne”. (*śmiech*) Pani chce koniecznie mnie sprawdzić w lustrze mojej autobiografii, jakby to było gwarancją czego? Że moje książki nie są fikcją? Otóż powiem pani, że fikcja moim zdaniem bywa prawdziwsza od tak zwanej rzeczywistości. Niech pani tylko popatrzy, jak fikcje rządzą człowiekiem. Nie ufam tak zwanej rzeczywistości.

Czemuś Pan ufa?

Ufam językowi. Wszystko jest w języku. To język ustanawia świat. Nie zdarzenia, nie fabuły, nie żaden temat – język. Można powiedzieć, że język pisze książkę. Widzę, jaką on ma moc kreacji. Jak mnie ciągnie. Jak wymyśla opowieść, jak ją konstruuje, jak nadaje jej formę. Nawet gdy mu się opieram, to po zastanowieniu widzę, że język ma rację, nie ja.

Ma Pan nad nim jakąś władzę?

Władza nad językiem to tylko błagać język o prostotę. Prostota zdania jest najtrudniejszą sprawą w pisaniu. Ma się zamiar zawrzeć w zdaniu jakiś wzniosły sens, ale jak to wypowiedzieć najprostszym zdaniem? To prawdziwa nieraz udręka. Zawdzięczam jednakże tej udręce świadomość, jak pojemny, bogaty jest język polski. Przy upartym wysiłku, nie żałując czasu, podpowie nam w końcu coś prostego na wyrażenie najwznioślejszego nawet sensu. To prawda, że w związku

z tym pisze mi się wolno i trudno. Jeśli napiszę stronę dziennie, to uważam to za sukces. Ale bywa, że tylko jedno zdanie, a czasem nic. Ale i tak dzień, gdy przesiedzę nad białą, pustą kartką papieru, nie jest bezowocny. Proszę się zastanowić, w ilu wersjach można napisać pierwsze zdanie „Kamienia na kamieniu”. I ile pracy trzeba, żeby w końcu dojść do tego bezokolicznikowego, najprostszego „Wybudować grób”.

Ma Pan jedno zdanie, i co dalej?

Zdanie, które napiszę, powołuje następne zdanie, a to zdanie – kolejne. Zastanawiam się, czy wszyskie one prowadzą w kierunku, w którym wiedzie mnie intuicja. Bo z pierwszego zdania może wynikać kilka innych zdań, alternatywnych. Chodzi o to, żeby zdanie uzależniało następne zdanie, i tak bez końca, ku otwartości, nieskończoności nawet.

W pierwszym zdaniu zawarta jest już cała powieść. Ale ono nie musi stać na samym początku. Pierwsze zdanie „Widnokregu” jest na samym końcu – „Przynieść ci jeszcze morza?”. To zdanie wymyślił mój czteroletni syn, z którym byliśmy nad morzem. Budowałem mu jakieś zamki z piasku, a on w wiadereczku przynosił wodę z morza. I w pewnym momencie rzucił to pytanie: „Przynieść ci jeszcze morza?”. Mnie zachwyciło. Zobaczyłem w tym od razu jakby metaforę całego „Widnokregu”, z którym nie umiałem sobie poradzić przez tyle lat.

Pomysł na „Traktat o łuskaniu fasoli” też pochodzi z Pana doświadczeń?

Miałem przyjaciela, który w spalonej przez Niemców wiosce kupił dom. Dom był w ruinie, właściwie zostały tylko mury. Ale odbudował go. Obok stała piękna stodoła, ktoś ją wybudował chyba już po wojnie. Okazało się, że w tym domu, w którym spaliśmy, Niemcy spalili 40 osób w czasie pacyfikacji wsi. Spytałem przyjaciela, czy ktoś się uratował. A on na to, że jest tu jeden człowiek, mieszka niedaleko. Poszedłem do niego. Mówił z trudem, był sparalizowany. Mało co pamiętał, był wtedy dzieckiem. Na koniec dał mi książkę do modlitw, coś w rodzaju Biblii, a był baptystą, i ja nocami to czytałem.

Ale nie tylko z tego wyrósł „Traktat o łuskaniu fasoli”. Przede wszystkim ze zwyczaju łuskania fasoli, w którym to zwyczaju jako dziecko uczestniczyłem.

A jak było z saksofonem w „Traktacie...”?

Gdy chodziłem do liceum, byłem kinomanem. Wyświetlano w Sandomierzu sporo filmów zagranicznych, m.in. amerykańskich. Repertuar w kinie zmieniano co kilka dni. Chodziłem na każdy film, a zdarzało się, że na jednym byłem kilka razy. I w tych amerykańskich filmach, zwłaszcza rozrywkowych, występowały często zespoły jazzowe czy jazzbandowe. Pamiętam „Serenadę w Dolinie Słońca” ze słynną orkiestrą Glenna Millera, imponującą – saksofony, puzy, perkusje. I tak pokochałem saksofon. A wtedy saksofon był wykłety jako instrument imperialistyczny.

Próbował Pan kiedyś grać?

Nie, skąd, gdzie mnie tam było stać na saksofon. Zresztą saksofon był rzadkością. Ale pisząc „Traktat...”, w którym bohater jest saksofonistą, musiałem się nacytać sporo książek. Przeczytałem nawet podręcznik do nauki gry na saksofonie. Gdy oddałem wydawnictwu książkę, poprosiłem, by, na wszelki wypadek, dali jakiegoś saksofoniście do przeczytania. Poproszono wybitnego jazzmana, Adama Pierończyka. „Czy pan Myśliwski gra na saksofonie?” – spytał po przeczytaniu. Chyba nikt nie sprawił mi tyle radości, co on tym pytaniem. Gdy się dowiedział, że nie gram, postanowił wystąpić na promocji „Traktatu...” i w Krakowie, i w Warszawie. Dał się zaprosić do mojego domu. Wyjął saksofon, bo chciałem go o coś spytać, pytam, a on na to: „panie Wiesławie, pan więcej wie o saksofonie ode mnie”. „Bo pan nie musi” – odpowiedziałem. I to jest, proszę pani, podobnie jak z pisaniem.

© P Rozmawiała ANNA GOC

WIESŁAW MYŚLIWSKI (ur. 1932) jest pisarzem i dramaturgiem. Dwukrotny laureat Nagrody Literackiej Nike – za powieść „Widnokregu” w 1997 r. i „Traktat o łuskaniu fasoli” w 2007 r. Ma w swoim dorobku także powieści „Nagi sad”, „Pałac”, „Kamień na kamieniu”, „Ostatnie rozdanie”, „Ucho igielne” oraz dramaty „Złodziej”, „Klucznik”, „Drzewo”, „Requiem dla gospodyni”. Jest laureatem wielu nagród, otrzymał m.in. Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta, Nagrodę im. Alfreda Jurzykowskiego, Nagrodę Literacką Gdynia. Jego powieści były tłumaczone na wiele języków.

Nasze globalne Westeros

JAKUB MAJMUREK

W „Grze o tron” nawet groźba globalnej katastrofy nie likwiduje rodowej walki o władzę, wpływy, prestiż i terytorium. Co najwyżej może je na chwilę zamrozić. I jest w tym jakaś prawda, niestety.

GDY DO KIOSKÓW TRAFI TEN NUMER „Tygodnika Powszechnego”, do końca serialu HBO „Gra o tron” zostanie czytelnikom tylko jeden odcinek. Kiedy wysyłamy ten numer do drukarni, nie znamy jednak jeszcze dwóch ostatnich. Lecz niezależnie od tego, jak serial się skończy, już dziś można powiedzieć, że po „Grze o tron” telewizja i popkultura nie będą takie same.

Pierwszy serial światowy

„Gra o tron” stała się – zwłaszcza w ostatnich sezonach – pierwszym globalnym telewizyjnym blockbusterem. W samych Stanach trzeci odcinek ostatniego, ósmego sezonu – bitwę żywych i umarłych o Winterfell – oglądało prawie 18 milionów widzów. Imponujący wynik, zwłaszcza uwzględniając fakt, że dostęp do treści HBO jest płatny.

Widownia serialu nie ogranicza się jednak do Stanów. Widzowie w Ameryce Łacińskiej, Europie Zachodniej i Wschodniej od lat na bieżąco śledzą rozwój fabuły. Jeszcze dekadę temu było to nie do pomyślenia. Telewizja pozostawała silnie narodowym medium. Owszem, na całym świecie dostępne były serie ze Stanów. Nawet największe hity miały jednak europejskie premiery dobrych kilka miesięcy po amerykańskim debiucie.

W ten sposób funkcjonowała też na początku „Gra na tron”. Z sezonu na sezon rosła jednak grupa fanów z całego świata, domagających się natychmiastowego dostępu do nowych odcinków. Zamiast czekać na emisję serialu przez telewizję w swoim kraju, fani sięgali po nielegalne źródła. Media obwołały „Grę o tron” „najbardziej piraconym serialem w historii”.

HBO ofensywnie zwalczało piratów. Z jednej strony trudno się dziwić, że firma dbała o swoją własność intelektualną. Z drugiej w wielu krajach to właśnie pi-

ractwo umożliwiło powstanie szerokiej bazy fanów serialu i uczyniło z niego powszechnie dyskutowany fenomen. W końcu HBO uznało, że trzeba po prostu dać fanom natychmiastowy dostęp do pożądanых przez nich treści. W 2015 r., tuż przed premierą piątego sezonu, stacja ogłosiła, że serial będzie od teraz jednocześnie premierowo emitowany o tej samej porze w 150 krajach.

Fenomen społecznościowy

Co kieruje widzami zarywającymi noce, by o trzeciej nad ranem europejskiego czasu obejrzeć odcinek w momencie światowej premiery? Kluczowy wydaje się lęk przed spoilerami. „Gra” zawsze słynęła z nagłych, zaskakujących zwrotów akcji. Współczesny widz zakłada, że im mniej wie o tym, co się wydarzy w filmie czy odcinku serialu, tym większa przyjemność. Recenzentowi filmowemu czy książkowemu czytelnik jest w stanie wybaczyć chyba wszystko, ale z pewnością nie *spoiler*. A jeśli przegapimy premierę „Gry o tron”, o spoilery nietrudno. Wystarczy załogować się na Facebooka albo Twittera, by trafić na mem z kadrem z ostatniego odcinka bądź jego pisaną na gorąco analizę przez zachwyconych lub wkurzonych fanów. Niektórzy widzowie przed obejrzeniem kolejnego odcinka serialu profilaktycznie minimalizują więc kontakt z internetem – mniej wiedzy, czyli większa przyjemność.

Choć za „Grą o tron” stoi telewizja kablowa, to trudno wyobrazić sobie fenomen tej produkcji bez internetu i mediów społecznościowych. Internet nie tylko ułatwił legalną i nielegalną dystrybucję serialu, ale także stworzył forum, gdzie fani na żywo mogą dzielić się swoimi odczuciami, refleksjami, spekulacjami na temat tego, co stanie się w kolejnych odcinkach, czy interpretacjami pozostawio-



nym przez twórców zagadek i wskazówek.

„Gra o tron” jest serialem silnie angażującym emocje widzów w świat przedstawiony i walki, jakie toczą w nim jego bohaterowie. Internetowe spory o to, kto z nich zasiądzie, a kto zasiąść powinien na Żelaznym Tronie, wywołują nieraz tyle emocji, co rzeczywiste spory polityczne. Podobnie jak poszczególne decyzje fabularne twórców.

Zbroje i dolary nie wystarczą

Co tak bardzo przyciąga widzów do serialu? Na pewno bogactwo świata przedstawionego. Osiem sezonów dało twórcom dość czasu, by na ekranie stworzyć fikcyjny, fantastyczny, *quasi*-średniowieczny świat, pozwalający widzowi na głębokie zanurzenie w alternatywnej rzeczywistości. Świat dwóch fantastycznych kontynentów, Westeros i Essos, zo-



Lena Headey jako Cersei Lannister, królowa Westeros, w 8. sezonie serialu HBO „Gra o tron”

stał złożony w programie montażowym z materiałów kręconych m.in. na Islandii i Malcie, w Chorwacji, Maroku i Szkocji. Epicki oddech czujemy nie tylko patrząc na islandzkie plenery, ale także w sekwencjach batalistycznych, kręconych z rozmachem do tej pory spotykanym tylko w kinie. Wyreżyserowana przez Miguela Sapochnika „bitwa bękartów” z szóstego sezonu – starcie o Północ między armią szlachetnego Jona Snowa i psychopatycznego Ramsaya Boltona – to jedna z najlepszych, jeśli nie najlepsza, scena średniowiecznej bitwy w tej dekadzie, zarówno w kinie, jak i telewizji.

Stacja nie żałowała na to wszystko pieniędzy. W pierwszych sezonach średni koszt odcinka zamykał się w budżecie 6 mln dolarów. Z każdym sezonem budżety rosły. Szósty sezon miał w sumie kosztować sto mln dolarów. W obecnym koszt odcinka to aż 15 mln dolarów. Dla porównania, na wsparcie całej pol-

skiej kinematografii PISF wydał w 2017 r. 134,63 mln zł. Po dzisiejszym kursie trochę ponad 35 mln dolarów – niewiele więcej niż koszt dwóch odcinków „Gry o tron” z tego sezonu.

Recepta „wielki budżet i zbroje” nie zawsze okazuje się jednak kluczem do wielkiej widowni, wiernych fanów i uznania krytyków. Mimo Ewy Green w roli Morgany nikt nie pamięta już dziś o startującym równolegle z „Grą o tron” „Camelocie” – pełnej seksu i przemocy przeróbce arturiańskiego mitu. Neil Jordan za kamerą i Jeremy Irons w roli papieża Aleksandra VI nie pomogli „Rodzinie Borgiów” zmienić się w „Grę o tron” na renesansowym papieskim dworze. Netflix wydał na pierwszy sezon swojego serialu o Marco Polo 90 mln dolarów – projekt zupełnie nie zaskoczył wśród widzów, nieporuszona był też większość krytyków. Amazon szyskuje się do kosztującej pół miliarda dolarów serialowej adapta-

cji „Władcy pierścieni”. Branża wcale nie jest przekonana, że będzie to oczywisty hit. Podobnie jak netfliksowa adaptacja „Wiedźmina”.

Lannisterowie współcześni

Sekret „Gry o tron” polega bowiem na tym, że choć akcja osadzona jest w świecie baśniowego średniowiecza, to jej bohaterowie mówią do nas współczesnym językiem. Lannisterowie, Starkowie i inne wielkie rody Westeros to postaci z naszego świata. Z łatwością możemy sobie wyobrazić, jak przy odpowiedniej zmianie kostiumu równie zacięcie co o Żelazny Tron walczą o wrogie przejęcie konkurencyjnej firmy, miejsce w zarządzie korporacji czy urząd prezydenta.

Świat „Gry o tron” to nie wyidealizowany feudalizm rodem z Tolkiena. Westeros to okrutny i brutalny kontynent. Kapłani starych i nowych bogów to nie święci mężowie, ale zawodowi hipokryci. Rycerze to nie szlachetni obrońcy uciśnionych, ale żołdacy do wynajęcia. Feudalni panowie dbają tylko o własne interesy, a większość monarchów, jakich widzieliśmy w serialu, nigdy niczym nie powinna rządzić. No właśnie...

Współcześnie pobrzmiwa jeden z głównych wątków serialu – ekspansja Białych Wędrowców, nieumarłych ożywianych przez Króla Nocy. Wraz z Białymi Wędrowcami nad Westeros – gdzie pory roku mogą trwać nawet kilka lat – nadciąga wyjątkowo długo i mroźnie zapowiadająca się zima. Poza Jonem Snowem wszystkie kluczowe postaci tak pochłonięte są polityczną walką, że nie widzą zbliżającego się zagrożenia, które może zmieść z powierzchni planety znaną im cywilizację. W porównaniu z grozą armii umarłych tytułowa gra o tron wydaje się głupią, dziecinną zabawą.

Łatwo dostrzec w tym analogię do współczesnego kryzysu klimatycznego. Planeta przegrzewa się, nie wiemy, czy uda się powstrzymać te przemiany. Wiemy, że jeśli jest szansa, to kosztem radykalnej politycznej i gospodarczej transformacji, której nie można odkładać. Podobnie jak walczący o koronę Lannisterowie i Baratheonowie, współcześni politycy ignorują to zagrożenie, zajęci przepychankami o władzę, nieistotnymi w obliczu groźby klimatycznego załamania.

Desperacka walka z Królem Nocy zapowiadała się jako główny wątek serialu. ➔

→ Na razie wydaje się jednak, że twórcy rozwiązyli go już w połowie sezonu. Żywi obronili Winterfell przed nieumarłymi, Król Nocy zginął. Po jego śmierci od razu wraca niska, brudna polityka. Postaci wczoraj walczące ramię w ramię w imię życia zaczynają walczyć ze sobą.

Czyżby wątek Króla Nocy miał się tak skończyć? Mamy poczucie, że ludzkość zbyt łatwo uniknęła zagłady, której narastające zagrożenie twórcy tak sugestywnie pokazywali przez kilka poprzednich sezonów. Z drugiej strony, konkluzja, że nawet groźba globalnej katastrofy nie likwiduje logiki walki o władzę, wpływy, prestiż i terytorium, że co najwyżej może je zamrozić na chwilę, ma też swoją mądrość, niestety.

Więźniowie wiecznego średniowiecza

„Gra o tron” ma jeszcze jeden nieoczywisty punkt wspólny z naszymi czasami. Co jest dziś nam bowiem najtrudniej pomyśleć? Prawdziwą zmianę społeczną. Jak nazwał to brytyjski teoretyk kultury, Mark Fisher, żyjemy w czasach „powolnego anulowania przyszłości”. Przynajmniej takiej, która jest czymś innym niż kontynuacja teraźniejszości.

W Westeros jest podobnie. Kontynent od tysięcy lat tkwi w tym samym ustroju społecznym, opartym na rycerstwie, feudalnych panach, monarchii oraz religii. Inwazja dynastii Targaryenów – mająca miejsce około 300 lat przed początkiem wydarzeń z serialu – po raz pierwszy zjednoczyła politycznie kontynent, ale niewiele zmieniła w jego strukturze społecznej. Ród Starków od ponad tysiąca lat jest dominującą siłą na północy Westeros, a jeszcze dłużej władą rodowymi ziemiami, skupionymi wokół zamku Winterfell.

Wojna, którą obserwujemy w serialu, wybiła kilka najpotężniejszych rodów na kontynencie. Trudno jednak spodziewać się, by podobnie jak w przypadku wojny dwóch ród w Anglii przetrzebienie feudalnej elity przyniosło zmianę społeczną. W ostatnim sezonie nie ma już żadnej reprezentującej nowe społeczne energie postaci. Lord Petyr Baelish, genialnie amoralny człowiek, talentem, sprytem i oszustwem pokonujący ograniczenia swojego urodzenia, został w poprzednim sezonie skazany na śmierć przez Starków, najbardziej przywiązanych

do feudalnej ideologii ród w Westeros. Pod amoralnością i intrygami Baelisha można było dostrzec zarysy nowego porządku, mniej opartego na urodzeniu, zamkach i armiach feudalnych baronów, bardziej na talencie, przedsiębiorczości, racjonalnym planowaniu, nowożytnym aparacie państwowym.

O ile Baelish jest postacią rodem z Małkiewela, to Szary Wróbel przypomina Savonarolę albo radykalnego kaznodzieję z XVI-wiecznych wojen chłopskich. Przewodzi oddolnemu religijnemu ruchowi przeciw zepsuciu arystokracji i elity kapłańskiej. Ginie spalony żywem przez królową Cersei – postać prezentującą feudalną władzę w jej najbardziej nagiej, bezwzględnej formie. Jako widzowie nigdy nie mamy szansy go polubić – jego ruch łączy zaangażowanie po stronie najsłabszych z autentycznym fanatyzmem, bigoterią, barbarzyńskim stosunkiem do kultury materialnej i homofobią.

Przez jakiś czas wydawało się, że nowe otwarcie przynieść może Westeros Jon Snow, nieślubny syn Neda Starka, jako bękart pozbawiony miejsca w feudalnym społeczeństwie. Snow ma naturalną charyzmę, zdolny jest do wizjonerskich politycznych decyzji – choć wykonanie jego planów często wychodzi dramatycznie źle. Już w poprzednim sezonie okazało się jednak, że Snow nie jest bękartem Starków, ale prawowitym potomkiem Targaryenów z tytułem do tronu mocniejszym niż Daenerys. Jeśli to on w końcu zasiądzie na Żelaznym Tronie, otrzymamy tolkienowską z ducha opowieść o powrocie króla.

Gdyby „Gra o tron” zamknęła się taką figurą, byłbym rozczarowany. Liczę, że w dwóch odcinkach, które ciągle mam przed sobą, twórcy czymś jeszcze zaskoczą. Szkoda byłoby, gdyby produkcja, która otworzyła przed widzami tak bogaty fantastyczny świat, okazała się kolejnym dowodem na kryzys politycznej wyobraźni we współczesnej popkulturze. Czy naprawdę łatwiej jest stworzyć światowy *blockbuster* i zrewolucjonizować sposób odbioru telewizyjnych treści, niż wiarygodnie pokazać zmianę społeczną? Przyszłość faktycznie przynosząca coś innego? Nawet w fikcyjnym świecie, gdzie po stuleciach feudalizmu naprawdę przydałoby się nowe otwarcie.

© JAKUB MAJUREK

Balast tożsamości

ANITA PIOTROWSKA

Nowy dokument Tomasza Knittla stawia trudne pytania o przynależność – do miejsca i do wspólnoty. Dlaczego niektórzy Polacy czują się w dzisiejszej Polsce tak bardzo nie u siebie?

DLA MUŻULMANINA LEPIEJ W POLSCE” – mówi Sultan, afgański imigrant z rosyjskim akcentem i bujnym wąsem. Wraz z ukraińską żoną przyjechał kilka lat temu z Doniecka do Warszawy, gdzie pracuje w knajpce z falafelem i humusem. Usłyszał kiedyś, że wygląda jak Saddam Husajn, ale i tak woli nasz kraj od „ateistycznego” Zachodu. Rodzina, tradycja, gościnność – wylicza, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak Krzysztof, główny bohater filmu, tak bardzo Polski nie lubi.

Najnowszy dokument Tomasza Knittla („Uniwersam Grochów”, serial „Blok”) pierwotnie nosił tytuł „Tożsamość”. W czasie ostrych wojen tożsamościowych toczących się na polskim gruncie być może zbyt włożyłby kij w mrowisko i dlatego został przemianowany na „Złota”. Przy tej warszawskiej ulicy mieści się bowiem kamienica, którą żydowska rodzina Krzysztofa utraciła po wojnie na mocy dekretu Bieruta i niedawno szczęśliwie odzyskała. W trakcie kręcenia filmu rozpoczęły się prace komisji Patryka Jakiego do spraw reparytacji i losy nieruchomości na powrót stały się niepewne. Przez ostatnie tygodnie życie (czytaj: komisja weryfikacyjna) zdążyło dopisać do tej historii kolejne rozdziały. Nie o tym jednak traktuje film „Złota”. Przede wszystkim stawia trudne pytania o przynależność – do miejsca i do wspólnoty. Dlaczego niektórzy Polacy czują się w dzisiejszej Polsce tak bardzo nie u siebie?

Knittel zagląda w duszę kogoś, kto dorastał w „kryptożydowskim domu” i późno



MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Złota”

odkrył swoje korzenie. Trzecie pokolenie ocalałych z Zagłady często jest pierwszym, które zaczyna otwarcie mówić o rodzinnej traumie, a „odzyskana” żydowskość staje się czasami ich obsesją. Krzysztofowi trudno się dziwić: przez ulicę Złotą biegła granica getta, o czym przypomina zachowany fragment muru – dziś obowiązkowy punkt programu dla żydowskich wycieczek. Bardziej jednak niż pamięć doskwiera mu Polska współczesna, coraz bardziej ksenofobiczna i homogeniczna, coraz mniej przyjazna. Krzysztof jest zaprzeczeniem stereotypu chciwego żydowskiego kamienicznika – traktuje swoich lokatorów po ludzku, ale równocześnie nie chce być dla takiej Polski listkiem figowym, kimś na kształt „dobrego Żyda na weselu”. Chciałby stąd wyjechać, jakkolwiek przez cały czas trwania filmu zastanawiamy się, przed czym tak naprawdę próbuje uciec.

Kamera krąży nad dachami i podwórzem przy ulicy Złotej. Mieszkańcy warszawskiej posesji, z których prawie każdy jest „skądś”, tworzą barwną mozaikę rozmaitych losów i tożsamości. I, w przeciwieństwie do głównego bohatera, odnaleźli tu swoje miejsce. Weźmy chociażby Fadięgo – młodego uchodźcę z Syrii, a zarazem kogoś, kto doskonale rozumie, jak groźny bywa resentyment i zaślepienie wojną. Pan Czesław trafił do stolicy ze wsi tuż po wojnie, wkrótce potem zamieszkał w zrujnowanym budynku, a dziś pielęgnuje ogródek wyrosły na gruzach zniszczonych domów. O swojej splecionej genealogii opowiada w filmie Ida, żona Krzysz-

tofa, która na co dzień zajmuje się całą tą niewdzięczną krzątaniem, jaką są sprawy administracyjne kamienicy – choć najchętniej realizowałaby się w zupełnie innych dziedzinach. Okazuje się, że przedwojenny budynek przy Złotej zarazem łączy i dzieli. Udało się go uchronić przed gentryfikacją, ma swoją wartość sentymentalną, za chwilę może zostać ponownie utracony, lecz bywa również, zwłaszcza dla młodych spadkobierców, uciążliwym balastem. W wymiarze codziennym i symbolicznym.

Knittel zdołał pochwycić całą złożoność sytuacji, w jakiej znaleźli się Ida i Krzysztof – młodzi Polacy uwikłani we własną przeszłość, mający zupełnie różne wizje przyszłości i przez to tak bardzo rozmiągający się ze sobą w czasie teraźniejszym. „Złota” to film, który zamiast odpowiadać, mnoży znaki zapytania. Trudno tu wytyczyć ostre granice między idealistycznym wyobrażeniem a uporczywym prześlępieniem, między obrazaniem się na rzeczywistość a konstruktywnym gniewem, wreszcie – po-

między wykluczeniem a samowykluczeniem. I Knittel pozostawia nas na tym grząskim gruncie bez żadnej asekuracji, nie ferując gotowych rozstrzygnięć czy ocen. Co istotne, dostajemy portret wcale nie tak osobliwy, jak by się mogło wydawać. Główny bohater ze swoim gorzkim sarkazmem i chronicznym zmęczeniem Polską może prowokować, może też irytować, wielu jednak Polaków i Polek, niekoniecznie z żydowskim rodowodem, odnajdzie w słowach Krzysztofa odbicie własnych wątpliwości czy lęków. Szczególnie ci, którym tak jak bohaterowi filmu pozostało już wystarczać życie we własnej, oswojonej bańce, i chcieliby po prostu zamieszkać w Polsce. ©

ZŁOTA – reż. Tomasz Knittel. Prod. Polska 2019. Dokument można zobaczyć na trwającym właśnie festiwalu Millenium Docs Against Gravity, a niedługo na Krakowskim Festiwalu Filmowym, gdzie 30 maja o godz. 18.45 w Kinie pod Baranami odbędzie się debata „Tygodnika” wokół filmu. Więcej szczegółów w następnym numerze.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie, z s. w Świdniku, w sprawie I Ns 1203/18, z wniosku Grażyny Kałuskiej toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Marianna Szpak nabyła przez zasiedzenie własność nieruchomości położonej w Lublinie przy ul. Parkowej nr 3, oznaczonej jako działka gruntu nr 28, pow. 0,0176 ha, dla której nie została założona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [18 – 24 V]

1. Świadkowie Putina

Dokumentalny,
reż. Witalij Manski,
Łotwa/Czechy/Szwajcaria
2018, CANAL+ Discovery,
19 V, 15.50

Początek nowego milenium otwiera nową erę w historii Rosji i świata – Borys Jelcyn ustępuje z prezydenckiego fotela i namaszcza następcę. Wykorzystując prywatne nagrania oraz materiały wideo zza kulis rosyjskiej polityki, Manski odtwarza moment przełomu. Widzimy, jak Putin staje się architektem porządku budowanego na nacjonalizmie i posowieckiej nostalgii.

2. Podbić Kongres

Dokumentalny, reż. Rachel Lears, USA 2019, Netflix
Alexandria Ocasio-Cortez,
Cori Bush, Paula Jean Swearengin, Amy Vilela – cztery
młode kobiety rzuciły

wyzwanie politycznemu establishmentowi USA. W 2018 r. wystartowały w wyborach do Kongresu z ramienia Partii Demokratycznej. Dokument śledzi indywidualną drogę każdej z nich, pokazuje ich determinację i potrzebę zmiany.

3. Jak pies z kotem

Dramat, reż. Janusz
Kondratiuk, Polska 2018,
Cineman VOD

Z dużą odwagą twórca
„Dziewczyn do wzięcia”
opowiada o swej relacji ze

starszym bratem. Film skupia się na ostatnim etapie życia Andrzeja Kondratiuka, kiedy to złożony chorobą znajduje opiekę w domu Janusza. Na uwagę zasługują role Olgierda Łukaszewicza i Roberta Więckiewicza, ale przede wszystkim Aleksandra Konieczna grająca Ięgę Cembrzyńską.

4. Tabu

Dramat, reż. Miguel
Gomes, Brazylia i inne
2012, www.artekinofestival.com

Na internetowym festiwalu
ARTE filmem tego miesiąca

jest nagrodzona w Berlinie opowieść, która uwodzi zarówno melancholijnym klimatem, jak i licznymi cytatami filmowymi. Dla portugalskiego reżysera („Tysiąc i jedna noc”) historia utraconej miłości zamienia się w podróż w czasie, rozpiętą między Lizboną a kolonialną Afryką.

Pasażerka z bydłących wagonów

DOROTA KOZIŃSKA Z TEL AWIWU

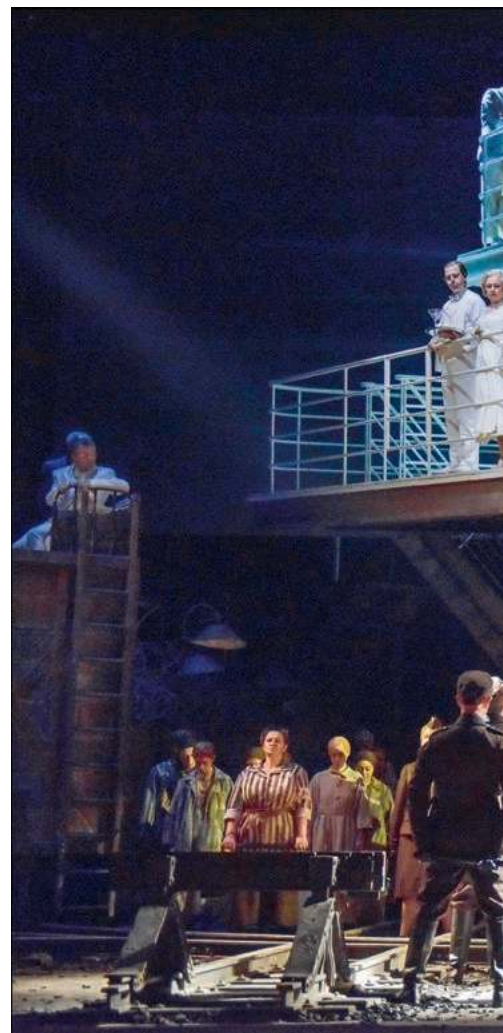
Z niecierpliwością wyczekiwałam izraelskiej premiery opery Mieczysława Wajnberga. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania.

ZACHOR TO NIE JEST ZWYKŁA PAMIĘĆ. To nakaz pamiętania, obowiązek każdego Żyda, powtarzany w codziennej modlitwie – nakaz bezwarunkowy, pierwotny wobec wiedzy, poprzedzający zrozumienie. Gdyby spróbować wytłumaczyć go na jakimś przyziemnym przykładzie, zachor byłby okrzykiem „Stój! Nie rusz!” na widok dziecka maszerującego ufnie w stronę wiadra z wrzątkiem. Zapamiętaj, nim pojmiesz. Przyjdzie czas, a zrozumiesz, dlaczego nie wolno wkładać rączki w ukrop.

W takim ujęciu pamięć staje się normą zinternalizowaną, narzuconą z zewnątrz. Z biegiem lat i nabywaniem coraz to nowych doświadczeń przeistoczy się w normę autonomiczną, przeżyta i rozumiana, przestrzegana z własnej woli. Od czasu zburzenia Drugiej Świątyni i początku diaspory zachor konstytuuje żydowską tożsamość: traktującą historię na prawach mitu, który pomaga nadać sens teraźniejszości. Historia wciąż przeżywana od nowa jest gwarantem istnienia. Jeśli zapomnisz, nie wpoisz synom – zgubisz drogę do ziemi, o której Pan „poprzyśiągł przodkom twoim”.

„Pasażerka” Mieczysława Wajnberga w tym właśnie znaczeniu jest operą o pamięci. Nie chodzi w niej o zapiekłą pamięć doznanych krzywd, czego obawiała się Zofia Posmysz, interpretując finałowy monolog Marty – z tekstem zaczerpniętym z wiersza Paula Éluarda – jako sprzeczny z chrześcijańskim obowiązkiem przebaczenia. Wbrew wątpliwościom części środowisk żydowskich po amerykańskiej premierze dzieła, „Pasażerka” naprawdę jest operą o Holokauście, mimo że w libretcie właściwie nie ma Żydów. Nie ma ich, bo Wajnberg pisał ją w okolicznościach wykluczających możliwość bezpośrednich odniesień do tragedii Szoa.

Już w 1944 r., okresie imponujących zwycięstw Armii Czerwonej nad siłami III Rzeszy, stracił rację bytu Żydowski Komitet Antyfaszystowski, powołany dwa lata wcześniej przez NKWD – głównie po to, by zyskać poparcie diaspory żydowskiej dla walki ZSRR z nazistowskimi



Niemcami. Tuż po wojnie zaczęto piętnować działania komitetu jako „nacjonalistyczne” i „syjonistyczne”. W styczniu 1948 r. zginął teść kompozytora: przewodniczący ZKA Solomon Michoels, wybitny aktor i reżyser, dyrektor Żydowskiego Teatru Akademickiego w Moskwie, który tuż po powstaniu Komitetu, z inicjatywy Stalina, wyjechał w długą delegację za ocean, gdzie zdołał przekonać amerykańskich Żydów do wyasygnowania środków na zakup tysięcy samolotów, pięciuset czołgów, prowiantu i innych niezbędnych zapasów dla armii radzieckiej.

Ciała Michoelsa i teatrologa Władimira Gołubowa-Potapowa odnaleźli idący na poranną zmianę robotnicy. W raporcie śledczym, sporządzonym na rozkaz Iwana Sierowa, późniejszego szefa KGB, odnotowano, że śmierć „nastąpiła w rezultacie przejechania przez ciężki samochód ciężarowy. Denaci mieli połamane wszystkie żebra i rozerwaną tkankę płucną, Micho-

els – złamany kręgosłup, Gołubow-Potapow – kość miednicy. (...) Żadnych danych wskazujących na to, że Michoels i Gołubow-Potapow zginęli z innej przyczyny niż przypadkowe ich przejechanie, śledztwo nie znalazło”.

Do śmierci Stalina, w następstwie szeroko zakrojonych represji, „zlikwidowano” setki intelektualistów i artystów pochodzenia żydowskiego. Po zgonie dyktatora nawet jego zajadły przeciwnik Nikita Chruszczow nie zaliczył tych zbrodni w poczet aktów pogwałcenia „leninowskich zasad rewolucyjnej praworządności”. „Pasażerka” rodziła się w cieniu nowej fali radzieckiego antysemityzmu w reakcji na zwycięstwo Izraela w wojnie sześciodniowej. Młody radiotechnik Borys Koczubiewski, który wystosował do Breżniewa list z oświadczeniem, że chce zamieszkać w państwie żydowskim, spełniając tym samym marzenie setek poprzedzających go pokoleń, został wezwany do

biura KGB i bez żadnego przesłuchania umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Zaczęła się nagonka na prawdziwych i rzekomych „syjonistów”, której reperkusje dotknęły prawie wszystkich Żydów w ZSRR.

W tym czasie Wajnberg dotkliwie zmagił się z przejawami pamięci i niepamięci. W 1966 r. po raz pierwszy od wojny wyjechał z Moskwy – z delegacją radzieckich kompozytorów na Warszawską Jesień. Dawni koledzy z warszawskiego konserwatorium udawali, że go nie poznają. On sam nie poznał Warszawy z młodości – wspomnień. Nie chciał już potem wracać. Przywiózł z Polski melodię niedawno odkrytej pieśni maryjnej „Angelus ad Virginem missus”, w której echa ubrał postać więźniarki Bronki. W jego operze tylko ona zyskała jednoznacznie „polską” tożsamość dźwiękową. Marta – tytułowa pasażerka z kabiny 45 – w II akcie przemawia językiem muzycznym Besarabskiego sztetla, skąd uciekli przyszli rodzice Wajnberga. Upodlony Tadeusz gra przed esesmanem *chaconne* z Partity d-moll Bacha nie tylko w akcie artystycznego oporu, lecz także w hołdzie tysiącom pomordowanych żydowskich skrzypków.

To, co niektórym współczesnym krytykom wydaje się trywializacją przesłania Zofii Posmysz, w rzeczywistości było próbą przechrzta sowieckiej cenzury przez Wajnberga i jego librecistę Aleksandra Miedwiediewa. Nie udało się. W 1968 r., po kilku próbach w moskiewskim Teatrze Bolszoi, operę zdjęto z repertuaru pod zarzutem „abstrakcyjnego humanizmu”, co w sowieckiej nowomowie oznaczało tyle, że odbiorcy mogą odebrać „Pasażerkę” jako zawołowany manifest syjonizmu lub alegorię Gułagu.

Wajnberg premiery nie dożył: zmarł w 1996 r., dziesięć lat przed koncertowym prawykonaniem swojej ukochanej kompozycji. O jej dalszych losach wspomniano wielokrotnie, zwłaszcza w kontekście warszawskiej produkcji Davida Pountneya, która dotarła na deski TW-ON w październiku 2010 r., niecałe trzy miesiące po premierze scenicznej w Bregencji. Pisałam wówczas, że w Polsce, która wciąż nie może otrząsnąć się ze wspomnienia Zagłady, trudno przyjąć naturalistyczną, choć momentami „estetyzującą” wizję →

Próba generalna w Nowej Operze Izraelskiej, Tel Awiw, 28 kwietnia 2019 r.



YOSSI ZWECKER / MATERIAŁY PRASOWE

→ Auschwitz. Że wolelibyśmy przekuć tę tragedię w symbol, a najchętniej o niej zamilknąć.

Tylko że Polacy traktują Szoa w kategoriach historiograficznych, jako tragedię wciąż nieprzepracowaną, niemniej szczególnie minioną. Żydzi przeżywają Zagładę, jakby wydarzyła się wczoraj, kultywują jej pamięć, żeby żyć dalej i przetrwać. Nie chcą żadnej alegorii. Pragną doświadczenia. Dlatego z taką niecierpliwością oczekiwałam izraelskiej premiery „Pasażerki”, do której doszło po wielu latach starań i dzięki walnej pomocy Instytutu Mickiewicza: w Nowej Operze Izraelskiej w Tel Awiwie, w dziś już legendarnej inscenizacji Pountneya.

Już wcześniej dochodziły mnie słuchy, że podczas przygotowań do premiery muzycy – zwłaszcza śpiewacy – reagowali niezwykle emocjonalnie, wczuwali się bez reszty w swoje postaci, stawali się nimi. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Orkiestra – pod batutą Stevena Mercurio, który kilkakrotnie prowadził „Pasażerkę” w Stanach Zjednoczonych, m.in. w Michigan Opera Theatre w Detroit – miała wprawdzie słabsze momenty, na scenie działały się jednak cuda. Z pewnością w dużej mierze było to zasługą trojga protagonistów, którzy triumfowali we wcze-

Żydzi przeżywają Zagładę,
jakby wydarzyła się wczoraj,
kultywują jej pamięć,
żeby żyć dalej i przetrwać.

**Nie chcą żadnej alegorii.
Pragną doświadczenia.**

śniejszych produkcjach opery Wajnberga (Adrienn Miksch w partii Marty, Daveda Karanas jako Liza i David Danholt w roli Waltera). Starzy wyjadacze potrafili jednak na tyle skutecznie podzielić się swoim doświadczeniem z izraelskimi kolegami, że już w połowie I aktu straciłam rozeznanie, kto swoje partie ma ośpiewane od lat, a kto debiutuje w rolach, których zbudowanie wymagało niejednokrotnie zmierzania się z pamięcią o tragedii własnych przodków.

Nagrodzona rzesistymi brawami w połowie II aktu Alla Vasilevitsky (Katia) jest niedawną wychowanicą programu dla młodych artystów związanego z miejscową sceną Meitar Opera Studio. Wstrząsającą kreację Bronki stworzyła Złata

Khershberg, która po ostatnim przedstawieniu wsiadła w samolot i przyleciała do Warszawy, by wziąć udział w jubileuszowym Konkursie im. Stanisława Moniuszki. Publiczność nagrodziła premierową obsadę owacją na stojąco. Były łzy. Były pytania. Były długie rozmowy po wyjściu z teatru.

W ostatnich latach nasłuchiwałam się muzyki Wajnberga i naoglądałam rozmaitych inscenizacji jego „Pasażerki”. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że produkcja Pountneya – przed blisko dekadą przyjęta w Polsce z mieszanymi uczuciami – tak mocno okrzepnie, nabierze nowych znaczeń, okaże się wehikułem historii uwikłanej w teraźniejszość.

Nazajutrz po izraelskiej premierze, na kilka godzin przed rozpoczynającym się o zachodzie słońca Jom HaSzoa – dniem pamięci o Zagładzie, który od 1951 r. obchodzi się w 27. dniu miesiąca Nisan – skorzystałam z uprzejmości administratorów Opery i wśliznęłam się na pustą scenę z dekoracjami ustawionymi do kolejnych spektakli. Przeszłam wzdłuż teatralnych torów prowadzących pod Bramę Śmierci. Zatrzymałam się przed szczątkami rozbitych skrzypiec Tadeusza. Zapamiętałam. Jeszcze nie pojęłam. Może przyjdzie czas, że zrozumie. © DOROTA KOZIŃSKA

TP

Kluby „TP” zapraszają

BIELSKO-BIAŁA

■ **poniedziałek, 20 maja, godz. 17.00**

Spotkanie z Szymonem Wróblem.

Miejsce: Książnica Beskidzka

(ul. J. Słowackiego 17A).

GRUDZIĄDZ

■ **poniedziałek, 20 maja, godz. 17.30**

Spotkanie „Co nas obraża? Co nas śmieszy?”. Miejsce: NSP 1

(ul. Chełmińska 121).

KOSZALIN

■ **czwartek, 16 maja, godz. 18.00**

Spotkanie „Etyka w polityce?”.

Gościem będzie prof. Zbigniew

Danielewicz. Miejsce: Dom parafialny

(ul. Chrobrego 7).

OLSZTYN

■ **czwartek, 23 maja, godz. 18.00**

Spotkanie „Wartość sumienia.

Blask wolności”. Gościem będzie

o. Ludwik Wiśniewski OP. Miejsce:

Dom Mendelsohna (ul. Zyndrama

z Maszkowic 2).

RZESZÓW

■ **piątek, 17 maja, godz. 19.00**

Spotkanie „Czy burzenie Kościoła

jest szansą dla Kościoła?”.

Goście: prof. Jan Kłoczowski OP,

prof. Piotr Augustyniak – autor książki

„Wyspiański. Burzenie polskiego

kościół”. Miejsce: aula

klasztoru oo. Dominikanów

(ul. Dominikańska 15).

SŁUPSK

■ **czwartek, 16 maja, godz. 17.00**

Spotkanie „Po co Kościół?”. Miejsce:

Biblioteka Miejska (ul. Grodzka 3).

WARSZAWA

■ **sobota, 25 maja, godz. 16.00**

Kawiarenka „Mama plus, czyli rzecz

o macierzyńskie, które trwa”. Gościem

będzie Justyna Dąbrowska. Miejsce:

Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

■ **czwartek, 30 maja, godz. 18.00**

Debate „Droga do Okrągłego Stołu

oczami Jana Józefa Lipskiego”. Udział

wezmą: Danuta Kuroń, Henryk Wujec,

Tomasz Truskawa, Krzysztof Król.

Prowadzenie: Łukasz Garbał. Miejsce:

siedziba FKA (ul. Dąbrowskiego 56).

Zgłoszenia udziału prosimy wysłać na

adres: warszawa@klubtygodnika.pl

ZIELONA GÓRA

■ **środa, 22 maja, godz. 18.00**

Spotkanie „Życie na pograniczach”.

Goście: Beata Halicka, prof. Zbigniew

Anthony Kruszewski. Miejsce: Piekarnia

Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 20/2019
DODATEK SPECJALNY
redakcja Michał Sowiński

Z DRESZCZYKIEM

**XXI MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO**

Małopolska pełna duchów

GAJA GRZEGORZEWSKA, PISARKA:

Nie trzeba wiele, by samemu zabawić się w poszukiwacza skarbów i zobaczyć, jak bardzo skomplikowaną strukturę ma przestrzeń, w której bezwiednie się poruszamy każdego dnia.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Książka „Z dreszczykiem” to oryginalny sposób na opowieść o zabytkach Krakowa i Małopolski.

JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY: Długo wspólnie szukałyśmy pomysłu na kłamerę narracyjną dla książki, która towarzyszyć będzie tegorocznym Małopolskim Dniom Dziedzictwa Kulturowego. Na początku myślałyśmy o artefaktach z przeszłości znikających w tajemniczych okolicznościach – miała to być książka o tym, czego już nie ma albo czego nie potrafimy dostrzec.

GAJA GRZEGORZEWSKA: Ale to okazało się niewystarczające, żeby połączyć wszystkie planowane miejsca i wątki.

Potem kombinowałam z detektywem, który przenosi się w czasie, ale to też nie było to.

Pomyślałam więc o Niziurskim, którego książki kochałam w dzieciństwie. Od zawsze też chciałam napisać książkę o duchach, stało się więc na rodzinnej sadze o pogromcach duchów.

Jesteś krakuską z urodzenia – jak Ci się pisało o miejscach, które znasz od zawsze?

GG: Wiele miejsc i elementów tego miasta, które na co dzień są zupełnie przezroczyste, nagle nabrało nowego znaczenia. Trochę jakby w każdej bramie czy kościelnej furcie otwierały się nowe, nieznane wszechświaty.

JNG: Udało nam się wejść do wielu miejsc, które zazwyczaj są niedostępne.

GG: To było najciekawsze – poznawanie nowych historii, mocno zagęszczających rzeczywistość. Dopóki ich nie poznamy, wiele szczegółów nam umyka, a uzbrojeni w wiedzę możemy dostrzec zupełnie inne wymiary. Już dawno nie dowiedziałam się tytułu nowych rzeczy, przygotowując się do napisania książki.

A przecież nie pierwszy raz piszesz o Krakowie – to miasto jest częstym bohaterem Twoich powieści.

GG: Jednak tym razem musiałam się dużo mocniej zakorzenić w rzeczywi-

stości i faktografii historycznej. Mimo to wciąż miałam sporo swobody – jak choćby w scenie, gdy moja bohaterka spotyka się z Wyspiańskim, który faktycznie swojego konkurenta Antoniego Tucha uwięził w pracowni, aby w tym czasie kreślić własne projekty. Cała sprawa otarła się wówczas o policję, a mnie bardzo się spodobał ten wątek kryminalny, więc postanowiłam go twórczo wykorzystać.

Inaczej teraz patrzysz na Kraków?

GG: Uwielbiam swoje miasto i zawsze podczas spacerów staram się patrzeć powyżej linii kamienicznych parterów. Czasem nawet lubię poczuć się jak turystka, gdy idę przez Stare Miasto – można wtedy spojrzeć na wiele rzeczy świeżym okiem. A teraz mogę opowiadać znajomym nowe historie.

W Krakowie na co dzień żyjemy z wieloma duchami.

GG: To prawda, choć czasem o tym niestety zapominamy – na przykład gdy scho-

Pałac Pusłowskich w Krakowie

ul. Westerplatte 10

NEORENESANSOWA WILLA należała do rodziny Pusłowskich, hrabiów stynących z kolekcjonerskiej pasji. Wnętrza pałacu wciąż zachwycają bogactwem wyposażenia. Podczas Dni Dziedzictwa będzie można zwiedzić pokoje z barokowymi i klasycystycznymi kominkami sprowadzonymi z Francji, obszerną bibliotekę z pięknym świetlikiem, neogotycką kaplicę z nagrobkiem, gotyckie elementy kamienne przeniesione z innych krakowskich kamienic, a także część dawnego ogrodu. Obecnie pałac Pusłowskich jest siedzibą Instytutu Muzykologii UJ.



dzimy do knajp w średniowiecznych piwnicach, a to przecież sytuacja unikalna na skalę świata. Wystarczy tylko delikatnie poskrobać zewnętrzną warstwę, żeby zobaczyć, jak bardzo skomplikowaną strukturę ma przestrzeń, w której bezwiednie się poruszamy każdego dnia – jak bardzo przenikają się w niej zupełnie różne światy.

Nie trzeba wiele, by samemu zabawić się w poszukiwacza skarbów i zobaczyć, że świat przypomina skomplikowaną pajęczynę, gdzie różne elementy wiążą się z innymi. Mnie samej udało się połączyć ze sobą kilka faktów i odkryć zupełnie nieoczekiwane związki. Dzięki temu mogłam zarzucić kilka pomostów między rozdziałami. Tak było w przypadku wątku Wyspiańskiego z rozdziału o św. Krzyżu, który powraca w historii o Niedzicy. Przeszukując internet trafiłam na motyw odnalezienia tak zwanego „testamentu Inków” za okładką mszału właśnie w kościele św. Krzyża w Krakowie. Ale więcej z tej intrygi nie będę tu zdradzać. Kocham takie znaleziska. Sama czuję się wtedy jak detektyw.

Kiedy słyszę czasem, jak krakowscy przewodnicy recytują litanie suchych faktów o np. elewacji danego kościoła, to od razu mi się odechciewa...

JNG: Na ich obronę powiem tylko, że nie jest łatwo poruszać się jako przewodnik w takiej przestrzeni jak Kraków – już na wstępie wymagana jest olbrzymia i bardzo specjalistyczna wiedza. Dlatego trzeba

ostrożnie konstruować swoją opowieść. Bardzo łatwo też kogoś urazić, bo wiele osób ma emocjonalny stosunek do swoich miejsc.

GG: Trzeba umieć wyważyć różne racje, musiałam się tego nauczyć, pisząc tę książkę. Zazwyczaj tworzę sama dla siebie i nie mam tego typu dylematów. Ale w tym przypadku był to zbiorowy wysiłek, także gospodarzy wielu miejsc – trzeba było to wziąć pod uwagę.

JNG: Zwłaszcza że odwiedzając te wszystkie plebanie czy klasztory, spotykaliśmy się twarzą w twarz z ludźmi, którzy opowiadali nam bardzo osobiste historie.

Na końcu książki pojawia się podjękowanie za wszystkie kawy i ciasta, którymi Was goszczono.

GG: Wspaniały element tej przygody – nigdy nie byliśmy głodne, bo wszyscy częstowali nas genialnymi wypiekami. Podczas naszych małopolskich podróży zatrzymywaliśmy się też w różnych restauracjach. Wcześniej nie wiedziałam, że w samej Małopolsce istnieje tyle odmian placek ziemniaczanych.

Wróćmy jednak do trudnej przeszłości. Jak o niej mówić? Czasem nie da się zachować neutralnego tonu.

JNG: Zdecydowanie, bo historia nie jest przeszłością, tylko tym, jak dziś rozumiemy minioną rzeczywistość.

Opisywane w książce Organy Hasióra są tego najlepszym przykładem.

GG: To problem diskutowany od lat, zagra dla lokalnej społeczności, która istnieje od dekad. Dlatego część sporów politycznych wokół tego pomnika siłą rzeczy musiałam ominąć. Ta książka to nie czas ani miejsce, żeby rozstrzygać tego typu konflikty – choć oczywiście delikatnie je zarysowałam. Ważniejsze jest to, że dziadek tłumaczy swoim wnukom wartość sztuki jako takiej, którą warto bronić choćby dla niej samej. Taki postulat minimum szacunku w politycznych sporach jest mi bliski.

W imię tej zasady wnuki stają nawet do walki.

GG: Organy były ostatnią lokalizacją na drodze moich bohaterów – wielki finał podróży, musiałam więc na koniec podkręcić nieco akcję. A że zawsze w moich książkach pojawiają się sceny walki albo bijatyk, to i tu nie mogło tego zabraknąć.

A jak dziś wygląda pamięć o Organach wśród okolicznych mieszkańców?

JNG: Jest wciąż żywa. Ludzie mieszkający w bezpośrednim sąsiedztwie są zadowoleni, bo to ciekawy znak rozpoznawczy i atrakcja turystyczna. Ale są oczywiście środowiska, dla których jest to dobry punkt zaczepienia do wszczynania kolejnych politycznych kłótni.

GG: Pojawił się nawet pomysł, żeby pomnik zburzyć i na jego miejscu postawić krzyż papieski.

Ostatecznie jednak udało się ustalić nową, mniej kontrowersyjną wersję ➔

Zamek w Czchowie

MAŁOWNICZO POŁOŻONY CZCHÓW, jedno z najstarszych miast Małopolski, może poszczycić się ciekawą historią i wspaniałymi zabytkami, które świadczą o jego dawnej pozycji i bogactwie. Na pobliskim wzgórzu wznosi się czchowska baszta – pozostałość po zamku obronnym, który w dawnych czasach strzegł bezpieczeństwa na szlaku handlowym na Węgry. W latach 90. XX w. wykonano badania i prace archeologiczne oraz konserwatorskie. W 2018 r. przeprowadzono rewitalizację wzgórza, tworząc w tym miejscu militarno-historyczny szlak edukacyjny. Można tu zobaczyć maszyny oblężnicze używane od XVI do XX w. W trakcie Dni Dziedzictwa zaprosimy Państwa do zwiedzania baszty, a także gotyckiego kościoła pw. Narodzenia NMP.



→ tablicy. Zniknął napis „Wiernym synom Ojczyzny, poległym na Podhalu w walce o utrwalanie władzy ludowej”. Zastąpiło go słowo „Organy”.

JNG: Dla Hasióra polityka nie miała większego znaczenia, być może został wmanewrowany w tę tablicę przez ówczesne władze – tak przynajmniej głosi jedna z legend. Ale nie przesadzałabym też w drugą stronę – na pewno zdawał sobie sprawę z politycznego kontekstu, niemniej sztuka była dla niego najważniejsza.

Podobają mi się piętrzące się opowieści o tym dziele – bo jest jeszcze pytanie, czy one grają. Albo – czy zdarzało im się zagrać.

JNG: To jest fascynujące, bo każdy opowiada na ten temat co innego – nawet historycy sztuki. Przeczytałymy sporo artykułów w internecie na ten temat i w niektórych znalazłyśmy informację, że faktycznie zdarzało się im zagrać. A pod tekstami w internecie wiele osób pisało jeszcze inne wersje.

GG: Widziałam wpisy, gdzie ktoś opowiada, jak przyjechał tam będąc małym chłopcem i słyszał, że grały. Ktoś inny pod spodem poprosił go o kontakt w prywatnej wiadomości – podobnie jak innych, którzy twierdzą, że doświadczyli czegoś podobnego. Ktoś żywo śledzi ten wątek, a w mojej głowie od razu pojawiły się dziełko teorie spiskowe.

JNG: Tyle że my z bardzo bliska i dokładnie analizowałyśmy ten problem – nie ma fizycznej możliwości, żeby coś tam zagrało. Ale oczywiście nie można wykluczyć, że były tam zamontowane kiedyś dodatkowe elementy grające, np. piszczałki.



JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY / MIK

GAJA GRZEGORZEWSKA jest pisarką, autorką kryminałów, m.in. serii o detektyw Julii Dobrowolskiej. W 2011 r. za powieść „Toplevelica” otrzymała Nagrodę Wielkiego Kalibru. Mieszka w Krakowie.



Z. GYALÓKAY / MIK

JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY jest absolwentką filologii węgierskiej na UJ. Pracowniczka Małopolskiego Instytutu Kultury, redaktorka książki „Z dreszczykiem”.

Bardzo mi się podoba, że mówimy o rzeźbie położonej kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa jak o mitycznym artefakcie.

GG: Z tego od razu układa się ciekawa historia – bo jeśli Organy kiedykolwiek zagrały, to kiedy i dla kogo? Kim trzeba być, żeby je usłyszeć? To bardzo romantyczne. Albo bardziej przyziemnie – może gdy wieje halny i ludzie są w dziwnych nastrojach, to coś im w uszach gra?

Kraków i Małopolska brzmią jak wdzięczne źródło literackich pomysłów.

GG: To prawda, czerpię z niego od lat i nie czuję zmęczenia materiału. Tyle jest poziomów w tej rzeczywistości – do tego ciągle odkrywam nowe, które na nowo rozbudzają moją ciekawość. Czasami, szczególnie w szczycie sezonu smogowego, czuję frustrację, a nawet wściekłość, ale przez większą część czasu cieszę się, że mieszkam w Krakowie.

JNG: Ostatnio opowiadałaś mi o swojej teorii, że wszystko w Krakowie jest ze sobą połączone.

GG: Tak, podziemną siecią tuneli, jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego, który ponoć kazał wykopać tunel z Wawelu do Łobzowa, aby móc odwiedzać swoją ukochaną Esterkę. I jak to bywa w legendach miejskich – tunel rozrósł się w gęsty labirynt, którym rzekomo można swobodnie przemieszczać się pod całym miastem. Wykorzystam ten wątek w najnowszej książce. Bardzo lubię w Krakowie też to, że już nie pamiętam, o czym przeczytałam w książkach, a co wymyśliłam sama.

© P

Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



K. SCHUBERT MIK 2018 X2

Wieś Kacwin na Spiszu

KACWIN, z języka niemieckiego *katzwinkel*, czyli koci zakątek, to ostatnia miejscowość przy granicy Polski ze Słowacją albo – jak kto woli – pierwsza. Wieś położona jest na Spiszu – krainie historycznej, która do 1920 roku stanowiła część Królestwa Węgierskiego. Jej najcenniejszym zabytkiem jest kościół pw. Wszystkich Świętych, którego wystój stanowi wspaniały przykład spiskiego baroku. Podczas Dni Dziedzictwa, spacerując po Kacwinie, poszukamy śladów dawnej zabudowy: charakterystycznego układu zagród, malowniczo położonych kapliczek czy tajemniczych sypańców.

PAULINA KASPRZYCKA

Milczące organy

Jedną z najbardziej intrygujących realizacji Władysława Hasiora są żelazne Organy na przełęczy Snozka niedaleko Czorsztyna. Pierwsza lokalizacja planowana była na wzgórzu zamkowym w Nowym Sączu, jednak gdy Hasiór wygrał konkurs na budowę pomnika, miejsce zmieniono na przełęcz, z której roztacza się niezwykle widok. Monument zamówiła Komenda Powiatowa Milicji Obywatelskiej w Nowym Sączu, co później stało się powodem wielu kontrowersji. Hasiór już wcześniej snuł wizję „grającego pomnika”, a w tym zleceniu dostrzegł szansę na ich urzeczywistnienie. Nie przejmował się więc zbyt fundatorem. Jednak lokalna polityka i oryginalna dedykacja położyły się cieniem na artystycznym przekazie i późniejszym losie tego wyjątkowego dzieła.

Oryginalny projekt organów zdecydowanie odbiegał od kanonu stawianych ówczesnie pomników. Warstwa narracyjna tego obiektu – wyrażona m.in. za pomocą ostrych metalowych krawędzi „rozcinających przestrzeń” oraz betonowej płyty z poukładanymi na niej martwymi postaciami z karabinami na piersiach – wywołuje piorunujące wrażenie. Najeżona kompozycja przywołująca na myśl ogromne organy, które – za sprawą wiatru, a także fletów i gongów ukrytych w rurach imitujących piszczałki – miały wydawać niepokojące dźwięki. Ten element konstrukcji jednak od początku był problematyczny technicznie. Czy organy faktycznie kiedykolwiek zagrały? Trudno powiedzieć – pojawiło się za to

mnóstwo historii tłumaczących, dlaczego pomnik milczy. O tym jednak usłyszą Państwo podczas majowego weekendu...

Kością niezgody, która raz po raz stawia pod znakiem zapytania dalsze istnienie obiektu, jest oryginalna dedykacja. Pierwotnie pomnik miał upamiętniać poległych żołnierzy, walczących ze sobą w drugiej połowie lat 40. XX w. Było to wołanie o pokój i pojednanie, a także upamiętnienie „wszystkich tych, którzy zaplątani w tryby historii, strzelali do siebie w tych okolicach aż do 1961 roku, niekiedy bez świadomości tego, w czym uczestniczą” – mówił sam artysta. To szlachetne przesłanie zostało jednak szybko zmiecone w trybach polityczno-ideologicznej maszyny. Obiekt otrzymał inskrypcję: „Poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej na Podhalu”, a w późniejszej wersji: „Tym, co walczyli o utrwalenie władzy ludowej”. Hasiór nie miał większego wpływu na treść tablicy, niemniej przysporzyła ona zarówno artystę, jak i samemu pomnikowi wielu problemów. Trudno dziś stwierdzić, w jakim stopniu Hasiór angażował się w polityczny kontekst powstania dzieła – dla niego liczyła się przede wszystkim możliwość zrealizowania wymyślonej przez siebie formy. I z tej właśnie perspektywy chcielibyśmy dziś spojrzeć na jego Organy, doceniając głównie ich nowatorstwo i artystyczny zamysł.

Minęło ponad 50 lat, a emocje związane z pomnikiem są nadal żywe. Dla pewnych osób pozostaje on niestety jedynie symbolem triumfu władzy ludowej, który powinien zniknąć z czorszyńskiego krajobrazu. Dla innych, szczęśliwie stanowią oni większość, to przede wszystkim wyraz artystycznych wizji Hasióra. Dlatego też nieme Organy zasługują na uwagę i opiekę konserwatorską. Połączenie ich drapieżnej formy z surowym pięknem górskiego krajobrazu tworzy osobliwą całość i nadaje wyjątkowy charakter przełęczy Snozka. W maju zapraszamy Państwa do obejrzenia „najmłodszego obiektu” tej edycji, a także do wysłuchania fascynującej opowieści o jednym z najbardziej intrygujących i prowokacyjnych artystów polskich XX wieku. ©



**MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO**



**Zapraszamy na
kolejną,
XXI edycję**

Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego:
18–19 i 25–26 maja 2019. Tym razem chcemy pokazać Państwu 12 zabytków – każdy związany z niezwykłą osobą lub wydarzeniem. Zachęcamy do wspólnego eksplorowania małopolskich tajemnic, tropienia skarbów i rozwiązywania zagadek.

W każdym zabytku czekać będą na Państwa gospodarze i przewodnicy, którzy opowiedzą historie tych nieoczywistych miejsc. Wszystkie wydarzenia organizowane w ramach Dni Dziedzictwa są bezpłatne. Zwiedzający otrzymają ponadto upominek – książkę „Z dreszczykiem”, którą napisała Gaja Grzegorzewska.

Więcej informacji na www.dnidziedzictwa.pl

XXI MAŁOPOLSKIE DNI
DZIEDZICTWA KULTUROWEGO
ORGANIZATOR

małopolski
instytut
kultury **mik**

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

JAN

Klata: Polityka jako estetyka



NAWET LUBI. NIEKTÓRE. W PUŁTUSKU LUBI, na Żoliborzu już raczej nie, ale Polska jest Pułtuskim, nie Żoliborzem. Nie wiadomo, co młody Prezes miał z muzyki, czy tak jak z polskiego pałę, ale chyba od tego czasu gust mu się mocno wyrobił, teraz gustuje

w sztuce dającej władzę.

Przeczytał Schillera „Listy o estetycznym wychowaniu człowieka”, przebrnął przez Rancière’a, klatka po klatce obejrzał Godardowskie „Historie kina”, i już wie, że tylko patriotyczna postawa, patriotyczne wychowanie, patriotyczna muzyka. Wzniosły spektakl na miarę biesiadną, sztuka symboliczna pikniku. Niech się wstydzi ten, kto widzi. Kto jak kto, ale depozytariusz woli suwerena wstydzić za suwerena się nie zamierza, brzydzi się klasyzmem. Jacek Kurski przetaił szlak, lud może ciemny, ale głuchy nie jest, i wie, co lubi.

Prezes muzykalny, ludowi przykłaśnie, śmiało sięga po głosy w Polsce-Pułtusk, podniesioną ręką udanie remiksował

Cyrankiewicz w tonacjach kościelnych, a następnie zaprosił na koncert Bayer Full. I słusznie, kampania europejska *fortissimo*, i trzeba wysłać do Brukseli jasny sygnał: nie oddamy władzy nad naszą muzyką w ręce obcych organów, organów Unii Europejskiej, nie chcemy Beethovena, skoro mamy Bayer Full. Elity są wyobcowane i zakompleksione, udają, że słuchają późnych kwartetów, nakręcając spiralę pogardy. Prezes wyrwa się z zakłętą kręgą cyrkulacji stereotypów krytykujących stereotypy!

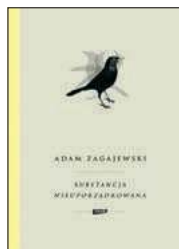
Nie da się przecenić znaczenia bardzo mocnej wypowiedzi Prezesa na tematy estetyczne: Prezes się zwierzył tłumom, że zna piosenki, może nie wszystkie, ale wiele zna, i wcale się nie wstydzi. Kto się wstydzi, ten ma kompleksy, w przeciwieństwie do fanów Bayer Full na patriotycznym pikniku. Porzucił wstyd, skorośmy sercem Europy, a Pułtusk sercem Polski.

Zaprawdę, słusznie i serdecznie powiedział Prezes w Pułtusk: „Wartości duchowe są niezmiernie ważne”. Proponuję zatem krótki quiz: którą z piosenek Bayer Full Prezes zna najlepiej i najmniej się tego wstydzi?

Oto tytuły: „Majteczki w kropeczki”, „Moja mała blondyneczko”, „Bo ja mam teścia”, „Pod bluzeczką dwa jabłuszka”, „Czerwone i bure”, „Skandal w rodzinie”, „Szuru buru”, „Idź na dno”, „Babie nie dogodzisz”, „Polak i Chińczyk to jedna rodzina”.

Odpowiedzi proszę przysłać do Danuty Holeckiej, która zapyta o to Prezesa na wizji podczas kolejnego mocnego wywiadu. Następnie pani Danuta puści Prezesowi wybrany hit, Prezes zańczy, a słupki poparcia skoczą. ©

Lektor: Pochwała utopii



■ Adam Zagajewski
SUBSTANCJA NIEUPORZĄDKOWANA
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2019, ss. 208

„ŻYCIODAJNA SPRZECZNOŚĆ kryjąca się w poezji, napięcie między spontanicznością uczuć i naczyń form w istocie przypomina grę sił pomiędzy wolnością osobistą i surowymi kodeksami”. To zdanie łączy rozmaite światy – podobnie jak cała książka Adama Zagajewskiego. Z jednej strony jest ona bowiem spokojną, wyciszoną rozmową o literaturze, malarstwie i muzyce, o zna-

czeniu metafor, bez których zamiera myślenie, o tajemnicy człowieka. O Schulzu, korespondencji Józefa Czapskiego z Ludwikiem Heringiem i wielkich poetach polskich, którzy w ostatnich latach odeszli. O muzyce Gustava Mahlera, będącej od lat przedmiotem fascynacji Zagajewskiego. O współczesnych artystach bliskich autorowi, w tym – jego przyjaciółach z grupy Wprost, Leszku

Sobockim i Jacku Waltosiu. Z drugiej – dotyka spraw najboleśniej aktualnych, choć czyni to w sposób zupełnie niepublicystyczny. W eseju „O życiu w wolności” czytamy więc o niebezpieczeństwach zagrażających naszemu życiu w prawdzie, bez której wolność nie istnieje, i o złych skutkach redukcji wolności do wymiaru politycznego. O wartości uniwersalizmu i zaułku prowincjonalnej wtórności kulturalnej. O potrzebie równoważenia lektur historycznych, czyli „zapisów zbrodni” – „zapisami zachwyty”. Jest też o pułapkach tzw. polityki historycznej i głębokim sensie „pedagogiki wstydu”, jak ją nazywają przeciwnicy, choć jest ona po prostu uczciwym spojrzeniem na własną przeszłość. W laudacji na cześć prof. Ewy Łętowskiej nagrodzonej w 2017 r. przez PEN Club (uroczystość, dodajmy, zakłócił... alarm bombowy) Adam

Zagajewski formułuje nieco przewrotną „Pochwałę prawa”, pokazując, że niezależnie od konfliktów pomiędzy prawem a wyobraźnią rola strażników prawa takich jak prof. Łętowska, która jako znawczyni muzyki łączy w dodatku dwa światy, jest fundamentalna. „Substancja nieuporządkowana” to także wielka pochwała poezji, „słów narzucanych na czas i na ciemność”. „Poezja jest niemożliwa – pisze autor – modne są grube powieści kryminalne, biografie tyranów, amerykańskie filmy i brytyjskie seriale telewizyjne. Polityka jest modna. Moda jest modna. (...) Modne są rowery i hulajnogi, maraton i półmaraton, nordic walking, niemożliwe jest zatrzymanie się pośrodku wiosennej łąki i zamyślenie. Bezruch, mówią lekarze, jest groźny dla zdrowia. Moment zamyślenia jest niebezpieczny dla zdrowia, trzeba biegać, trzeba uciekać przed sobą”. ©©

PAWEŁ

Bravo: Bez mięsa, bez poświęcenia



STO SIEDZIEDZIESIĄT. O TYLE PROCENT POSZYBOWAŁ W CIĄGU PIERWSZEGO TYGODNIA OBROTU kurs akcji spółki Beyond Meat (w wolnym tłumaczeniu: Dalej niż Mięso) na nowojorskiej giełdzie. Był to najlepszy debiut dużej spółki od czasów kryzysowego tąpnięcia

z 2008 r. Amerykańska gospodarka jest w dobrej kondycji, ku zmartwieniu tych, którzy liczyli, że wreszcie się Trumpowi pokielbasi w bazie, skoro demolka nadbudowy jakoś nie była mu w stanie zaszkodzić. Złe wskaźniki dochodów, pracy i inwestycji mogłyby go pogrążyć skuteczniej niż demontaż liczącego pół wieku z górą układu sił i sojuszy czy mentalna i obyczajowa żenada. Ale jak na złość baza jest solidna, giełda huczy jak dobrze naoliwiona maszyna.

Wall Street, jeśli nie liczyć kasty ludzi coś tam rozumiejących z realnych procesów gospodarczych i finansowej inżynierii, zawsze było barometrem tego, co w danym sezonie podnieca ludzką chciwość. Jak zrobić coś z niczego, jak się wzbogacić nie ruszając palcem – kiedyś to były dot-comy, czyli spółki słusznie zakładające, że ludzie chętnie uciekną ze świata realnego, ale niedysponujące jeszcze technologiami, które miały nadejść dekadę później. Potem oszukańcze kredyty na dom dla każdego, poddane operacji, o której pisano już w 1882 r. Pamiętacie, jak Lisica proponowała Pinokiovi, żeby zakopał na noc dukaty na polu cudów, dzięki czemu rano wyrośnie z nich złotodajne drzewo? Nie musicie dalej szukać wyjaśnienia pojęcia „sekurtyzacja”.

A dziś mamy bezmięsne mięso, burgery z białka pozyskanego z roślin strączkowych, nasączone soki z buraka, żeby było „krwisto”. Ale to nie zniewalający zapach bezcholesterolowego kotleta z fasoli skusił mrowie inwestorów. Magiczną moc rozwiązywania sakiewek ma aura, która otacza modę na niejedzenie mięsa. W słowie „moda”, niech mnie bracia i siostry weganie zrozumieją dobrze, nie porbmiewa kpina. Kiedy pewna dobrze przemyślana i trudna postawa etyczna kontestująca fizjologię i ugruntowane obyczaje przybiera skalę masową, kosztem spłylenia i kompromisów, to staje się właśnie modą. Zjawiskiem zmiennym, ulotnym, które można i trzeba badać z dystansu, socjologicznie. Nie wiem, czy już ktoś zarejestrował w Polsce start-up pod nazwą Yarosh New Food, ale nie jesteśmy daleko w tyle – o czym świadczył rozgłos wokół raportu firmy IQS. Na czołówki naszych mediów przebiła się szokująca liczba „47 procent Polaków jedzących mniej lub wcale mięsa”. Ten sprzeczny z oglądem rzeczywistości w sklepach wynik jest objawem dziennikarskiej nonszalanckiej w upraszczaniu danych – odpowiedzi „nie jem mięsa w ogóle”

udzieliło 1 proc. respondentów, a „bardzo ograniczam” dalsze 9 proc. Cała zaś reszta owych nowo narodzonych „fleksitarian” (o tym terminie za chwilę) ogranicza mięso „trochę”, a słowem „trochę” jest wybrukowana droga do piekła socjologów.

Badacze oprócz puszczenia w ruch sondażu przeczesali miliony postów facebookowych i instagramowych, żeby złapać ducha czasu. Zauważyli, że w sposób typowy dla tworzenia się mody weganizm w wersji umasowionej ulega rozmyciu w bardziej przyjazną formę niecałkowitą. Górą jest elastyczność, stopniowość, dopasowanie się do okoliczności. I to jest już naprawdę zauważalny trend, którego jedną z realnych barier chyba jest ten koszmarnie brzmiący po polsku przedrostek fleksi-.

„Pojęcie to nie jest używane przez »ludzi«, tylko zaawansowanych nadawców” – komentują swój pobyt wśród plemion społecznościowych autorzy raportu. „Ludzie”, czyli ci, którzy wolą mówić o ograniczaniu mięsa, to zaś przede wszystkim kobiety (71 do 29 proc.). „Pysznie, przyjemnie, bez poświęcenia” – takie pojęcia wybijają się z chmury skojarzeń, widać odwrócenie moralnego wektora, ponieważ weganizm pierwszych pokoleń to były jednostki chcące poświęcić swój jadłospis dla dobra świata. Owo „bez poświęcenia” to właśnie sedno potencjalnego sukcesu firmy Beyond Meat i im podobnych: obiecują, że zjedzenie fleksiburgera będzie równie przyjemne jak tego z wołowiny.

Droga do zaspokojenia nie tyle prostego głodu, ile poczucia spełnienia, może być trudna. Oto co wyszło jeszcze z analizy języka, którym się o mięsie rozmawia: „Dyskusję napędza przede wszystkim złość, szczególnie gdy pojawia się temat ograniczania mięsa. »Pierwsi« wkurzają się, że »inni« nie ograniczają, a »drudzy«, że »inni« ograniczają jedzenie mięsa oraz im każą ograniczać”.

Zwykle jestem po stronie harmonii, zgody i otwartości, jednak przyznam, że ta informacja mnie pocieszyła: złość to najsilniejsza, chociaż zbyt rzadko doceniana emocja. Niech nas chroni przed każdą przesadą, zwłaszcza taką, która się dobrze sprzedaje na Wall Street. ©P



PAWEŁ BRAVO

Radosny maj, przekwitły bzy, a pogoda wciąż październikowa. Dlatego wracam do przepisów, które wykorzystują już dostępne świeże rzeczy – np. salatek radicchio, która szczyt sezonu ma na przednówku – a zarazem dodają jednak pięknej energii. Bardzo lubię połączenie duszonego radicchio z surową kielbasą.

Na dużej patelni rozgrzewamy na 3 łyżkach oliwy na wolnym ogniu ząbek **czosnku**, wyrzucamy go, zwiększamy ogień i dodajemy dwie **białe kielbasy** (tzn. sam środek po wydtubaniu z flaka), rozgniatamy łyżką, smażymy kilka minut, aż ściemnieje, dodajemy średnią główkę kulistego **radicchio** (albo dwie podłużne, jak na zdjęciu), drobno posiekane (i ewentualnie drobno posiekaną łodygę **selera naciowego** albo połówkę bulwy **fenkuła**), przesmażamy szybko, wlewamy 100 ml **czerwonego wina**, zmniejszamy ogień, dajemy **pieprz**, dusimy ok. kwadrans, podlewając trochę wodą, gdyby się miało przypalić. Podajemy z **makaronem** albo **polentą** – całość nabiera smaku lekko grzybowego, to jest dobry sposób na małą niespodziankę dla kogoś, kto ma alergię na grzyby.

PÓŁTOREJ PRAWDY

Trzydzieści lat po śmierci Bruce’a Chatwina nasz stosunek do niego waha się między uwielbieniem a zapomnieniem. Kim był jeden z patronów rubryki „Zmysły”?

ADAM ROBIŃSKI

NA POCZĄTKU BYŁA KOMODA. JEJ ZAWARTOŚĆ BRUCE CHATWIN sprowadził w pierwszych akapitach „W Patagonii” do kawałka owłosionej skóry. Opisuując go, nie szczędził przymiotników: niewielki, gruby, twardy jak podeszwa, pokryty kłakami szorstkich rudawych włosów, podpisany wyblakłym czarnym atramentem na tabliczce przybitej zardzewiałą pinezką. Jego matka przekonywała, że należy do brontozaura, a z odległej Patagonii przywiózł go kuzyn babki, człowiek o biografii przesyconej przygodą. W rzeczywistości wspomniana skóra była pozostałością po mylodoncie, jednym z wymarłych krewniaków współczesnych leniwców, który osiągał rozmiary słonia.

W życiu i twórczości Chatwina wszystko było jak ten kawałek truchła – pod powierzchnią jednego kryło się coś zupełnie innego. Ale równie interesującego.

Babcia Bruce’a ze strony ojca mieszkała na przedmieściach Birmingham w domu z czerwonej cegły, którego szpiczasty dach i kominy wystawały zza szpaleru krzewów wawrzynu.

Komodę wykonano z mahoni. Była ślubnym prezentem, który z czasem stał się czymś na kształt rodzinnego skarbcza pamiątek. Wraz z zawartością trafiała potem do kolejnych pokoleń rodziny. W środku, oprócz skóry mylodonta, znajdowały się m.in. kawałek XVIII-wiecznego pledu noszonego przez Karola Edwarda Stuarta, biała porcelana, album fotograficzny babci Isobel, wiktoriański kompas i zegar słoneczny. I mrowie innych przedmiotów, których pochodzenie i przeznaczenie trudno wywnioskować ze zdjęcia, jakie zachowało się do dzisiejszych czasów.

Nicholas Shakespeare, autor wydanej w 1999 r. potężnej biografii Chatwina, w owej babcinej *Wunderkammer* dopatrzył



ULF ANDERSEN / BEW

się punktów zaczepienia dla wszystkich pięciu jego książek: „Autorzy książek podróżniczych zwykle kolonizują jakieś terytoria. Bruce był w ciągłym ruchu. Każda z jego książek poświęcona jest innemu kawałkowi świata. Długo gotowały się w jego głowie, a komoda babci była każdorazowo miejscem, z którego wyruszał”.

Książek wydał tylko pięć, bo pisarzem został późno, wcześniej za to umarł. Również 30 lat po śmierci jego książki równie często budzą zachwyt, co i zaniepokojenie. Nazwisko „Chatwin” zadziwiająco często wymienia się jednym tchem z Ryszardem Kapuścińskim. Wcale nie z uwagi na spektrum zainteresowań. Chodzi o granice, jakie można przekroczyć, zanim zostanie się oskarżonym o zmyślanie. Jednak o ile Kapuścińskiemu dopiero po śmierci, za sprawą biografii pióra Artura Domosławskiego,



Bruce Chatwin, 1979 r.

wytknięto zbyt daleko posuniętą kreatywność, o tyle Chatwin nigdy nie twierdził, że para się literaturą faktu. Zaiste prawdą jest, że autor traci książkę z chwilą postawienia ostatniej kropki, bo zaczyna wówczas ona żyć własnym życiem.

Boska ślina

Urodził się w 1940 r. w Sheffield, a scenerią jego pierwszych wspomnień była brytyjska plaża, z której obserwował daleki horyzont. Matka i dziadkowie opowiadali mu, że gdzieś tam, między niebem a powierzchnią wody, jego ojciec walczy z Niemcami. A potem karmili tranem z halibuta i kazali bawić się w piasku. Podobno kiedy pierwszy raz zobaczył padający śnieg, powiedział, że to boska ślina. Miał też dziecięcy nawyk sprawdzania, co znajduje się za kolejnym zakrętem. Kiedy do-

rósł, ojciec traktował go jak małego dorosłego i co wieczór prosił o raportowanie wydarzeń dnia. Tłumaczył, że dzięki temu Bruce uzyska łatwość mówienia i klejenia zdań. Wiele lat później Chatwin opowiadał redaktorowi „Sunday Times”, że geniuszem został jako dwulatek, gdy w pogoni za pociągiem przewrócił się i uderzył głową o peron.

Twierdził, że mniej więcej w tym czasie z uwagi na zniewalającą urodę jego twarz trafiła na puszkowane jedzenie dla niemowląt. Od małego towarzyszyć miał mu Tommy, niewidzialny przyjaciel skłonny wysłuchać każdej historii. Tommy był przydatny, bo nigdy nie mówił „sprawdzam”. Resztę życia Chatwin spędził tak, jakby wciąż mówił do Tommy’ego. Ktoś mógłby nazwać to mitomanią, ktoś inny – koloryzowaniem ku ucieście słuchacza.



→ Kształcił się w angielskim Marlborough College, ale już jako 18-latek zaczął pracę w domu aukcyjnym Sotheby's, gdzie szybko zrobił karierę, wyrastając na eksperta w tropieniu fałszerstw. Zaczynał od katalogowania przedmiotów, z czasem stanął na czele departamentów antyku i impresjonizmu. Jego współpracownicy twierdzili, że pewnie wkrótce zostałby jednym z prezesów, gdyby nie to, że rzucił pracę i poszedł na studia. Zawsze chciał zostać archeologiem. I dużo podróżował. Służbowo i prywatnie. Wędrował m.in. po Azji Środkowej śladami jednego ze swoich literackich idoli, Roberta Byrona i jego „Drogi do Oksjany” (Oksjana to dzisiejsze afgańsko-tadżyckie pogranicze). Ale studia archeologiczne też rzucił. Fascynowały go wykopaliska, lecz chciał je prowadzić wyłącznie w egzotycznych krańcach świata, a nie w ojczyźnie czy pod Pragę. Nie potrafił też ślęczyć nad książkami. W połowie nauki wiedział już, że sam chce pisać książki.

Uroił sobie, że stworzy przełomowe dzieło poświęcone nomadyzmowi. „Anatomia niepokoju” miała być alternatywą dla stacjonarnego trybu życia, w którym upatrywał źródła wszystkich nieszczęść. „Spędzamy za dużo czasu w zamkniętych pomieszczeniach” – przekonywał w eseju „Świat nomadów to nie szaleństwo”. Sęk w tym, że przez większość życia na Chatwiną czekała w domu żona Elizabeth, a wiele z jego podróży było pretekstem do licznych homoseksualnych romansów. Lektura jego biografii to zresztą coś na kształt literackiego Pudelka. Można poznać z niej np. okoliczności, w których Salman Rushdie zostawił żonę dla australijskiej pisarki Robyn Davidson.

Podróż cudów

Zresztą „Nomadyczna alternatywa” nigdy nie powstała. Zmagał się z tym tematem przez wiele lat, rękopis kilkakrotnie lądował u redaktora i za każdym razem od niego wracał, a sprawa ostatecznie została uznana za przegraną. Za dużo chciał powiedzieć, przedstawiał tezy, których nie potrafił udowodnić. Gdyby dalej podążał tą drogą, być może nigdy nie odnalazłby swojej Patagonii i tego, co jeszcze dalej.

Południowe krańce Chile i Argentyny były w II połowie XX wieku literacką *terra incognita*. Krajiną, do której po wojnie uciekli naziści, gdzie więcej jest bydła niż ludzi, a wiatr niesie historie, których nikt jeszcze nie zapisał. Ale Chatwin potraktował to miejsce symbolicznie, jako ostatni ład zasiedlony przez *Homo sapiens*, który wędrował tu od Alaski. Chciał nadać książce wymiar umowny, metaforyczny. To miała być podróż cudów, nawiązująca do tradycji powieści pikarejskiej. Wędrowka przez krainę gigantów i wyrzutków po złote runo, bo fragment skóry mylodonta, ten z babcinej komody, gdzieś zaginął.

Czasy kolonializmu uczyniły z Brytyjczyków pionierów na polu literatury drogi. W pierwszej połowie XX w. żartowano, że o ile dawniej każdy młody Brytyjczyk wypuszczający się w daleki świat był szpiegiem, o tyle dziś każdy jest pisarzem. Ale żaden nie pisał tak jak Chatwin. Jego książka była zbyt wyrwykowa, by potraktować ją jak wierną relację. Przez odwiedzane na jej kartach miejsca nie dało się poprowadzić żadnej linii. Pisał: „Z Ushuaia czekał mnie trzydziestopięciomilowy spacer wzdłuż kanału Beagle”, a potem przeskakiwał do kolejnej opowieści. Nie udawał, że jest kimś więcej niż tylko przechodniem. Na książkę złożyło się kilkadziesiąt takich migawek, przelotnych spojrzeń, a bohaterowie przekazywali go sobie niemal

z rąk do rąk. „Zostań dłużej, a obraz zniknie za mgłą” – dekonstruował jego metodę pisarską biograf Shakespeare. Jego zdaniem owocem tej perspektywy przechodnia wcale nie była półprawda, ale półtoej prawdy. Patagonia nie jako encyklopedyczne hasło, lecz wnikliwa rekonstrukcja marzeń sennych.

Książka okazała się komercyjnym i literackim sukcesem, mało kto jednak prawidłowo odczytał intencje autora. Być może przekaz był zbyt zniuansowany? Detale takie jak okładowy opis, według którego podróż odbywa nie autor, lecz narrator, przeszły niezauważone. Przekleństwem „W Patagonii” było też to, co po części zaważyło na jej powodzeniu. Gdy ktoś szukał prozy dotyczącej Patagonii, nie znajdował żadnej innej książki. W efekcie czytelnicy lecieli z Chatwinem pod pachą na południową półkulę i przeżywali srogi zawód, bo nie byli w stanie podróżować jego tropem. Z kolei miejscowi doszukiwali się w literackich postaciach samych siebie i nie mogli zrozumieć, dlaczego ich historie zostały zniekształcone. Shakespeare, który lata później przejechał Patagonię po śladach Chatwina, sprawdził na własne oczy, że ten po prostu zonglował faktami i nazwiskami. Ludzie byli z krwi i kości, jednak napotkana miłośniczka Agaty Christie stawiała się na kartach książki wielbicielką Osipa Mandelsztama, którego „Podróż do Armenii” Chatwin miał akurat w plecaku.

Wylęgarnia fantazmów

Jak na ironię, w konwencję wpisał się – chyba nieświadomie – nadwiślański wydawca Chatwina. Na skrzydełku polskiego wydania „W Patagonii” umieszczono informację, jakoby do legendy przeszedł telegram, którym Chatwin z dnia na dzień zakończył pracę w domu aukcyjnym Sotheby's: „Wyjechałem do Patagonii na sześć miesięcy”. W rzeczywistości pracował wtedy dla „Sunday Timesa” i wcale tej pracy nie rzucił. W redakcji nikt nie pamiętał takiego telegramu. Zachował się za to list do redaktora Francis Wynchama wysłany w połowie grudnia 1974 r. z Limy. W kwietniu kolejnego roku Chatwin był już z powrotem w Peru.

Po „W Patagonii” już na zawsze przyłgnęła do niego etykieta autora prozy podróżniczej. Niesłusznie, bo właściwie tylko dwie książki – debiut i „Pieśni stworzenia” (w Polsce wydane dwukrotnie, również jako „Ścieżki śpiewu”) – mieszczą się w tej kategorii. Wszystkie pięć – były jeszcze osadzone w Beninie, „Wicekról Ouidah”, walijskie „Na Czarnym Wzgórzu” i kameralna, wydana tuż przed śmiercią praska opowieść „Utz” – w podobny sposób balansowało na granicy gatunków literackich. Dzisiejsza literatura nie lubi takich odszczepieńców, bo nie wie, jak ich traktować. Szczególnie książka australijska, będąca próbą opisu fenomenu aborygeńskiej kosmologii, łamała wszelkie konwencje. W pewnym momencie jej narracja urywa się, oddając miejsce lapidariom. Nomadzi jeszcze raz wyszli z głowy Chatwina, a on sam pokazywał, że w literaturze, jak w życiu, nie wszystko musi być albo-albo.

Nie lubił etykiet. Prowokacyjnie mawiał nawet, że nie zna definicji rzeczownika „powieść”. Uważał się za storytellera, opowiadacza historii. Chciał, by jego książki były jak przekazywane sobie ustnie przy ogniu opowieści pierwszych wędrowców. Najlepiej podsumował go chyba W.G. Sebald, sam w sobie człowiek zagadka: „Chatwin ostatecznie pozostał zagadką, a podobne trudności mamy z zaklasyfikowaniem jego książek. Jasne jest tylko, że w założeniach i intencjach nie pasują do

żadnego ze znanych gatunków. Inspirowane swego rodzaju zachłannością na to, co nieodkryte, poruszają się wzdłuż linii wytyczonej przez owe szczególne zjawiska i rzeczy, o których nie da się powiedzieć, czy należą do rzeczywistości, czy do odwiecznie lęgnących się w naszych głowach fantazmów”.

Przez Polskę przeleciał jak meteor. Choć w latach 1998–2010 w tłumaczeniu ukazały się wszystkie jego książki, a potem również eseje i listy, to dziś szukać trzeba ich w drugim obiegu. „W Patagonii” na internetowych aukcjach kosztuje nawet zawrotne 200 zł, choć wydano je przecież po polsku raptem 12 lat temu. Najwyraźniej wydawcy nie śledzą aukcji Allegro, niestety.

Prawda poetów

Trzydziesta rocznica jego śmierci przeszła właściwie niezauważona. Jedyny wspomnieniowy akcent to owiany tajemnicą program, który dla BBC nakręcił Werner Herzog. Premiera jeszcze przed nami. Bawarski reżyser ma na koncie adaptację „Wicekróla Ouidah” i podejście do „Pieśni stworzenia”, które zaowocowało jednak zupełnie innym filmem. Z Chatwinem łączyła ich bliska więź, a Herzog przetłumaczył ową niechęć względem faktów na język filmu. „Fakty kreują normy, prawda przynosi iluminację” – głosił jego manifest dotyczący „ekstazy prawdy”, a więc takiej, która niesie nie klarowność, lecz uniesienie. Gdyby Chatwina w 1989 r. nie pokonało AIDS, niewątpliwie podpisałby się pod tą deklaracją.

Nawet jego umieranie było jednak czymś na kształt kreacji. W latach 80. diagnostyka AIDS nie była jeszcze zaawansowana, więc robiąc dobrą minę do złej gry przekonywał, że zabija go nieznany nauce grzyb, który dotychczas zaobserwowano wyłącznie u dziesięciu chińskich rolników i jednej orki. U Chatwina nic nie mogło być prościej. I to też chyba stało się jego przekleństwem. Lekturze jego biografii musi towarzyszyć oburzenie i zniechęcenie. Ale to nic nowego, niejednego przecież geniusza prywatnie okazywał się paskudnym człowiekiem. Jeszcze jeden powód, dla którego to nazwisko krąży dziś między uwielbieniem a zapomnieniem.

„Trudno było go poznać, trudno było go lubić i trudno sobie wyobrazić, co mógłby jeszcze napisać, gdyby żył dłużej – mówi starszy od Chatwina o rok pisarz Colin Thubron. – Był jednym z tych autorów, na których książki czekało się z ekscytacją, bo każda kolejna była zaskoczeniem”.

Jeśli Chatwin pisał jak nikt inny przed nim, to po jego debiucie wszyscy chcieli pisać jak on. Kiedy William Dalrymple – rocznik 1965 – oddał wydawcy maszynopis swojego debiutu „In Xanadu”, książka wróciła do niego z uwagą, że musiał się pomylić, bo przekazał tylko luźne notatki. Tekst pisany był bowiem klasyczną „chatwińszczyzną”: krótkimi, lakonicznymi zdaniem, pomiędzy którymi mieściło się więcej treści niż w rozwlekłych elaboratach. Do fascynacji Chatwinem przyznawali się Claudio Magris czy Chilijczyk Luis Sepúlveda. Ten ostatni miał z nim zresztą wrócić do Patagonii, ale nie zdążył. Zamiast tego napisał „Express Patagonia”, książkę przesiąkniętą duchem zmarłego towarzysza. Dziennikarz Andrew Harvey był z nich wszystkich najbardziej dosadny: „Każdy au-

Był „notorycznym specjalistą od przemilczeń”. Żonglował faktami i nazwiskami.

**Pokazywał, że w literaturze,
jak w życiu,
nie wszystko musi
być albo-albo.**

tor z mojego pokolenia chciał być Chatwinem”.

Dla tych, którzy nie chcieli go naśladować, i tak stał się punktem odniesienia. Paul Theroux stawiał się wobec niego w opozycji, wytykając niespójną i niechronologiczną narrację. „Notoryczny specjalista od przemilczeń” – pisał o nim we wspomnieniowym tekście, w którym obnażył kilka kreacji swojego zmarłego kolegi. Jak tę, gdy podczas odczytu w Królewskim Towarzystwie Geograficznym Chatwin chwalił się swoimi

himalaistycznymi dokonaniem (których nie miał) przed zdobywcą Nanga Parbat i kierownikiem pierwszej udanej wyprawy na Everest. Theroux stał się więc kimś na kształt anty-Chatwina. Zależało mu przede wszystkim na wiarygodności. Jeśli Chatwin szukał „prawdy poetów”, to Theroux gonił za tym, co Werner Herzog z pogardą nazywa „prawdą księgowych”.

Najważniejsza z lekcji Chatwina brzmiała więc prozaicznie: reguły są po to, by je łamać, a granice – by je przekraczać. To dawało otuchy i odwagi tym, którzy zaczynali po nim. I – proszę uwierzyć – wciąż to robi.

Moleskinów już nie ma

Przez całe swoje życie robił notatki. Opisywał ludzi, których spotkał, przedmioty, numery telefonów, gatunki drzew i kwiatów, kuchenne przepisy. Komponując książki, ciągle odwoływał się do zawartości swoich notesów. Na początku kariery notował w byle czym. To mógł być zwykły szkolny zeszyt, najlepiej w kratkę. Lubił te francuskie, grube, z dużą liczbą stron. Kiedy odkrył oprawione w czarną ceratę notesy produkowane przez mistrza introligatora z Tours w środkowej Francji, nie chciał już żadnych innych. Kupował je hurtowo w papierniku przy Rue de l’Ancienne Comédie, rzut beretem od paryskiego bulwaru Saint-Germain. Potrzeba uzupełnienia zapasu *carnets moleskines* była zresztą dobrym pretekstem, by odwiedzić to miasto. Miał jeszcze jeden rytuał: zanim zaczął go zapisywać, w każdym zeszycie numerował wszystkie strony, a na okładce umieszczał dwa adresy pocztowe dla potencjalnego znalazcy.

Kiedyś wybrał się do Paryża, aby uzupełnić zapas zeszytów, ale usłyszał, że introligator zamknął biznes. W „Pieśniach stworzenia” zapisał więc zdanie: „Prawdziwych moleskinów już nie ma”. Kilka lat później przeczytała je pewna Włoszka, która sama pamiętała notesy produkowane przez rodzinne francuskie manufaktury. Z jej inspiracji produkcję moleskinów uruchomiła jedna z mediolańskich firm. Pierwsze zeszyty przyplęły w 1997 r. z Chin, choć z marketingowego punktu widzenia miało to wyglądać tak, jakby to wciąż były te same tradycyjne wyroby. Dziś moleskiny można kupić niemal w każdym papierniczym. Kosztują kilkadziesiąt złotych, mają wiele wariantów i ładnie wyglądają na zdjęciu obok iPhone’a. „Na wewnętrznej stronie okładki mają wydrukowane miejsce na adres i sugerowaną kwotę znaleźnego, ale nie znam nikogo, kto by te pola wypełniał” – zauważa jednak w „New Yorkerze” Adrienne Raphel.

A więc Chatwin jeszcze raz napisał prawdę: prawdziwych moleskinów już nie ma.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Powrót na drzewo



RĘKĘ PODNIESIONĄ NA POLSKĘ TRZEBA ODRA-
bać – tak to jakoś leciało. Mozół z cytowa-
niem klasyków jest taki oto, że mądrości po-
wtarzać należy dokładnie, a nazwisko au-
tora bezwzględnie podawać. Jak się mówi

„A”, trzeba powiedzieć „B”, by nie wyjść na
kogoś kreującego swą mołojcką sławę cudzym kosztem. Roz-
krochmalony Cyrankiewicz, jak mniemamy, macha dziś
z chmurki. I może nie do wszystkich, ale do cytującego jego
słowa na pewno, macha i woła: „Śmielej!”.

Oto wypowiedź o ręce podniesionej nie będzie nam jednak
dziś kanwą, lecz atrakcyjnym detalem do różnorodnych rozwa-
zań na temat przemówień, których ostatnio było nieco. Jeżeli
– np. z okazji matury – dostalibyśmy zadanie uczynienia krót-
kiej syntezy tych mówek, nie zastanawialibyśmy się długo. We
wszystkich ważnym elementem była zapowiedź upadku cywi-
lizacji, odrywania od cywilizacyjnych korzeni, dużo mieliśmy
odjeżdżających pociągów, do których należy bądź nie należy
wsiadać, albo z nich, broń Boże, wysiadać. W sumie wiało z tego
wszystkiego groza.

Gdyby pozwolono nam się nieco rozwinąć i gdyby zapytano,
co widzimy, dodalibyśmy, że byłaby to wizja upiornego peronu,
na którym ustawiono nas bez żadnej litości. Z ogromnym ha-
łasem mijają się na nim liczne pociągi; a to za wcześnie, a to
spóźnione, niezatrzymujące się, zatrzymujące się na minutę,
a do żadnego z nich nie mamy biletu, albo mamy, ale już nie-
ważny. Kompletnie straciliśmy także orientację, bo nie wiemy,
w którym pociągu jedzie Kaczyński, w którym Tusk, a gdzie
jedzie ten biedny Biedroń, nie wiemy, gdzie jest bądź to kon-
duktor, bądź zawiadowca stacji. Jakby tych atrakcji było mało,
z okien owych pociągów machają do nas tysiące rąk podnie-
sionych na Polskę. Machają od lewa do prawa, i z góry na dół.

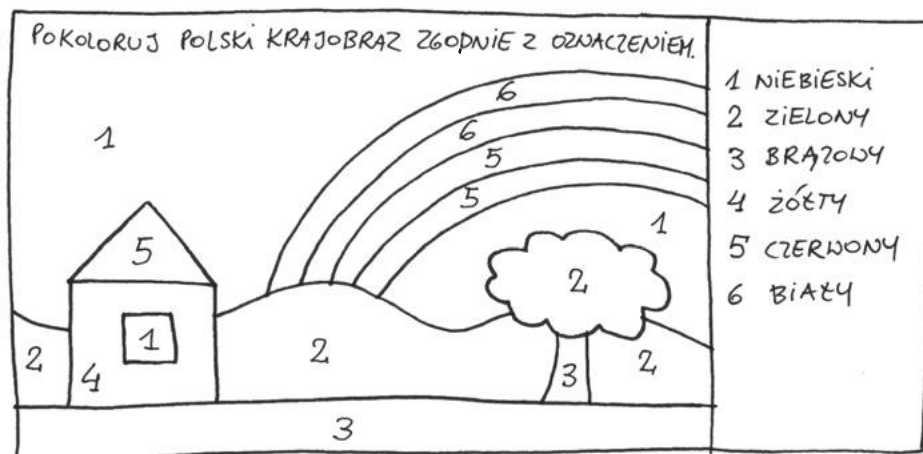
Każdy, kto się skutecznie puknie w głowę, powie, że jeżeli nie
oszaleć, to zgłupieć z tego można do cna. Wydaje się, że jakaś
próba wyjścia z horroru tutejszego peronu by się przydała, by
spróbować choćby ułożyć zgrubny zarys definicji, czym jest
cywilizacja.

W znacznym stopniu jest to nam temat bardzo bliski,
bowiem uważamy – nie wchodząc w szczegóły – że cywiliza-
cja, owszem, jest na zakręcie. Ponieważ myślimy poniekąd po-
dobnie jak wszyscy nasi politycy, nie jesteśmy spokojni, a nasza
samoocena w związku z tym błyskawicznie spada. Włączmy
się jednak do tego nurtu. Dość rzec – i niech będzie to naszym
solidnym wkładem w te opinie, ale też na temat ewolucji czło-
wieka – że tak jak człowiek mógł efektywnie zejść z drzewa, tak
może nań wrócić. Droga wolna. Doprawdy nic nie stoi na prze-
szkodzie, by umrzeć na odrę w stanie dezorientacji, siedząc na
golasa w rozwidleniu gałęzi, pogryzając bezglutenowe korzonki
i pośród listowia oraz ćwierkającego ptactwa pukać sobie w nie-
czynny ekran dotykowy, usiłując wywołać wieczorny dziennik
rosyjskiej stacji RT. To jest obraz na tyle wyraźny i kolorowy
– każdy to przyzna – że szkoda ubierać go w kulawe zdania. Oto
zawsze powab oglądania regresu jest niesłychanie pociągający.
Jest to coś pomiędzy filmem katastroficznym, pornograficznym
i komediowym, a jedynym kłopotem jest świadomość nikłej
szansy na przeżycie i doczekanie, aż regres cywilizacyjny minie.
Lepiej o tym czytać, niż w tym uczestniczyć. Jest to nasza wizua-
lizacja, która może jest o tyle niepewna, że niszowa, warto więc
wrócić do opinii innych, szerzej spotykanych, opinii – dodajmy
– obowiązujących w mediach, popkulturze, a nawet w spotach
kampanii wyborczej.

Oto słuchając i patrząc, dochodzimy do niesłychanie orygi-
nalnego wniosku, że wciąż, po 30 latach, apogeum cywilizacyj-
nym ojczyzny naszej były czasy PRL-u. W stanowczej polityce
międzynarodowej choćby, ale także w technologii produkcji
aut, bądź w zasadach skupu żywca. Jeśli zaś idzie o sztukę, nie-
śmiertelnym arcydziełem, do którego odwołania znajdujemy
dziś wszędzie, którego nieustająca promocja trwa już dziesiątki
lat, to film „Krzyżacy”. Ta największa w historii polska produk-
cja filmowa zdefiniowała nam absolutnie wszystko. Od jakości
chemii gospodarczej, poprzez pochodzenie kapitału, po reflek-
sję na temat niemieckiego sezonu szparagowego, który właśnie
się rozpoczął.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





PREMIERA na 30-lecie nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.



weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” JUŻ W SPRZEDAŻY w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą. Więcej informacji powszech.net/smakwolnosci

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY WYDANIA

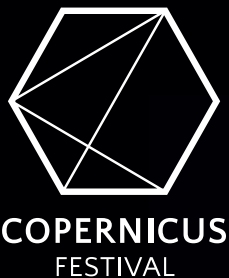




Wybory do Parlamentu Europejskiego 26 maja 2019

tymrazemglosuje.eu



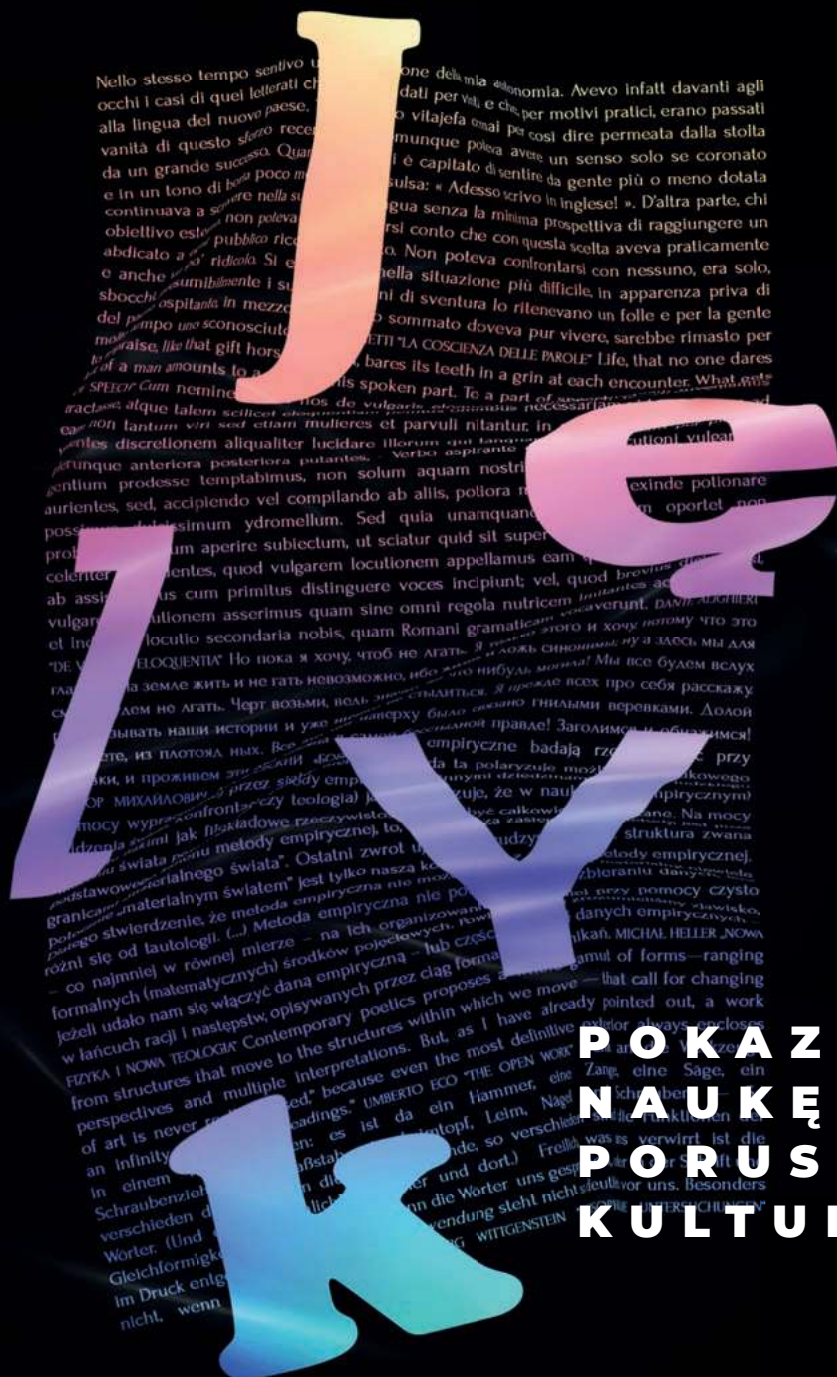


COPERNICUS
FESTIVAL

TYGODNIK
POWSZECHNY

Nr 20/2019

KATALOG
FESTIWALOWY



POKAZUJE
NAUKĘ,
PORUSZA
KULTURĘ



Dominika Grosickie

Kamil Grosicki

*Polecamy niezawodne
telewizory polskiej firmy.
Kibicuj naszym!*



www.manta.com.pl



COPERNICUS FESTIVAL 2019 / JĘZYK

Przyjęcie dwunożności, pojawienie się zdolności naśladowczych, opanowanie ognia, produkcja narzędzi, rozbłysk świadomości, rozwój wyobraźni, wyłonienie się moralności, powstanie sztuki, stworzenie matematyki – te wszystkie zdarzenia były kamieniami milowymi naszej ewolucyjnej podróży. Gdybyśmy jednak zapytali o najbardziej przełomowy etap historii naszego gatunku zarówno przypadkowych przechodniów, jak i wybitnych uczonych, to większość jednych i drugich prawdopodobnie wskazałaby na pojawienie się języka.

W końcu to język pozwala nam precyzyjnie się porozumiewać, porządkować myśli i wybiegać nimi w przyszłość oraz przeszłość. Bez językowej komunikacji nie byłibyśmy w stanie koordynować działań, stworzyć instytucji społecznych ani zbudować cywilizacji. Nie moglibyśmy w takim stopniu kumulować doświadczeń i wiedzy ani dzielić się nimi z innymi. W języku wyrażane są normy moralne i prawne, a największe religie opierają się na boskim objawieniu – przekazanych słowami proroków i zapisanych w świętych księgach. W języku składamy przysięgi i zawieramy umowy. Język to także narzędzie twórcze pozwalające pisarzom i poetom eksplorować światy, które istnieją tylko – a może wcale nie „tylko”? – w wyobraźni artystów i odbiorców. Bez języka niewiele byśmy stworzyli ani osiągnęli.

Nie wiemy jednak, czy język nam czegoś nie zabiera, czy nie narzuca sposobu myślenia o świecie, odciągając naszą uwagę od niewerbalizowalnych doświadczeń; albo kieruje rozwijający się umysł dziecka na ściśle określone tory. Na pewno ma jasną

i ciemną stronę. Pozwala przeklinać i błogosławić, budować i niszczyć, zniewalać i dawać wolność, jednoczyć i wykluczać. Zawierać sojusze i spiskować, przebaczać i pielegnować urazę. Wyrażać miłość i rozsiewać nienawiść. Sprawiać radość i smutek, pocieszać i dręczyć. Nic tak dobrze jak język nie pozwala się wyrażać naszej ambiwalentnej naturze. Nic w większym stopniu nie czyni nas – aż i tylko – ludźmi.

W naszej tegorocznej podróży po różnych wymiarach języka tradycyjnie towarzyszyć nam będą znakomici przewodnicy. Wielokrotnie nagradzany kanadyjski filozof Charles Taylor, według którego jesteśmy „zwierzętami językowymi”. Lingwista i antropolog Daniel Everett – słynny badacz zwyczajów językowych amazońskich plemion i popularyzator teorii języka jako kulturowego wynalazku. Fizyk Paul Davies, który zgłębia najsubtelniejszy język wszechświata – matematyczne prawa mechaniki kwantowej i kosmologii – a w ramach programu SETI poszukuje pozaziemskiego, być może zdolnego do komunikacji, życia. Elżbieta Tabakowska – filolożka angielska i kognitywistka, artystka przekładu. Jerzy Bralczyk – językoznawca, mistrz polskiej mowy i strażnik językowej poprawności.

W niniejszym katalogu znajdą Państwo przedsmak tego, co czeka nas podczas Festiwalu. Zapraszamy do lektury – oraz uczestniczenia w festiwalowych wydarzeniach. W wielu z nich można będzie brać udział *online*, śledząc transmisje na kanale www.youtube.com/copernicuscenter.

Zapraszamy!
ZESPÓŁ FESTIWALOWY



4. Rusztowanie dla myśli
BARTOSZ BROŻEK

16. Kod Leonarda
MAGDALENA ŁANUSZKA

29. O czym mówił Homo erectus
ŁUKASZ KWIATEK

40. Narzędzie w ustach
ANITA PIOTROWSKA

7. Filozof pogranicza
ŁUKASZ TISCHNER

20. Między słowem a podkładem
JAN BŁASZCZAK

33. Bardzo chciałbym mówić po baskijsku
ROZMOWA Z JERZYM
BRALCZYKIEM

44. Kosmiczne przypadki
Paula Daviesa
MICHAŁ ECKSTEIN,
TOMASZ MILLER

12. Język to nie klocki Lego
ROZMOWA Z ELŻBIETĄ
TABAKOWSKĄ

22. Funkcja autora
PIOTR MARECKI

37. Sztuka wystawiania języka
ANDRZEJ BEDNARCZYK

48. Czy matematyka jest poezją?
MICHAŁ HELLER

25. Program Festiwalu

WSPÓŁWYDAWCY



REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK | PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN
SKŁAD: ANDRZEJ LEŚNIAK | KOREKTA: SYLWIA FROŁOW, GRZEGORZ BOGDAŁ, MACIEJ SZKLARCZYK
OKŁADKA: ADMIN D BRANDING & COMMUNICATIONS

KRAKÓW 2019, ISBN 978-83-65811-04-2

Rusztowanie dla myśli

BARTOSZ BROŻEK

**Język obiektywizuje myśl,
wznosi ją na wyższy poziom abstrakcji,
pozwala konstruować teorie
i prowadzić dialog.
To najważniejszy spośród wszystkich
naszych wynalazków.**

Karl Popper nazwał kiedyś język „największym wynalazkiem ludzkości”, podkreślając, że „tak skutecznie wywiązuje się (on) z roli środka opisywania rzeczywistości, że doprawdy niewiele jest powodów do narzekania, natomiast jest bardzo wiele rzeczy, które mogą budzić zdumienie i podziw, a nasze zdumienie powinno zwłaszcza budzić to, że istoty ludzkie zdołały rzeczywiście wytworzyć to niewiarygodnie potężne narzędzie. Jego siła wychodzi oczywiście na jaw w naszych pojazdach księżycowych i bombach atomowych. Ale staje się również widoczna w wielu innych przypadkach”.

Trudno nie zgodzić się z Popperem. Wśród wielu twórców ludzkiej kultury język jest wyjątkowy – nie dlatego, że robi na nas szczególnie wielkie wrażenie (zbyt jest nam bliski i codzienny, żeby wywierać taki wpływ), ale dlatego, iż bez języka nie umielibyśmy myśleć i działać wspólnie na wielką skalę. Wbrew uwadze Poppera, który dostrzega w języku potężne narzędzie opisywania rzeczywistości, jego prawdziwa siła objawia się w tym, że umożliwia i współkształtuje nasze wspólne wysiłki poznawcze. Dostrzec to można na czterech różnych płaszczyznach: język obiektywizuje myśl, wznosi ją na wyższy poziom abstrakcji, pozwala konstruować teorie i prowadzić dialog.

Przyjdzie walec...

Ludzki mózg w kontakcie ze środowiskiem tworzy reprezentacje rzeczywistości – tak już jest skonstruowany. Jest to długi proces „uczenia się” świata. Kolejne doświadczane przez nas sytuacje – np. postrzeganie różnych czerwonych przedmiotów – kształtują złożoną, hierarchiczną sieć neuronową, która koduje odpowiednie pojęcia, takie jak czerwień. Tylko powtarzające się widzenie czerwonych przedmiotów – a także obiektów o innych, zbliżonych i całkiem odmiennych kolorach – pozwala na takie dostrojenie wag sieci neuronowych, że można mówić o rozumieniu pojęcia czerwieni. Ponieważ żyjemy w tym samym środowisku i mamy podobne uposażenie biologiczne, możemy przyjąć, że mapy pojęciowe w naszych umysłach są dosyć podobne. Nie jest to jednak podobieństwo doskonałe, bo żadne dwie osoby



MEHDI CHEBIL / POLARIS / EAST NEWS

nie mają tych samych doświadczeń. W tym miejscu na scenę wkracza język, którego główną funkcją jest koordynacja i ujednolicanie naszego poznania i działania. Gdy uczymy dziecko rozpoznawać kolory – np. wskazując na pomidora i mówiąc, że jest czerwony, albo na trawę, informując, że jest zielona – sprawiamy, iż odpowiednie mapy pojęciowe w jego mózgu stają się lepiej zestrojone z naszym postrzeganiem kolorów, niż byłoby to możliwe bez istnienia języka.

Najlepszego dowodu na tę ujednolicającą i obiektywizującą moc języka dostarczają prowadzone od wielu dziesięcioleci badania międzykulturowe. Kategoryzacja kolorów czy emocji, ale także kwestie bardziej fundamentalne – rozumienie ludzkich działań, a nawet postrzeganie związków między czasem i przestrzenią – zależą od tego, jakim językiem się posługujemy. Język tarahumara posiada tylko jedno słowo na oznaczenie tych kolorów, które po polsku określamy mianem zielonego i niebieskiego. Japońskie słowo *isin* przetłumaczyć można jako „winę”, ale także jako „wstyd”, „zakłopotanie” albo „nieśmiałość”. Słowa odpowiadające polskiej „winie” nie znajdziemy w językach rdzennych ludów Tahiti i Sri Lanki, a także niektórych plemion Filipin, Australii i Samoa. Podobne uwagi sformułować można w odniesieniu do innych emocji: złości, smutku, strachu i szczęścia. Społeczeństwa dalekowschodnie



Tłumacze kabinowi podczas Konferencji Klimatycznej ONZ w Kopenhadze, grudzień 2009 r.

zdają się rozumieć ludzką podmiotowość i motywacje do działania inaczej niż człowiek Zachodu. Azjaci wyjaśniają zachowanie, odwołując się do czynników sytuacyjnych, podczas gdy Europejczycy skupiają się bardziej na czynnikach indywidualnych. Osoby posługujące się mandaryńską odmianą języka chińskiego mają tendencję do wyobrażania sobie upływu czasu wertykalnie, podczas gdy anglojęzyczni uczestnicy odpowiednich eksperymentów korzystają z reprezentacji horyzontalnej, zaś przedstawiciele plemienia Pormpuraaw, którzy nie posiadają relatywnych wyrażeń przestrzennych (góra, dół, prawo, lewo), konceptualizują czas jako płynący zawsze ze wschodu na zachód.

Takie przykłady można mnożyć. Nie mają jednak na celu obrony skrajnego relatywizmu językowego w duchu koncepcji Benjamina L. Whorfa. Nie jesteśmy zmuszeni uznać, że różne języki związane są z całkowicie odmiennymi obrazami świata, a przez to z radykalnie odmiennymi sposobami postrzegania rzeczywistości, by zauważyć, iż język stanowi narzędzie ujednolacające nasze mapy pojęciowe. Jest jak potężny walec, który wyrównuje nasze poznawcze idiosynkrazje, tworząc wspólną przestrzeń (albo lepiej: poszerzając obszar wspólnej przestrzeni), w której potrafimy się nawzajem zrozumieć i podjąć wspólne działania.

W krainie abstrakcji

Arystoteles definiował abstrakcję jako proces polegający na „oddzielaniu i zatrzymywaniu jakiejś właściwości z rzeczy”. Z tej perspektywy pojęcie „człowiek” jest abstrakcyjne, bo zatrzymuje pewne cechy wspólne dla pewnej klasy istot (np. odpowiedni kod DNA), a ignoruje inne (np. płeć, kolor oczu, wzrost, poglądy, miejsce urodzenia itd.). Podobnie, jeśli formułuję pewne prawo fizyki, np. „w układzie termodynamicznym izolowanym w dowolnym procesie entropia nigdy nie maleje”, dokonuję abstrakcji, bo nie określłam ani cech układu fizycznego (oprócz tego, że ma być termodynamicznie izolowany), ani natury toczących się w jego ramach procesów.

Nie jest do końca jasne, na czym polega nasza zdolność do tworzenia pojęć abstrakcyjnych. Ewolucjoniści, psychologowie i językoznawcy proponują w tym kontekście rozmaite teorie, często bardzo się od siebie różniące. Najsłynniejszą z nich jest niewątpliwie koncepcja metafor pojęciowych, zaproponowana przez George’a Lakoffa, Marka Johnsona i ich współpracowników. Głosi ona, że pojęcia abstrakcyjne tworzymy na bazie pojęć konkretnych, przenosząc na dziedzinę bardziej abstrakcyjną strukturę inferencyjną z dziedziny bardziej konkretnej. Na przykład w językach indoeuropejskich myślenie rozumiane jest zwykle dzięki wykorzystaniu struktury pojęciowej związanej z widzeniem. ➔

→ Możemy powiedzieć za Kartezjuszem, że ktoś „widzi idee jasno i wyraźnie”, albo że koncepcje Hegla są mgliste, zaś tezy Russella – oczywiste. Koncepcja metaforyzacji nie jest jednak jedynym wyjaśnieniem sposobu powstawania pojęć abstrakcyjnych. Wśród jej głównych konkurentów wymienić można teorię dostępności kontekstu, teorię podwójnego kodowania, a także rozmaite wyjaśnienia, które – podobnie jak koncepcja metafor – powstały w ramach podejścia określanego w psychologii mianem „ucieleśnionego poznania”. Wydaje się, że problem abstrakcji jest dziś jednym z największych i najważniejszych wyzwań stojących przed kognitywistyką.

Łatwo zrozumieć, dlaczego zagadnienie to jest tak frapujące. Przecież bez pojęć abstrakcyjnych nasze życie wyglądałoby całkiem inaczej – *Homo* nie zasługiwałby na miano *sapiens*. Nie potrafilibyśmy stworzyć filozofii, matematyki, nauk empirycznych ani złożonych instytucji społecznych. Więcej nawet: trudno byłoby opowiadać historie, ostrzegać się przed niebezpieczeństwem, zapraszać innych do podejmowania wspólnych działań. W świecie, w którym komunikacja międzyludzka ograniczałaby się do tego, co konkretne, nie sposób byłoby wyrwać się z „tu i teraz”, mówić o przeszłości lub przyszłości, albo o tym, co dzieje się w innym miejscu. W skrajnie konkretnym języku każdy przedmiot i zdarzenie miałyby odrębne nazwy. Spróbujemy to sobie wyobrazić: każdej napotykaney rzeczy – kamieniowi, wróblowi, emocji, ziarnku piasku – nadajemy imię własne. Stworzylibyśmy w ten sposób karykaturę Leibnizjańskiej monadologii: każdy byt byłby w pełni odrębnym istnieniem, ale równocześnie byty te „nie miałyby okien” – ich natura ukryta byłaby nic niemówiącą nazwą własną.

Potęga teorii

Obiektywizacja i abstrakcja stanowią warunki wstępne tworzenia teorii. Teorie z kolei pozwalają organizować naszą wiedzę o świecie w coraz większe i bardziej spójne struktury, co przekłada się na łatwość w rozwiązywaniu problemów, które przed nami stają. Wyobraźmy sobie na przykład, że nie dysponujemy żadną teorią wyjaśniającą powszechne ciężenie. Oczywiście, obserwujemy, że przedmioty ciężkie zrzucone z dowolnej wysokości nieodmiennie spadają na ziemię. Z czasem możemy zacząć formułować rozmaite wyjaśnienia, czemu tak się dzieje. Możemy przykładowo uznać, że kamienie i inne ciężkie przedmioty spadają na ziemię, bo sprawia im to przyjemność. Jest to już jakaś teoria powszechnego ciężenia, tłumacząca istotny aspekt

naszego doświadczenia świata. Nie tylko wiemy, że przedmioty ciężkie spadają na ziemię, ale także rozumiemy, dlaczego się tak dzieje. Dzięki temu oswajamy poznawczo świat i łatwiej się nam w nim poruszać.

Nasza teoria jest jednak gorsza od koncepcji Arystotelesa, który uważał, że przedmioty ciężkie spadają na ziemię, bo „zmierzają do swojego naturalnego miejsca”. Dlaczego? Arystotelesowska koncepcja „miejsca naturalnego” stanowiła element większej teorii, obejmującej całość ludzkiego doświadczenia. Uważał on, że światem rządzą cztery przyczyny: formalna, materialna, sprawcza i celowa. Powszechne ciężenie – fakt, że przedmioty ciężkie spadają na ziemię dążąc do swego „naturalnego miejsca” – było przejawem działania zasady celowej.

Natrafiamy tutaj na ważną cechę teoretyzacji: kolejne konstruowane przez nas teorie zmierzają do większego stopnia unifikacji, obejmując coraz większe obszary doświadczenia i dając coraz bardziej globalne rozumienie świata. Widać to szczególnie wyraźnie w fizyce nowożytnej i współczesnej. Dla przykładu: przed odkryciami Jamesa Clerka Maxwella z 1861 r. elektryczność i magnetyzm tłumaczono za pomocą dwóch różnych, niepowiązanych ze sobą teorii. Maxwell dostrzegł jednak i wyraził w precyzyjnej matematycznej formie, że elektryczność i magnetyzm to dwa rodzaje tego samego zjawiska – elektromagnetyzmu. Powstanie mechaniki kwantowej i późniejsze odkrycia umożliwiły dokonanie innej unifikacji: elektromagnetyzmu z oddziaływaniami słabymi w postaci tzw. kwantowej teorii pola. Współcześnie fizycy próbują postawić kolejne kroki na drodze do unifikacji wszystkich podstawowych oddziaływań fizycznych w jednej teorii: chcą połączyć teorię oddziaływań elektroslabych z chromodynamiką kwantową w teorię wielkiej unifikacji, a tę z kolei wcielić wraz z ogólną teorią względności w teorię wszystkiego.

Zasada kontrastu

Teorie, dzięki którym zamykamy duże fragmenty naszego doświadczenia w spójne schematy pojęciowe, mają też inną ważną cechę: możemy je ze sobą porównywać. Możliwość skontrastowania odmiennych wyjaśnień tego samego zjawiska pociąga za sobą dwie pozytywne konsekwencje. Z jednej strony, możemy w ten sposób łatwiej dostrzec słabe i mocne strony proponowanych rozwiązań nękającego nas problemu; z drugiej – porównywanie teorii dostarcza argumentów, dzięki którym możemy uzasadnić wybrane rozstrzygnięcie.

Akceptowane przez nas teorie i konceptualizacje świata mają wiele ukrytych założeń, których nie potrafimy uświadomić sobie poprzez samą analizę uznawanych twierdzeń. Zwracał na to uwagę Paul Feyerabend, pytając: „jak w ogóle jest możliwe zbadanie czegoś, czym posługujemy się nieustannie? (...) Jak odkryć ten rodzaj świata, który zakładamy, gdy postępujemy tak, jak postępujemy?”. Odpowiedź Feyerabenda była następująca: „potrzebujemy świata fikcyjnego w celu odkrycia cech świata real-

nego, który, jak sądzimy, zamieszkujemy”. Mówiąc inaczej, pełne zrozumienie uznawanych teorii, ze wszystkimi ukrytymi założeniami, nie jest możliwe bez skonstruowania ich z teoriami alternatywnymi, czasem w oczywisty sposób nieprawdziwymi. To one pozwalają wydobyć na powierzchnię to, co *implicite* obecne jest w konceptualizacjach rzeczywistości, którymi posługujemy się na co dzień.

Ale znaczenie zasady kontrastu wykracza poza jej funkcję hermeneutyczną, umożliwiającą lepsze rozumienie zjawisk i tłumaczących je teorii. Porównywanie alternatywnych teorii służy też ich uzasadnianiu. Jak sugeruje Nicholas Rescher, najogólniejsza koncepcja racjonalności opiera się na idei dyskusji (wymiany argumentów), w poszczególnych dziedzinach poznania wypracowujemy zaś szczegółowe procedury, które wspomagają ten ogólny mechanizm. Zalety takiego podejścia widać szczególnie poza nauką, w której ostatecznym, choć nie zawsze do końca obiektywnym sędzią pozostaje empiria. Tymczasem sędziego takiego nie ma w moralności, prawie, dyskusjach o pięknie, polityce, literaturze, a także w większości kwestii, które napotykamy w codziennym życiu. W tych obszarach doświadczenia opierać się musimy na porównywaniu alternatywnych rozwiązań napotykanych problemów.

Dobra zmiana

Obiektywizacja, abstrakcja, teoretyzacja i dialogizacja nie są genetycznie związane z językiem. Nawet bez języka nasze aparaty poznawcze byłyby w pewnym stopniu ujednolicone – wszak żyjemy wspólnie w tym samym środowisku i zmagamy się z podobnymi problemami. Nawet pozbawieni języka jesteśmy zdolni do pewnej dozy abstrakcji – w końcu nasze mózgi potrafią dostrzegać podobieństwa między napotkanymi bodźcami i generować mapy pojęciowe uwzględniające te podobieństwa. Nawet na etapie przedjęzykowym nasi przodkowie tworzyli pewne „teorie” – choć nie były one w żaden sposób *explicite* wyrażone, a jedynie zakodowane w ich mózgach i przejawiały się w podejmowanych działaniach. Nawet bez języka byłibyśmy zdolni do jakiejś rudymen tarnej formy dialogu i porównywania alternatywnych sposobów radzenia sobie z problemami, choćby przy wykorzystaniu pantomimy.

Język nie stworzył tych zdolności, ale pozwolił na ich niezwykle rozwój. To dzięki niemu mamy swoje pojazdy księżycowe, teorie wszystkiego, seriale Netfliksa i postmodernizm; a przede wszystkim – możemy wspólnie podejmować wysiłki, by lepiej zrozumieć świat, w którym przyszło nam żyć, i by nasze życie w tym świecie było lepsze.

©

BARTOSZ BROŻEK

Autor jest profesorem prawa, filozofem, dyrektorem Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych Uniwersytetu Jagiellońskiego i prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ. Członek Rady Programowej Copernicus Festival.

Filozof pogranicza

ŁUKASZ TISCHNER

Według Charlesa Taylora jako ludzie jesteśmy skazani na znaczenia. Nie potrafimy żyć w świecie, któremu nie moglibyśmy nadawać sensów.

Nie da się go łatwo zaszufładować. Dotyczy to nie tylko jego myśli, ale także kulturowej tożsamości, co jest zapewne jednym z powodów, dla których właśnie tożsamości nowocześniejszej poświęcił swe najważniejsze dzieła. Pochodzi z wielokulturowego Quebecu, gdzie wychowywał się w dwujęzycznym domu, w którym ojciec protestant mówił po angielsku, a matka katoliczka po francusku.

Dziś Charles Margrave Taylor (rocznik 1931) jest kłasykiem, który zdołał znacząco wpłynąć na tak odległe od siebie obszary jak: etyka, antropologia filozoficzna, teoria polityki (studia o multikulturalizmie i atomizmie), filozofia umysłu, filozofia języka, epistemologia, estetyka, hermeneutyka, literaturoznawstwo, a wreszcie studia nad religią.

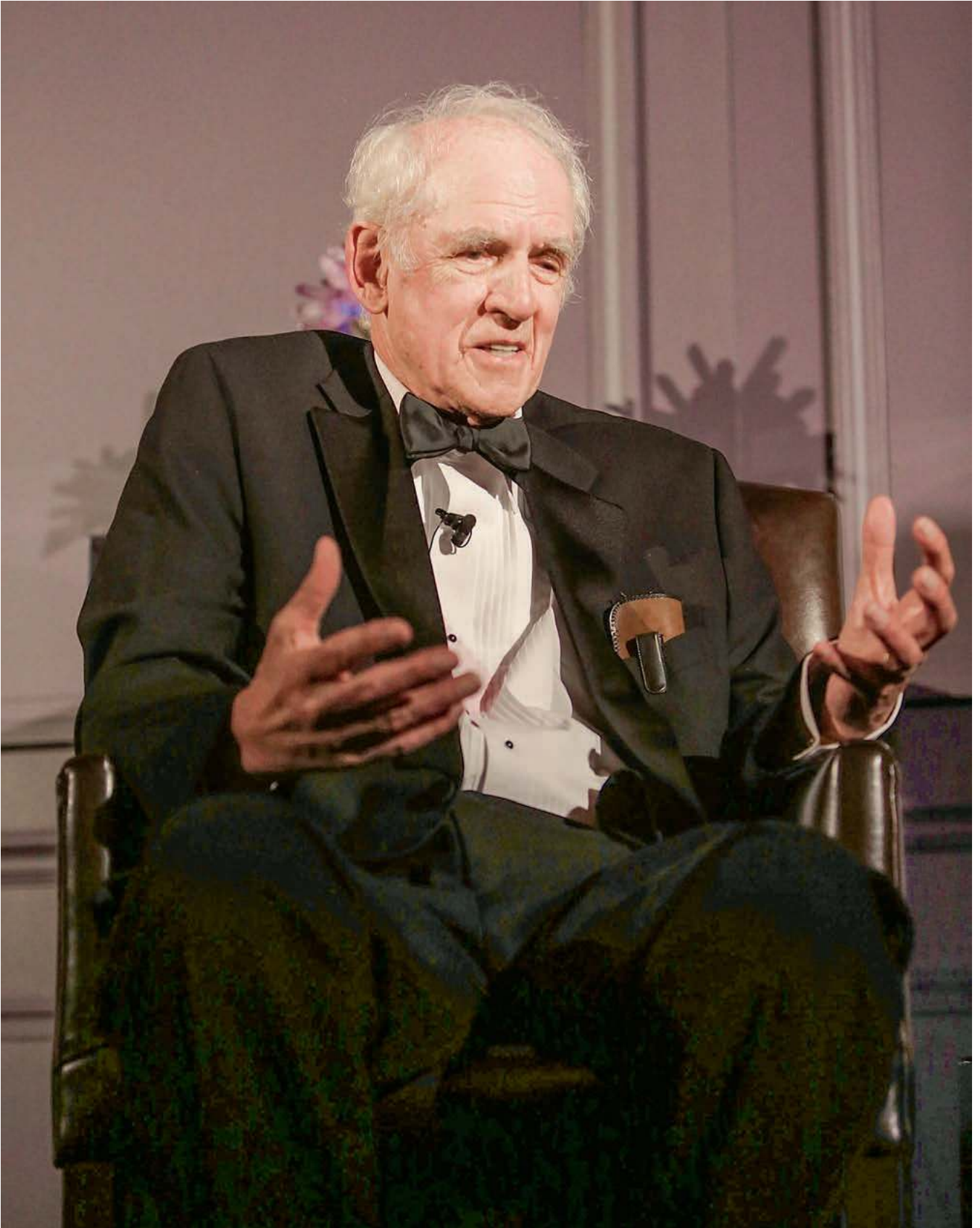
Zyskał światowy rozgłos i szereg najbardziej prestiżowych wyróżnień (Nagrodę Kioto w 2008 r., Nagrodę Klugego w 2015 r. i Nagrodę Berggruena w 2016 r., o łącznej wartości ponad 2,5 mln dolarów) po publikacji „A Secular Age” („Epoka świecka”, 2007).

W tej potężnej monografii rozprawił się z tzw. teorią sekularyzacyjną (utożsamiającą modernizację z zanikaniem religii), a także stworzył zupełnie nowe perspektywy dla badań nad współczesną duchowością. Przełomowość tej książki wynika nie tylko z siły argumentacji, lecz także niezwykle, dialogicznego stylu myślenia.

Taylor empatycznie rozumie racje wierzących i niewierzących; objaśnia procesy kształtujące nowoczesną tożsamość, uwzględniając nieodzowność komponentu religijnego, zarazem ukazując kruchość opcji teistycznej.

Mógłby dziś spocząć na laurach, uświetniając niezliczone konferencje i sesje, w których tytułach odmienniana jest przez wszystkie przypadki „epoka świecka”, ale Taylor nie potrafi się powtarzać. W ciągu ostatnich kilkunastu lat rozwinął inny nurt swych badań – studia nad językiem.





Konwertytka, Irlandka i Żyd

Wykształcenie uzyskał na rodzimym Uniwersytecie McGilla w Montrealu (historia) i w Oksfordzie (dyplom w zakresie nauk politycznych, filozofii i ekonomii, potem doktorat z filozofii). Choć po kilku latach spędzonych w Europie wrócił ostatecznie do Kanady, z pewnością studia w Oksfordzie najmocniej odcisnęły się na jego intelektualnym rozwoju. To tam zdobywał filozoficzne ostrogi, tam także poznał swoich najważniejszych mistrzów – Iris Murdoch, Izajasza Berlina i Elizabeth Anscombe (uczennicę Wittgensteina). Zresztą związki z tą uczelnią będą miały swój ciąg dalszy, gdy w latach 70. obejmie profesurę w All Souls College.

Nicholas H. Smith zwraca uwagę, że w okresie studiów Taylora pociągali ludzie o złożonych kulturowych tożsamościach – konwertytka z anglikanizmu na katolicyzm (Anscombe), osiadła w Oksfordzie Irlandka (Murdoch) i zadowolony w kulturze brytyjskiej rosyjski Żyd (Berlin). Okres oksfordzki to nie tylko czas intensywnej pracy intelektualnej, ale także aktywności społeczno-obywatelskiej. Taylor dąży do równowagi między *vita contemplativa* i *vita activa*: angażuje się w kampanię na rzecz nuklearnego rozbrojenia, współtworzy lewicowe pismo „Universities and Left Review”, a w 1956 r. wyjeżdża z Wielkiej Brytanii do Wiednia, gdzie przez pół roku pomaga w obozie dla węgierskich uchodźców. W tym samym roku poślubia Albę Romer (zmarła w 1990 r.), córkę Tadeusza Romera, który był ostatnim ambasadorem rządu londyńskiego w ZSRR, a po śmierci gen. Władysława Sikorskiego ministrem spraw zagranicznych w rządzie Stanisława Mikołajczyka. To dzięki niej i jej rodzinie głęboko wnika w los „skrwawionych ziem”, a przy okazji zaznajamia się bliżej z polską kulturą, czego wymownym śladem są komentarze do poezji Herberta i Różewicza, które znalazły się w „Źródłach podmiotowości”.

Autorzy opracowań na temat Taylora zgodnie zwracają uwagę na niesystemowość jego myślenia i wielorakość tradycji, które go ukształtowały. W Oksfordzie zdobył biegłość w wyspiarskiej filozofii ana-

litycznej, choć szkoła ta najczęściej służyła mu potem jako polemiczny punkt odniesienia dla własnych poszukiwań. Zresztą nauczyciele, których wybierał, byli z punktu widzenia tego nurtu dyzydentami. Izajasz Berlin otwierał Taylora na niemiecki romantyzm (filozofię wedle brytyjskich kryteriów kontynentalną) i wyczuwał na historyczność wpływowych idei, Elizabeth Anscombe uczyła krytycyzmu wobec behawiory-

■ Właściwym gruntem dla moralności jest jakiś rodzaj mistyki, jeśli rozumiemy przez to wolną od dogmatyczności wiarę w realność Dobra, która sporadycznie łączy się z doświadczeniem.

stycznych zapędów filozofii analitycznej, a Iris Murdoch zachęcała, by czytać egzystencjalistów i wprowadzała w arkana filozofii dobra. Za jej sprawą Taylor przekonał się, że wąsko pojmowana filozofia moralna (jako obszar namysłu nad powinnościami) nie potrafi zdać sprawy z głębszej motywacji ludzkich zachowań, którą zdolna jest opisać jedynie etyka (refleksja nad tym, co dobre i warte życia). Choć później polemizował z poglądami Murdoch na temat religii, zwłaszcza z jej ontologicznym dowodem na nieistnienie Boga (w świetle jej rozumowania: „Każdy istniejący Bóg byłby czymś mniejszym od Boga. Jakiś istniejący Bóg mógłby być idolem lub demonem”), to jednak jego myśl wykazuje uderzające pokrewieństwo z intuicjami tej filozofki. Dotyczy to zwłaszcza jego refleksji etycznej, która leży u podstaw studiów nad tożsamością nowoczesną (od „Źródeł podmiotowości” po „A Secular Age”). Nie przypadkiem „Prymat dobra” Murdoch pojawia się jako pierwsze

dzieło przywoływane na stronach „Źródeł podmiotowości”.

Samointerpretujące się zwierzę

Rozmaitość dorobku Taylora i pograniczność jego myśli może skłaniać do wniosku, że próżno szukać jakiegoś klucza, który ukazałby spójność jego filozoficznej drogi. Ale takie klucze są proponowane. Nicholas H. Smith zwraca uwagę, że trwałym rysem jego poszukiwań jest przekonanie o tym, że jako ludzie jesteśmy skazani na znaczenia, nie umiemy żyć w świecie, któremu nie potrafilibyśmy nadawać sensów. Z tego powodu Taylor definiuje człowieka jako „samointerpretujące się zwierzę”. Przekonanie to jest pokrewne innemu pogładowi Kanadyjczyka, zgodnie z którym jesteśmy „zwierzętami językowymi”, język bowiem jest podstawowym narzędziem służącym rozumieniu. Skupienie na języku służącym rozumieniu, a zwłaszcza samorozumieniu (budowaniu i rozpoznawaniu własnej tożsamości w dialogu) sprawia, że Smith sytuuje Taylora w obrębie poheideggerowskiej tradycji hermeneutycznej, do której Taylor się przyznaje.

Charakterystyczne dla Taylora jest jednak przekroczenie hermeneutyki w kierunku etyki, co jest dowodem przywiązania do stylu filozofowania, którego nauczyła go Iris Murdoch. Antropologia Taylora zakłada bowiem, że człowiek porusza się w obrębie nieuniknionych horyzontów moralnych, czyli uprzednich wobec naszych wyborów ram, które wyznaczają kryteria oceny sensowności naszych działań. Kanadyjczyk podkreśla, że warunkiem uznania obowiązkowości tych ram jest założenie, że przekraczają one podmiot, iż nie są jedynie jego projekcjami. Pisz o tym zwięźle w „Etyce autentyczności”: „mogę określić swoją tożsamość jedynie na tle rzeczy, które są istotne. Jeśli jednak wezmę w nawias historię, naturę, społeczeństwo, wymogi solidarności, wszystko poza tym, co odnajduję w sobie, tym samym wykluczę wszystkich kandydatów do sensowności. Tylko pod warunkiem, że żyję w świecie, w którym historia albo wymogi natury, albo potrzeby moich bliźnich, albo obowiązki obywatelskie, albo głos Boży, albo

→ jakiś inny fakt tego rodzaju ma zasadnicze znaczenie, będę w stanie samookreślić się w sposób nietrywialny”.

Jego myśl etyczna stawia sobie za cel wykazanie „prymatu dobra”, pojmowanego jako coś realnego, co staje się transcendentnym warunkiem sensowności naszej egzystencji. Pod tym względem Taylor wydaje się bliski agatologii Emmanuela Lévinasa, jednak w jego tekstach nie znajdujemy śladów dialogu z autorem „Całości i nieskończoności”. Takie rozumienie dobra nawiązuje raczej do filozoficznego projektu Murdoch, która pisała: „Moralność zawsze łączyła się z religią, religia zaś z mistyką. Po zniknięciu tego środkowego terminu moralność znalazła się w sytuacji, która jest z pewnością trudniejsza, ale zasadniczo ta sama. Właściwym gruntem dla moralności jest jakiś rodzaj mistyki, jeśli rozumiemy przez to wolną od dogmatyczności, ze swej strony nieokreśloną wiarę w realność Dobra, która sporadycznie łączy się z doświadczeniem”.

Spór z naturalizmem

Nie odmawiając słuszności spostrzeżeniom Smitha, skłaniam się zatem do hipotezy, że spójność filozoficznego projektu Taylora lepiej objaśnia klucz antropologiczno-etyczny, odsłaniający jego dążenie do uśpionych/ukrytych źródeł nowoczesnej tożsamości. Integralność filozoficznych poszukiwań Kanadyjczyka ujawnia się też pośrednio, kiedy dostreżemy stale obecny w jego tekstach ton polemiczny. Jego adwersarz ma wiele imion, ale w gruncie rzeczy niemal zawsze jest to zespół poglądów, które składają się na „immanentną ramę”, jak w „A Secular Age” nazywa Taylor sieć przekonań, którym patronuje „racjonalność instrumentalna” (czyli taki styl myślenia, którego probierzem jest beznamiętna kalkulacja, ekonomia środków prowadzących do zamierzonego celu) z właściwym jej faworyzowaniem „rozumu oderwanego” (*disengaged reason*). Wywodząca się od Kartezjusza wizja „oderwanego podmiotu” cieszy się w naszej kulturze wielkim prestiżem, bo „oferuje idealny obraz ludzkiego myślenia, które uniezależniło się od kłopotliwego zakotwiczenia w naszej cielesności, uwolniło się od dialogicznego położenia, emocji i tradycyjnych form życia, aby stać się czystą samoweryfikującą się racjonalnością”. Im-

manentna rama, która konstryuuje świat „naturalny” w opozycji do „nadprzyrodzonego”, jest owocem wielowiekowych procesów „odczarowania”, awansu, a potem dominacji paradygmatu nauk przyrodniczych. Jej wpływowi podlegają dziś wszyscy: wierzący i niewierzący. Niewątpliwie sprzyja ona jednak takim ujęciom ludzkiego świata, które zamykają na transcendencję. Immanentna rama legitymizuje rozmaite wpływowe teorie – kosmosu, języka, ludzkiego działania, rzeczywistości społecznej – które wedle słów Kanadyjczyka skazują nas na „duchową lobotomię”.

Wspomniałem wcześniej, że adwersarz Taylora ma wiele imion, warto jednak wymienić jedno, które pojawia się już u początku jego filozoficznej drogi. Myślę o naturalizmie, który jest głównym obiektem krytyki w jego doktoracie: „Explanation of Behaviour” (1964). Taylor krytykuje w nim „mechanistyczne” i „nieteleologiczne” objaśnienia ludzkiego zachowania i apeluje o „głębsze zrozumienie natury ludzkiej”, czyli takie, które ukazuje ludzką podmiotowość jako ucieleśnioną i skierowaną na pewne dobra. Powody sprzeciwu Kanadyjczyka wobec naturalizmu dobrze wskazuje Smith: „Dla naturalizmu znaczeniowy wymiar ludzkiej egzystencji jest ostatecznie sferą subiektywnej iluzji. Zakłada on, że warstwy pragmatycznego, językowego, moralnego, społecznego i religijnego znaczenia, które zdają się konstryuuować ludzkie działanie, są w istocie czymś innym, co można właściwie zrozumieć jedynie wówczas, gdy ujmie się je z perspektywy rozwiniętej przez nowoczesne nauki przyrodnicze”.

Tajemniczość języka

Taylor nie zapomniał o dawnym przeciwniku. Do swoich potyczek z naturalizmem powrócił w swojej ostatniej książce: „The Language Animal: The Full Shape of the Human Linguistic Capacity” (2016), gdzie występuje przeciw jego sojusznikom na terenie teorii języka. Ta monografia (pomyślana jak pierwszy tom studiów nad potencjałem ludzkiej mowy) rozprawia się z tradycją „martwego języka, który jedynie desygnuje widoczne dla wszystkich rzeczy

i pozwala nimi manipulować”. Jej patronami są Hobbes, Locke i Condillac. Kanadyjski filozof przeciwstawia jej odmienny nurt, którego współtwórcami są Hamann, Herder i Humboldt. Ten z ducha romantyczny prąd traktuje język jako konstytutywny – posiadający tajemniczą zdolność do nawiązywania kontaktu z rzeczywistością, która bez języka byłaby dla nas niedostępna. Zdaniem Taylora dopiero taki kontakt czyni nas w pełni ludźmi.

Planowany drugi tom monografii ma na przykładzie poezji romantycznej i poromantycznej dopełnić obrazu ekspresywno-konstytutywnego potencjału języka. Taylor zwięźle wyjawia swe plany w finale „The Language Animal”, odnosząc się do nieusuwalnej (także w epoce świeckiej) potrzeby rytuału jako działania pozwalającego połączyć się z całością bytu: „A co z naszym kontaktem z tym, co pozaludzkie, z kosmosem? Pojawia się tu kwestia odczarowania. Czy można żyć w świecie całkowicie odczarowanym? To pytanie stawiali romantycy. Odpowiadali na nie przecząco i dążyli do różnych wariantów ponownego zaczarowania.

Istnieje w poromantycznych poetykach pewien nurt, który postrzega poezję jako (potencjalny) rytuał odzyskiwania kontaktu. Zamierzam zbadać go w studium, które będzie kontynuacją tego tomu”.

By lepiej zrozumieć poglądy Taylora na temat języka, trzeba odwołać się do jego studiów nad narodzinami nowoczesnej tożsamości. W swych najważniejszych dziełach przekonuje, że jesteśmy spadkobiercami romantyzmu, a zwłaszcza tzw. zwrotu ekspresywnistycznego. Taylor nawiązuje m.in. do studiów Arthura O. Lovejoya, Earla Wassermana i Meyera H. Abramsa, by uchwycić bezprecedensowość procesów, które dokonały się w XVIII i XIX w. Istotną okazała się utrata wiarygodności idei kosmicznego ładu – wielkiego łańcucha bytu – jako wspólnie podzielanego, niezależnego od jednostkowego odczucia poglądu na temat porządku we wszechświecie.

Ekspresywizm wyrastał z poczucia, że wbrew naturalistycznym uproszczeniom pozostajemy częścią pewnego większego porządku, ale rozpoznanie to

nie jest dostępne rozumowi oderwanemu, objawia się jednostkowo na drodze wglądu we własną wewnętrzną, wskutek poznania o charakterze inicjacji. To przekonanie nie byłoby do pomyślenia, gdyby nie romantyczne odkrycie, że głos natury odzywa się, rozbrzmiewa w naszym wnętrzu. Ten kopernikański przewrót, który dowartościowuje ludzką podmiotowość („prawdę odkrywamy w nas samych, a szczególnie w naszych uczuciach”; „poczucie doniosłości ma źródło w ludzkim wnętrzu”) sprawił, że szczególnego znaczenia nabrała zdolność do wypowiedzenia własnej, ukrytej w nas głębi.

Taylor komentuje te procesy następująco: „Skoro dostęp do natury uzyskujemy dzięki wewnętrznemu głosowi czy impulsowi, to możemy ją poznać w pełni jedynie dzięki artykulacji tego, co odnajdujemy w nas samych. To zaś wiąże się z kolejną ważną cechą nowej filozofii natury, a mianowicie z przekonaniem, że realizacja własnej natury w każdym z nas jest pewną formą ekspresji. Ten właśnie pogląd nazwałbym (...) »ekspresywizmem«”.

Mówiąc o romantycznej ekspresji, Taylor zwraca uwagę na jej wyjątkowy charakter. Nie oznacza ona bowiem jedynie wydobywania na jaw czegoś, co już wcześniej istniało, ale zakłada ujawnianie połączone z kreacją, z powoływaniem do istnienia czegoś nowego. Paradigmatycznym dla Kanadyjczyka przypadkiem jest dzieło sztuki.

Zdaniem Taylora ekspresywizm wprowadził nowe, przełomowe rozumienie indywidualizacji. Oczywiście już wcześniej zwracano uwagę na jednostkowe różnice, ale w tym wypadku chodzi o coś wyjątkowego – o odkrywanie we własnym wnętrzu niepowtarzalnej, sobie właściwej „miary”, jak pisał Johann Gottfried Herder. Ta indywidualizacja nakłada „obowiązek realizowania własnej oryginalności”. Tak rodził się nowoczesny ideał autentyczności.

Doświadczenie kontaktu

Zwrot ekspresywistyczny zaznaczył się oczywiście w sztuce, która zaczęła odchodzić od mimesis do ekspresji (pojmowanej jako wydobywanie i stwarzanie dzięki jednostkowej wrażliwości i wyobraźni). Pod wieloma względami sztuka stała się uprzywilejowaną domeną ludzkiej twórczości,

a artysta zaczął wyznaczać wzorzec realizowania własnej oryginalności. Jak pisze Taylor, sztuka: „w naszej cywilizacji, ukształtowanej przez idee ekspresywistyczne, zajęła (...) centralną pozycję w naszym życiu duchowym, pod pewnymi względami zastępując religię. Szacunek, jaki odczuwamy dla artystycznej oryginalności i twórczości, plasuje sztukę na pograniczu tego, co niezmi-

■ Taylor definiuje człowieka jako samointerpretujące się zwierzę i zwierzę językowe, język bowiem jest podstawowym narzędziem służącym rozumieniu.

skie, i wskazuje, jak centralne miejsce w naszym sposobie pojmowania ludzkiego życia zajmuje twórczość i ekspresja”.

Te ekspresywistyczne transformacje wydają się nieuchronnie naznaczone skazą subiektywizmu. Taylor jednak uparcie powtarza, że upodmiotowienie naszego dostępu do moralnych źródeł (np. natury w nas, Boga) nie musi pociągać za sobą upodmiotowienia, zsubiektywizowania materii tych źródeł.

Przełom ekspresywistyczny sprawił, że język stał się podstawowym medium otwierającym na głębię rzeczywistości i ludzkiego wnętrza. Znamienna jest deklaracja Taylora z „A Secular Age”: „Poprzez język w jego konstytutywnym sensie (nazwijmy go Poezją) nawiązujemy kontakt z czymś wyższym lub głębszym (Bogiem, głębią ludzkiej natury, pożądaniem, wolą mocy lub czymś innym). Poezję można postrzegać jako wydarzenie o performatywnej mocy, słowa, które otwierają kontakt, ujawniają coś po raz pierwszy”.

Nawiązując do studium Wassermana, Taylor często przywołuje słynne określenie Shelleya „czulszy język” (*subtler language*), które wskazuje na zdolność poezji do wyrażenia, ale i stworzenia czegoś, co wcześniej nie istniało. Właśnie tymi czulszymi językami poezji romantycznej i poromantycznej zajmuje się Taylor w ostatnich kilku latach. Jego intuicje dobrze rekapitułuje fragment wywiadu opublikowanego w miesięczniku „Znak”, w którym mówi o postępach w pracy nad drugim tomem „The Language Animal”: „Wiersz prowokuje, wydobyla, tworzy (trudno tu o odpowiednie słowo) dla czytelnika to potężne poczucie odzyskania kontaktu jako czegoś bardzo ważkiego, poruszającego na sposób, w jaki powinna się kształtować nasza relacja do natury. Jest to zatem doświadczenie samouwierzytelnienia. Ktoś, kto jest bardzo nieufny, może się tu dopatrywać iluzji. To właśnie skłania niektórych ludzi do postrzegania romantyzmu jako podejrzanego. Ale tym, co dochodzi tu do głosu, nie są tylko moje odczucia. (...) Dochodzi tu do głosu potężne doświadczenie kontaktu. Jest to coś pomiędzy afirmacją obiektywnej rzeczywistości poza mną a moim subiektywnym czuciem”.

Te intuicje mogą przywoływać na myśl tradycje hermeneutyki Hansa-Georga Gadamera, który w swoich interpretacjach wierszy pokazywał, że język poezji chce nas wyzwolić z „potoku informacyjnego gadania”. Taylor dodaje jednak coś istotnego – to poetykie „odpominanie języka” (sformułowania tego użył w świetnej recenzji „The Language Animal” Andrzej Pawelec) należy do obszaru „dobrego życia” i pozwala na powrót „zaczarować” świat. ©

ŁUKASZ TISCHNER

Autor jest historykiem literatury, filozofem, publicystą i tłumaczem. Doktor habilitowany, pracownik Katedry Historii Literatury Polskiej XX Wieku na Wydziale Polonistyki UJ.

Artykuł zawiera fragmenty tekstu, który powstał w ramach projektu NPRH „Literatura a religia – wyzwania epoki świeckiej”.

Język to nie klocki Lego

ELŻBIETA TABAKOWSKA,
KOGNITYWISTKA:

Podczas tłumaczenia wydaje mi się, że mam dwie jaźnie: polską i angielską. I że one do siebie za dobrze nie przystają. Dopiero z czasem przychodzi świadomość, że choć może nie da się ich stopić – to da się je połączyć.



Elżbieta Tabakowska

PIOTR KRASNOWOLSKI: Nas, studentów Pani Profesor, zawsze to ciekawiło: skąd Pani zainteresowanie językiem?

ELŻBIETA TABAKOWSKA: Wiele lat minęło, zanim się zorientowałam, czym chcę się zajmować, tak jakoś drogą eliminacji. Byłam z tzw. prymusek omnibusek, ale wiedziałam, że niektórych rzeczy – chemii, fizyki – nie lubię.

Tatusz posłał mnie na francuski. Wcześniej. Bo była w sąsiedztwie pani o wdzięcznej ksywie „Słonica”, która uczyła francuskiego. Ona uświadomiła mi, że można o tym samym mówić na różne sposoby. I to było fascynujące. A potem tatuś posłał mnie do innej znajomej, na angielski. Wyszło na to, że będę próbować na tę anglistykę się dostać. Przyjechałam na egzaminy. Między innymi było dyktando. Z całego dyktanda udało mi się zrozumieć jedną datę. Wtedy pomyślałam sobie, że zwrot „znam język” różnie można rozumieć. A także, że może warto zrozumieć coś więcej niż tylko datę podaną liczebnikami.

Potem poszłam na praktykę do szkoły. O tym, jak się uczy angielskiego, przekonałam się, gdy pani kazała przetłumaczyć dzieciom na angielski zdanie, które bardzo mi się mocno wryło w pamięć: „Jesienne liście są bardzo miłe do chodzenia po”.

Pan się śmieje, ale dla mnie to był moment iluminacji. Bo mi się objawiło, że z językiem to jednak nie tak jak w klockach Lego. Ten klocek do tego klocka i wyjdzie nam domek. W języku czasem bardzo pokraczny ten domek może wyjść.

Czasami wychodzą Transformery.

Przygotowywałam później jednego chłopca do egzaminu z języka na studiach. To było straszne: nasze lekcje były coraz dłuższe, bo za każdym razem musieliśmy zaczynać od początku. On nic nie pamiętał, niczego nie kumał. Poszedł wreszcie na ten egzamin, a ja bardzo się denerwowałam. Wrócił i powiedział, że ma 4+. Trochę się zdziwiłam i zapytałam: „A dlaczego, Andrzejku?”. Andrzejek powiedział, że zrobił jeden błąd, bo dostał zdanie „Mój płaszcz jest zrobiony z...”, czyli *My coat is made of...*, i uzupełnił słowem „papier”. *Paper*. Zapytałam, dlaczego. „No bo to było jedyne słowo, o którym wiedziałem, że to rzeczownik”.

To była moja druga iluminacja: to nieprawda, że wystarczy pamiętać, iż w zdaniu ma być rzeczownik. A także, że 4+ czasem nie jest obiektywną miarą liczebną. Potem już samo poleciało.

Jakie języki były u Pani w domu?

W domu było bardzo śmiesznie, bo był rosyjski – dlatego, że mój ojciec urodził się w Kijowie i spędził tam duży kawał dzieciństwa. Był praktycznie dwujęzyczny i wymyślił, żeby był rosyjski dzień w domu. No i był, ale bardzo krótko. Położyła mu kres moja młodsza, nieżyjąca już siostra. Poszła do gabinetu, by tam z tatusem mówić po rosyjsku. Przez drzwi było słychać tyle:

(*Głosem dziewczynki*) – *Pa-żalusta*.

(*Tubalnym głosem męskim*) – *PAŻAŁ'STA*.

(*Cieńszym głosem dziewczynki*) – *Pa-żalusta...*

(*Tubalnym głosem męskim*) – PAŻAŁ'STA.
(*Jeszcze cieńszym głosem dziewczynki*) – Pa-żałusta?
(*Tubalnym głosem męskim*) – PAŻAŁ'STA.

Potem wylatywał zeszyt, a potem wychodziła moja siostra i mówiła: – *Tatinka zdenerwowałaś ją.*

Tak się skończyła edukacja rusycystyczna. Dziś boleję nad tym, że nauczanie rosyjskiego to sztuka ginąca. A także bardzo dobry przykład na upolitycznienie języka, prawda? Mój syn przed maturą miał jedyną tróję – z rosyjskiego. Powiedziałam mu, że psuje sobie średnią. Odpowiedział mi, a był to taki moment, że jego odpowiedź była bardzo na czasie, że nie może sobie pozwolić na więcej niż tróję, bo inaczej nikt w klasie nie będzie chciał z nim rozmawiać.

Język rosyjski wyleciał z wiadomych względów, ale wraz z nim także literatura, poezja... Szkoda. Teraz mamy hegemonię angielskiego, która z jednej strony wzbogaca, a z drugiej okropnie zubaża.

Takie są koleje. Języków też.

Kiedy udało się Pani po raz pierwszy nawiązać kontakt z native speakerami: francuskimi, angielskimi?

W moich czasach taki kontakt to była rzadkość! Myśmy mieli profesor Claire Dąbrowską. Choć pierwszym prawdziwym cudzoziemcem był profesor Megan, który owo pamiętne dyktando urządził.

Miałam też kontakt dość dramatyczny.

W czasie, kiedy bardzo się starałam mówić jako tako, Claire Dąbrowska oduczyła mnie „rolowanego r”. Dostałam – co też było rzadkością – stypendium British Council na wyjazd do Edynburga. Byłam bardzo dumna, lecz kiedy wyszłam na peron i rozglądałam się, czy ktoś na mnie czeka, usłyszałam chłopczyka biegnącego po peronie i wołającego: „Paperrr dearr, paperrr dearr”. Wtedy zwątpiłam: w siebie, i we wszystko inne.

Myśmy wtedy nie rozumieli, że są dialekty i czym one są. A usłyszeć coś, czego człowiek się pracowicie oduczał pod okiem native speakerki, to było coś!

Co człowiekowi daje dwujęzyczność?

Paranoję. Takie rozdwojenie...

A nie stereoskopię?

Jedno jest blisko drugiego. Myślę, że daje i to, i to. Na dodatek jakoś rozłożone w czasie.

Podczas pracy nad przekładem miałam wrażenie, że mam w sobie dwie jaźnie: polską i angielską, bo przecież Anglika tłumaczyłam. I że one do siebie jakoś za dobrze nie przystają. Dopiero z czasem przychodzi świadomość, że choć może nie da się ich stopić – to da się połączyć. Może nie mostem, ale przynajmniej kładką.

Mówi się – próbowałam znaleźć źródło, ale to pewnie tylko miejski mit – że jedną z chorób zawodowych tłumaczy jest schizofrenia.

Tak?

Żyje się wciąż między dwoma językami, systemami...

Albo w środku. Może tłumaczenie słowa żywego – *interpretation*, a nie *translation* – bardziej temu sprzyja, bo ja jednak mam czas na chodzenie tym mostem, to w tę, to w tamtą stronę.

W jakim języku robi Pani notatki dla siebie?

Wstyd powiedzieć, ale w takim wołapiku. Nigdy się nie nauczyłam stenografii. Wydawało mi się, że stopień skomplikowania takiego zapisu przerasta możliwe korzyści. Gdy piszę dla siebie, używam sporo symboli, które zresztą sama wymyśliłam, tłumacząc ustnie, w kabinie. Na ogół do zapisu wybieram to, co krótsze. Plus symbole.

Czy byłaby szansa na reprodukcję takiej kartki?

Musiabym dopiero coś sprokurować, bo one mają to do siebie, że się ich nie trzyma. Zresztą teraz raczej notuję na komputerze. Z reguły mam otwarty plik z notatkami równoległe z plikiem, na którym pracuję. Papierowych notatek mam już bardzo mało.

A w jakim języku Pani śni?

Nigdy nie myślałam o tym, muszę się zastanowić... Jak mi się coś przyśni, to opowiem. Bo są to raczej obrazy niż dźwięki, prawda?

Zdarza się, że w sen wejdzie mi jakiś dźwięk z zewnątrz – na przykład karetki przejeżdżającej ulicą na sygnale. Nie mam *son et lumière*, raczej samo *lumière*. Chyba. Nie wiem. Bo jeszcze mam tak, że pamiętam sen dość dokładnie, ale przez minutę lub mniej, a potem zapominam wszystko od razu.

Jak najlepiej uczyć się języka? Podpatrywać użytkowników?

Bardzo lubię zbierać anegdoty ilustrujące, jak działa język, które czasem się przydają, a czasem nie. Przedwczoraj chyba byłam szczęśliwa, bo wiedziałam, że mogę pospać do ósmej. A tu o piątej trzydzieści dzwoni komórka. A w niej odzywa się damski głos: „Bogdan. Bogdaan!”. Powiedziałam: „Proszę pani, nie ma tu Bogdana, poza tym obudziła pani zupełnie obcą osobę”. Cisza. A potem po prostu genialna odzywka: „To co pani! Do Bogdana dzwonię przecież!”. Trafność tej riposty...

Tak wiele znaczenia w tak skrótowym komunikacie.

Czy język nie dąży do uproszczeń?

I tak, i nie. To zależy, do czego go używamy. Chyba jest zasadnicza różnica między językiem takim, którym się teraz posługujemy, a językiem poezji wysokiej.

Albo haiku.

Tu też jest różnica, ale tylko ilościowa. Choć z tą opinią chyba jestem w mniejszości. Od wielu lat forsuję tezę, że natura zjawisk językowych jest taka sama, tylko ich wdrażanie jest inne. Spróbuję tezę zobrazować prostym porównaniem. To, co robimy teraz, to manipulowanie gotowcami. Nie chcę powiedzieć, że rzucamy w siebie zdaniami, które w całości gdzieś zasłyszeliśmy czy były przez kogoś użyte. Jednak zbudowane są z cegiełek, →

→ które służą za budulec wszystkim użytkownikom języka na co dzień. Poezja tylko maluje te cegiełki na jakiś kolor. Albo nadaje im inne, bardziej wymyślne kształty. Z czym oczywiście wiąże się ryzyko. Bo zawsze może być tak, że odbiorca powie: „Ja z takich trójkątnych niebieskich budować nie będę”. Albo: „To ma być wiersz? To są metafory? Przecież ja nic nie rozumiem”. Czyli mamy do czynienia z językiem konwencjonalnym i mniej konwencjonalnym.

Uwierzyłem językoznawcom mówiącym o zasadach ekonomii i minimalnego wysiłku. Wydaje mi się, że język dąży do skrótowości i dlatego mówimy o szkole „krakowskiej”, a nie „krakowskiej”, bo to „f” można wypuścić...

Bezkarne! Tylko że jedno wyleci, a drugie wleci. Zauważyłam kolosalny wzrost użycia zaimków wskazujących, tych proksymalnych: ten, ta, to. Chyba chcemy mieć rodzajnik, i to rozpaczliwie. A przy naszych prawach języka, braku iloczasu (przynajmniej teoretycznie) oznacza to raczej zwiększenie substancji języka niż zmniejszenie. Dlatego myślałam, że język dąży do optimum. Do równowagi między ilością a użytecznością. Co niekoniecznie znaczy, że to, co krótsze, jest lepsze. Chyba...

Na pewno!

Wracając do tego, czy język staje się krótszy, czy dłuższy. Zauważył pan, że pytania dorzucone (*question tags*) wchodzą do polszczyzny? „Założył konto, tak?”

Jest jeszcze „prawda?”.

Pytanie o prawdę jest w gruncie rzeczy pytaniem filozoficznym, prawda? Natomiast „tak” jest tylko zgodą lub brakiem zgody na cokolwiek. I w tym sensie jest najprostsze.

Czy jako autorka haiku Pani tweetuje?

Nie.

Czy da się w ogóle komunikować przy pomocy tak krótkich przekazów?

Tak. Dlatego je lubię. Lubię zwięzłość formy, bo nie lubię mnożyć słownej papki. Poza tym bardzo lubię dawać odbiorcy nie zatrzaśnięte, lecz otwarte drzwi do różnych interpretacji. W tym haiku jest genialne. Bo można je dać i od różnych osób dostać zwrotnie multum różnych znaczeń. A im powiem więcej, tym mniej zostawię do powiedzenia interlokutorowi. To nie zawsze jest grzeczne. Kocham tę formę, odkąd moje mistrzyni mnie nauczył, na czym ona polega.

■ **Lubię zwięzłość formy, bo nie lubię mnożyć słownej papki. Poza tym bardzo lubię dawać odbiorcy nie zatrzaśnięte, lecz otwarte drzwi do różnych interpretacji. W tym haiku jest genialne.**

Takie haiku z porą roku, roślinozami i innymi tradycyjnymi elementami?

Teraz jest dużo szkół i organizacji haiku. Amerykanie na przykład pozwalają linie z mniejszą liczbą sylab niż 5 – 7 – 5, bo mają krótsze słowa. Dla mnie jednak ważna jest merytoryczność. Cel, któremu służy haiku. To ma być złapany moment. Czyli „tu i teraz”. I stąd te zwierzątka – żabki u Matsuo Bashō – i te różne inne roślinki i chmurki. O to chyba chodzi w życiu. Widzimy coś nagle: tu i teraz. I to budzi refleksję. Przywołuje skojarzenia. A nie wszystko kawa na ławę. Wszystkiego się nie da powiedzieć.

Podczas festiwalowego wykładu będę jednak bronić tezy, że język jest metonimiczny ze swojej natury. Zawsze jest tylko *pars pro toto*. Język jest częścią jakiejś całości i zawsze zostawia pewien niedopowiedziany margines.

Czyli jest niedoskonały jako narzędzie opisu?

Najmodniejszy teraz kierunek w językoznawstwie, chociaż hardkorowcy powiedzą, że to nie jest żadne językoznawstwo, to badanie słynnego JOSia, czyli językowego obrazu świata. To świetna rzecz, mnóstwo ciekawych myśli, tyle że chyba brakuje tym badaniom mocnych korzeni, które by je przytwierdziły do czegoś. Z tego bardzo nawet nie wiem, do czego. Teoria językowego obrazu świata tak naprawdę streszcza się w tym, co Benjamin Lee Whorf mówił wiele lat temu.

Było takich dwóch panów: Edward Sapir i wspomniany Whorf. Ich słynna hipoteza ma dwa warianty. Wariant radykalny, który się nazywa determinizmem, głosi, że jak nie mamy na coś słowa, to nie ma siły, żebyśmy zrozumieli pojęcie. Ten wariant się odrzuca, całkiem słusznie. Pozostaje drugi – relatywizm językowy, który byłby anatemą dla panów pokroju Chomsky'ego.

W tym wariantcie hipoteza mówi, że na nasz język wpływa nasz świat i kontekst – ogólnie pojęty – i to jest w stu procentach prawda. Na pewno. Ten relatywizm teraz wchodzi szerokim strumieniem do językoznawstwa czy filozofii, choć do niedawna musiał się wciskać jakimiś szparami.

Mój problem z językowym postrzeganiem świata jest taki, że teraz, dzięki tej rozmowie, jest inny niż kilkadziesiąt minut temu...

I po to są rozmowy. Nasz JOŚ jest efemeryczny. Takie stowisko jest bliskie koncepcji przestrzeni mentalnych. To ciekawe pojęcie.

Wymyślił je amerykański Francuz czy też francuski Amerykanin o nazwisku Gilles Fauconnier. Otóż poszedł do muzeum z przyjaciółką, a w tym muzeum wisiał portret kobiety. Przyjaciółka spojrzała i powiedziała: „Ta niebieskooka dziewczyna ma zielone oczy”. Fauconnier zaczął główkować i okazało się, że postać na portrecie ma ciemnoniebieskie oczy, a jako modelka tego malarza z krwi i kości miała zielone. Wtedy Fauconnier pomyślał, że kiedy np. pokazuje się komuś zdjęcie trzyletniego

Nixona i mówi: „Popatrz, to prezydent w piaskownicy”, nie ma w tym żadnej kolizji. Uznał, że na potrzeby dyskursu człowiek w każdym momencie dysponuje „przestrzenią montażu”. Tak nazwał pewien obszar, w którym się trzyma wszystko, co jest niepotrzebne. Następny krok w dyskursie powoduje, że część się wyrzuca, żeby nie było za ciasno.

Rzecz w tym, by umieć z iluś tam przestrzeni mentalnych zbudować dyskurs.

Wracając do metonimii: czy język jest częścią jakiejś całości – komunikacyjnej, społecznej – czy funkcjonuje równoległe do niej? Należy do całości czy jest na zewnątrz, bo ją opisuje?

Nie jest na zewnątrz. Jest taka teoria, która była dla mnie źródłem inspiracji w wielu przemyśleniach. To jest teoria historyka sztuki, który nazywał się Rudolf Arnheim. Pisał o odbiorze rzeczywistości przez artystę, w szczególności malarza. Jego prosta teoria dotyczy aspektów rzutowych. Aspekt rzutowy to po prostu określenie przedmiotu widzialnego w określonym momencie, przez określonego obserwatora, z określonego punktu widzenia.

Znaczeniem słowa, które odpowiada desygnatowi w świecie, jest teoretycznie suma wszystkich możliwych aspektów rzutowych. Daje to praktycznie nieskończone bogactwo znaczeń. Wniosek jest taki, że nigdy nie powiemy wszystkiego.

Nawet o najprostszym obiekcie. Jeśli będziemy obserwować walec ustawiony bokiem do Pani, a podstawą do mnie, to Pani będzie widzieć prostokąt, a ja kółeczko.

To standardowy przykład. Język robi to samo. Oddaje tylko pewne aspekty rzutowe – niektóre, kilka lub nawet jeden.

Jeżeli w tym samym miejscu – co oczywiście jest praktycznie niemożliwe – umieścilibyśmy użytkownika języka nieindoeuropejskiego, to opisałby wszystko inaczej?

Tak. Przecież kontekst jest jednostkowy. Stąd nieprzekładalność. Niestety... moim zdaniem ona istnieje.

Czym tak naprawdę jest język? Nie chodzi mi o definicję; tę znajdziemy w słowniku. Czym jest język dla człowieka, który się nim posługuje?

Narzędziem. Instrukcją obsługi.

Jednocześnie narzędziem, czyli czymś, co wykorzystujemy, i instrukcją...

...która mówi, jak tym narzędziem operować.

Na dodatek narzędziem, które samo siebie naprawia i samo siebie bada.

Psuje!

Psuje. W elektryce jest tak, że nie mogą wpiąć miernika w obwód, który mam nim mierzyć, bo stając się jego częścią fałszuje wyniki.

Dokładnie! To zawsze był dylemat językoznawcy: narzędzie do opisywania jest zarazem przedmiotem opisu.

A czy właśnie dlatego, że jest narzędziem, jest jakaś szansa, żebyśmy mu postavili granicę?

To już Wittgenstein zrobił, mówiąc o granicach mojego świata. Ja mówię o tym bardziej prozaicznie: w języku uda się wyrazić wszystko poza tym, co przechodzi ludzkie pojęcie.

Czy pewne pojęcia nie istnieją tylko dlatego, że nie potrafimy czegoś wyrazić słowami?

Jest też metafora. Jak nie ma słowa, szukamy wśród tego, co jest.

Albo, jeśli jesteśmy którymś z filozofów, tworzymy słowo nowe lub dodajemy nową definicję słowu znanemu.

Próbujemy je wcisnąć między dwa istniejące. Wtedy albo chwyci, albo nie. Jeszcze prościej jest pożyczyć. Powiedzieć, że się pożycza, wiedząc, że się nie odda (*śmiech*). Pożyczyć z innego języka albo dziedziny. Filozof pożycza od matematyka albo odwrotnie.

Wróć do pytania, jak rozwijać swój język? Jak go uczyć?

A ja do anegdoty o telefonie do Bogdana. Ona może sama w sobie nie jest specjalnie zabawna, choć trochę jest, ale mogłaby być podstawą testu. Ta pani powiedziała: „do Bogdana dzwonię, przecież”. I to „przecież” na końcu! Dla mnie to *clou* całego incydentu. Całej tej językowej przygody. Albo się to widzi, albo się tego nie widzi. No jak się to wytłumaczyć? Tę całą pretensję, niezrozumienie, jak działa telefon... Wszystko w tym „przecieżu” siedzi.

A jak się jeszcze weźmie etymologię tego „przecież”. „Przecież” to jest „przed – się – bierz”. „Wystaw sobie”, mówimy. „Wystaw” jest jeszcze bardziej fizyczne. I albo się chce to zobaczyć, albo się nie chce. Dlatego, jeśli mówimy o uczeniu tłumaczy, to można nauczyć tylko wrażliwości. Pokazać sto takich „przecieży” i albo zaskoczy, albo nie zaskoczy. Ale robić z tego teorię...

Czy teorie opiszą kiedyś język, czy...

Czyj? Kiedy?

Język jako taki. Język i wszystkie zachowania językowe.

No skąd? Nie.

Czy komputery będą kiedyś w stanie coś takiego zrobić?

Wymyślić tę skończoną liczbę reguł? Reguł, które pozwolą opisać wszystko...

Ale w języku nie ma reguł. Są tylko prawidłowości.

© Rozmawiał PIOTR KRASNOWOLSKI

ELŻBIETA TABAKOWSKA jest anglistką, kognitywistką i tłumaczką. Emerytowana profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, była kierowniczką Katedry UNESCO do Badań nad Przekładem i Komunikacją Międzykulturową.



Leonardo da Vinci „Ostatnia Wieczerza”, 1494–1498 r.



Kod Leonarda

MAGDALENA ŁANUSZKA

Wokół symboliki obecnej w dziełach Leonarda da Vinci narosło wiele mitów. Możemy ją lepiej zrozumieć, gdy przyjrzymy im się w kontekście epoki, w której powstały.

Gdy papież Leon X zamówił obraz u Leonarda da Vinci, artysta zaczął od przygotowania werniksów, czyli warstwy zabezpieczającej, którą nakłada się na dzieło po jego namalowaniu. Usłyszawszy o tym, papież stwierdził: oto człowiek, który nie nadaje się do niczego, skoro myśli o zakończeniu pracy, zanim jeszcze ją rozpoczął.

Nie jest jasne, jak historia tego zamówienia się skończyła. Wiemy jednak, że Leonardo, który lubił eksperymentować formami i technikami, nie zawsze dbał o zabezpieczenie swoich prac. I choć jego dzieła sztuki czy projekty inżynierskie fascynują kolejne pokolenia, autor wciąż pozostaje dla nas postacią nieco tajemniczą.

Utalentowany bękart

Leonardo przyszedł na świat 15 kwietnia 1452 r. w jednej z tokańskich wiosek

jako nieślubne dziecko notariusza z Vinci, Piera Antonia da Vinci oraz niejakiej Catariny. Ojciec postanowił kształcić go na artystę. 14-letni Leonardo rozpoczął naukę w pracowni cenionego florenckiego malarza i rzeźbiarza, Andrei di Michele di Francesco de' Cioni, znanego jako Verrocchio.

W 1482 r. Leonardo udał się do Mediolanu, podejmując pracę na zamówienie księcia Ludovica Sforzy, zwanego Il Moro. W następnych latach podróżował do Mantui, Wenecji i Florencji. W 1502 r. został głównym architektem i inżynierem księcia Cesarego Borgii, syna papieża Aleksandra VI. Później wrócił do Mediolanu, a w 1513 r. odwiedził Rzym. W 1515 r. król Francji Franciszek I zdobył Mediolan; spotkawszy Leonarda da Vinci, zaprosił go do swojego kraju, gdzie artysta udał się w kolejnym roku, aby już nigdy stamtąd nie powrócić. Przebywał głównie

w zamku Cloux koło Amboise i tam też zmarł 2 maja 1519 r., w wieku 67 lat.

Dzisiaj najbardziej znane są jego obrazy, ale działalność Leonarda obejmowała znacznie szerszy zakres sztuk i nauk. Jego notatniki zawierają zapisy oraz rysunki świadczące o tym, że przeprowadzał staranne studia anatomiczne; interesowała go matematyka i botanika, komponował muzykę i pisał pieśni; przeprowadzał doświadczenia chemiczne, tworzył projekty inżynierskie, architektoniczne, hydromechaniczne, a wiemy także, że pięknie grał na lutni i nawet konstruował instrumenty własnego pomysłu – na przykład srebrną lirę w kształcie głowy konia, której brzmienie miało być wyjątkowo dźwięczne. Projektował maszyny oblężnicze i okręty odporne na atak – zresztą część jego pomysłów była ów-



DOMENICA PUBBLICAZIONE / THE LOS ANGELES COUNTY MUSEUM OF ART

Warsztat Pedro Berruguete „Ostatnia Wieczerza z Marią Magdaleną”, ok. 1495–1500 r.

częście niemożliwa do zrealizowania z powodu ograniczeń technologicznych.

Tworzył nawet roboty. Około 1495 r. Leonardo projektował mechanicznego rycerza, który mógł siadać, a także poruszać rękami, głową i szczęką, zaś Franciszek I zamówił u artysty mechanicznego lwa, który mógł się poruszać oraz otwierać swą pierś, ukazując ukryte w niej pęki lilii.

W swoich notatkach artysta posługiwał się pismem lustrzanym – nie wiadomo, czy z ostrożności, czy też dlatego, że był leworęczny, a pisanie od prawej do lewej pozwalało mu na szybkie notowanie bez rozmazywania atramentu ręką.

Nawet malując Leonardo był bardziej naukowcem niż artystą. Interesowały go eksperymenty, które nie zawsze dobrze się kończyły, często też porzucał swoje obrazy nie kończąc ich. Jednym z najsłynniejszych przykładów jego podejścia do sztuki była sprawa malowidła ukazującego bitwę pod Anghiari, zleconego w 1504 r. przez Signorię do Sali Rady w Palazzo Vecchio we Florencji. Zamiast zrealizować zlecenie przy użyciu tradycyjnych i sprawdzonych technik, Leonardo zastosował nowatorskie rozwiązania (prawdopodobnie próbując odtworzyć starożytne metody malarskie, wykorzystujące m.in. wosk), w wyniku których malowidło się rozpuściło, przynajmniej częściowo.

Ostatnia wieczerza

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego „Ostatnia Wieczerza” Leonarda da Vinci jest jedną z najczęściej reprodukowanych kompozycji na obrazkach stanowiących pamiątkę pierwszej komunii świętej. To wręcz ironiczne, bo ta akurat „Ostatnia Wieczerza” wcale nie ukazuje momentu ustanowienia Eucharystii – przedstawia chwilę, w której Chrystus mówi do swoich uczniów: jeden z was mnie zdradzi. Dlatego Apostołowie zostali ukazani jako poruszeni, podzieleni na grupki, emocjonalnie dyskutujący.

Wybór takiego właśnie momentu w ilustracji „Ostatniej Wieczerzy” nie był jednak wymysłem artystycznym Leonarda da Vinci – malarz po prostu podążał za ówczesną tradycją ikonograficzną. Oto bowiem większość średniowiecznych przedstawień ostatniej wieczerzy koncentrowała się na motywie zdrady Judasza: ukazywano ten właśnie moment, kiedy Chrystus zapowiada zdradę, lub chwilę, gdy Zbawiciel, „umoczywszy więc kawałek [chleba], wziął i podał Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty. A po spożyciu kawałka [chleba] wszedł w niego szatan” (J 13, 26-27). Warto też podkreślić, że niektóre z tych średniowiecznych przedstawień ostatniej wieczerzy nie zawierają wcale hostii i kielicha; zatem teoria Dana Browna, przedstawiona w jego książce „Kod Leonarda da Vinci” (jakoby brak kie-

licha w malowidle Leonarda miał ukryte znaczenie), wydaje się mocno naciągana.

Oczywiście malowidło Leonarda jest wyjątkowe pod względem walorów artystycznych. Mimo poruszenia uczestników sceny, kompozycja tchnie spokojem i harmonią, ze względu na symetryczne pogrupowanie postaci oraz pięknie wykreśloną głębię pomieszczenia. Nie oznacza to jednak, że kryją się w niej jakieś wyjątkowo kontrowersyjne treści.

Zwolennicy teorii spiskowych stwierdzili, że osoba siedząca po prawicy Chrystusa to kobieta – zapewne Maria Magdalena, ukryta przez Leonarda pod postacią św. Jana Apostoła. Tymczasem, po pierwsze, Jan Ewangelista tradycyjnie ukazwany był w sztuce jako młodzieńki chłopak, często długowłosy i zawsze bez zarostu, po drugie zaś, paradoksalnie, zdarzały się takie przedstawienia ostatniej wieczerzy, gdzie rzeczywiście pojawiała się Magdalena, zwana Apostołką Apostołów (najczęściej u stóp Chrystusa, w nawiązaniu do gestu namaszczenia Jego stóp, który miała wykonać przy innej okazji). Przede wszystkim jednak musimy pamiętać o tym, że stan zachowania tego malowidła Leonarda jest tak zły, iż trudno w zasadzie dzisiaj dokonywać naprawdę rzetelnej analizy jego detali. A winę za taki stan ponosi w dużej mierze sam artysta.

Zniszczenia w dobrej wierze

Malowidło znajduje się w refektarzu (pomieszczeniu jadalnym) klasztoru dominikanów przy bazylice Santa Maria delle Grazie w Mediolanie; powstało na zamówienie księcia Ludovica Sforzy w latach 1494-98. Gdyby był to fresk prawdziwy (*buon fresco*), czyli obraz namalowany farbami wodnymi na mokrym tynku wapiennym, dzieło byłoby niezwykle trwałe; technika ta sprawia, że w czasie tężenia tynku wytwarza się powłoka z kalcytu, chroniąca warstwę malarską. Z przyczyn chemicznych w technice fresku prawdziwego można stosować jednak tylko niektóre barwniki i nie da się osiągnąć efektów światłocienowych właściwych dla malarstwa sztalugowego. Leonardo zastosował w swoim malowidle mieszaną technikę temperowo-olejną, od czasów Jana van Eycka stosowaną z powodzeniem przez malarzy niderlandzkich – ale do malarstwa ➔

→ tablicowego, a nie ściennego! W efekcie niemal od razu malowidło zaczęło niszczyć; już w drugiej połowie XVI w. otwarcie określano dzieło jako zrujnowane. W 1556 r. Giorgio Vasari zanotował, że nie da się już rozpoznać poszczególnych postaci. W 1652 r. dolna środkowa część przedstawienia została zniszczona przez wybicie drzwi w ścianie – na szczęście uczniowie Leonarda zrealizowali wcześniej kilka kopii tej kompozycji, dzięki którym wiemy np., jaki był układ niezachowanych do dziś stóp Chrystusa.

Kolejne renowacje poczyniły dalsze szkody: malowidło było przynajmniej dwukrotnie przemalowywane i uzupełniane w XVIII w. W 1821 r. kolejnych zniszczeń „w dobrej wierze” dokonał Stefano Barezzi, usiłując zastosować przeniesienie fresku na płótno – zanim się zorientował, że to malowidło nie jest wykonane w technice fresku, część warstwy malarzkiej po prostu odpadła. Barezzi w panice zaczął przyklejać tę farbę z powrotem, za pomocą kleju... Dopiero wiek XX przyniósł malowidłu Leonarda uważniej przeprowadzone renowacje oraz czyszczenie: jeszcze przed II wojną światową, a następnie w latach 50. Na szczęście dzieło przetrwało bombardowanie refektarza w 1943 r. Ściana z malowidłem Leonarda została starannie zabezpieczona i nie runęła, mimo że inne części pomieszczenia zamieniły się w gruzy.

Dziś słynne malowidło jest w stanie najbliższym oryginalnemu dzięki trwającej 21 lat renowacji zakończonej w 1999 r. Ale nie możemy się łudzić: nigdy nie zobaczymy tego dzieła w takiej formie, w jakiej stworzył je Leonardo ponad 500 lat temu.

Oblubienica Chrystusa

Obawiam się, że Dan Brown pisząc „Kod Leonarda da Vinci” nie zdecydował się na to, aby treść książki rzetelnie skonsultować z historykiem sztuki. Szkoda, bo może wówczas uniknąłby rażących błędów, nie tylko w odniesieniu do „Ostatniej Wieczery”, ale chociażby przy interpretacji obrazu Leonarda da Vinci „Madonna w grocie” (ok. 1483-86, Paryż, Luwr), gdy zbudował piętrową hipotezę dotyczącą znaczeń gestów w związku z postaciami Dzieciątki Jezus i małego św. Jana Chrzciciela. Postacie to pisarz zinterpretował... na odwrót



Angelos Akotantos „Jan Chrzciciel Anioł Pustyni”, ikona z XV w.

– biorąc Jezusa za Jana. Swoją drogą, kontrowersyjna hipoteza o rzekomym potomstwie Marii Magdaleny i Chrystusa mogła być w powieści znacznie ciekawiej podparta specyficznymi niderlandzkimi przedstawieniami z XV w., w których Maria Magdalena faktycznie występuje jako ciężarna. W niektórych Ukrzyżowaniach lub Oplakiwaniach Maria Magdalena ukazana została w rozsznurowanej na brzuchu lub boku sukni, co było charakterystycznym elementem ówczesnych strojów ciężowych. Trzeba jednak podkreślić, że badacze interpretują te specyficzne przedstawienia w kategoriach metaforycznych: Magdalena jako symboliczna Oblubienica Chrystusa mogłaby w nich występować jako personifikacja Kościoła.

Niewątpliwie Leonardo da Vinci chętnie korzystał z symboliki niejednoznacznej, nie do końca jasnej dla współczesnego odbiorcy – co zresztą jest typowe dla dzieł z XV i XVI w., gdy artyści i zleceniodawcy dążyli do tworzenia sztuki erudycyjnej, powiązanej z kontekstami filozoficznymi, teologicznymi czy literackimi, których zrozumienie wymaga gruntownej znajomości ówczesnych źródeł, nie zawsze przetrwałych do dzisiaj. Nawet znaczenie atrybutów w portretach może być dla nas trudne do rozszyfrowania.

Czy „Dama” przechowywana dziś w Krakowie trzyma gronostaja (symbol czystości, odniesienie do postaci księcia Ludovica Sforzy oraz do nazwiska modelki, panny Cecylii Gallerani), łasiczkę (zwierzę nieczyste, być może nawiązujące



Leonardo da Vinci „Św. Jan Chrzciciel”, ok. 1513-16 r.

do cudzołożnej relacji między Ludovikiem a Cecylią) czy może jest to biała fretka? Co oznaczają pojawiające się w wielu obrazach Leonarda gesty wskazywania palcem? Jako postacie wskazujące w różnych kierunkach przedstawiano w średnio-wiecznych rękopisach astrologicznych stopnie znaków zodiaku – astrologiczna interpretacja w przypadku dzieł Leonarda da Vinci wydaje się oczywiście tropem kuszącym, ale też wysoce spekulatywnym. Tak czy inaczej Leonardo da Vinci – człowiek o szerokich horyzontach intelektualnych – z pewnością przynajmniej w niektórych swoich dziełach zastosował specyficzne symboliczne rozwiązania, wyłamujące się z obowiązujących schematów ikonograficznych.

Kobieca twarz Jana

Weźmy np. przedstawienie św. Jana Chrzciciela (ok. 1513-16, Paryż, Luwr). Postać wyłania się z mroku tła, ujęta od pasa w górę, półnaga, odziana w kawałek kudłatej skóry – uśmiecha się tajemniczo, wskazując palcem prawej ręki w górę, w kierunku krzyża wieńczącego tryznaną w lewej dłoni łaskę. Gest ten akurat w przypadku postaci Jana Chrzciciela jest dosyć częstym motywem, gdyż ukazywano go tradycyjnie jako Zwiastuna Pańskiego, wskazującego na postać Chrystusa lub baranka (czasem z podpisem cytującym jego słowa odnoszące się do Jezusa: „ecce Agnus Dei” – oto Baranek Boży).

To, co zupełnie nie pasuje do tradycji niej ikonografii Chrzciciela, to twarz Jana

– o delikatnych, kobiecych rysach i długich, rozpuszczonych, misternie skręconych włosach. Nie tak powinien wyglądać Jan Chrzciciel – w sztuce tradycyjnie przedstawiano go rzeczywiście jako mężczyznę o długich włosach (raczej rozwichrzonych, nieuczesanych), ale towarzyszył temu zarost na twarzy. Jan żył na pustyni – stąd niedbały wygląd oraz skąpe odzienie ze skóry. Jako młodzieńca bez zarostu przedstawiano natomiast innego świętego Jana – wspomnianego już wcześniej Ewangelistę, najmłodszego z uczniów Chrystusa. Oczywiście Leonardo da Vinci nie popełnił w tym wypadku nieświadomego błędu.

W przypadku jego św. Jana Chrzciciela nie może być mowy o zakamuflowanym ukazaniu niewiasty – postać ma wyraźnie męskie barki, charakterystycznie szerokie umięśnione ramiona, niespotykane raczej u płci pięknej. Jeśli założymy zatem, że Leonardo da Vinci przedstawił w tym wypadku mężczyznę o twarzy kobiety, to można pokusić się o interpretację, że jego Jan Chrzciciel miał być po prostu osobą o niezidentyfikowanej płci. Co, wbrew pozorom, może mieć teologiczny sens.

Jan Chrzciciel jest świętym wyjątkowym. Już w łonie matki, św. Elżbiety, rozpoznał Mesjasza ukrytego w ciele Marii – gdy dwie brzemiennie kobiety spotkały się, Elżbieta powiedziała Marii: „Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie” (Łk 1, 44). Podobnie jak Maria, Jan od początku wiedział, kim jest Jezus – i stał się świętym otaczanym szczególną czcią. Najlepszą tego faktu ilustracją jest typ ikonograficzny popularny szczególnie w sztuce bizantyńskiej i prawosławnej – tzw. *Deesis*, przedstawiająca ideę orędownictwa świętych. To właśnie Maria i Jan Chrzciciel byli ukazywani jako wstawiający się za ludzkością do tronującego Chrystusa.

Niewątpliwie Jan Chrzciciel był osobą szczególną jako Zwiastun Pański. I tu pojawia się sprawa kluczowa – w Biblii zwiastunami przynoszącymi wieści od Boga są aniołowie. W ten sposób powstało połączenie osoby Jana Chrzciciela z wizerunkiem anioła – od XIV w. pojawiał się zresztą przedstawienie św. Jana jako skrzydłatego Anioła Pustyni, co przyjęło się

szczególnie w ikonografii prawosławnej. Dlatego mnie się zawsze wydawało, że Leonardo postanowił porównać Jana Chrzciciela do anioła, ale nie poprzez domalowanie mu skrzydeł, tylko przez przedstawienie go jako istoty bezpłciowej: mężczyzny i kobiety jednocześnie. Ponadto przedstawienie anioła (np. w Zwiastowaniu) jako delikatnego młodzieńca bez zarostu i ze złocistymi loczkami było bardzo dobrze ugruntowane w sztuce gotyckiej.

Dzieła nieautorskie

Wszyscy lubimy ekscytujące historie o tajnych kodach zawartych w dziełach słynnych malarzy – nie ma w tym niczego złego, zwłaszcza że symbolika sztuki przełomu średniowiecza i nowożytności rzeczywiście była niezwykle bogata i często dla nas dziś zaskakująca. Ale do każdego tematu, nawet najbardziej rozpalaćcego wyobraźnię, należałoby podejść odpowiednio merytorycznie. Nie ujmując niczego niewątpliwemu geniuszowi Leonarda da Vinci, powinniśmy pamiętać, że wiele z jego dzieł nie było dziełami autorskimi w naszym rozumieniu tego słowa. Wiadomo, że z pracowni Leonarda wychodziły obrazy malowane w całości lub częściowo przez jego uczniów.

Jego kompozycje nierzadko nie były też tak unikatowe, jak chcielibyśmy sądzić –

spora ich część wpisywała się w tradycję ikonograficzną ugruntowaną w twórczości jego poprzedników, na których my dzisiaj po prostu w mniejszym stopniu zwracamy uwagę. Być może te kwestie umykają nam dziś dlatego, że Leonardo da Vinci świadomie czerpał nie tylko ze sztuki antycznej (jak przysłało na artystę renesansowego), ale również z bogatego dorobku mistrzów północnoeuropejskich. My zaś dziś, szufladkując epoki i style, nie lubimy wychodzić ze strefy „skatalogowanego” komfortu. XV-wieczne malarstwo włoskie badają głównie nowożytnicy, podczas gdy twórczość artystów działających w tym samym czasie na północ od Alp w dużej mierze pozostaje domeną mediewistów. Choć faktem jest, że w środowiskach naukowych w ostatnich latach coraz częściej odchodzi się od owego szufladkowania, to w powszechnym odbiorze średniowiecze i renesans to wciąż dwie oddzielne epoki, które postrzegamy jako przeciwstawne, mimo że współistniały w Europie w XV w. Tymczasem bez kompleksowej oceny całości ówczesnej kultury i bez świadomości wzajemnego przenikania się sztuki Południa i Północy około roku 1500 nigdy nie zdołamy dostrzec w pełni wszystkich aspektów sztuki Leonarda da Vinci.

Nie tylko twórczość tego artysty jest przedmiotem dyskusji i spekulacji – to samo dotyczy losów jego szczątków. Gdy zmarł we Francji, pochowano go w kolegiacie Saint-Florentin na zamku Amboise, która uległa zniszczeniu w czasie wielkiej rewolucji francuskiej i została wyburzona w 1802 r. Ponad pół wieku później badający ruiny Arsène Houssaye natrafił na szkielet o wyjątkowo dużej czaszce oraz fragmenty kamiennej tablicy z inskrypcją (EO-AR-DUS-VINC). Uznano, że mogą to być szczątki Leonarda i przeniesiono je do Saint-Hubert na zamku Amboise w 1874 r. W tej chwili trwają analizy DNA włosów, który miałby należeć do Leonarda. Materiałem porównawczym będzie DNA krewnych Leonarda (jego ojciec miał aż 12 innych dzieci). Wyniki mają zostać ogłoszone za kilka miesięcy.

©

MAGDALENA ŁANUSZKA

Leonardo da Vinci, studia anatomiczne, ok. 1510-11 r.



DOMENA PUBLICZNA / HER MAJESTY QUEEN ELIZABETH II, THE ROYAL COLLECTION

Autorka jest doktorem historii sztuki, mediewistką. Stale współpracuje z „TP”.

Między słowem a podkładem

JAN BŁASZCZAK

Bywają nieporadni leksykalnie. Pełnią proste językowe błędy, stosują wątpliwe metafory i nadużywają wulgaryzmów. A jednak w skali makro to właśnie raperzy przykładają największą wagę do słowa.

Są na to twarde dowody. Amerykańscy analitycy wykazali już, że zasób słów, jakim posługuje się przeciętny raper, jest nawet o kilka tysięcy słów bogatszy od słownika rockmana, gwiazdy country czy popu. Największy językowy erudyta wśród twórców hip-hopu – Aesop Rock – zbliża się powoli do astronomicznego pułapu 8 tysięcy wyrazów. Dla porównania Beyoncé posługuje się niespełna jedną trzecią tej sumy.

Wraz z postępującą komercjalizacją hip-hopu liczba wykorzystywanych przez raperów słów systematycznie spada. Nie dlatego jednak, że na muzycznej scenie pojawiają się gorzej wykształceni artyści lub publiczność znacząco obniżyła swoje wymagania. A przynajmniej nie jest to cała prawda. Po pierwsze w hip-hopie coraz więcej się śpiewa, a ten trend w naturalny sposób obniża liczbę słów pojawiających się w wersach. Patrząc szerzej, w drugiej dekadzie XXI w. występuje też po prostu mniejsze zapotrzebowanie na linearną, trochę przegadaną, pierwszoosobową narrację. W oczywisty sposób tendencja ta wpływa również na hip-hop. W jego popularnych dziś podgatunkach, takich jak trap czy cloud-rap, ważniejsze zdaje się często samo brzmienie słów, ich rytm czy melodia. W utworach amerykańskiego zespołu Migos czy polskiego rapera Schaftera budowanie sensów schodzi na dalszy plan. Ważniejsze jest tu tworzenie przyjemnych dla ucha bodźców dźwiękowych lub luźne zestawienie ze sobą podobnych wyrazów. Nie zamierzam jednak odgórnie krytykować takiego trendu. Zachowując proporcję, z podobnych założeń wychodził przecież Brian Eno, sięgając po fonetyczną poezję na swoich genialnych albumach z lat 70.

Zamiast oceniać charakter zmian w pojęściu do języka i narracji przez raperów, chcę tylko zwrócić uwagę na obecność takiej ewolucji. Obecność i nieuchronność. Jak archaicznie i naiwnie brzmią przecież obecnie opowieści z debiutanckiej, absolutnie kultowej płyty Molesty z 1998 r.: „Pojechałem na Śródmieście / Załatwić pewną sprawę / Chodziło o wzmacniacza naprawę / Po drodze wpadłem na coś ciepłego / Byłem głodny dlatego zjadłem podwójną szamę / Mijając filary przechodząc przez bramę / Szybko do metra do ludzi z którymi trzymam szamę”.

Trudno się nie uśmiechnąć, czytając taką relację, a przecież – w jakimś stopniu – odwzorowywała ona charakterystyczny dla XX-wiecznego rapu sposób prowadzenia narracji.

Pandora przekazu

Jeśli obecnie raperzy budują opowieści na sposób „starej” Molesty, jest to raczej rodzaj gry z tradycją. W taki sposób postrzegam na przykład niektóre utwory Roberta Piernikowskiego, który korzysta jednak z innych elementów, ponieważ od czasu „Skandalu” Molesty diametralnie zmieniło się samo tworzywo – język polski. A Piernikowski ma ucho do języka i chętnie podsłuchuje swoich rodaków.

Być może dlatego więcej w jego tekstach zapożyczeń z angielskiego i, mniej lub bardziej, popularnych błędów („włanczaj”, „komboj” itd.).

W to, że ludzie na ulicy mówią do siebie tytułami piosenek, wierzy Adam Zieliński. Szczeciński raper, znany szerzej jako Łona i wyróżniony dwa lata temu tytułem Młodego Ambasadora Polszczyzny, będzie jedną z gwiazd tegorocznego Copernicus Festival.

– Zapisuję to, co ludzie do siebie mówią. Mam tego całą masę w telefonie – przyznaje raper. – Często są to wyłowione z pi-jackich otchłani zdania i konstrukcje, które notuję całkiem platonicznie, bo nic z tym później nie robię. Bywa jednak i tak, że to się gdzieś odbija w tekstach. Pewnego dnia na przykład podsłuchałem kogoś dowodzącego z przejęciem, że „to nic nie znaczy; to niczym nie świadczy”. Kielkowało mi to z tyłu głowy jakiś czas, by w końcu obrodzić piosenką.

W przypadku Łony taka metoda zdaje się mieć tym więcej sensu, że w swoich utworach szczecinianin często korzysta z funkcji metajęzykowej. Rozpoczyna wyrazy ostatnią sylabą poprzedniego słowa („Hańba, barbarzyńcy”), bierze pod lupę tryb przypuszczający i konsekwencje jego nadużywania („Gdzie tak pięknie?”), występuje w obronie znaków diakrytycznych („A, €”), obśmiewa korporacyjne anglicyzmy („Nie pogadasz”) i nudny bełkot urzędniczej korespondencji („What I Owe”). Słowo jest dla niego czymś znacznie więcej niż tylko nośnikiem myśli. Samo w sobie stanowi treść. Jest również początkiem.

– Dopóki to, co mi siedzi pod skórą, nie nabierze kształtu słowa – albo najlepiej paru słów, frazy – to jestem bezsilny – tłumaczy raper. – Całą tę puszkę z Pandorą przekazu otwiera właśnie słowo. Dopiero wtedy mogę wziąć tę swoją myśl, obrócić ją kilka razy i się jej przyjrzeć.

Jednym z zabiegów, które składają się na styl Łony, jest łączenie ze sobą słów z różnych rejestrów polszczyzny. W jego utworach piętrzą się synonimy, archaizmy rymują się z idiolektami, a konstrukcjom zdań bliżej do opowieści Wojciecha Młynarskiego niż Molesty. Dlatego, choć w polskim rapie nie było prowadzo-



ARCHIWUM PRYWATNE

nych badań na podobieństwo tych przytaczanych na początku tego artykułu, podejrzewam, że to właśnie szczecinianin dzierżyłby w Polsce palmę pierwszeństwa na polu leksyki. Mimo to – a może właśnie dlatego – Łona nie rezygnuje z niższych rejestrów języka: z kolokwializmów czy okazjonalnych wulgaryzmów.

– Polski język ma wiele oblicz – zauważa raper. – Jeżeli wyobrazimy sobie skalę i na jednym jej końcu umieścimy nobliwy angielski z oksfordzkim akcentem, a po przeciwnej stronie rosyjski, używany przez jakiegoś bojowo nastawionego gopnika, to polszczyznę możemy z powodzeniem rozpiąć na całą długości tej skali. Nasz język bez trudu osiąga skrajności, często niemal równocześnie.

Dlatego historyjki Łony zasiedlają często postaci pełne sprzeczności i paradoksów, jak przydrożni pijackowicie wymieniający się zaskakująco trzeźwymi obserwacjami.

Przy czym należy podkreślić, że nawet najtrafniej spuentowana opowieść nie obroni się, jeśli nie będzie odpowiednio płynąć. – Utwór słowno-

MIKSER: Nie możesz myśleć na scenie, że nie najlepiej wyglądasz, że zrobiłeś właśnie jakiś głupi ruch. Aby improwizować, trzeba stać się kablem, który przekazuje prąd. To wszystko.

-muzyczny jest rozmową rytmiczną pomiędzy tekstem a podkładem – tłumaczy Łona. – Ten związek pojawia się już na etapie pisania i ja często – mam wrażenie, że coraz częściej – staram się podchodzić bardzo świadomie do warstwy muzycznej słów i fraz. Rym i rytm muszą iść w parze.

Kabel bądź poeta

Z nieco innej perspektywy spogląda na hip-hop drugi z zaproszonych na festiwal raperów. Nic dziwnego, skoro występujący pod pseudonimem Mikser Mikołaj Mądrzyk dał się poznać przede wszystkim jako specjalista od freestyle'u, czyli słownej improwizacji. Sam twierdzi, że każdy raper powinien posiadać i rozwijać taką umiejętność. Jego spojrzenie na słowną improwizację niedalekie jest natomiast od perspektywy jazzowych instrumentalistów. – Po pierwsze, musisz się wyżyć strachu przed pomyłką, przed tym, że się nie uda. I nie chodzi tylko o słowa. Nie możesz myśleć na scenie, że nie najlepiej wyglądasz, że zrobiłeś właśnie jakiś głupi ruch. Musisz odrzucić pychę i poważne myślenie o sobie. Aby improwizować, trzeba stać się kablem, który przekazuje prąd. To wszystko.

Niezależnie od tego, czy wygłaszany przez niego tekst stanowi efekt mozolnej pracy nad kartką papieru, czy jest rezultatem spontanicznej improwizacji, Mikser zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt operowania i dzielenia się swoimi dziełami: odpowiedzialność za słowo. Ma przy tym nie najlepsze zdanie o wielu swoich kolegach po fachu, którzy według niego zapominają o tym, jak duży mają wpływ na słuchaczy i zbyt często promują złe postawy i zachowania. Jeśli zgodzić się z takim spostrzeżeniem, jest to tym bardziej godne ubolewania, że raperzy operują przecież materia, która ma ogromny potencjał, by łączyć. Operują muzyką.

– Od początku pisania towarzyszy mi myśl, z której długo nie zdawałem sobie sprawy – zwierza się Łona. – Myśl w gruncie rzeczy szalenie prymitywna. Otóż: muzyka powinna nieść światło. Niech i nawet będzie to światło nieoczywiste, choćby i schowane za grubą warstwą cienia, ale jednak. To naprawdę nie jest tylko pusty frazes: „muzyka jest językiem wszechświata”, że zacytuje kolegę po fachu. Bo muzyka jest jedynym tak uniwersalnym językiem, w którym najwyższą cnotą jest przekraczanie barier językowych, etnicznych czy kulturowych.

I trzeba przyznać, że część raperów takie bariery przekracza. Także na poziomie języka, operując słowem w intrygujący, kreatywny, nierzadko zabawny sposób. Efekty ich zmagają



RAFAŁ KUDYBA / MATERIAŁY PRASOWE

ŁONA: Pewnego dnia podśluchałem kogoś dowodzącego z przejęciem, że „to nic nie znaczy; to niczym nie świadczy”. Kielkowało mi to z tyłu głowy jakiś czas, by w końcu obrodzić piosenką.

→ są zaś powszechnie analizowane przez grupy młodych odbiorców, którzy na portalach takich jak Genius przeprowadzają skrupulatne wiwisekcje i interpretacje godne fakultetu z komparatystyki. Zresztą, edukacyjny potencjał hip-hopu został już oficjalnie uznany. Jeden z utworów Leszka „Eldo” Kaźmierczaka trafił na przykład do podręcznika języka polskiego. – To było dla mnie zaskoczenie, ale też naturalna konsekwencja – przyznaje Mikser. – Słuchając Eldo, niejednokrotnie myślałem, że gość jest poetą naszych czasów i powinien trafić do szer-

szego grona, a nie tylko słuchaczy rapu. I stało się!

Raperzy jako współcześni poeci? Łona ma tutaj więcej wątpliwości. – Nie jesteśmy poetami, bo w rapie jest mnóstwo pozowania. Wszyscy jesteśmy więziami konwencji; jedni mniej, inni bardziej. Próżno szukać wśród nas Gajców i Broniewskich. Czasami natomiast niektórym z nas uda się dotknąć jakiejś prawdy. Wyrwać się z tej pozy i powiedzieć coś ważnego w jakiejś ciekawej literacko formie. Dobrym tego przykładem jest najlepszy moim zdaniem rapowy kawałek po polsku, czyli „Szósty zmysł” Noona i Pezeta.

Nawet jeśli hip-hop nie jest najlepszym narzędziem do objaśniania świata, pozwala lepiej przyjrzeć się językowi, którym go opisujemy. Utwory raperów są bowiem świetnym probierzem jego aktualnej kondycji, popularnych w nim trendów czy wypaczeń. I choć hip-hop powoli przesącza się do podstaw nauczania, to wciąż potrafi ukazać oblicza polszczyzny, których próżno szukać w podręcznikach.

© JAN BŁASZCZAK

Autor jest krytykiem muzycznym, współpracownikiem „TP”.

Funkcja autora

PIOTR MARECKI

Dzięki generatorom powstaje poezja, proza, teksty naukowe, artykuły o pogodzie czy sporcie. Takie programy zaczynają żyć własnym życiem, mogąc w nieskończoność rozwijać twórczość.

W

2018 r. w Massachusetts Institute of Technology (MIT) odbyła się wystawa książek wygenerowanych komputerowo. W czasie, gdy piszę ten tekst, autor wystawy profesor Nick Montfort miał w swojej kolekcji ponad 80 takich tytułów.

Wystawa nosiła tytuł „Author Function” zapożyczony od Michela Foucaulta, który w autorze widział jedynie konstrukt dyskursu, narzucający strategię istnienia wypowiedzi w społeczeństwie. Francuski filozof pisał w „Nadzorować i karać”: „Biorąc pod uwagę zmiany historyczne, nie wydaje mi się, by kategoria ta była nienaruszalna, zarówno jeśli chodzi o jej kształt, złożoność, a nawet samo istnienie. Można wyobrazić sobie kulturę, w której dyskursy krążyłyby bez najmniejszej troski o autora”. W takim rozumieniu autor niekoniecznie musi sprawować pełną władzę nad tekstem i być jedynym nadawcą dzieła.

Media cyfrowe zmieniają ekspresję literacką. Pod ich wpływem wytwarzają się nowe formy wyrażania, przesuwające granice w znanych dotychczas sposobach używania języka w literaturze. Dzięki wpływowi mediów cyfrowych na literaturę powstają nowe gatunki literackie, nieznane w świecie analogowym, takie jak generatory tekstu, literackie boty czy wiersze pisane przez sztuczne sieci neuronowe. Gatunki te obrastają literaturą

teoretyczną, zajmujący się obszarem literatury elektronicznej twórcy i krytycy tworzą nowy cyfrowy kanon. Do ich percypowania wymagane jest używanie narzędzi, które pozwalają nam prawidłowo czytać konwencję takich gatunków (podobnie jak potrzebne są narzędzia do czytania tradycyjnych gatunków literackich: fraszki, sonetu czy ballady). Przy czym znaczenia utworów cyfrowych nie są budowane jedynie w języku. Elementy znaczenia i kontekstu (nazywane przez filozofów tropami) obecne są także w użytej technologii, językach programowania, wybranych platformach. Utwory takie stają się nie tylko tekstami, ale i technotekstami. Dla twórcy cyfrowego ma znaczenie to, czy jako medium wybiera bota Twittera czy autorską stronę www, oraz w jakim języku programowania tworzy. Jest to tak samo istotne jak praca nad metaforami i porównaniami dla poety.

W ten sposób człowiek przestaje być jedynym wytwórcą tekstu, dzieli się sprawczością z technologiami. Artyści świadomi są ograniczeń i możliwości wynikających z wyboru platformy. Jeśli decydują się na napisanie programu na Twitterze, wiedzą, że program może

tweetować nową zawartość tekstową (nieznana autorowi w momencie pisania programu) przez najbliższe lata, inaczej niż w przypadku tradycyjnej książki, do której podaje się finalną zawartość tekstu.

Knieje klarują przyipywy

Wspomniany Nick Montfort stał się autorem klasycznego generatora tekstu pt. „Taroko Gorge”. W styczniu 2009 r. odwiedził jeden z najbardziej spektakularnych pomników przyrody na Tajwanie, wąwóz Taroko. Wzorem romantycznych poetów zapragnął opiewać oglądane piękno natury. Wyjął więc laptopa i jednym okiem obserwując wąwóz, zaczął pisać w języku Python program generujący tekst, który miał imitować wiersz o naturze. Dokończył go w samolocie.

Program ten bez pośrednictwa wydawców i dystrybutorów opublikował na swojej stronie internetowej jako skończony wiersz (można go podziwiać na www.nickm.com/taroko_gorge/). Uruchomiony wiersz ponieważ „liczy się” na naszych oczach, na ekranie pojawiają się kolejne strofy, a poprzednie znikają. Klikając prawym przyciskiem myszy, otrzymujemy możliwość wyświetlenia źródła strony i podejrzenia zasad jego działania. Ten minimalistyczny program losuje rzeczowniki ze zbioru nazywanego

„ponad”, które odsyłają do elementów przyrody występujących u góry (np. mgiełka, stworzenie, kłębowisko, urwisko, skała, knieja, wzniesienie), a program miesza je z innymi elementami opisującymi przyrodę oraz zbiorem czasowników. Raz będą to czasowniki przechodnie, innym razem nieprzechodnie. Ich użycie budować będzie rytm wiersza.

*Urwiska rozmarzają kanalik.
Wzniesienie klaruje kamień.
uwydlatnij tę pospolitłość
przyciemnioność prącość –*

*Knieje klarują przyipywy.
Zalew śpi.
Mgiełki śpią.
Stworzenia rozpościerają kamienie.*

Program stał się na tyle popularny w internecie, że inni autorzy zaczęli podglądać zasady generowania wiersza i podmieniać jego treść. Zachowywali jednak reguły programu Montforta. Wiersz działał się w kuchni, w garażu w Tokio, w samolocie czy nawet w polskich Tatrach w wąwozie Kraków. Przez dziesięć lat powstało 38 remiksów utworu. Autorzy przekreślali nazwisko Montforta i sami podpisywali się pod generatorem.

→

Publikacje z wystawy Nicka Montforta, książki napisane przez sztuczną inteligencję



⇒ Montfort to lingwista, ale doby języków programowania. Wszelkie triki językowe wydobywa on z najgłębszych warstw językowych, zasad gramatyki, przy czym na równi z ludzką ekspresją angażuje do tych praktyk języki programowania. Ruby, Python, JavaScript wytwarzają znaczenia w tej formie ekspresji, są tak samo ważne, jak wyświetlane na ekranie monitora efekty końcowe.

Historia świerszcza, pozycja dopuszczalna

Żeby odnaleźć, przeczytać i analizować wiersze Montforta, trzeba mieć całkiem sporo kompetencji kulturowych. Należy znać adres strony autora, wiedzieć, jak podejrzeć i czytać kod wiersza, a także znać zasady programowania w Pythonie i JavaScript. Dopiero wówczas przystępujemy do analizy i interpretacji utworu, śledząc, co wnosi technologia, i to, w jakie relacje wchodzi z nią człowiek.

Trochę inaczej jest w przypadku literackich botów, od których roi się na Twitterze. Nie musimy być ekspertami, żeby się nimi zainteresować. Taki projekt literacki może nam się wyświetlić podczas przeglądania innych tweetów, np. o tym, że komuś nie chce się wstać z łóżka, by zgasić światło w pokoju przed zaśnięciem, albo o wracającej ze szkoły zapłakanej kuzynce, której nie udało się poprawić ocen. Literackie boty na Twitterze, podobnie jak inne gatunki ekspresji w popularnych mediach (Instagram, Facebook), bez żadnych utrudnień stają się dostępne dla użytkowników tych platform.

Boty wykorzystywane są do różnych celów, używają ich politycy, ale także biznes. Istnieją boty, które np. poprawiają częste błędy użytkowników, lajkują, udostępniają treści, zachęcają do głosowania na danego kandydata. Są także boty, których celem jest recenzowanie produktów danej firmy czy zachęcanie do zakupów. Nierzadko trudno w ogóle odróżnić wypowiedź człowieka od wypowiedzi bota (przykładowo Donald Trump wielokrotnie powoływał się na zautomatyzowane konta z Twittera).

Od wielu lat tę formę wykorzystują pisarze i poeci, którzy tworzą literackie boty. W Electronic Literature Collec-

■ Znaczenia utworów cyfrowych nie są budowane jedynie w języku. Elementy znaczenia i kontekstu obecne są także w użytej technologii, językach programowania, wybranych platformach.

tion z 2016 r., zbierającej kanoniczne dzieła współczesnej literatury elektronicznej, redaktorzy zamieścili aż 12 literackich botów, co świadczy o popularności tej formy ekspresji. Jednym z najpopularniejszych jest @everyword, który traktowany może być jako rodzaj sieciowego performance'u. Program tweetował jedno słowo ze słownika języka angielskiego co 30 minut. Proces ten trwał od 2007 do 2014 r. i śledziło go ponad 100 tys. użytkowników Twittera. Pojedyncze słowo stawało się cyfrowym obiektem, jakim jest tweet, którego można podać dalej, polubić, skomentować. Słowo takie zostało wyrwane z kontekstu i żyło poniekąd własnym cyfrowym życiem w izolacji od słownika. Projekt zaowocował wieloma przeróbkami, tłumaczeniami, a nawet na jego bazie powstała książka „@Everyword: The Book”.

Nikt nie jest w stanie określić, ile automatycznych programów działa na Twitterze. W 2018 r. platforma rozpoczęła z nimi walkę. Do czystek botów na Twitterze nawiązuje @cenzobot, który tweetuje wypowiedzi cenzorów z czasów komunistycznych. Przykładowo, 11 kwietnia 2019 o 15.13 program zatweetował: „Temat książki stanowi historia świerszcza, który żyjąc w swoim normalnym świecie przyrody pisze pamiętnik. Pozycja dopuszczalna. Nakład 7300 egz.”. Był to jeden z około 13 tys. tweetów opartych na prawdziwych zdaniach cenzorów. Można się spodziewać, że algorytmy Twittera ocenzurują także i bota opartego na cenzurze.

Gdzie jest Bóg

Sieci neuronowe to ogólna nazwa dla systemów programowych i matematycznych, dla których inspiracją są struktury naturalnych neuronów i operacje wykonywane przez ludzki mózg. Dla twórców istotnym aspektem jest sam proces „trenowania” sieci neuronowych, zasilany dużą ilością danych oraz układów i połączeń pomiędzy danymi.

David (Jhave) Johnston reklamuje swój projekt poetycki ReRites (www.glia.ca/rerites) hasłem „Książki poetyckie. Jedna na miesiąc”. W jego ramach sieci neuronowe, wytrenowane na korpusie około 500 tys. linii tekstu współczesnej poezji, popowych piosenek, wpisów na blogach i list słów, tworzą poezję. Teksty te edytowane są przez człowieka, który prezentuje je w cyklu książek poetyckich, wskazując właśnie na przeprowadzony proces trenowania sieci. Jhave celowo używa nie jednej książki, ale kilku, żeby pokazać rozciągnięcie w czasie (12 książek, jedna na miesiąc) i rozmiar korpusu tekstu otrzymanego z procesu trenowania sieci.

Gdy odbiorcy po raz pierwszy stykają się z twórczością programów komputerowych, nasuwa się wiele pytań – gdzie w tym wszystkim jest człowiek? Czy „to” potrafi pisać jak człowiek? Ktoś kiedyś nawet zapytał: gdzie w tym wszystkim jest Bóg? Wydaje się, że nie trzeba stawiać aż tak fundamentalnych pytań. Wspomniane gatunki, współtworzone przez człowieka i maszyny, posługują się pewnymi konwencjami, w których rozszyfrowaniu pozwoli nam zarówno znajomość praw języka, jak i zasady działania technologii, języków programowania. Jedno jest pewne: zatrzymanie się i_percypowanie jedynie na poziomie języka jest zubażające dla takich utworów, ponieważ tropy wytwarzane są także przez technologię.

©
PIOTR MARECKI

Autor jest kulturoznawcą, wydawcą, producentem utworów cyfrowych. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Kultury Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie prowadzi UBU lab.



COPERNICUS FESTIVAL 2019 / JĘZYK

Wydarzenia festiwalowe są darmowe i (oprócz zaznaczonych wyjątków) otwarte.

21 maja, wtorek

17.00–18.30

Tytano
(Dolnych Młynów 10)
Wernisaż: „Sztuka wystawiania języka”
[szczegóły w ramce]

19.00–21.00

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Koncert: „Leonardo da Vinci – gramatyki tworzenia”
Daniel Elgersma
i Sławomir Zubrzycki
Wstęp z zaproszeniem lub wejściówką [szczegóły w ramce]

22.00

Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Lektor” (reż. S. Daldry)
Z wprowadzeniem
Bogusława Skowronka

22 maja, środa

10.00–11.30

De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów:
Renata Przybylska
Prowadzenie: Małgorzata Majewska

10.10–10.55

(Dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka czytania: Julian
Tuwim „Lokomotywa”
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz

11.00–12.00

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Paul Davies
„Milczenie gwiazd. Poszukiwania pozaziemskiej inteligencji”
Prowadzenie: Tomasz Miller

11.40–12.25

(Dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka czytania: Frances Hodgson
Burnett „Tajemniczy ogród”
Prowadzenie: Bartosz Janik

12.15–13.15

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Benjamin
Bergen „Latające świnię. Jak
umysł tworzy znaczenie”
Prowadzenie: Marek Jakubiec

13.30–14.30

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Jerzy Bralczyk
„500 zdań polskich”
Prowadzenie: Maciej Szklarczyk

16.00–17.30

Centrum Kopernika
(Szczepańska 1/5)
Warsztaty hip-hopowe: „Honor słowa”
Prowadzenie: Mikołaj
„Mikser” Mądrzyk
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy:
warsztaty@copernicusfestival.com

18.00–19.30

Pałac Larischa (Bracka 12)
Perceptio: „O języku
tego, co na języku”
Aleksandra Krupa-Ławrynowicz,
Paweł Bravo i Grzegorz Łapanowski
Prowadzenie: Michał Kuźmiński

20.00–21.30

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Paul Davies
„Information and the Language
of Life” („Informacja i język życia”)
Rozmowę po wykładzie
poprowadzi Michał Eckstein
[tłumaczenie symultaniczne]

22.00

Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Motyl i skafander”
(reż. J. Schnabel)
Z wprowadzeniem
Bogusława Skowronka

22.00

Zet Pe Te (Dolnych Młynów 10)
Koncert: „LOGOS Reprezentuj
Świadomie”
Mikołaj „Mikser” Mądrzyk

Koncert: „Gramatyki tworzenia”

21 maja, godz. 19.00–21.00

Muzeum Narodowe w Krakowie, al. 3 Maja 1
W programie kompozycje i pieśni
renesansowe z czasów Leonarda da Vinci
oraz utwory wczesnobarokowe. Koncert
otworzy kompozycja samego Leonarda,
której zapis nutowy znajduje się na jego
obrazie „Ritratto di musico”.



Sławomir Zubrzycki z viola organista

Wystąpią:

- **SŁAWOMIR ZUBRZYCKI** – budowniczy
i wirtuoz zaprojektowanego przez Leonarda
instrumentu viola organista
- **DANIEL ELGERSMA** – zbierający znakomite
recenzje kontratenor z Holandii

BEZPŁATNE WEJŚCIÓWKI do pobrania na
www.copernicusfestival.com/leonardo

Wystawa:

„Sztuka wystawiania języka”

Wernisaż: 21 maja, godz. 17.00

Tytano, ul. Dolnych Młynów 10

Wystawa tworzy przestrzeń równoprawnej
prezentacji inspirowanych językiem dzieł
artystycznych i naukowych oraz ich
wzajemnych oddziaływań, wyrazowych
przebarwień, podobieństw i odmienności.

Wystawa potrwa do 7 czerwca.



Praca Zbigniewa Sałaja



23 maja, czwartek

10.00–11.30

De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Adam Boniecki
Prowadzenie: Anna Goc

10.30–12.00

Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty psychologiczne dla par: „Język miłości. Komunikacja w związku”
Prowadzenie: Magdalena Śmieja
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

11.00–12.00

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Daniel Everett
„Język. Narzędzie kultury”
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek

12.15–13.15

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Elżbieta Tabakowska „O przekładzie na przykładzie. Rozprawa tłumacza z »Europą« Normana Daviesa”
Prowadzenie: Bartłomiej Kucharzyk

13.25–14.10

(Dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka czytania: Daniel Defoe
„Przypadki Robinsona Crusoe”
Prowadzenie: Marek Jakubiec

13.30–14.30

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: „Sprawdzone sobą” i inne wiersze Mirona Białoszewskiego
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz

16.00–17.30

Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty języka migowego: „W try miga”
Prowadzenie: Magdalena Sipowicz
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

18.00–19.30

Pałac Larischa (Bracka 12)
Perceptio: „Czy da się krzyczeć w języku migowym? O komunikacji Głuchych”
Paweł Rutkowski
Tłumaczenie symultaniczne na polski język migowy: Magdalena Sipowicz

20.00–21.30

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Daniel Everett
„How Language Began: The History of Humanity's Greatest Invention”
(„Jak powstał język. Historia największego wynalazku ludzkości”)
Rozmowę po wykładzie poprowadzi Łukasz Lamża [tłumaczenie symultaniczne]

22.00

Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Papusza”
(reż. J. Kos-Krauze, K. Krauze)
Z wprowadzeniem Bogusława Skowronka

24 maja, piątek

10.00–11.00

De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Magdalena Heydel
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz

10.00–12.00

Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty literackie: „Pierwsze zdania”
Prowadzenie: Wit Szostak
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

13.00–14.00

(Dla zgłoszonych liceów)
Lekcja czytania: Charles Taylor
„Etyka autentyczności”
Prowadzenie: Łukasz Tischner

13.00–14.30

Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty logiczne: „Zasady krytycznego myślenia”
Prowadzenie: Agnieszka Proszewska

Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

14.40–15.25

(Dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka czytania: Hugh Lofting
„Doktor Dolittle i jego zwierzęta”
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek

16.00–18.00

Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty teatralne: „Słowem, ze słowem, po słowie”
Prowadzenie: Juliusz Chrzastowski
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

18.00–19.30

Pałac Larischa (Bracka 12)
Perceptio: „Dlaczego nie należy uczyć się języków – wykład z elementami stand-upu. I o pomyłkach słów klika”
Piotr Krasnowolski i Kamil Śmiałkowski

20.00–21.30

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Elżbieta Tabakowska
„Język – instrukcja obsługi, czyli wszyscy jesteśmy poetami”
Rozmowę po wykładzie poprowadzi Piotr Krasnowolski

22.00

Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” (reż. P. Genovese)
Z wprowadzeniem Bogusława Skowronka

25 maja, sobota

10.00–11.30

De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Andrzej Bednarczyk i Kinga Nowak
Prowadzenie: Martyna Nowicka

11.00–15.00

Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Warsztaty: „Pisanie światłem”
Prowadzenie: Emilia Kina

Liczba miejsc ograniczona. Zapisy:
warsztaty@copernicusfestival.com

12.00–16.00

Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Inventio: „Język maszyn”
Wystawa interaktywna
i miniwykłady
[szczegóły w ramce]

18.00–19.30

Muzeum Inżynierii Miejskiej
(Świętego Wawrzyńca 15)
Perceptio: „Uwaga!
Nieprzyjaciół podłuchuje”
Zdzisław Pogoda
„Praktyczne zastosowania
niepraktycznych teorii”
Wit Forýs „Kryptografia
– wczoraj i dzisiaj”

20.00–21.30

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Charles Taylor
„The Full Scope of the Human
Linguistic Capacity”
(„Granice ludzkich
zdolności językowych”)
Rozmowę po wykładzie
poprowadzi Andrzej Pawelec
[tłumaczenie symultaniczne]

22.00

Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Kiel” (reż. J. Lantimos)
Z wprowadzeniem
Bogusława Skowronka

22.00

Forum Przestrzenie
(Konopnickiej 28)
Koncert: Łona, Webber & The Pimps

26 maja, niedziela

10.00–11.30

De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów:
Marek Demiański
Prowadzenie: Sebastian Szybka

18.00–19.30

Pałac Larischa (Bracka 12)
Perceptio: „Język wizualny teatru”
Barbara Hanicka i Robert Mleczko
Prowadzenie: Katarzyna Fazan

20.00–21.30

Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Jerzy Bralczyk „Język.
Problemy społeczne”
Rozmowę po wykładzie
poprowadzi Wojciech Bonowicz

FESTIWALOWI TOWARZYSZĄ:

21 maja – 7 czerwca

W wielu miejscach w Krakowie
Wystawa: „Labirynt Minotaura”
Więcej informacji:
www.facebook.com/artandsciencekrakow/

22 oraz 24 maja, 13.00–14.10

MICET (Jagiellońska 1)
„Język wypowiedzi artysty:
Swinarski, Jarocki, Wajda,
Lupa, Klata” – kuratorskie
oprowadzanie po wystawie
(bilet ulgowy: 8 zł, bilet
normalny: 12 zł)

22 maja, 17.00–19.00

Biblioteka Kraków
(pl. Jana Nowaka
Jeziorańskiego 3)
Spotkanie autorskie
z Davidem Schwartzem,
autorem biografii Enrico Fermiego

25–26 maja

Krakowski Kiermasz Książki
Copernicus Festival
(pl. Świętej Marii Magdaleny):

25 maja, 12.00–13.00

Nauka czytania: Daniel Defoe
„Przypadki Robinsona Crusoe”
Prowadzenie: Marek Jakubiec

Inventio: „Język maszyn”

25 maja, godz. 12.00–16.00

Cricoteka, ul. Nadwiślańska 2–4
Nowe technologie nie tylko ułatwiają
nam komunikację, ale same zaczynają
aktywnie brać w niej udział. Wystawa
„Język maszyn” będzie okazją do roz-
mowy z chatbotami oraz zapoznaniem
się z różnymi formami literacki-
mi generowanymi przez algorytmy.
Programy takie jak Pretext (tworzący
dzieła literackie) czy E.L.I.Z.A. (pro-
wadząca rozmowę psychoanalityczną
z potencjalnym pacjentem) spróbują
pokazać nam, że język nie musi być
domeną wyłącznie ludzką.



Komputerowy asystent Alexa (Amazon)

Wystawie towarzyszą miniwykłady:

12.00–12.40 Paweł Schreiber
„Jak rozmawiać z bohaterami gier
komputerowych?”

12.40–13.20 Radosław Krowiak
„Alexa, jaka jest natura ludzkiego
języka?”

13.20–14.00 Justyna Picheta
„Między słowami. O roli gestów
w komunikacji z maszynami”

14.00–14.40 Leon Ciechanowski
„Roboty nie gęsi... Czyli o interakcji
człowiek–maszyna”

14.40–15.20 Karolina Pospischil,
Karolina Kłós „Wizualne filtry
językowe”

15.20–16.00 Dominik Starzyk
„Nowy poziom dialogu. Interakcja
gracz–komputer”



COPERNICUS FESTIVAL 2019 / JĘZYK

26 maja, 12.00–13.00

Nauka czytania: Stanisław
Lem „Bajki robotów”
Prowadzenie: Łukasz Lamża

26 maja, 13.30–14.30

Dyktando z elementami
regionalizmów krakowskich
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz

Więcej informacji:
www.miaistoliteratury.pl

Do 11 sierpnia

Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Wystawa:
„Zapraszanie. Sarkis–Kantor”

Do 12 stycznia 2020 r.

Muzeum Inżynierii Miejskiej
(Świętego Wawrzyńca 15)
Wystawa: „Uwaga! Nieprzyjacieli
podśłuchuje. Kryptografia wczoraj i dziś”
(bilet ulgowy: 10 zł, bilet normalny: 12 zł)

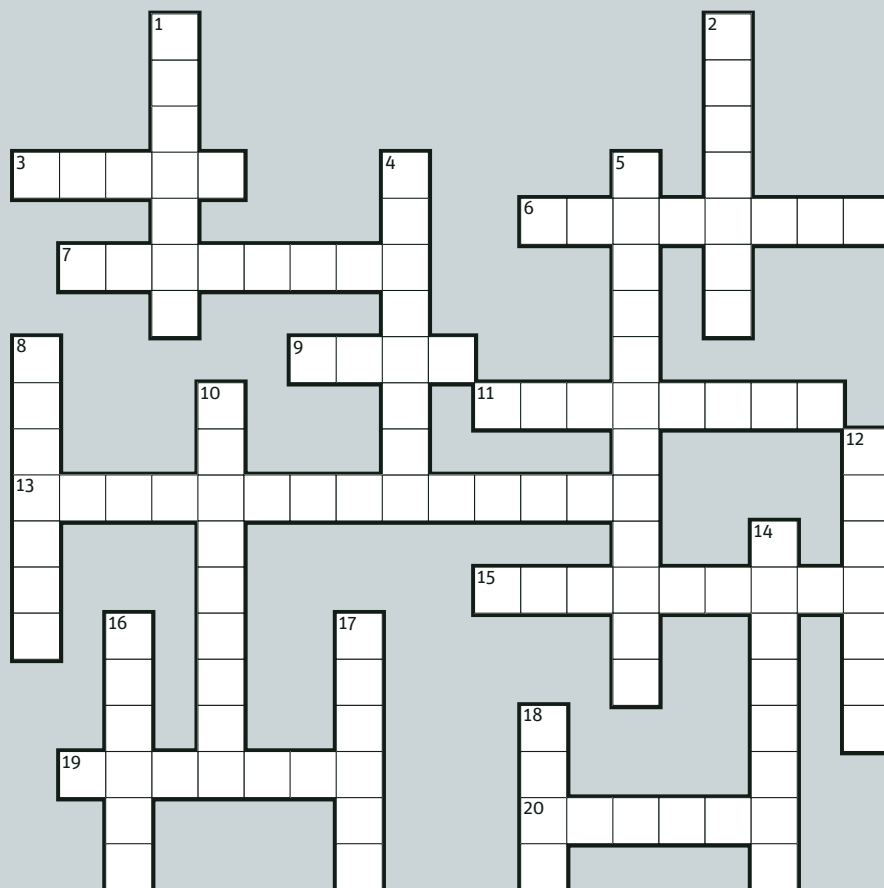
Powyższy program może ulec
modyfikacjom.

Aktualna wersja programu
na www.copernicusfestival.com



Wydarzenia transmitowane na
żywo na kanale [youtube.com/copernicuscenter](https://www.youtube.com/copernicuscenter)

Krzyżówka festiwalowa



Poziomo:

3. Najkrótsze teksty prof. Tabakowskiej.
6. Tak dla Zlatana.
7. Największy polski poeta, prawdopodobnie spokrewniony z Pauliem Davidem Hewsonem.
9. Swojego języka nie mają.
11. Chłopak od słówek.
13. De przy deszczowej ulicy.
15. Prostopadle do Westerplatte.
19. Old LAD from MIT.
20. Nie całkiem martwa.

Pionowo:

1. Wynalazca memów.
2. Facet za Vivian Bloodmark (i Dorianem Vivalcombem).
4. Zależy od przyimka (wg prof. Bralczyka i kolegów).
5. Znany entuzjasta gier językowych.
8. Bywał u Indian Pirahã (nie Tony Halik).
10. Muzo, raz daj jad za rozum.
12. Milczą u Paula Daviesa.
14. Łączy Charlesa Taylora i Leonarda Cohena.
16. Wężowy język.
17. Niemiecki plus poczucie humoru.
18. W peśni polska wydzielina.

Autor krzyżówki
© BARTEK KUCHARZYK



FACULTY.BENTLEY.EDU

Daniel Everett

O czym mówił Homo erectus

ŁUKASZ KWIATEK

Daniel Everett spędził wiele lat na podglądaniu i podsłuchiowaniu członków amazońskich plemion. Właśnie tam odnalazł klucz do zrozumienia, czym jest i jak powstał język.



→

Iudzie na całym świecie organizują sobie dach nad głową, używają ognia, wytwarzają i wykorzystują narzędzia i broń, gotują oraz rozmawiają z innymi osobami żyjącymi w pobliżu. Można się zastanawiać, czy jakieś przejawy tych zachowań obecne są także u innych zwierząt, ale trudno zaprzeczyć, że w naszym przypadku osiągnęły one zupełnie nowy poziom złożoności. Wiele osób uzna jednak, że choć zjawiska te łączy występowanie we wszystkich ludzkich społecznościach, to jedno z nich odróżnia się od pozostałych, ponieważ trudno myśleć o nim w kategoriach wynalazku kulturowego czy technologii. Chodzi oczywiście o język.

Technologia czy adaptacja

Spór o to, czy komunikację językową traktować należy jako kulturową innowację, podobną do piły elektrycznej, transportu publicznego lub posługiwania się ogniem, czy też jest ona zjawiskiem o zupełnie innym charakterze, najmocniej rozgorzał w drugiej połowie XX w. Stało się to w dużej mierze pod wpływem rozwoju informatyki i kognitywistyki, traktującej umysł jak program komputerowy, dokonujący rozmaitych obliczeń (czyli przetwarzania symboli zgodnie z pewnymi regułami). To wtedy językoznawcy, tacy jak Noam Chomsky, zaczęli tworzyć matematyczne teorie funkcjonowania języka, które wyjaśniały m.in., dlaczego komunikacja innych zwierząt różni się od sposobu porozumiewania się ludzi. Chomsky i jego zwolennicy uznali, że język opiera się przede wszystkim na składni i gramatyce, a więc na pewnej strukturze; na regułach łączenia symboli i generowania sensownych wypowiedzi. Posługiwanie się tymi regułami wymaga specyficznego mózgowego „oprogramowania”, niezależnego od „oprogramowania” umożliwiającego poruszanie rękami i nogami, wyobrażanie sobie czegoś, snucie planów albo przypominanie sobie błogich scen z dzieciństwa. Choć różne społeczności dysponują różnymi językami, to najgłębsze reguły rządzące nimi, najgłębsza językowa struktura jest zdaniem Chomsky’ego dla wszystkich języków wspólna.

Takie specyficznie językowe oprogramowanie mogło powstać tylko w jeden

sposób – na drodze biologicznej ewolucji. Oznacza to, że zdolność do używania języka musi być zakodowana w naszych genach – inaczej niż jest to w przypadku wynalazków kulturowych. Nikt rozsądny nie zakłada przecież, że istnieją geny budowania domów, produkcji broni, strzelania z łuku albo używania ognia i przygotowywania ciepłych posiłków. To raczej produkty kultury, a więc wytwory materialne lub zwyczaje przekazywane i udoskonalane z pokolenia na pokolenie na drodze naśladowania i instruktażu.

Problem jednak w tym, że genów języka nikt ciągle nie znalazł, podobnie jak specjalnego mózgowego modułu, który miałby język obsługiwać. Z tego powodu – także z kilku innych, którym przyjrzymy się za chwilę – Daniel Everett uważa, że o języku należy jednak myśleć jako o wynalazku kulturowym i technologii, a nie biologicznej adaptacji.

Niedoszły misjonarz

Everett chciał być misjonarzem, niczym małżeństwo, które spotkał w młodości i z którego córką ożenił się w wieku 18 lat. Wszystko podporządkował swojemu planowi. Pobierał nauki w protestanckim college’u, poznawał Pismo Święte i uczył się języków, by w przyszłości wyruszyć do Amazonii, poznać kulturę i języki tamtejszych plemion, przetłumaczyć na te języki Biblię i głosić im Słowo Boże.

Coś jednak poszło bardzo nie tak. Everett wprawdzie trafił do Amazonii i spędził tam kilkanaście lat, badając języki kilkunastu tamtejszych plemion, ale na żaden z nich nigdy nie przetłumaczył Biblii. Mało tego – po latach sam porzucił wiarę. Podobno dlatego, że w dżungli spotkał ludzi, którzy nie stworzyli żadnego systemu wierzeń religijnych ani mitów o stworzeniu, a mimo to odnaleźli szczęście i pokój – przynajmniej te doczesne.

Najwięcej czasu Everett spędził w głębi Amazonii wśród mieszkańców plemienia Pirahã, których zwyczaje językowe znacząco odbiegają od tych występujących nawet u sąsiednich plemion. Ich mowa składa się jedynie z 11 głosek: trzech samogłosek i ośmiu spółgłosek (w przypadku mężczyzn, kobiety używają siedmiu spółgłosek) oraz dwóch tonów. Żaden znany język na świecie nie posiada uboższej fone-

tyki. W języku Pirahã brakuje także wielu elementów, których nieobecność trudno sobie w ogóle wyobrazić.

Na przykład specyficznych nazw kolorów. Zamiast posłużyć się odpowiednim przymiotnikiem, Pirahã używają raczej opisów i porównań. Nie mówią, że coś jest „czerwone”, tylko raczej „to jest jak krew”. Dla kilku podstawowych kolorów – czerwonego, czarnego, białego i niebiesko-zielonego – niemal wszyscy członkowie plemienia używają takich samych wyrażen, przez co zaczynają one przypominać złożone nazwy kolorów. Jednocześnie ludzie ci nie mają żadnych trudności z rozpoznawaniem barw i odróżnianiem jednych od innych.

Nie używają zbyt wielu liczebników, jedynie najbardziej podstawowe: jeden, dwa, trzy i wiele. Zapytany, ile ma dzieci, przedstawiciel Pirahã nie będzie umiał nam odpowiedzieć, ale bezbłędnie wymieni imiona każdego ze swojej szóstki potomków. Pewne aspekty liczby potrafią oddawać w inny sposób. Mogą na przykład powiedzieć, kto jest starszy, określając, kto urodził się wcześniej (powiedzieliby dosłownie: „wyszedł z brzucha na głowie”), a kto później („wyszedł z brzucha na tyłku”).

Kulturowe tabu

Pirahã rzadko kiedy się z sobą żegnają – nie mają też zbyt wielu specjalnych zwrotów na taką okazję. Zamiast mówić „dobranoc”, powiedzą „nie śpij, tu są węże” albo „nie śpij, tu są jaguary” – co trochę przypomina nasze „karaluchy pod poduchą”. Ich język niemal całkowicie pozbawiony jest słów i zwrotów, które pełniłyby funkcję fatyczną, czyli tę, której celem jest raczej utrzymanie dobrych relacji z rozmówcą, „pogłaskanie” go za pomocą języka, a nie przekazanie jakichś informacji. Być może dlatego – choć Everett podkreśla, że to bardzo swobodna spekulacja – że Pirahã praktykują zbiorowe zabiegi pielęgnacyjne. Wieczorami przesiadują w grupach i wzajemnie się iskają.

Zgodnie z popularną teorią innego cennionego antropologa – Robina Dunbara – język wyewoluował m.in. dlatego, że musiał zastąpić tego rodzaju zabiegi określane u zwierząt jako „zachowania komfortowe”. Nasze społeczności zaczęły robić

się zbyt duże, by można było skutecznie rozluźniać się i łagodzić spory przy wspólnych sesjach iskania. Według Dunbara podobną funkcję zaczęły pełnić plotki, żarty i opowieści, możliwe dzięki językowi. Widać, że nie był to jednak jedyny powód ewolucji języka – albo po prostu nie wystarczyło to do tego, by oparte na kontakcie fizycznym, a nie słownym, „zachowania komfortowe” zanikły we wszystkich społecznościach.

Pirahã niemal w ogóle nie mówią o przeszłości ani nie mają przeszłych form czasownika, ale nie dlatego, że nie potrafią do niej sięgać myślami – to raczej ich kulturowe tabu. Nie mają wreszcie rekursji, czyli systemu osadzania jednego fragmentu wypowiedzi w kolejnych, niczym w wierszyku Jana Brzechwy: „A to jest łacie ciełę, / Które kopnęło Aniele, / Co jest złośliwa jak mucha, / Która ugryzła pastucha, / Co drażni kota z podwórka, / Który podrapał Burka, / Który szczeka na cały dom, / Który zbudował Tom”. Zamiast takiej konstrukcji Pirahã musieliby posłużyć się skomplikowaną sekwencją osobnych zdań. Tymczasem w jednej z najbardziej znanych wersji swojej teorii Chomsky wraz ze współpracownikami właśnie rekursję uznał za najbardziej fundamentalny element „głębokiej struktury” języka, czyli coś, co występuje we wszystkich językach świata.

Poza zwyczajną mowę Pirahã mają kilka innych, częściowo równorzędnych sposobów komunikacji, których używają w różnych kontekstach społecznych. W czasie polowań albo podczas ry-

■ W języku Pirahã brakuje wyrazów pełniących funkcję fatyczną, której celem jest utrzymanie dobrych relacji z rozmówcą, „pogłaskanie” go za pomocą języka.

walizacji mężczyźni (i tylko oni) komunikują się za pomocą gwizdów. Dobierając dźwięki o odpowiedniej długości i wysokości, mogą przekazać dowolne informacje, żartować czy kłamać. Ten sposób komunikacji ma swoją nazwę w języku Pirahã – określany jest jako „mowa kwaśnymi ustami”. Mowę „pomruków” komunikują się, gdy chcą utrudnić postronnym osobom zrozumienie przekazywanych informacji, wymaga ona koncentracji nawet od rodzimego użytkownika tego języka, ale w zasadzie także pozwala przekazywać dowolne treści. Mowa „krzyczana”, w której używa się jeszcze bardziej ograniczonego zbioru głosek i tonów, pozwala Pirahã komunikować się podczas burzy albo na duże odległości. Z kolei mowa „muzyczna” – albo, jak sami mówią, „wychodząca ze szczęki” – opiera się na zwiększeniu różnicy pomiędzy tonami wysokimi i niskimi, w połączeniu ze zmianą rytmu słów, co nadaje tej komunikacji melodyjne brzmienie. Służy ona m.in. przekazywaniu nowych informacji.

U części plemion, wśród których Everett mieszkał podczas swoich naukowych wypraw (i których gramatyki oraz zwyczajów językowych przez lata pracowicie opisywał), spotkania z nacierającą zewsząd nowoczesną cywilizacją odcisnęły swoje piętno. Ludzie ci wykorzystują obce wynalazki technologiczne i zmieniają swój styl życia. W jednej ze swoich książek Everett zobrazował ten proces następującą opowieścią. Gdy negocjował warunki swoich badań z członkami plemienia Kisedje, zauważył fotografię płaskiego placka z maki z bulwy manioku, na którym poukładane były kawałki mięsa. Zaintrygowany zapytał przywódcę plemienia, jak nazywa się ta potrawa. Ten odparł z uśmiechem: „pizza”.

Pirahã są inni. Nie chłoną wzorców obcych kultur i niechętnie uczą się obcych języków. Swoją odmienną silnie – być może silniej niż jakakolwiek inna grupa – manifestują w samym języku. „Pirahã” – jak mówią o samych sobie – oznacza „prosty”, podczas gdy obcych nazywają „krzywymy” (czyli w jakiś sposób „wypaczonymi”). Między sobą rozmawiają niemal wyłącznie o tym, co znają z pierwszej ręki (dlatego trudno było im zrozumieć przekłady fragmentów Ewangelii – relacje zupełnie obcych osób o odległych postaciach i wydarzeniach z przeszłości), a to wszystko odzwierciedla się w cechach ich języka. Tych kilkuset mieszkańców końca świata jest żywym i upartym dowodem na to, że język jest narzędziem kultury, dopasowanym do wymagań środowiska, w którym przyszło żyć jego użytkownikom.

→

REKLAMA

WYDAJEMY DO MYŚLENIA

 Copernicus
Center
PRESS



www.copernicuspress.pl



CopernicusCenterPress

Prawda ewolucji

→ Brak językowych uniwersaliów – takich jak proponowana przez Chomsky’ego rekursja – to tylko jeden z powodów, dla których Everett odrzuca teorię Chomsky’ego. Zwraca także uwagę na to, że przetwarzanie języka aktywuje rozległe sieci w mózgu, wliczając w to obszary kory ruchowej (w przypadku mówienia o czynnościach) czy wzrokowej (gdy mowa o przedmiotach). Dlatego bardziej prawdopodobna jest odmienna wizja powstania języka – jako wynalazku kulturowego, skrojonego na miarę posługujących się nim społeczności, z indywidualną historią i cechami uzależnionymi od zwyczajów kulturowych, który zaczął wykorzystywać części mózgu zaangażowane w wiele innych czynności. Nie ma jednego wrodzonego u ludzi mózgowego modułu językowego, jak chciałby Chomsky – jest za to silnie plastyczny mózg, zdolny do wchłonięcia języka, jeśli tylko właściciel tego mózgu zostanie wystawiony na działanie kultury. Podobnie jest z szeregiem innych umiejętności – wiązaniem butów, korzystaniem z narzędzi, pisanem, jazdą na rowerze, uprawianiem matematyki i graniem na instrumentach muzycznych.

Taka wizja, dodajmy, jest zresztą znacznie bliższa „kanonicznemu” ewolucyjnemu podejściu, ponieważ jakiejkolwiek zdolności intelektualne czy cechy fizyczne nie pojawiają się w całej swojej okazałości dzięki pojedynczym mutacjom genetycznym – jak chciałby m.in. Chomsky. Ewolucja raczej stopniowo przetwarza obecne już struktury, rozbudowuje je i nadaje im nowe funkcje. Dlatego nie powinno nas dziwić, że mózg korzysta z tego, co nazywamy „korą ruchową” czy „korą wzrokową” także w przetwarzaniu pojęć. Pojawienie się zupełnie nowego modułu językowego z biologicznego punktu widzenia byłoby pewną nonszalancją.

Everett nie twierdzi oczywiście, że język jest całkowicie niezależny od genów, tylko że nie istnieją u ludzi geny typowe dla językowej komunikacji. Niedługo część badaczy sądziła, że kandydatem na taki gen jest FOXP2, którego mutację wykryto m.in. w pewnej rodzinie, gdzie jej członkowie cierpieli na szereg zaburzeń mowy. Dziś sądzi się raczej, że to gen odpowiedzialny za wiele rodzajów uczenia się – w tym ucze-

nie się języka. Język nie jest więc „genetycznie zaprogramowany” w tym sensie, że nie rośnie jak włosy czy paznokcie, niezależnie od naszych doświadczeń. Podłoże genetyczne umożliwia uczenie się, a dzięki wzorcom kulturowym, na które wszyscy jesteśmy od dzieciństwa wystawieni, języka uczymy się szybko.

Co ciekawe, współcześnie podobne dyskusje toczą się na gruncie moralności. Niektórzy badacze twierdzą, że u ludzi istnieją zakodowane genetycznie tendencje do postępowania altruistycznego, inni – że geny dostarczają jedynie mechanizmu uczenia się. Zgodnie z tym drugim stanowiskiem moralności – podobnie jak języka – musimy się nauczyć. Debata na temat pochodzenia języka wpisuje się więc w pewien szerszy nurt dyskusji nad ogólnymi źródłami tego, co nazywamy „ludzką naturą”.

Dwa miliony lat temu

Badania zwyczajów mieszkańców amazońskiej dżungli, u których Everett odkrył językowe wynalazki nieobecne w wielu „nowocześniejszych” językach, uzmysłowiły mu, jak mogła przebiegać ewolucja języka naturalnego: powstawanie coraz bardziej złożonych, ale też ułatwiających komunikację reguł gramatycznych czy słów lub zwyczajów językowych pasujących do różnych sytuacji społecznych. Skłoniły go także do poszukiwań odpowiedzi na pytanie, kiedy język mógł powstać. Temu zagadnieniu poświęcił swoją najnowszą książkę.

Jej głównym bohaterem jest *Homo erectus* – gatunek kopalnego człowieka, który pojawił się w Afryce ok. 1,8 mln lat temu, a potem rozprzestrzenił się po ogromnym obszarze Europy i Azji. Dotarł nawet w tak trudno dostępne miejsca jak wyspa Flores w Indonezji czy na Kretę, co musiało się wiązać z opanowaniem przez niego jakiejś formy żeglarstwa. *Homo erectus* pozostawił po sobie okrucy złożonej kultury – narzędzia, broń, ślady prymitywnych osad.

W Gesher Benot Ya’aqov na terenie dzisiejszego Izraela odkryto ślady zorganizowanej społeczności, której członkowie w określonych częściach osady przetwarzali mięso, w innych pokarm roślinny, w jeszcze innych żyli na co dzień. Ślady te pochodzą sprzed 750 tys. lat – zostawiła

je bez wątpienia społeczność *Homo erectus*. Trudno się spodziewać, by mogła aż w takim stopniu zorganizować sobie życie bez języka – podobnie jak trudno się spodziewać, że inne populacje mogłyby pokonywać na tratwach dziesiątki kilometrów morza bez językowej komunikacji. W wielu innych miejscach na świecie odnajdywano kamienne narzędzia tego hominida – toporki czy noże – tak skomplikowane w produkcji, że rozwój umiejętności ich przygotowywania wymagał tysięcy godzin ćwiczeń. Polegających nie tylko na naśladowaniu mistrzów, ale również na ich słownych instrukcjach.

Mało tego – w skamieniałościach *Homo erectus* znajdujemy świadectwo przyspieszonej ewolucji organów głosowych. Ok. 300 tys. lat temu, gdy pojawiły się pierwsze istoty określane jako *Homo sapiens*, dysponowały już one ukształtowanymi narządami głosowymi – niemal identycznymi do tych, które my sami posiadamy (wynalezienie rolnictwa nieco je jeszcze zmodyfikowało, nauczyliśmy się wymawiać więcej głosek). To sugeruje, że mowa musiała wyewoluować wcześniej – prawdopodobnie właśnie u *Homo erectus*.

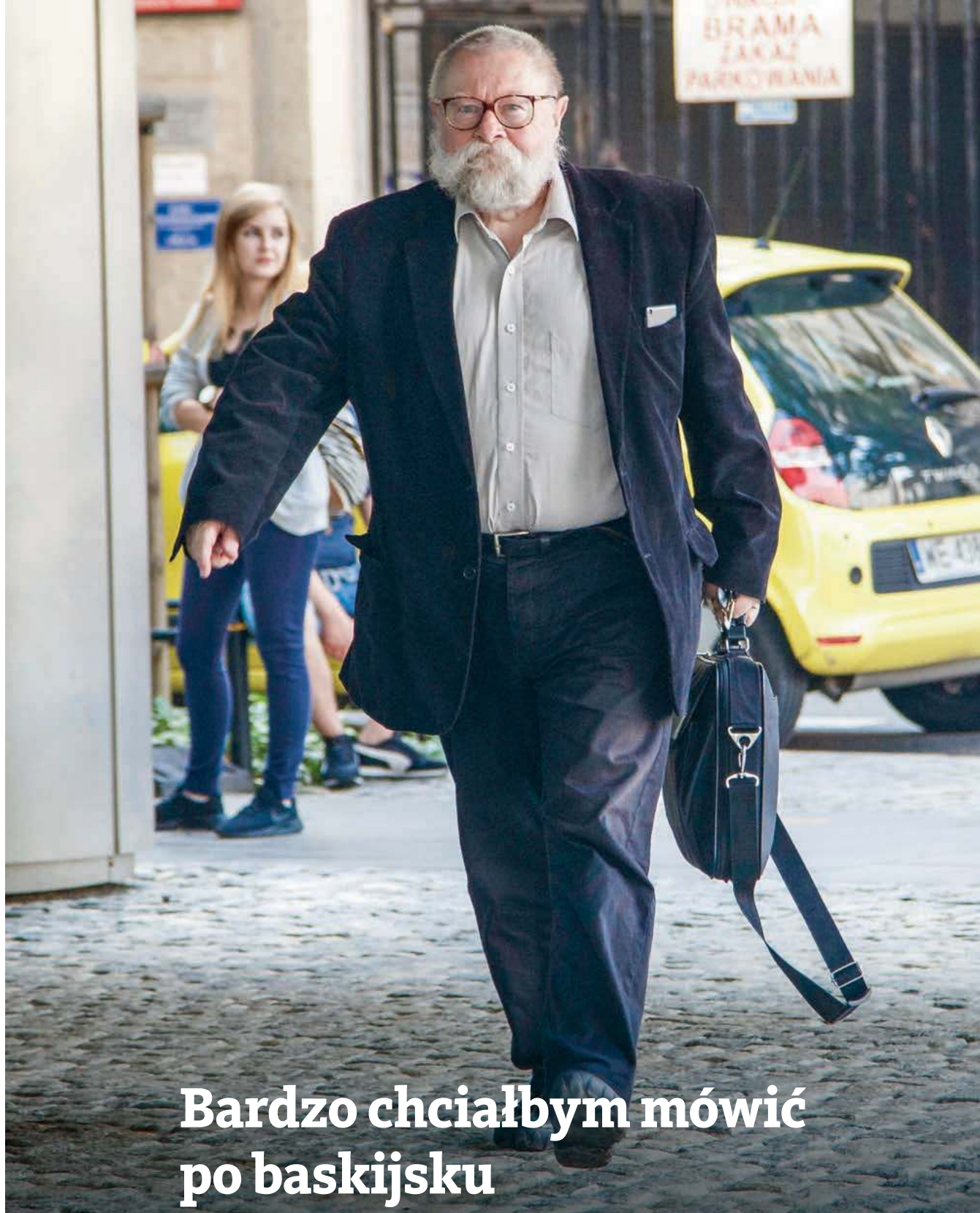
Nie brak oczywiście teorii konkurencyjnych, które zwykle pojawiają się przy okazji znaczących zmian – niektóre wiążą go wyłącznie z naszym gatunkiem – ale Everett swoją teorię o języku stworzonym przez *Homo erectus* uzasadnia wyjątkowo przekonująco. Nie wie oczywiście, jak dokładnie przebiegała ewolucja języka – sądzi, że mowę, przynajmniej taką, jaką dzisiaj się posługujemy, poprzedzały inne formy komunikacji, oparte chociażby na gwizdach czy pomrukach, podobnych do tych, których używają Pirahã. Mimo zauważalnej ewolucji organów głosowych nawet późny *Homo erectus* nie mógł wydawać wszystkich dźwięków obecnych we współczesnych językach. Mógł przypominać, jak twierdzi Everett, raczej gadającego goryla niż współczesnego człowieka.

Bez wątpienia miał jednak o wiele więcej do powiedzenia niż nawet najbardziej rozgadana małpa.

©P

ŁUKASZ KWIATEK

Autor jest kierownikiem działu naukowego „TP”.



Bardzo chciałbym mówić po baskijsku

Jerzy Bralczyk, Warszawa, wrzesień 2017 r.

JERZY BRALCZYK, JĘZYKOZNAWCA:

Tęsknię za społeczeństwem, w którym debata parlamentarna i telewizyjna jest wyszukana. W ten sposób też możemy być agresywni. Elegancja tego nie wyklucza, tylko proponuje pewien styl.

FORUMGWIAZD.COM.PL



⇒ **JAKUB MEJER:** Dużo się dziś mówi o języku w przestrzeni publicznej. Mamy choćby słynne paski „Wiadomości” TVP, które przeanalizowała Rada Języka Polskiego. Dyskutujemy też o szkołach, które stoją przed nowymi wyzwaniem, gdy idzie o naukę języka, weryfikację informacji czy reagowanie na agresywne wypowiedzi.

JERZY BRALCZYK: Język jest środkiem komunikacji, sposobem artykulacji świata, ale bywa też postrzegany jako pole i przestrzeń konfliktu. Sposób używania języka staje się sam tematem wielu wypowiedzi publicystów i polityków.

To dobrze czy źle?

Bardzo rzadko to bywa jednoznaczne. W publicznych wystąpieniach polityków często przedmiotem ataku są wypowiedzi. W sferze znaczeń tym, co dostajemy jako odbiorcy, konsumenci polityki, są wypowiedzi i kontrwypowiedzi.

Na tym się opierają media.

Czy to dobrze, czy źle? Może mieć to pozytywny charakter. Zwraca uwagę na to, co język może z nami zrobić i dlaczego akurat funkcjonuje w społeczeństwie. Z drugiej strony może to pokazywać, że my tym językiem chcemy coś osiągnąć, jesteśmy sprawczy.

To normalne w rozwoju człowieka. Dzieci przeżywają się, dokuczają sobie słownie. Bardzo często język jest terenem nie tyle porozumienia, dołączenia do wspólnoty, co zaznaczenia swojego miejsca, dominacji, zwycięstwa albo przegranej. Językiem wiele się osiąga kosztem innych. I to, co się dzieje między dziećmi w piaskownicy, jakimś sposobem odtwarza się w naszym późniejszym dorosłym życiu. Nawet grup społecznych, polityków.

Rada Języka Polskiego stwierdziła, że „język debaty publicznej jest obecnie postrzegany jako jedna z głównych przyczyn negatywnych zjawisk społecznych w Polsce”. Ludzie czują obrzydzenie do tej debaty?

Jej styl może degustować, ale wiemy też, że odbiorcę przyciąga to, co jest wyraziste. Kłótnia jest atrakcyjniejsza od zgody. Przekazy medialne, które poświęcone są kon-

fliktowi, mogą liczyć na większą liczbę czytelników, widzów, słuchaczy. Z jednej strony jest to piętnowane przez media. Z drugiej te same media, zwracając na to uwagę, uprawiają raczej popularyzację konfliktu.

Możemy sobie wyobrazić społeczeństwo, gdzie większość konfliktów odbywa się zakulisowo. Tak bywało na przykład w ustrojach mniej demokratycznych. Spory polityczne też istniały, ale były cenzurowane. Konfliktu na zewnątrz tak jakby nie było. Można powiedzieć, że taki model też jest niewłaściwy, bo czyni życie polityczne nieprzejrzystym, człowiek czuje się mniej podmiotowo.

Media mogą swoje posłannictwo widzieć w tym, że będą upowszechniać harmonię, ale wtedy mało kto może liczyć na popularność. Podobnie jest z politykami. Oni też wiedzą, że jeżeli będą zachowywać się wyraziście i agresywnie, będą przynajmniej rozpoznawani.

Sami jesteśmy sobie winni.

Uczestniczy w tym też technika językowa, coraz częściej stosowana, do której uczestnicy gry publicznej się przyznają. Sami mówią, że są szkoleni. To wszystko jest akceptowane, wpływa na nasze poglądy, sposób widzenia świata. Jesteśmy stymulowani przez to, co nam się mówi i jak się mówi. Powinniśmy to sobie uświadamiać – może nas to prowadzić do większej partycypacji społecznej. Będziemy silniej czuć się obywatelami, od których coś zależy, rozumiejącymi, co się dzieje. Ludzie mają tendencję do szukania identyfikacji, samookreślenia, w takim konflikcie zajmują stanowisko.

Przyjrzyjmy się strajkowi nauczycieli. W sporze biorą udział: nauczyciele, rodzice, uczniowie, strona rządowa, związki zawodowe, obserwatorzy. Jest on opisywany na różne sposoby i to ma wpływ na postawę ludzi, czy będą popierali strajk, czy nie. Mamy proste schematy, na przykład z jednej strony „to niedobrze, że się dzieci nie uczą” i „to niedobrze, że nauczyciele mało zarabiają” z drugiej. Ale mamy też takie przekazy: „rząd nie chce rozmawiać z nauczycielami”, „rząd gardzi nauczycielami” albo „nauczyciele dbają o swoją godność”. To już są zdania, które opisują rzeczywistość bezpośrednio w sferze

symbolicznej, a nie w sferze faktów. Takie zdania sprawiają, że my się sami określamy, wybieramy coś, angażujemy się. I to jest m.in. sprawą języka. On może być narzędziem manipulacji, ale może też być narzędziem dobrego, jasnego przedstawiania racji. Rzecz w tym, co ma dominować.

Jaki ma to wpływ na język używany na co dzień?

W sytuacji codziennej ta debata publiczna też ma miejsce. To nie jest tak, że tu jest debata publiczna, a tam są nasze codzienne rozmowy. To są tematy do rozmów, na przykład przy świątecznym stole. Wiadomo, często wynikają z potrzeby zabicia czasu, socjalizacji, kontaktu. Jedni się lubią kłócić, inni zgadzać, jeszcze inni kogoś obmawiać. Niektórzy psychologowie uważają, że agresja słowna może stymulować agresję fizyczną. Inni, że może ją zastępować. Tu jest sytuacja trochę analogiczna. Jedni jeżeli widzą, że ktoś się kłóci, będą łagodni, bo ich to mierzi. Inni uznają, że też mogą, i będą sięgać po sformułowania ostre.

Postrzegamy zniesienie cenzury za zjawisko oczywiście pozytywne. Wiadomo jednak, zwłaszcza w sytuacji, gdy cenzura była i została zniesiona, że poczucie wolności obniża standard. Wtedy można mówić nie tylko o rzeczach, o których się nie mówiło, ale też w sposób, który był przedtem określany nie polityką i ideologią, lecz zwykłą przyzwoitością. Mogę teraz swobodnie używać wulgaryzmów. Kiedyś używało się określeń „język parlamentarny” i – jeszcze częściej – „język nieparlamentarny”. Tymczasem akurat w parlamencie takie wyrażenia padają, a media je skwapliwie wychwytyują i popularyzują.

Czy to ma wpływ na społeczeństwo? Chyba w mniejszym stopniu na młodzież, która często wyraża swój brak zainteresowania tą sferą działań. To raczej dotyczy mojego pokolenia i ludzi w średnim wieku. To trochę utopijne, ale tęsknię za społeczeństwem, w którym publicznie mówi się w sposób elegancki. Gdzie debata parlamentarna, polemika zaproszonych do telewizji gości jest wyszukaną. W ten sposób też możemy być agresywni. Elegancja tego nie wyklucza, tylko proponuje pewien styl. Ten styl też jest

ważny, kto wie, czy nie ważniejszy od różnych racji. Dobre wychowanie jest wartością, którą powinniśmy pielęgnować, bez względu na to, jakie mamy poglądy.

W sondażu CBOS-u Polacy wskazali, co w języku najbardziej ich mierzi. Ubóstwo słownictwa, masowe zapożyczenia z języków obcych, wulgaryzmy.

Ludzie są o tym przekonani, ale to rzadko wpływa na ich zachowania. Sami używają słów zapożyczonych. Gdybyśmy ich nie mieli, nie umielibyśmy się porozumieć. Ubóstwo języka nie istnieje, istnieje ubóstwo mowy. W języku jest bardzo dużo słów do wykorzystania i konstrukcji, które są obecnie zapomniane. Publicznie także nie dba się o to, by używać słów, które są wykorzystywane rzadziej. To samo jest z wulgarnością; zresztą te słowa tracą moc, jako ciągle używane. Ja bym zapytał inaczej: co ludziom się w języku podoba? Co chcieliby w nim zachować? Na to odpowiedź jest trudniejsza. Ciekawe, czy odpowiedzieliby: „Żeby był rdzennie polski”? Pewnie niektórzy tak, ale to byłoby fałszywe, bo już się nie da tego zrobić. „Żeby zawierał słowa tylko eleganckie”? A co z emocjami wówczas?

A jak Pan odpowiedziałby na to pytanie?

Na pewno bym chciał, żeby dla ludzi słowa znaczyły rzeczy podobne. Żeby nie było tak, że możemy do słów dokładać dowolną treść. Nazywać ludzi, którzy na to nie zasługują, bohaterami, złodziejami, szarańczą.

Ja mam taki problem ze słowem „przyjaciół”. Są ludzie, którzy mają jednego na całe życie, dla innych przyjacielem jest każdy znajomy z pracy.

Jest jeszcze inaczej. Dzisiaj przyjaciel to bardzo często partner. Dla kobiety przyjaciel może oznaczać eufemistycznie kochanka. Częściej jeszcze dla mężczyzny: „on ma przyjaciółkę”. Słowo, które jest tak ważne, bywa inaczej używane. To prawda, mamy ze słowem „przyjaciół” pewien problem, ja też mam. Uważam, że powinniśmy oszczędniej nim gospodarować. Mieć kilku przyjaciół, a nie setki.

Jeżeli mówię, że „lajkuję”, to się angażuję bardziej, co jest niezgodne z moim językiem. Nie mogę powiedzieć, że „lubię ten wpis”. Wtedy go mogę polubić, kiedy oglądam go dość często, wracam do niego.

Dotknął pan ważnej rzeczy. Określenie relacji jest często określeniem naszej tożsamości. Kim jesteśmy, jak się określamy. Jeśli pana zapytamy: „Kim pan jest?”, jakiego rzeczownika pan użyje? Najpierw pan powie, że jest mężczyzną, dziennikarzem, Polakiem, warszawiakiem, a może coś jeszcze innego? Zbieraczem starych monet?

Te kłopoty, o których pan mówi, są często związane ze sprawą przepływu międzyjęzykowego. Dlaczego się stawia „lajki” – i co to znaczy? Że ja to lubię? W polskim, jeśli coś widzę pierwszy raz, to raczej nie lubię, tylko mi się to podoba.

Jeżeli mówię, że „lajkuję”, to się angażuję bardziej, co jest niezgodne z moim językiem. Ja nie mogę powiedzieć, że „lubię ten wpis”. Wtedy go mogę polubić, kiedy oglądam go dość często, wracam do niego. A ja przecież tylko raz go zobaczyłem. On mi się podobał. To jest określenie językowe. Angielska forma *like* może wyzwać większe zobowiązanie. Co mi się podoba, może mi minąć. Co lubię, już nie bardzo. Nie mogę powiedzieć, że lubię ten film, jeśli widziałem go raz. On mi się tylko podoba. Ten dystans jest ważny.

Podobnie sprawa ma się z innym wszechobecnym słowem „hejt”.

To prawda, hejt nie odpowiada polskiej nienawiści.

Powiedziałbym, że jest używane do nazywania mowy nienawiści.

Określenie „mowa nienawiści” też jest z angielskiego. Nasza nienawiść jest inna. Wyrażanie nienawiści nie jest przecież

samą nienawiścią. W angielskim wpis jest nazwany *hate*, czyli nienawiścią. Nie nazwę po polsku wpisu nienawiścią. Te subtelne czasami różnice znaczeniowe wpływają na nasze podejście do sprawy. Nienawiść jest bardzo poważnym uczuciem. Czasem bywa wzniosła. Do wrogów bywała pokazywana jako wzór patriotyzmu. „Panie, nienawidziłem zła” – mówił Kryspus w „Quo vadis”. Taka nienawiść mogłaby być uznana za szlachetną.

Mogę powiedzieć, że hejt jest wredny, plugawy, obrzydliwy, wstrętny. Mogę dodać różne przymiotniki, które pokażą mój negatywny stosunek do tych hejtów, ale nie powiem, że to jest nienawiść. McLuhan mówił, że środek przekazu jest przekazem, ale to była metafora. Ja nie mogę powiedzieć, że przekazywanie nienawiści jest nienawiścią.

Mówi Pan Profesor o wpływach języków obcych na polszczyznę. Jaki efekt na nasz język wywrze imigracja Ukraińców do Polski?

Gdyby nawet pojawiły się jakieś słowa, to będą izolowane. Będą związane z problemami ludności napływowej.

Jeśli w sklepie albo w fabryce będzie zespół składający się z trzech Ukraińców i jednego Polaka, to on nie będzie od nich przejmować słownictwa?

Nie sądzę. Angielski język pod wpływem Polaków nie zmienił się ani na jotę. Napływ Turków do Niemiec nie zmienił niemieckiego.

Ale na przykład we Francji...

Tam jest już trochę inaczej. Algier był częścią Francji. Polska była pod dominacją Rosji najpierw w czasie zaborów (przynajmniej znaczna jej część), potem przez ponad 40 lat pod dominacją Związku Radzieckiego. Ale zadziwiająco mało jest rusycyzmów w polszczyźnie. I nie odnoszą się one do czegoś związanego z wielkimi osiągnięciami cywilizacji, raczej do spraw codziennych, mających też piętno czegoś gorszego. Ja akurat jestem rusofilem i lubię rosyjski. Uważam, że wiele moglibyśmy przejmować z tego języka. Tym bardziej że ogromna część tych słów ma kozenie prasłowiańskie.

⇒ To ciekawa rzecz – poszczególne języki określały sfery, w których istniały. Na przykład jest trochę słów wziętych z jidysz. To są słowa związane czasem z handlem, czasem z przestępstwami.

Jaki wpływ na język ma internet?

Ta sfera polityczna nie jest tak często w internecie obserwowana. Memy polityczne, ze względu na swoją absurdalność, cieszą się pewnym powodzeniem. Już prędzej może jakieś komercyjne teksty reklamowe. One może wpływają na to, jak mówimy na co dzień.

Na pewno są sytuacje internetowe, które wymuszają na nas lapidarność. *Tweet*, który jest stosunkowo nowym wynalazkiem, jest dla mnie ciekawy, bo to jest niezwykle krótkie, ale publiczne zachowanie. To, że politycy tweetują, wydawało mi się najpierw czymś paradoksalnym. Ja bym cierpiał, gdyby przyszło mi do sprowadzenia tego, co myślę, do kilkunastu wyrazów. Korespondencja esemesowa też wymusza na nas lapidarność.

Czy są jakieś aspekty języka, nad którymi kolejne pokolenia badaczy powinny się skupić? Coś jest jeszcze mało zbadane?

Były zabory, okupacja, polityczne przemiany. To miało wpływ na badania. Nie można było opisywać języka polskiego jako języka, którego przebieg rozwoju był niezakłócony.

Czyli najbardziej brakuje regularności?

Tak, bardzo mi tego brakuje. Płynnego przechodzenia. Ale z drugiej strony XVI-wieczna polszczyzna dla nas jest dzisiaj w znacznym stopniu zrozumiała. XVI-wieczna angielszczyzna, zwłaszcza literacka, już dla Anglika w mniejszym stopniu, nie mówiąc o Amerykaninie. Mimo że tak szybko się pewne rzeczy działy, to polszczyzna się nie zmieniała aż tak bardzo. Oczywiście wielu pisało tak, że trudno to teraz zrozumieć, ortografia była niestabilizowana. Ale Krasickiego możemy czytać zupełnie swobodnie, nie ma żadnych problemów. Kochanowskiego też. Ale może z dzisiejszą polską młodzieżą jest inaczej...

Jest perspektywa zmian krótkofalowych i długofalowych. Jak wyglądają

zmiany na przestrzeni kilku wieków i kilkunastu lat. Jaka jest dynamika tych zmian, w jakich sferach. Czasem się wydaje, że w tych podstawowych sferach język się nie zmienia, na przykład gramatyka. No ale wychodzą z użycia pewne formy, na przykład imiesłowy przysłówkowe uprzednie. To, co stanowi jądro języka dla każdego – zaimki osobowe – ulega zmianom. „Mię” już nie mamy od kilkudziesięciu, prawie stu lat. „Widziałeś mię”. W zapisie, bo jak ze sobą rozmawiamy, to nie bardzo wiem, czy to jest „mię” czy „mnie”. To jest często bardziej „mię” niż „mnie”, ale zapiszemy jako „mnie”. Dziś mało kto mówi: „mnie się to podoba”. Mówią: „mi się to podoba”. Jedna z form zaimkowych znika. Albo to „ja” na początku zdania. To było bardzo rzadkie. A teraz słyszy się: „ja myślę”, „ja byłem”.

Zmiany fonetyczne też zachodzą. To osobliwe wymawianie miękkich spółgłosek przez dziewczęta. Chłopcy tego nie mają. Dlaczego dziewczyny tak mówią? Miałem taką koncepcję, że nie chcą być dziecinne, a taka wymowa wydaje się mniej dziecinna. Ale to chyba nie jest do końca tak. I dlaczego to jest domeną jednej płci? Wydaje się, że zmiany fonetyczne bardzo długo muszą czekać. Zmiany gramatyczne też. A tu ciach, ciach i już. Dlaczego zmieniają się przypadki? Dlaczego potrzebujemy „coś”, a nie „czegoś”? Pilnujemy „coś”, a nie „czegoś”. Czekamy już zawsze „na coś”, nawet oczekujemy „na coś”, a nie „czegoś”.

A z nowych trendów w języku polskim co jest najbardziej charakterystyczne na przestrzeni ostatnich lat?

Oczywiście zapożyczenia. Wiele słów oznacza nowe rzeczy, więc inaczej się nie da, chociaż były takie próby.

Francuzi wymyślali własne słowa.

Kiedyś było tak, że jak był postęp technologiczny, to próbowano opisać to metaforami. Kolejnictwo i pociąg, dworzec, tor, szyny, wagon. Telefonia i sznur, tarcza, słuchawka. To wszystko były próby przeniesienia dawnych słów, które istnieją, do tego, co się pojawiało nowego technologicznie. Teraz przejmujemy te słowa z angielskiego. Czasem to są tłumaczenia – myszy nie nazywamy mouse'em, tylko

myszą. Ale z klikaniem to już jest angielski *click*.

Polacy uwielbiają się chwalić w internecie, że polski to najtrudniejszy język na świecie.

Nie ma takich miar, na razie przynajmniej powszechnie uznanych, które by to mogły potwierdzić. Myślę też, że to wszystko zależy od poziomu znajomości, o jaki nam chodzi. Czy to jest język, w którym najtrudniej się nauczyć podstawowego sposobu porozumiewania się, czy też opanować w pełni?

Jak jest z polskim?

Są języki, których subtelności kształtowały się przez bogatą literaturę, jak francuski, gdzie tych kilkuset form gramatycznych czasowników czynnie już w pewnym wieku człowiek nie jest w stanie opanować. Opanowanie języka polskiego stanowi pewną trudność, może to jest też trudność w poczuciu intuicyjnym. Kiedy uczyłem polskiego za granicą, bardzo trudno było moim uczniom uznać za oczywistą różnicę pomiędzy czasownikami dokonanymi i niedokonanymi. To było dla nich trudne: zrobić i robić. Dla nas jest oczywiste, nawet sobie rozumu nie zaprzatamy, na czym to polega.

Polszczyzna jest językiem bogatym, ale myślę, że nie ma aż tylu zakamarków. Trudno się nauczyć języka, który ma wiele wyjątków. W polszczyźnie tych wyjątków trochę jest. Utrudniają przypadki, ale cóż te nasze przypadki w porównaniu z fińskimi, których jest dużo więcej? Język jest trudniejszy do opanowania, jeśli nie mamy poczucia jakichś wspólnych korzeni. Bardzo chciałbym mówić po bałtyjsku. Do pewnego stopnia trudna jest wymowa polszczyzny, przez szeleszczące ciągi spółgłoskowe.

Ale czy najtrudniejszy? Dla Polaka na pewno nie.

©

Rozmawiał JAKUB MEJER

Prof. JERZY BRALCZYK jest językoznawcą, specjalistą z zakresu języka mediów, polityki i reklamy. Członek Rady Języka Polskiego. Twórca programów telewizyjnych poświęconych polszczyźnie.

Sztuka wystawiania języka

ANDRZEJ BEDNARCZYK

**Nie chcą nas zabawiać, poklepywać po ramieniu
czy usłużnie przytakiwać dawnym mniemaniom.
Nauka i sztuka w poszukiwaniu prawdy zwodzą nas
z utartych dróg w nierozpoznane i jeszcze nienazwane chaszcze.**

Maoryscy wojownicy w rytualnym tańcu haka wystawiają języki, co wraz z wytrzeszczaniem oczu, marszczeniem brwi i groźnym pokrzykiwaniem stanowi sztukę prezentacji wojowniczości. W naszej kulturze nie uchodzi publicznie prezentować ten narząd, a już na pewno takiego zachowania nie nazwiemy sztuką. Przystoi ono co najwyżej małym dzieciom, a i to szybko przez wychowawców bywa obłożone odium nieprzyzwoitości. Wystawianie języka w kulturze europejskiej zeszło do podziemia. Pozwalamy sobie na nie jedynie w zaciszu lekarskiego gabinetu lub przed łazienkowym lustrem i to gwoździ zdrowia i higieny, a nie wyrażania stosunku do świata, pobratymców ni wrogów. Nawet w trakcie słynnego pojedynku stoczonego w Gombrowiczowskim „Ferdurke” między Syfonem a Miętusem, wywalanie jęzora nie znalazło się w arsenale śmiertelnych grymasów. To wszystko prawda, może z kilkoma wyjątkami. Okazuje się, że czasami złamanie konwenansów prowadzi do powstania czegoś, co gdy ucichnie pomruk oburzenia, uznamy za ważne i co stanie się powszechnie akceptowane, a nawet podziwiane. Gdy w 1951 r. Artur Sasse uchwycił aparatem fotograficznym twarz 72-letniego Alberta Einsteina wystawiającego język, portret ten szybko stał się treścią popkultury i jednym z najbardziej rozpoznawalnych wizerunków wielkiego uczonego.

Niespełna 20 lat później John Pasche zaprojektował logo zespołu Rolling Stones w formie ust z wywalonym jęzorem. Możliwe, że inspiracją do tej grafiki były znane powszechnie, niezwykle ekspresyjne miny lidera zespołu, Micka Jaggera. Bardzo szybko z tym znakiem zaczęła się identyfikować ówczesna młodzież uzna-

jąc, że trafnie wyraża ich stosunek do establishmentu. Dzisiaj grafika ta powszechnie jest uważana za najsłynniejszy symbol w muzyce rockowej. Komu wystawiała język rewolucja młodzieżowa, która rozlała się z paryskiej Sorbony na cały zachodni świat, zdaje się być jasne. Trudno jednak zrównywać młodzieżową kontestację ze strojącym miny geniuszem fizyki. Komu on pokazał język? Fotoreporterom, wyznawcom fizyki newtonowskiej, zazdrośnym a nobliwym profesorom? To nieistotne. Ważne pozostaje, że rozsądził fundamenty naszego postrzegania, zakwestionował dotychczasowy język i zmusił do ponownego przemyślenia jego podstaw, do uczenia się abecadła, z którego będziemy składać na nowo nasze opowiadanie o Wszechświecie i nas samych w nim. Po nim, na pohybel ludzkim zmysłom i logice, przyszły nieoznaczoność Heisenberga, kot Schrödingera i kwantowe splątanie.

Niemówność milczenia

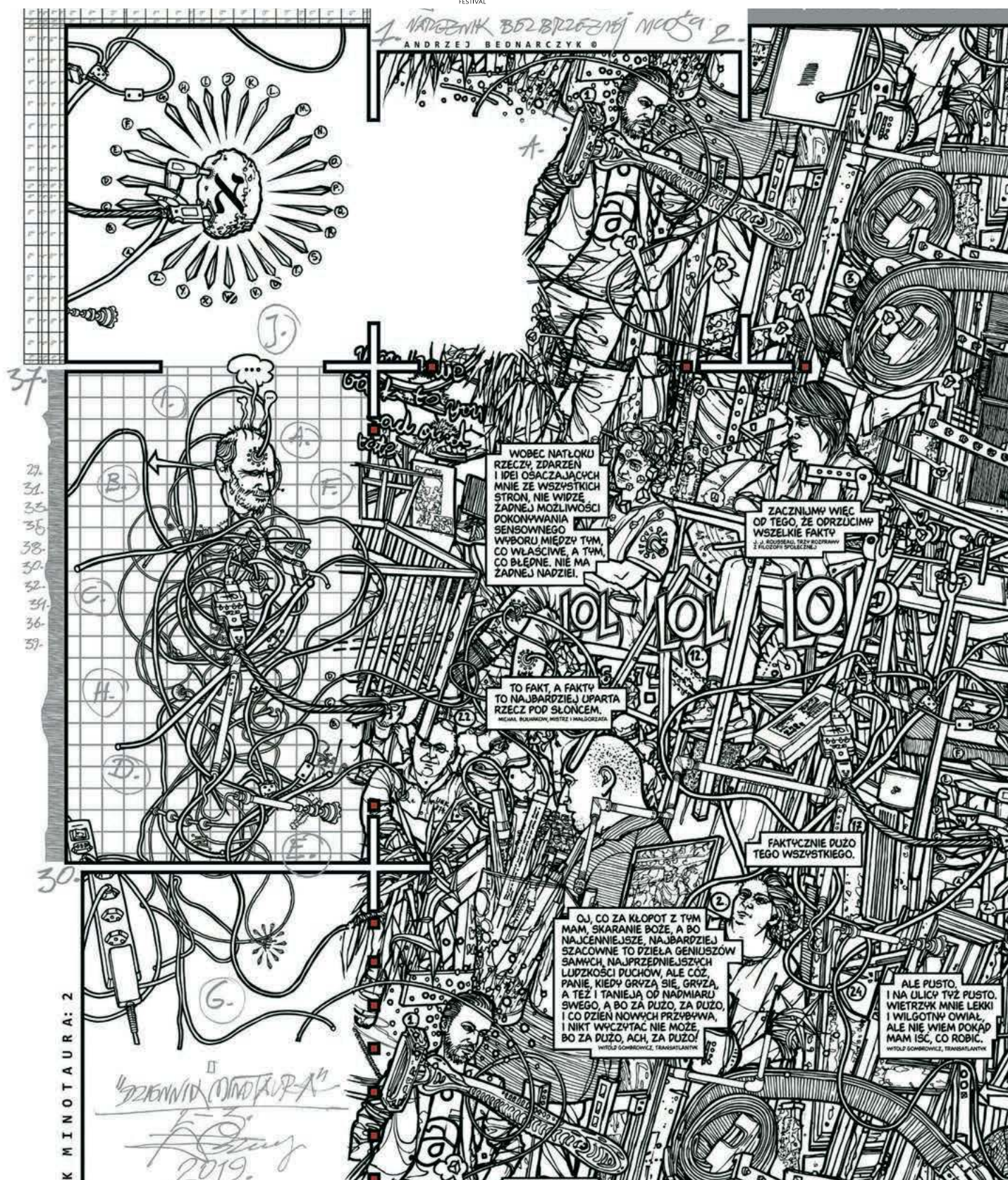
Pracując nad kształtem ekspozycji „Sztuka wystawiania języka” myśleliśmy nie tylko o łamaniu przez naukę i sztukę społecznych konwencji, ale przede wszystkim o ścieżkach, jakimi podąża ludzkie opowiadanie, kwestionowanie, opisywanie i wyrażanie świata. To prawda, że poznając niezgodne z naszym codziennym doświadczeniem realności wyniki badań naukowych albo wchodząc do galerii sztuki wypełnionej dziwnymi obiektami mamy niekiedy wrażenie, że twórcy pokazują nam język, kpią z naszego sposobu rozumienia i odczuwania rzeczy. Tak jest w istocie. Nauka i sztuka nie znoszą stagnacji. Istnieją nie po to, by nas zabawiać, poklepywać po ramieniu czy usłużnie przytakiwać dawnym mniemaniom. Są

raczej po to, by w poszukiwaniu prawdy zwodzić nas z utartych dróg w nierozpoznane i jeszcze nienazwane chaszcze. Tam, gdzie dopiero rodzą się zarysy nowego obrazu świata. Podążając za kwestionowaniem poznanych i opisanych już rzeczy, język wytrąca sam siebie z wcześniej usankcjonowanych zasadami i konwencjami kolein. Nie ignoruje ich. Ortograficzna, gramatyczna, formalna czy kompozycyjna wadliwość fraz i układów nie jest przecież rewolucją. Język raczej przekracza sam siebie, nagina się, niekiedy do granic własnej wytrzymałości, by oddać wiernie to, co rodzi się w ludzkich oczach, umyśle i duszy.

Czy sztuka albo nauka jest w stanie samodzielnie wyśpiewać cały świat? Zapewne nie!

Po pierwsze dlatego, że wszyscy podlegają regułom języków, a ich przystawalność do opisywanych rzeczy jest ograniczona, i nawet jeśli możliwy i pożyteczny jest matematyczny opis wschodu słońca, to poprzestając na nim, gubimy jakąś część prawdy. Tę zaś odsłoni przed nami poezja. Są treści wyrażalne w słowach, są też takie, które potrzebują melodii, gestu, liczby, koloru. Po drugie, zdaje się zasadnym powiedzenie Michała Hellera, że „rzeczywistość jest bogatsza od pytań, jakie jesteśmy w stanie o nią zadać”.

Niezwykle niepokojąco brzmi w „Tryptyku rzymskim” wołanie Jana Pawła II: „Jakże przedziwne jest Twoje milczenie / we wszystkim, czym zewsząd przemawia / stworzony wszechświat...”, tym bardziej że Ludwig Wittgenstein w „Traktacie filozoficzno-logicznym” zasadnie przekonuje, że: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Ma rację. Lepiej jest milczeć, niż bełkotać. Taka jest jednak człowiecza natura, że zmilczeć nie →



Andrzej Bednarczyk, Dziennik Minotaura (fragment), 2019 r.

→ może. Wpatrując się więc w nierozpoznaną i nienazwaną jeszcze część rzeczywistości, artyści i naukowcy poszukują nowych języków, żeby móc nadać imię temu, co się przed nimi odsłania.

Siła wzajemnego przyciągania

Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych i Platforma Badań Artystycznych, w ramach tegorocznej edycji Copernicus Festival poświęconej tematowi języka, stworzyły przestrzeń spotkań nauki i sztuki. Wierzymy, że te dwie dziedziny twórczości i poszukiwań – choć tak od siebie w przyjmowanych metodologiach odmienne – mają sobie wzajemnie wiele do zaoferowania. Nauka obiektywizuje, scala wiele fragmentów i zjawisk, nieustannie marzy o spójnie opisującym zjawiska Teorii Wszystkiego, pozwalającej przewidzieć wyniki dowolnego eksperymentu. Sztuka działa odwrotnie. Jak pisał Marcel Proust w „Czasie odnalezionym”: „Sprawia, że poznajemy nie tylko jeden świat, nasz, ale widzimy jego zwielokrotnienie się i tyleż mamy do dyspozycji światów, ilu istnieje artystów oryginalnych; te światy różnią się między sobą bardziej niż planety w przestrzeni, a kiedy gaśnie ich ogień, przesyłają nam, niczym Rembrandt czy Vermeer, swoje promienie”.

Właśnie dlatego, że artyści i naukowcy różnią się między sobą w sposobie myślenia, chcemy razem snuć rozważania i pytać o to, czym jest język opisujący i wyrażający świat.

Rządzą nim potężne, niezależne siły i zdaje się, że nikt nie jest w stanie ich opłacać do tego stopnia, by całkowicie poddały się jego woli. Najwięksi tyrani mogą wprowadzić go na jakiś czas pokaleczyć nowomową, upodlić kłamstwem, zagłuszyć pustosłownym wrzaskiem trybun, ale jeszcze nigdy i nikomu nie udało się go całkowicie zniewolić.

Jest w języku jakaś siła wzajemnego przyciągania. Sprawia ona, że przeczecia, idee, pojęcia i wartości oraz przenoszące je głoski, znaki, kształty, kolory, dźwięki, gesty i liczby złożone razem w zgodzie z prawidłami nauki, literatury, sztuki, muzyki itd. niejako samorzutnie lgną do siebie i odczują zazębiają się, tworząc większe całości. Od pojedynczych równań i fraz po rozbudowane teorie, rozprawy, powieści, rzeźby i budowle, obrazy, symfonie i spektakle.

■ Język przekracza sam siebie, nagina się, niekiedy do granic własnej wytrzymałości, by oddać wiernie to, co rodzi się w ludzkich oczach, umyśle i duszy.

W tym lgnięciu, spośród nieuchwytnie roztańczonych kwadrylionów luźnych zdażeń wylaniają się językowe formy. Martin Heidegger w wykładzie „Logos” mówi, że wspólnie-przed-kładają się naszej uwadze tak, jakby chciały być zauważone. Poprzez nie widzimy rzeczy. W wierszu Friedricha Hölderlina: „Miłość sprawia, że ma się / Oczy szeroko otwarte, / Wszelako co się ostate, ustanawiają poeci”.

To wzajemne lgnięcie form dokonuje się różnymi drogami i różnie nam o świecie opowiada.

Nowicjusz Adso w „Imieniu róży” Umberto Eco dochodzi do następującego wniosku: „Takie są czary człowieczych języków, że przez ludzką zgodę oznaczają często tymi samymi dźwiękami rzeczy różne”. Bohater „Sodomy i Gomory” Prousta odkrywa: „Bywają ludzie, którzy mówią o tych samych rzeczach co my, oznaczając je nazwą nieco odmienną”. W „Mistrzu i Małgorzacie” Michała Bułhakowa Woland twierdzi: „Mówimy, jak zawsze, różnymi językami. Ale rzeczy, o których mówimy, nie ulegają od tego zmianie”.

Ta siła wzajemnego przyciągania form i rodzenia się między nimi znaczeń jest tak ogromna, że to, co przypadkowo położone obok siebie na glebie języka, niekiedy samorzutnie zaczyna ze sobą rozmawiać. Słowa z obrazami, melodie z gestami, przedmioty z pojęciami, wszystko ze wszystkim. Powstają melanże, montaże, kolaże, mozaiki, patchworki. Czy złączenie czegośkolwiek z czymkolwiek samoczynnie stworzy pełne treści dzieło? Zaiste nie! Lecz gdy twórca mocą językowych prawideł sprzęgnie je z sobą, zaczynają współbrzmieć i tworzą nierozdzielalną całość.

Bezkręś językowych boleści

Żywy język ucieka przed pustosłowiem i groźbą zakrzepnięcia w martwych formach, w których, jak pisał Szekspir, pozostają już tylko odarte ze znaczenia „Słowa, słowa, słowa”, albo będzie „Stać mnie tylko na to, abym stare słowa / Powtarzał przebiegając czasem w nową szatę”.

Piekłem, na które historia skazuje zbyt lękliwych, jest pustosłowie, forma wytrzebiona z treści, jak w „1984” George’a Orwella, gdzie „Mówił nie mózg mężczyzny, tylko jego krtań. Wydobytą się z niej dźwięki składały się ze słów, ale nie tworzyły prawdziwej mowy; był to bezmyślny hałas, zupełnie jak kwakanie kaczki”.

Zawarta w samej naturze języka odśrodkowa, rozrywająca go siła zawsze rodziła w człowieku lęk przed rozpadem mozolnie kleconych kulturowych całości. Poczynając od figury biblijnej wieży Babel, w której cieniu doszło do pomieszania języków, co rusz napotykały opowieści i obrazy destrukcji, pęknięcia, nieodwracalnego roztrząsania dorobku pokoleń. Lęki te pobrzmiewają w wierszu Alfreda Tennysona: „Zerwana nić jak cienki włos, / Zwierciadło pęka w drobin stós, / Klątwa nade mną – krzyczy w głos / Pani na Shalott”.

Na tym nie koniec językowych boleści. Uczestnicząc w rozpedzonej do niebotycznych prędkości cywilizacji, w szale nadprodukcji, ludzkie powiadanie galopuje z zadyszka za samym sobą. Niemające ze sobą nic wspólnego idee oraz niosące je zdania, obrazy, formy i dźwięki współżyją, przepychając się stłoczone ze sobą jak w tokijskim metrze.

Śniło mi się kiedyś, że pędzona dziworończym szaleńcem fraza w niepołączonym miocie rodziła rzesze morfemów, a te, pożerając się i kopulując jednocześnie, w samozachwytnym odurzeniu rodziły kolejne pokolenia samych siebie. Aby żyć, potrzebowały mrowiącego się wokół nich potomstwa.

Przejmujące wizje pandemii hiperrodnego języka znajdziecie w „Bajkach robotów” Stanisława Lema: „Z pracowni przepelnionych leciały na ulice obrazy i posągi, nie po płytach →

→ chodnika się stapało, jeno po stosach poematów, nikt bowiem już nikogo nie czytał, nie studiował, muzyki cudzej nie podziwiał, skoro sam był sobie panem wszystkich muz, geniuszem obrotowym i wcielonym”.

W „Trans-Atlantyku” Witolda Gombrowicza Gonzalo narzeka: „Oj, co za kłopot z tym mam, skaranie boże, a bo najcenniejsze, najbardziej szacowne to dzieła geniuszów samych, najprzedniejszych Ludzkości duchów, ale cóż, panie, kiedy Gryzą się, Gryzą, a też i Tanieją od nadmiaru swego, a bo za dużo, za dużo, i co dzień nowych przybywa, i nikt wyczytać nie może, bo za dużo, ach, za dużo!”, a w „Zbrodni Sylwestra Bonnard” Anatole’a France’a: „Nie ma ani jednej książki, która nie przeczyłaby drugiej, tak że gdy się zna je wszystkie, nie wiadomo, co myśleć”.

W owym natłoku cudzych myśli, jak Kola Iwołgin w „Idiocie” Dostojewskiego, coraz częściej mówimy „Wylącznie cytami z książek, całymi frazami wycytanymi w »Przeglądach Krytycznych«”.

No cóż, skoro już na ową modłę zacząłem pisać, pozostaje mi „Głos Pana” Stanisława Lema:

„Oto ryzyko czasów, w których ludzkość eksplodowała”.

Bum!

■■■

Każdy twórca nieustannie balansuje pomiędzy bełkotem a banałem na rozpiętej wysoko linie języków. Starając się zachować równowagę i nie runąć w przepaść pustostlowia, jest gotowy burzyć uświęcone tradycją porządki.

Choćby i nawet nieosiągalnym, ale przecież wyśnionym rajem każdego twórcy – czy to artysty, czy naukowca – jest ów wszechpotężny, żywy i życiodajny, kosmogoniczny Logos. Dlatego właśnie nieustannie rozrywamy krzepnący język na strzępy w nadziei, iż poskładamy go w żywą, pełną piękna, prawdy i znaczenia nową formę. ©

ANDRZEJ BEDNARCZYK

Autor jest profesorem sztuk plastycznych, malarzem, rzeźbiarzem. Wykłada na ASP w Krakowie.

Narzędzie w ustach

ANITA PIOTROWSKA

O jasnych i ciemnych stronach językowej komunikacji można opowiadać za pomocą filmu. Zwłaszcza gdy język jest nie tylko tematem, ale i tworzywem.

Minęło 17 lat od czasu, gdy Alexandre Astruc, francuski teoretyk i reżyser, prekursor Nowej Fali, stworzył pojęcie „kamery-pióra”. Zwrócił wówczas uwagę, że film jest nie tylko spektaklem, ale także autonomicznym, dynamicznie rozwijającym się językiem. Jego następcy rozbudowywali przez lata ową myśl, kodyfikując reguły gramatyczne i opisując procesy semiotyczne w systemie nazywanym poetycko X muza. Inni zaś wyłuskiwali rozmaite autorskie języki, kształtujące się w ramach tego systemu. Dlatego pisząc o przygodach języka w pięciu filmach fabularnych pokazywanych podczas tegorocznego festiwalu, musimy też uwzględnić poziom metafilmowy. Czyli to, jakim językiem poszczególne tytuły opowiadają nam o języku.

Krańcowe zniewolenie

„Morze to skórzany fotel z drewnianym oparciem”, „Autostrada to bardzo silny wiatr” – już pierwsze ujęcia filmu „Kieł” (2009) Jorgosa Lantimosa, w których padają te osobliwe zdania, sygnalizują nam, że słowa będą spełniać w nim istotną funkcję. Jesteśmy oto świadkami kuriozalnej lekcji, jakiej rodzice udzielają trójce prawie dorosłego rodzeństwa za pomocą nagranych na magnetofonie definicji. Przedmiotom i pojęciom przypisano tu zupełnie nowe znaczenia. Z kolejnych scen dowiadujemy się, że pospolity kot to groźny ludojad, a tłumaczona z angielskiego erotyczna piosenka Franka Sinatry jest tak naprawdę pochwałą rodzinnego ciepełka. Matka i ojciec, trzymający swoje dzieci w izolacji od świata, wymyślili bowiem osobny język, który rzekomo

ma chronić je przed tym, co znajduje się za okalającym dom murem. Znaki odezwane od swych pierwotnych desygnatów budują mur dodatkowy, stając się narzędziem opresji i kontroli, zwłaszcza ze strony apodyktycznego ojca rodziny. Właśnie za pomocą języka młodzi bohaterowie „Kła” utrzymywani są w całkowitym posłuszeństwie i permanentnej niedojrzałości.

Ów sztuczny język określa ich zewnętrzne i wewnętrzne granice. Z filozofią Ludwiga Wittgensteina mogłaby połączyć Lantimosa również teoria gier językowych, jakkolwiek w tym wypadku nie ma mowy o wspólnym przyjęciu konwencji, bo strona silniejsza nieustannie manipuluje słowami. W jednej ze scen widzimy, jak ojciec dostarcza domownikom niezbędne do życia produkty, zdzierając z nich wcześniejsze firmowe etykiety, by jeszcze bardziej osłabić kontakt z rzeczywistością. Członkowie rodziny też zresztą nie posiadają imion. Gdy starsza z siostr pod wpływem przemycanych kaset wideo nadaje sobie imię „Bruce”, młodsza podąża za jej przykładem i każe się nazywać „Plecy” – choć nazwa, w przeciwieństwie do imienia, odbiera podmiotowość.

Przymus nazywania

To dlatego film greckiego reżysera interpretowany bywa najczęściej jako totalitarna dystopia, alegoria niedawnego kryzysu greckiego, rzecz o rodzinie jako źródle cierpień czy współczesna wersja przypowieści o biblijnym raju, w którym tylko zerwanie zakazanego owocu może pozbawić Boga Ojca jego absolutnej władzy. Bo tylko poznanie, czyli w tym przypadku odkrycie praw-

dziwych związków łączących język ze światem, mogłoby pomóc bohaterom w rozwinięciu własnej tożsamości. Pozbycie się tytułowego kła, które ma być symbolicznym warunkiem opuszczenia domowej twierdzy, może oznaczać po prostu uwolnienie, ożywienie i indywidualizację języka.

Sceny z życia rodzinnego podkreślają komunikacyjny uwiąd: u Lantimosa dialogi zostały napisane tak, by brzmiały jak drętwe rozmówki dla obcokrajowców, aktorzy zaś recytują swoje kwestie bez emocjonalnego zaangażowania, niczym syntezatory mowy. Stworzony przez rodziców słownik, arbitralny i przypadkowy, nie buduje więzi, nie pozwala na indywidualną ekspresję. Młodzi zakładnicy cierpią za to na „przymus nazywania”, jednocześnie będąc niezdolnymi do werbalizowania abstrakcyjnych pojęć. Język w „Kle” staje się narzędziem tresury, sprowadza relacje międzyludzkie do reakcji behawioralnych, a uczucia – do systemu nagród i kar. To odczłowieczenie bohaterów jeszcze lepiej słysząc w oryginalnym tytule „Kynodontas” oraz angielskim odpowiedniku „Dogtooth”.

Narodzony na nowo

W filmie „Motyl i skafander” (2007) Juliana Schnabla również pojawia się zoologiczne porównanie, ale sytuację mamy odwrótną: stworzenie sztucznego języka nie służy deformowaniu rzeczywistości, podtrzymywaniu iluzji czy sprawowaniu władzy, lecz nawiązaniu utraconego kontaktu ze światem. Jean-Dominique Bauby, redaktor naczelny francuskiego „Elle”, na skutek udaru naczyniowego mózgu cierpi na całkowity paraliż i jest w stanie komunikować się z otoczeniem wyłącznie za pomocą lewej powieki. Opracowany wspólnie z ortofonistką system językowy pozwala bohaterowi odpowiadać mruganiem na proste pytania, następnie przelać na papier swoje wspomnienia i refleksje, a w konsekwencji wydać książkę pod tytułem „Skafander i motyl”.

Tytuł nawiązuje do zespołu zamknięcia, gdy sparalizowany pacjent zachowuje pełną świadomość, lecz pozostaje uwięziony we własnym ciele. Dzięki opanowaniu mruganego języka bohater filmu przeżywa coś w rodzaju powtórnych narodzin. Jego głos wewnętrzny, zamknięty z początku w serii „głuchych” monologów, wchodzi w coraz aktywniejszy kontakt z zewnętrznym



MATERIAŁY PRASOWE

„Kiet”, reż. Jorgos Lantimos, 2009



MATERIAŁY PRASOWE

„Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”, reż. Paolo Genovese, 2016

światem. W przeciwieństwie do „Kła”, za sprawą nowego języka Bauby, będący fizycznie w stadium niemal wegetatywnym, w sensie psychicznym wydobywa się z tytułowego skafandra. Czerpanie z zasobów pamięci i wyobraźni tudzież nadawanie własnym myślom literackiego wyrazu sprawiają, że bohater czuje się ponownie „uczłowieczony” i upodmiotowiony. Nie przypadkiem pierwszym słowem, jakie wypowiada za pomocą powieki, jest zaimek osobowy „ja”.

Jak przystało na reżysera wywodzącego się z malarstwa, Schnabel ogromną rolę przywiązuje także do języka wizualnego. Autor zdjęć do „Motyla...”, wybitny operator Janusz Kamiński, w większości scen przejmując od bohatera ograniczony punkt widzenia: maksymalnie subiek-

tywizuje, fragmentaryzuje, zniekształca bądź rozmywa obraz, żebyśmy na czas seansu weszli w skafander Bauby’ego. Byśmy poculi na własnej skórze dramatyczne rozdarcie między stanem jego umysłu – żywego, dowcipnego, pełnego intelektualnych i erotycznych skojarzeń – a jego marną kondycją cielesną. Film okazał się też ciekawym wyzwaniem dla grającego główną rolę aktora Mathieu Amalrica, który przez większość czasu, nie licząc retrospekcji, fantazji czy snów, gra w całkowitym rozszczepieniu na ciało i głos. „Tekst nie istnieje, dopóki nie da się go odczytać” – pisze Bauby w swojej książce. „Motyl i skafander” to zaproszenie do odczytania tego tekstu, zapisanego językiem podwójnie intymnym, za pomocą słów i obrazów.



Życie w oddzielnych światach

→ Podobnego zabiegu dokonali twórcy filmu „Papusza” (2013): Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze jako współscenarzyści i współreżyserzy oraz Krzysztof Ptak i Wojciech Staron jako autorzy malowniczych czarno-białych zdjęć. Dodatkowy poziom filmowego języka tworzy muzyka Jana Kantego Pawluśkiewicza, który dwie dekady wcześniej skomponował poemat do wierszy tytułowej poetki romskiej, spełniający w tym filmie istotną rolę. Bo choć „Papusza” traktuje w dużej mierze o pisaniu poezji, w warstwie słownej dzieje się stosunkowo niewiele.

Już pseudonim poetki, który w języku romani oznacza lalkę, w znacznym stopniu charakteryzuje status tej postaci, a zwłaszcza narzuconą jej bierność i niemotę. Jowita Budnik grająca Bronisławę Wajs (takie było prawdziwe nazwisko Papuszy) uprawia aktorstwo dyskretne i wyciszone, podczas gdy sama postać bywa często filmowana tak, jakby była jedynie częścią tła, i musi upłynąć wiele ekranowych minut, zanim przemówi ona pełnym głosem. W ten sposób wyraża się w filmie społeczna i egzystencjalna marginalizacja bohaterki, zarówno przez jej pobratymców, jak i polskich gadziów. Dopiero dzięki determinacji Jerzego Ficowskiego, tłumacza i przyjaciela (gra go Antoni Pawlicki), Papusza znajduje w końcu swoje miejsce na poetyckim parnasy. Gdyby nie to spotkanie, samorodna poetka prawdopodobnie nigdy nie dowiedziałałaby się, że pisze wierszem.

Język jest w „Papuszy” narzędziem szczególnie wrażliwym. Zróżnicowanie etniczne tylko pozornie przynosi pomieszanie języków. Romowie i Polacy żyją wszak w oddzielnych światach, a za przełamanie tego dystansu przyjdzie bohaterce zapłacić bardzo wysoką cenę. Choć publikacja jej utworów po polsku stanowi dla romskiej społeczności pewną nobilitację, dla rodziny zaś źródło zarobku (Papuszę honorarium autorskie wprawia w zakłopotanie, bo wierszy nie traktuje jako swoich – „przychodzą i odchodzą”), to wydanie przez Ficowskiego w 1953 r. „Cyganów polskich” ściąga na poetkę gniew wspólnoty. Papusza uczyła niegdyś Jerzego języka Romów i wtajemniczała go w ich tradycje i obyczaje, co

zostaje uznane za akt zdrady. „Odciać jej język!” – słyszymy z ekranu. Również Ficowski otrzymuje przestrożę: „Więcej nie gadaj po naszymu!”. Najbardziej poruszające zdanie pada jednak z ust samej bohaterki w scenie ze szpitala psychiatrycznego: „Gdybym się nie nauczyła czytać, byłabym szczęśliwa”. W historii poetki wyklętej zawiera się bowiem jeszcze inna opowieść – o języku, który w konfrontacji z innymi językami czy z innymi reje-

■ Właśnie za pomocą języka młodzi bohaterowie „Kł” utrzymywani są w całkowitym posłuszeństwie i permanentnej niedojrzałości.

strami mowy alienuje, izoluje bądź nawet wyklucza. Dotyczy to w „Papuszy” także polszczyzny, która wielokrotnie porbzmiewa opresją i przemocą, nie tylko ze strony prześladowujących mniejszość romską komunistycznych władz, ale i zwykłych Polaków.

Miłość, Homer i esesmanka

Gdyby Hanna Schmitz (Kate Winslet) wcześniej nauczyła się czytać, być może byłaby szczęśliwa. Jeśli nawet nie znalazłaby ostatecznego spełnienia w związku z dużo młodszym Michaeliem (David Kross), przystojna tramwajarka z Neustadt mogła awansować do pracy w biurze, a w czasie wojny nie trafiłaby z fabryki Siemens do obozu koncentracyjnego, gdzie została esesmańską strażniczką. Bohalterka filmu „Lektor” (2008) Stephena Daldry’ego przez kilkadziesiąt lat ukrywa przed światem swój najbardziej wstydlivy sekret – jest analfabatką. Za to przed wojną, w trakcie potajemnego romansu z gimnazjalistą, zdążyła odkryć, czym jest literatura. Podczas schadzki wyedukowany w klasycie „dzieciak”

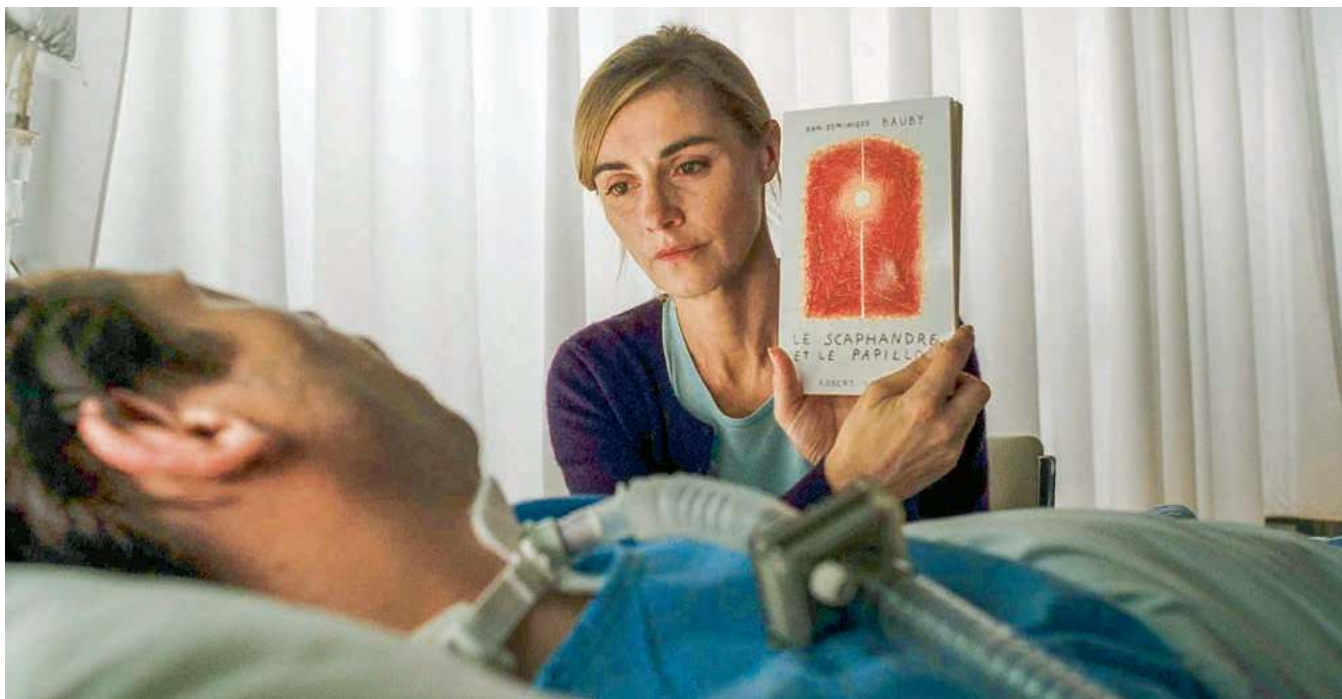
czytał jej w łóżku Homera, Czechowa, Tołstoja, co wytworzyło między kochankami specjalny rodzaj więzi. Kiedy po wielu latach spotykają się przypadkiem ponownie, tym razem w innych rolach, okazuje się, że wspólny czas spędzony ongiś na miłości i lekturze odcisnął na nich obojgu silne piętno.

Film, będący adaptacją powieści niemieckiego pisarza i prawnika Bernharda Schlinka, ze względów produkcyjnych mówiony jest głównie po angielsku i nie jest to jedyne napięcie językowe, jakie się w nim pojawia. Intensywność erotycznego kontaktu i dzielące bohaterów różnice klasowe sprawiają, że rozmawiają ze sobą raczej niewiele. Na tym milczeniu zostało zbudowanych wiele scen, nic więc dziwnego, że dopiero po kilku spotkaniach kochankowie poznają nawzajem swoje imiona. Werbalnie porozumiewają się przede wszystkim językiem wielkich pisarzy, który chwilami działa na Hannę niczym afrodyzjak – nawet obca jej łacina czy greka potrafi uwieść egzotyczną melodią. Po wojnie niespodziewanie połączy ich (i podzieli) zupełnie inny język – sali sądowej. Dorosły Michael przygotowuje się do zawodu prawnika, podczas gdy Hanna zasiada na ławie oskarżonych.

Kim jest teraz? Naiwną służbistką, prymitywną funkcjonariuszką zbrodniczego systemu czy perwersyjną „czytelniczką”, selekcjonującą więźniarki pod kątem ich lektorskich umiejętności? Jedno jest pewne: duma nie pozwala jej powiedzieć całej prawdy o sobie, co przyczynia się do niesprawiedliwie surowego dla niej wyroku. „Lektor”, który z melodramatu zdążył się przedzierzgnąć w film rozrachunkowy wobec nazizmu, nabiera w tym momencie nowego rozpędu. Staje się na powrót filmem o czytaniu, które nie tylko ekscytuje i uskrzydla, lecz potrafi radykalnie odmienić czyjeś życie. Czytany przez pryzmat „Fragmentów dyskursu miłosnego” Rolanda Barthes’a „Lektor” zamienia się w historię niedającego się wysłowić pragnienia, które dzięki językowi literatury znajduje na chwilę własny oryginalny ton.

Nieobecni nie mają racji

Współczesny dyskurs miłosny nie szuka już ekspresji na kartach ksiąg, pośród skrzydlatych słów – został zdominowany przez nowe technologie: portale społecznościowe czy poręczne aplikacje. Skrótość, natychmiasto-



MATERIAŁY PRASOWE

„Motyl i skafander”, reż. Julian Schnabel, 2007

wość, a co za tym idzie – powtarzalność i powierzchowność z jednej strony uprościły komunikację, ale z drugiej przyczyniły się do nieporozumień, przekłamań czy omyłek. Nasze smartfony stały się także „czarnymi skrzynkami” pełnymi sekretów i kłamstw. Opowiada o tym Paolo Genovese w gorzkiej komedii „Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie” (2016). Siedmiorgo przyjaciół spotyka się na domowej kolacji, by odkryć, że tak naprawdę bardzo niewiele o sobie wiedzą. Prosta zabawa: wykładamy na stół nasze telefony i ujawniamy wszystkie przychodzące wiadomości i połączenia, okazuje się morderczym testem dla miłości czy przyjaźni. A zwłaszcza dla stabilnych związków opartych na wzajemnym zaufaniu.

Już w trakcie filmowej ekspozycji, kiedy pary szukają się do wspólnego wieczoru, możemy zaobserwować, z jaką łatwością przychodzą im różnego rodzaju kłamstwa. W gościnie u Ewy i Rocca komunikacja staje się jeszcze mniej przejrzysta. Nie wszyscy obecni łapią w lot ironiczne gry słowne, a chwilowo nieobecni oczywiście nie mają racji, przez co stają się przedmiotem plotkarskich ocen. Równocześnie, zgodnie z sentencją *in vino veritas*, języki zaczynają powoli rozwiązywać się i mówić niejako wbrew intencjom. Kiedy do akcji

wkraczają wspomniane urządzenia komunikacyjne, nie tylko odsłaniają się kolejne tajemnice – również znane fakty zaczynają objawiać się w nowym świetle. Czy jednak krótki, wystukany na szybko esemes jest w stanie pomieścić całą prawdę? Włoski reżyser obnaża w ten sposób nie tylko podwójne życie swoich bohaterów i wielopiętrowe kłamstwa. „Dobrze się kłamię...” to także film o kontekstualności i wielości języków, których używamy wymiennie w różnych konfiguracjach towarzyskich czy społecznych. Wobec każdego z rozmówców, realnych i wirtualnych, bohaterowie używają nieco innego kodu, są za każdym razem kimś trochę innym.

Charakter pisma

W ponad stuletniej historii kina powstało wiele filmów badających rozmaite funkcje i przejawy języka. Niektóre z nich, jak „Persona” (1966) Ingmara Bergmana czy „Zagadka Kaspára Hausera” (1974) Wernera Herzoga, weszły do kanonu. Ostatnimi czasy, w związku z ekspansją nowych mediów, zaawansowanymi badaniami z zakresu lingwistyki czy publiczną debatą na temat obcości, ów temat wydaje się szczególnie atrakcyjny. Weźmy

choćby „Między słowami” (2003) Sofii Coppoli, „Podróż do Nowej Ziemi” (2005) Terrence’a Malicka czy „Nowy początek” (2016) Denisa Villeneuve’a – trzy jakże różne dyskursy dotyczące komunikacji, osadzone kolejno w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości.

Jednocześnie kino od swego zarania próbuje wyrażać to, co niewyraźne, i mnożyć poziomy komunikacji, choćby poprzez intertekstualne gry, poszerzając tym samym granice własnego języka. I choć pojęcie „kamery-pióra” brzmi w dzisiejszych czasach anachronicznie i nawet teorię autorską próbuje się odesłać do lamusa, twórców omawianych tutaj tytułów coś jednak łączy, również w wymiarze formalnym. Mówiąc o języku, który czasem pomaga przekroczyć samego siebie, a czasem, przywołując określenie Zbigniewa Mentzla, zamienia się w „niebezpieczne narzędzie w ustach”, wykorzystują do tego własny filmowy idiolekt, ciągle jeszcze nazywany charakterem pisma.

©

ANITA PIOTROWSKA

Autorka jest krytyczką filmową, dziennikarką „TP”.

Kosmiczne przypadki Paula Daviesa

MICHAŁ ECKSTEIN, TOMASZ MILLER

**Cząstki elementarne, czarne dziury, powstanie Wszechświata
i początek życia, regulacje ekspresji genów, nowotwory, filozofia i teologia
– trudno Paulowi Daviesowi odmówić szerokich zainteresowań.**

North Finchley, przedmieścia Londynu, rok 1962. Szesnaścieletni Paul Charles William Davies, w uznaniu za celujący wynik na egzaminach, otrzymuje atlas gwiazd i postanawia zostać naukowcem. Nagrodę na szkolnej uroczystości wręcza mu lokalna posłanka Margaret Thatcher. Trzydzieści trzy lata później emerytowana Żelazna Dama, zasiadając w kapitule Nagrody Templetona, uhonoruje go po raz kolejny, tym razem w uznaniu za jego dorobek naukowy i działalność popularyzatorską, między innymi na polu relacji między naukami ścisłymi i teologią.

Paul Davies to postać nietuzinkowa. W dobie wąsko wyspecjalizowanych ekspertów rzadko się zdarza, by uznany fizyk teoretyk zostawał („przy okazji”) astrobiologiem. Co więcej, choć wśród popularyzatorów nauki znajdziemy wielu „filozofujących fizyków”, Paul Davies należy do wąskiego grona tych, którzy wychodzą poza naiwny scjentyzm i nie boją się stawiać pytań najważniejszych.

Nieskończona liczba wymiarów

Davies studiował i obronił doktorat z fizyki teoretycznej w Londynie, dokąd powrócił po dwuletnim stażu podoktorskim w Cambridge pod kierunkiem znakomitego astrofizyka i kosmologa Freda Hoyle’a. Wtedy to zainteresował się nową, rodzącą się właśnie dziedziną badań na styku mechaniki kwantowej i ogólnej teorii względności: kwantową teorią pola w zakrzywionych czasoprzestrzeniach. Tak duże nagromadzenie trudnych słów może przyprawić o dreszcze nie tylko laików, ale nawet młodych adeptów fizyki

teoretycznej. Aby zrozumieć, czemu temat jest fascynujący, spróbujmy rozwickać tę nazwę krok po kroku.

W królestwie atomów obowiązują prawa mechaniki kwantowej. Jeśli jednak chcemy zajrzeć głębiej, co wiąże się z wyższymi energiami, musimy uwzględnić poprawki wynikające ze szczególnej teorii względności Einsteina. Połączenie zasad kwantowych ze (szczególną) relatywistyką prowadzi na grunt kwantowej teorii pola. Jednym z jej flagowych przewidywań jest kwantowa natura próżni. Okazuje się oto, że istotnie *natura horret vacuum* (natura nie znosi próżni), a pozornie pusta przestrzeń tętni życiem „wirtualnych” cząstek i antycząstek. Choć cząstki te są „wirtualne”, tzn. nie można ich zobaczyć bezpośrednio w żadnym procesie fizycznym, to jednak wywierają zupełnie realny wpływ na obserwowane zjawiska.

Dzięki koncepcji próżni kwantowej udało się wyjaśnić szereg efektów fizycznych, w szczególności tzw. przesunięcie Lamba w widmie atomowym. Okazuje się, że tumult wirtualnych par cząstek i antycząstek „rozsuwa” dwa poziomy energetyczne w atomie wodoru. Pomiar przesunięcia Lamba w 1947 r. stanowił prawdziwe *experimentum crucis* dla kwantowej teorii pola i zapewnił jej miejsce w podręcznikach akademickich. Dzisiaj stanowi ona fundament całej fizyki cząstek elementarnych. Fotony, elektrony, kwarki, a także bozon Higgsa, to wszystko kwanty pewnych pól.

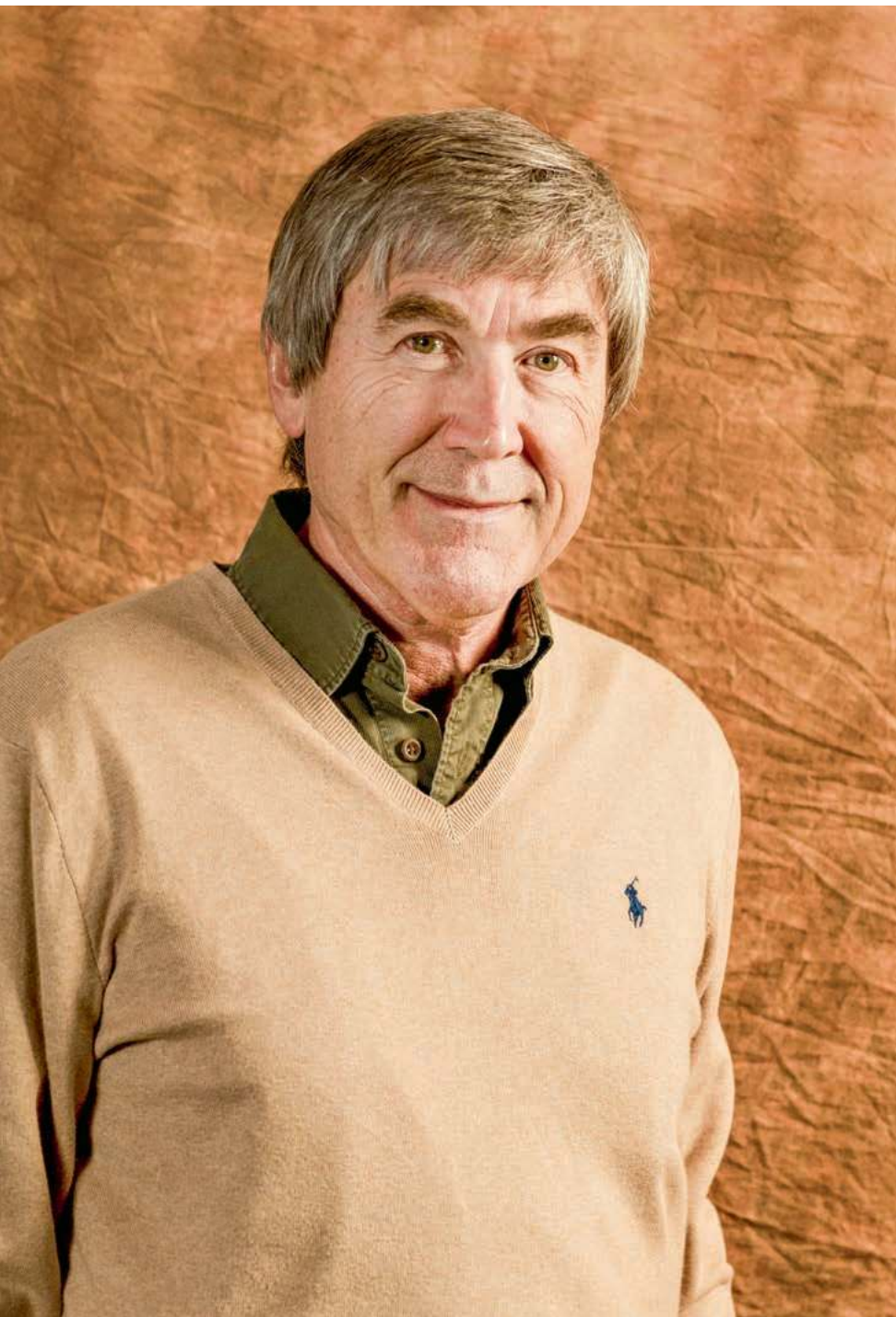
Trzeba dodać, że uprawianie kwantowej teorii pola wymaga swobodnego poruszania się w matematycznych meandrach mechaniki kwantowej, tyle że... w nie-

skończonej liczbie wymiarów! Nie chodzi tu o przestrzeń fizyczną – ta pozostaje trójwymiarowa – ale o przestrzeń parametrów. Pole, mimo iż kwantowe, jest obiektem rozciągłym, a zatem do jego opisu potrzebujemy zasadniczo nieskończonej liczby parametrów. Tę nieskończoność można jednak okiełznać przy użyciu odpowiednio abstrakcyjnych narzędzi matematycznych. Widać zatem, że instrumentarium teoretyczne młodego doktora Daviesa musiało być potężne. Ale przecież wytłumaczyliśmy dopiero pierwszą część nazwy dziedziny, w którą się zagłębił!

Otóż „zwykła” kwantowa teoria pola rozgrywa się na scenie „płaskiej” czasoprzestrzeni. Innymi słowy, uwzględnia fakt skończonej prędkości światła, ale ignoruje zjawiska grawitacyjne. W latach 60., kiedy „zwykła” kwantowa teoria pola trochę już okrzepła, teoretycy zaczęli się zastanawiać, jakie novum wprowadziłoby uwzględnienie grawitacji. Okazało się, że jeśli czasoprzestrzeń jest zakrzywiona (tj. grawitacja jest niezerowa), to niektóre z wirtualnych par cząstek mogą się spontanicznie wyłonić z próżni. Innymi słowy, grawitacja powoduje, że próżnia kwantowa paruje!

Jarząca się próżnia

Pierwszym badaczem, który natknął się na ten efekt w kontekście kosmologicznym, był Leonard Parker. Prawdziwą burzę wywołała jednak praca Stephena Hawkinga z roku 1974 o parowaniu czarnych dziur. Rozważając zachowanie kwantowych pól materii w pobliżu horyzontu czarnej dziury Hawking pokazał, że te ostatnie emitują promieniowanie ter-



Paul Davies

miczne. Odkrycie Hawkinga zapoczątkowało zupełnie nową dziedzinę termodynamiki czarnych dziur i stanowiło inspirację do powstania m.in. teorii strun czy pętlowej kwantowej grawitacji.

Wyliczenia Hawkinga miały jednak pewną wadę – implikowały, że w okolicy horyzontu czarnej dziury gęstość pewnych „cząstek” robi się nieskończona.

Okazało się, że sęk tkwi w samym pojęciu „cząstki”, a tym samym w próżni kwantowej. „Cząstka” jest bowiem, z definicji, wzbudzeniem pola ze stanu próżni kwantowej. Dopóki zaniedbujemy oddziaływania grawitacyjne, to istnieje tylko jeden stan próżni kwantowej i, w konsekwencji, jednoznaczne pojęcie cząstki. Jeśli jednak czasoprzestrzeń się zakrzywia, to pojęcia

próżni i cząstki kwantowej zależą od wybranego układu współrzędnych. To konsekwencja ogólnej zasady względności: Podobnie jak różni obserwatorzy przyjmują różne pojęcia czasu i przestrzeni, choć mają wspólną czasoprzestrzeń, tak też każdy z nich co innego nazwie „próżnią”, choć same kwantowe pola materii są wspólne.

Odkrycie tego subtelного efektu zależności próżni od obserwatora przypisywane jest zwykle Williamowi Unruhowi, choć niezależnie od niego na ten sam pomysł wpadli Stephen Fulling i właśnie Paul Davies. To, co dziś nazywa się efektem Unruha (lub Fullinga–Davies–Unruha), najlepiej wytłumaczyć rozważając przyspieszającego obserwatora w płaskiej czasoprzestrzeni. Zgodnie z prawidłami kwantowej teorii pola powinien on zaobserwować słabutkie promieniowanie termiczne pochodzące od próżni kwantowej. Takiego efektu nie zobaczy jednak obserwator inercyjny, tj. nieprzyspieszający. Podobnie astronauta spadający swobodnie do czarnej dziury niczego szczególnego nie zaobserwuje przy przejściu pod horyzont zdarzeń. Jeśli jednak będzie się starał pozostać na zewnątrz (do czego potrzebuje autonomicznego napędu), to próżnia kwantowa wokół niego się rozjarzy.

Drugi istotny wkład Paula Daviesa w rozwój kwantowej teorii pola w zakrzywionych czasoprzestrzeniach dotyczył kosmologii kwantowej. Ponieważ Wszechświat się rozszerza, czyli „krzywi”, również tu pojawia się problem wyboru właściwego stanu próżni. W 1978 r. Paul Davies wspólnie z Timothyem Bunchem znaleźli taki stan, który był wyjątkowo symetryczny, a zatem uniwersalny. Dziś nazywany „próżnią Buncha–Davies”, stał się podstawą kosmologii inflacyjnej, starającej się opisać ewolucję Wszechświata na (bardzo!) wczesnym stadium – ok. 10^{-32} sekundy po Wielkim Wybuchu.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że o ile „zwykła” kwantowa teoria pola została potwierdzona w wielorakich eksperymentach, o tyle jej „zakrzywiona” wersja pozostaje w domenie teorii. Dzieje się tak dlatego, iż przewidywane przez nią efekty niezwykle trudno zaobserwować. Przykładowo, żeby zaobserwować ➔

→ promieniowanie próżni kwantowej o temperaturze 1 kelwina, trzeba by się rozpędzać z gigantycznym przyspieszeniem stu milionów miliardów km/s^2 (przypomnijmy, że grawitacyjne przyspieszenie ziemskie to zaledwie 10 m/s^2). Podnoszone są również obiekty teoretycznej (np. przez Sir Rogera Penrose'a) dotyczące adekwatności teorii inflacji kosmicznej. Niemniej fizycy nie ustają w wysiłkach, aby sprawdzić, czy próżnia kwantowa rzeczywiście może parować.

Niezależnie od tego, jak jest naprawdę, nie ulega jednak wątpliwości, że Paul Davies wniósł istotny wkład w zrozumienie podstaw fizyki na najgłębszym dostępnym dzisiaj poziomie. Jego książka, napisana w 1982 r. wspólnie z Nicholasem Birrellem, była pierwszym podręcznikiem kwantowej teorii pola w zakrzywionej czasoprzestrzeni i doczekała się blisko 10000 cytowań.

Życie na Ziemi i w kosmosie

W 1990 r. Davies przeniósł się na Uniwersytet w Adelajdzie, gdzie objął stanowisko profesora fizyki matematycznej, a trzy lata później powołane specjalnie dla niego stanowisko profesora filozofii naturalnej. To właśnie w Australii zainteresował się na poważnie astrobiologią, czyli interdyscyplinarną dziedziną na styku bio-, geo- i astrofizyki zajmującej się powstaniem, naturą i powszechnością życia we Wszechświecie. Podówczas dziedzina ta była traktowana z przymrużeniem oka przez „poważnych” naukowców. Jednak wszystko zmieniło się w 1996 r., kiedy to naukowcy z NASA obwieścili na łamach „Science” odkrycie wewnątrz słynnego marsjańskiego meteorytu ALH84001 mikroskopijnych form, które przypominały skamieniałe bakterie. W związku z tym należało ściśle przeanalizować możliwość scenariusza, w myśl którego powstałe na Czerwonej Planecie mikroorganizmy zostały wyrzucone w kosmos na kawałku skały (w wyniku katastroficznego impaktu), by po milionach lat trafić na Ziemię, nie ulegając po drodze zniszczeniu.

Brzmi mało prawdopodobnie? A jednak Davies już w 1991 r. zaczął się poważnie zastawiać, czy taki scenariusz nie jest stosunkowo powszechny w sięgającej kilku miliardów lat historii Układu Sło-

necznego. Nie był zresztą pierwszy – już w XIX w. wielu uczonych spekulowało na ten temat, a w roku 1903 szwedzki chemik Svante Arrhenius sformułował hipotezę tzw. panspermii, według której mikroorganizmy miałyby pokonywać przestrzeń międzyplanetarną, a nawet międzygwiazdową, zapładniając całą Galaktykę. Do gorących zwolenników panspermii należeli wspomniani już Fred Hoyle oraz jeden z odkrywców struktury DNA Francis Crick. Na jej korzyść, zdaniem Daviesa, przemawiają odkrywane w latach 80. i 90. tzw. ekstremofile – mikroby żyjące w tak skrajnych warunkach środowiskowych (wysokiej temperatury, ciśnienia, zasolenia, toksyczności czy radioaktywności), że najpewniej byłyby w stanie przetrwać nawet pobliskie uderzenie meteorytu, późniejszą podróż na kawałku wyrzuconej w kosmos skały i wreszcie gwałtowne

■ W dobie wąsko wyspecjalizowanych ekspertów rzadko się zdarza, by uznany fizyk teoretyk zostawał „przy okazji” astrobiologiem.

lądowanie na innej planecie. W swoich pracach Davies wnikliwie analizuje możliwość, iż życie powstało najpierw na Marsie i dopiero później dotarło na Ziemię na drodze panspermii. Być może, twierdzi Davies, wszyscyśmy dziećmi marsjańskich mikrobow.

Niezależnie od tego, gdzie powstało życie, pozostaje pytanie, jak do tego doszło i czy stało się to więcej niż raz, być może w oparciu o zupełnie różną biochemię. W 2005 r. Paul Davies wspólnie z Charleym Lineweaverem wysunęli hipotezę „drugiej genesis”, w myśl której obok znanego nam życia opartego na DNA mogą istnieć na Ziemi mikroorganizmy żyjące według zupełnie innych reguł. W tym samym roku z analogiczną hipotezą wyszły Carol Cleland i Shelley Copley z Uniwersytetu Ko-

lorado, a ukuta przez nie nazwa „biosfery cieni” (*shadow biosphere*) weszła do słownika astrobiologów, którzy ruszyli na poszukiwania „obcych” form życia na Ziemi.

Jak jednak rozpoznać mikroorganizmy żyjące według nieznanych reguł alternatywnej biochemii? To szukanie igły w stogu siana, przy czym nie wiemy, jak wygląda igła! Davies proponuje patrzeć tam, gdzie znane nam życie nie ma szans się utrzymać: w morderczym ukropie wokół kominów hydrotermalnych, w mikroskopijnych porach skał zbyt ciasnych nawet dla prymitywnych bakterii albo w silnie zasolonych i toksycznych jeziorach.

Ten ostatni pomysł podchwyciła i rozwinęła młoda mikrobiolożka Felisa Wolfe-Simon. W 2009 r. wspólnie z Pauliem Daviesem i Arielem Anbarem opisali hipotetyczne mikroorganizmy, które w warunkach wysokich stężeń arsenu byłyby w stanie wbudowywać ten toksyczny pierwiastek w strukturę podwójnej helisy DNA w miejsce fosforu. Wkrótce potem kierowany przez nią zespół udał się nad silnie alkaliczne i bogate w arsen jezioro Mono w Kalifornii, gdzie natrafił na nowy gatunek bakterii, który zdawał się realizować dokładnie taką strategię biochemiczną. Ogłoszone w 2011 r. odkrycie wstrząsnęło światem nauki niemal tak mocno, jak piętnaście lat wcześniej meteoryt ALH84001, i natychmiast zostało poddane surowej, wszechstronnej krytyce środowiska naukowego. Niestety, ostatecznie okazało się – podobnie jak w przypadku marsjańskiej skały – że wszystko da się wyjaśnić bez pisania podręczników biochemii od nowa. Jednakże choć astrobiologia zaczęła się od dwóch falstartów, wniosła ona ogromny wkład w głębsze zrozumienie fenomenu życia. Obecnie większość uczonych (w tym Davies, choć z pewnymi zastrzeżeniami) jest przekonanych, że odkrycie pozaziemskiej biosfery jest tylko kwestią czasu.

Tryb awaryjny

W swojej najnowszej książce („The Demon in the Machine”, Penguin, 2019) Davies podkreśla, że biochemia i genetyka to tylko pewne etapy na drodze do zrozumienia, czym jest życie. DNA stanowi swoisty „hardware” materii ożywionej, ale opisanie funkcji życiowych nawet najprost-

szych organizmów wymaga również znajomości „software’u” – instrukcji obsługi. Analogicznie, próba zrozumienia nawet najprostszego urządzenia elektronicznego bez znajomości zasad jego działania, tylko na podstawie analizy jego podzespołów, byłaby beznadziejna. W jakim jednak języku zapisane jest oprogramowanie organizmów żywych? Davies twierdzi, że jest nim informacja epigenetyczna kontrolująca ekspresję genów.

Zrozumienie „informatyki życia” mogłoby otworzyć zupełnie nową gałąź medycyny. Lekarze przyszłości badaliby nasze schematy ekspresji genów i zalecali aktualizację oprogramowania. Idąc tym tropem Paul Davies, wraz ze współpracownikami z Centrum Zbieżności Fizyki i Biologii Nowotworów, zaproponował nowe spojrzenie na jeden z największych problemów medycyny – raka. Wysunął on odważną hipotezę głoszącą, iż rak jest swoistym „trybem awaryjnym” organizmu żywego. W normalnych warunkach wysokopoziomowe procesy epigenetyczne kontrolują zachowania pojedynczych komórek, niektórym nakazując namnażanie się, innym mutację, a jeszcze innym popełnić harakiri – dla dobra ogółu, czyli wielokomórkowego organu. Jeśli jednak organizm dozna traumy biochemicznej lub biofizycznej spowodowanej na przykład reakcją ze szkodliwą substancją, to komórki mogą się zbuntować. Aby chronić pierwotną istotę życia – replikację materiału genetycznego – ignorują one instrukcje „z góry”, namnażając się bez umiaru. Przeważnie sprowadza je do pionu układ immunologiczny, jednak czasami rewolucja komórkowa rozlewa się na cały organizm powodując jego szybką śmierć.

Hipoteza Daviesa i kolegów jest niewątpliwie bardzo kontrowersyjna i daleka od powszechnego uznania onkologów. Jednak ma ona bardzo konkretne przewidywania: Wynika z niej m.in., że geny podatne na raka (tzw. onkogeny) są „stare ewolucyjnie”, tzn. wykształciły się już w pierwotnych organizmach wielokomórkowych. Wstępne badania zdają się faktycznie potwierdzać tę tezę, ale do triumfu nad „rakiem – trybem awaryjnym” jeszcze długa droga.

W 2006 r. Paul Davies przeniósł się na Uniwersytet Stanu Arizona, gdzie założył

PAUL DAVIES:

Nie sposób być naukowcem, nie zakładając istnienia głębokiego porządku w przyrodzie. Choć można wierzyć, że nie wymagał on ustanowienia przez racjonalnego Prawodawcę, w sam porządek wierzyć trzeba.

Centrum Fundamentalnych Idei w Nauce BEYOND, którym kieruje do dziś. Jak sam mówi, jest to swego rodzaju „kosmiczny think tank”, zajmujący się „wielkimi pytaniami” leżącymi u podstaw wszystkich nauk. Davies wciąż prowadzi badania i publikuje prace z kosmologii (m.in. na temat zasady antropicznej, a także hipotezy symulacji), astrobiologii, mechaniki kwantowej, a także dotyczące podróży kosmicznych oraz... istnienia pozaziemskiej inteligencji. Od 2005 r. jest kierownikiem grupy „postdetekcyjnej” w ramach projektu SETI, której zadaniem jest opracowanie protokołów postępowania w przypadku nawiązania kontaktu z „braćmi w rozumie” lub natrafienia na ich ślady w obserwacjach astronomicznych.

Przywilej racjonalności

Szerszej publiczności Paul Davies jest znany jako autor kilkudziesięciu (!) książek oraz kilkuset (!) artykułów popularnonaukowych. O jego imponującym zacięciu popularyzatorskim niech zaświadczy to, że w latach 1978–95 wydawał średnio jedną pozycję popularnonaukową rocznie, w tym przetłumaczonego także na język polski „Boga i nową fizykę” (1984) oraz „Plan Stwórcy” (1992), w których rozważa i przystępnie omawia filozoficzno-teologiczne źródła i uwarunkowania nowożytnej nauki. Oddajmy głos samemu Daviesowi, który w rozmowie z nami przy okazji swojej wizyty w Polsce w 2017 r. mówił:

„Ponieważ nauki przyrodnicze osiągają takie sukcesy, to przyjmujemy za pewnik, iż ilekroć przyjrzymy się bliżej Naturze, odkryjemy porządek, a nie nonsens. Nie wydano by 8 miliardów euro na budowę Wielkiego Zderzacza Hadronów, gdyby nie oczekiwano, że to, co dzięki niemu odkryjemy, będzie sensowne!

Nie sposób być naukowcem, nie zakładając istnienia głębokiego porządku w przyrodzie. Choć można wierzyć, że nie wymagał on ustanowienia przez racjonalnego Prawodawcę, w sam porządek wierzyć trzeba. Ponadto trzeba też wierzyć, że prawa przyrody są pojmowalne; że leżą w zasięgu ludzkiego rozumu. Gdyby nie były, uprawianie nauki byłoby z góry skazane na porażkę.

Przekonanie o pojmowalności świata w pewnym sensie odzwierciedla teologiczne stanowisko, że ludzie zostali stworzeni na obraz Boga, a zatem w pewnym ograniczonym stopniu dzielą z Nim Jego racjonalność. To pozwala nam niekiedy przełotnie dostrzec Jego stwórczy zamysł.

Było to oszałamiające odkrycie u zarania nauki: oto ludzie są w stanie podejrzeć ukryty porządek Natury w jego matematycznej strukturze. Eugene Wigner pisał o »niepojętej skuteczności matematyki w naukach przyrodniczych« i ja to traktuję bardzo poważnie. To naprawdę zaskakujące, jak daleko udało nam się zejść. Można spotkać się ze stwierdzeniem, że to nic dziwnego, iż odkrywamy w przyrodzie porządek, bo w końcu rozpoznawanie wzorców było cenną umiejętnością w ewolucyjnym wyścigu. Ale że potrafimy rozpoznać takie wzorce jak symetrie cechowania albo Einsteinska zasada równoważności...? W jakiś sposób umiemy zrozumieć ze świata znacznie więcej, niż jest konieczne do przeżycia w dżungli.

To niezwykle, że jesteśmy tak uprzywilejowani”.

MICHAŁ ECKSTEIN, TOMASZ MILLER

Dr Michał Eckstein pracuje w Krajowym Centrum Informatyki Kwantowej w Gdańsku. Dr Tomasz Miller pracuje w Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych UJ. Obaj autorzy są fizykami matematycznymi.

Czy matematyka jest poezją?

MICHAŁ HELLER

Wydaje się prozaiczna, bo w postaci prostych twierdzeń potrafi wyrażać związki, których prawdziwość jest zagwarantowana ciągami kontrolowanych przez nas wyników. Ale matematyka ma również środki, by wyrazić to, czego nie da się wyrazić w innym języku.

Zacznę od rzeczy bardzo prozaicznej – od sylogizmu, jakim raczy się uczniów lub początkujących studentów:

*Wszyscy ludzie są śmiertelni.
Adam jest człowiekiem.
Ściśle myślący człowiek wyciągnie oczywiście wniosek:
Zatem Adam jest śmiertelny.*

Ale przedstawmy ten sylogizm poecie. Dla niego co innego będzie ważne. Wniosek oczywisty, czyli nieinteresujący. Śmierć to dramat ludzkiego istnienia. Sylogizm jest środkiem zbyt ubogim, by wyrazić nieuchronność tego dramatu. Dramat śmierci można by przedstawić na przykład w ten sposób:

*Zajęta zabijaniem,
robi to niezdarnie,
bez systemu i wprawy.
Jakby na każdym z nas uczyła się dopiero.*

Jeżeli dramatu nie da się pokonać, trzeba go przynajmniej ośwoić:

*Kto twierdzi, że jest wszechmocna,
Sam jest żywym dowodem,
że wszechmocna nie jest.
Nie ma takiego życia,
które by choć przez chwilę
nie było nieśmiertelne.*

*Śmierć
Zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona
Na próżno szarpie klamkę
Niewidzialnych drzwi.*

*Kto ile zdążył,
tego mu cofnąć nie może.*

O ileż więcej powiedziała Wisława Szymborska we fragmentach tego wiersza niż suchy sylogizm Arystotelesa! A jednak sylogizm miał w sobie coś z nieuchronności śmierci:

Jeżeli p , to q ,
 p .
A więc q .

Skąd ten przymus wynikania? Czy jednak nie może być tak, żeby było „nie q ”? Szymborska mogłaby wyrazić swoją myśl na tysiąc różnych sposobów; sylogizm musi się kończyć jednym, i tylko jednym, wnioskiem. Na tym polega poezja wynikania. Gwiazdy mogą się wypalić, wszystkie wiersze ulec zapomnieniu, niebo i ziemia mogą przeminąć, a wniosek sylogizmu i tak będzie ważny.

Wszystkie możliwe kształty

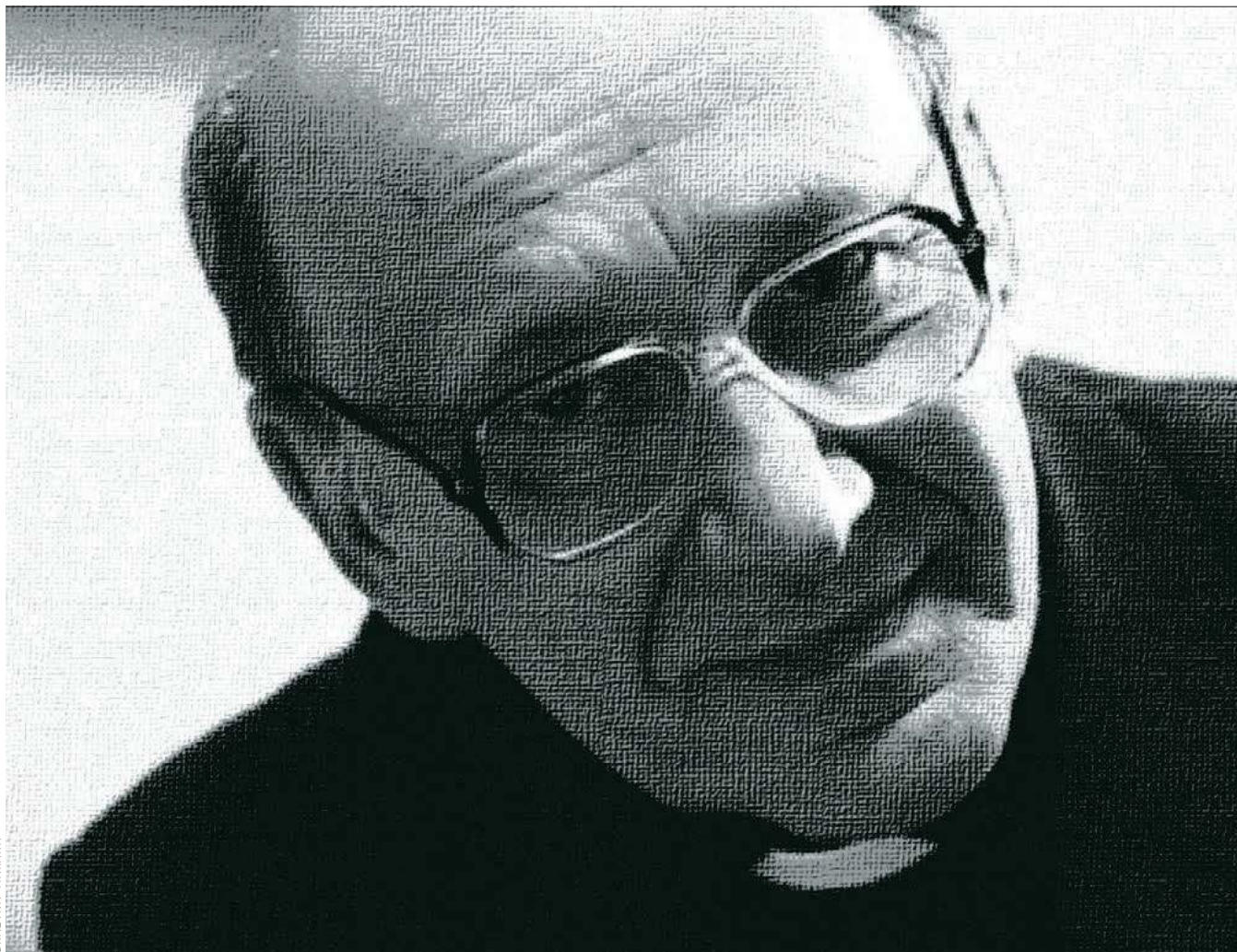
Oczywiście sylogizm jest prymitywną formą poezji wynikania. Siegnijmy więc po bardziej subtelny przykład. Już Euklides udowodnił, że liczb pierwszych jest nieskończenie wiele; udowodnił – to znaczy podał ciąg wyników takich, że ostatnim zdaniem łańcucha wyników było zdanie: „liczb pierwszych jest nieskończenie wiele”. Do dziś rozmieszczenie liczb pierwszych w zbiorze liczb naturalnych pozostaje zagadką. Na podstawie eksperymentów numerycznych wiadomo na przykład, że w miarę posuwania się w ciągu liczb naturalnych liczby pierwsze pojawiają się coraz rzadziej. Ale mimo to jest ich nieskoń-

czenie wiele. W 1737 r. Leonhard Euler znalazł związek między występowaniem liczb pierwszych a pewną funkcją, która wyglądała dziecinnie prosto, ale okazała się bardzo bogata w „matematyczną treść”. Złożoność tej funkcji rozpoznał Bernhard Riemann w referacie wygłoszonym z okazji przyznania mu członkostwa Berlińskiej Akademii Nauk. Był rok 1859, ten sam, w którym ukazało się pierwsze wydanie „O pochodzeniu gatunków” Karola Darwina. Funkcja dzeta Riemanna do dziś jest źródłem wielu problemów matematycznych i przedmiotem fascynacji wielu matematyków.

Przyjrzyjmy się jej nieco dokładniej. Wygląda całkiem prozaicznie, jak wiele innych matematycznych formuł:

$$\zeta(s) = \sum_{n=1}^{\infty} \frac{1}{n^s}$$

gdzie n jest liczbą naturalną, a $s = \sigma + it$ liczbą zespoloną, której część rzeczywista jest większa od jeden. Nawet jeżeli spojrzeć na tę funkcję „uzbrojonym okiem” matematyka, to trudno w niej dostrzec coś nadzwyczajnego, ale jeżeli uruchomić aparat wynikania, to zaczynają się ujawniać rzeczy zaskakujące. Już Riemann w swojej oryginalnej pracy wysunął hipotezę, że wszystkie zespolone zera funkcji dzeta leżą na prostej $\sigma = 1/2$. Mimo niezmordowanych wysiłków, hipoteza ta dotychczas pozostaje nieudowodniona. Na tego, kto przedstawi poprawny dowód, czeka nagroda w wysokości mi-



KS. PROF. MICHAŁ HELLER jest kosmologiem i filozofem, autorem kilkudziesięciu książek. Laureat wielu nagród i wyróżnień, m.in. Nagrody Templetona (2008). Dyrektor Copernicus Festival.

liona dolarów. Od lat trwają komputerowe próby zmierzenia się z hipotezą Riemanna. Do września 2004 r. sprawdzono 910 miliardów początkowych miejsc zerowych funkcji dzeta oraz kilku miliardów oddalonych miejsc (w okolicy miejsca zerowego o numerze 10^{23}). Hipoteza Riemanna wyszła z tych prób zwycięsko – nie znaleziono kontrprzykładu. Ale dla matematyków to jeszcze nie dowód; dowód musi posługiwać się „cudem wynikania”, a nie „liczeniem na palcach”, choćby to były „palce” superszybkich komputerów.

Funkcja dzeta Riemanna zaskakuje matematyków swoimi własnościami. Nieustan-

nie są odkrywane nowe, coraz mniej spodziewane. Zaskakuje nie tylko matematyków. W latach 70. ubiegłego stulecia odkryto, że istnieje zbieżność statystycznego rozkładu miejsc zerowych funkcji Riemanna z rozkładem poziomów energetycznych jąder atomowych ciężkich pierwiastków chemicznych. Skąd funkcja dzeta wie o budowie jąder atomowych? Albo odwrotnie: skąd jądra atomowe wiedzą o funkcji dzeta? Przecież funkcja dzeta to czysta matematyka nieskażona żadnymi związkami z doświadczeniem! Czy dotykamy tu jakichś zagadnień mających związek z podstawami naszego rozumienia tych dwu nauk – matematyki i fizyki?

Zostawmy jednak na boku ten pasjonujący problem. Być może jest jeszcze za wcześnie, by go głębiej drążyć. Powróćmy do czegoś, co mamy szansę lepiej zrozumieć.

W 1975 r. Siergiej Michajłowicz Woronin (przedwcześnie zmarły matematyk) udowodnił twierdzenie, znane jako twierdzenie o uniwersalności funkcji dzeta. Mówi ono co następuje:

Rozważmy na płaszczyźnie zespolonej pasek

$$P = \{s \in \mathbb{C} : 1/2 < \operatorname{Re}(s) < 1\}$$

oraz zwarty zbiór U w P , taki, że dopełnienie U jest spójne w P (czyli P nie ma „dziur”). Niech $f: U \rightarrow \mathbb{C}$ będzie funkcją ciągłą na U , holomorficzną wewnątrz U i nieposiadającą miejsc zerowych wewnątrz U .

Twierdzenie Woronina orzeka, że dla dowolnego $\epsilon > 0$ istnieje taka wartość $t = t(\epsilon)$, że

$$|\zeta(s + it) - f(s)| < \epsilon$$

dla każdego s należącego do U .

→

⇒ Twierdzenie to mówi więc, że jeżeli funkcja f przedstawia dostatecznie regularną krzywą, niezerującą się w obszarze, na którym jest określona, to krzywą tę możemy z dowolną dokładnością przybliżyć funkcją dzeta Riemanna, przesuwając odpowiednio obszar U wzdłuż osi urojonej.

Jeżeli brzmi to mało poetycko, to wyobraźmy sobie, że zacytowany na początku tego wykładu wiersz Szymborskiej zapisaliśmy pisanymi literami, łącząc je tak, by powstała odpowiednio regularna krzywa. Twierdzenie Woronina stwierdza, że jeżeli odpowiednio przesuniemy obszar U , to funkcja dzeta odtworzy nam wiersz Szymborskiej (z dowolną dokładnością). Okazuje się, że aby odtworzyć wiersz Szymborskiej, musielibyśmy „pojechać” z obszarem U bardzo daleko wzdłuż osi urojonej. Tak daleko, że moc obliczeniowa obecnych, a nawet zapewne przyszłych komputerów jest za mała, aby tam dotrzeć. Ale to w niczym nie zmienia sytuacji, że wiersz Szymborskiej tam jest.

Zagęszczenie treści

Być może tu zaprotestujemy. Nie wiersz Szymborskiej, lecz tylko kształt linii, przy pomocy której ten wiersz został zapisany. Ale czymże innym jest wiersz Szymborskiej, jak nie kształtem, który jakoś rozpoznajemy? Ostatecznie komputery, które tak wiele mogą, także rozpoznają tylko „kształty” zer i jedynek. I nic ponadto.

Dotykamy tu głębokiego problemu filozoficznego: czy istnieje coś oprócz

■ Gwiazdy mogą się wypalić, wszystkie wiersze ulec zapomnieniu, niebo i ziemia mogą przeminąć, a wniosek sylogizmu i tak będzie ważny.

formy, kształtu? Czy to, co nazywamy treścią, nie jest tylko zagęszczeniem formy? W tym także jest poezja, że funkcja Riemanna podprowadza aż pod takie problemy. A przecież Szymborska była tu tylko pretekstem. Równie dobrze zamiast jej wiersza moglibyśmy się posłużyć „Elementami” Euklidesa lub „Dziełami wszystkimi” Szekspira. Musielibyśmy tylko jeszcze dalej przesunąć się wzdłuż osi urojonej.

Jeżeli ktoś jeszcze wątpi w to, że matematyka jest poezją, niech napisze wiersz, poemat, cokolwiek..., w którym zawierałyby się wszystkie utwory poetyckie świata i wszystkie rozprawy naukowe. Jeżeli ideałem poezji jest prostota zapisu przy bogactwie treści, to żaden Szekspir nie napisał nic piękniejszego od funkcji Riemanna.

Stop! Czy nie posunęliśmy się za daleko? Ostatecznie, ściśle rzecz biorąc, funkcja dzeta zawiera tylko wszystkie możliwe kształty. Dobierając odpowiednie parametry s i t , możemy odtworzyć dowolną, odpowiednio regularną krzywą. Czy to aż tak dziwne? Upieram się jednak, że matematyka jest poezją, i to poezją najwyższego lotu.

Poezja próbuje wyrazić Niewyraźalne przy pomocy metafor, rozmycia reguł gramatycznych, nieoczekiwanych kontrastów znaczeń. Matematyka wydaje się prozaiczna, bo w postaci prostych twierdzeń potrafi wyrażać związki, których prawdziwość jest zagwarantowana ciągami kontrolowanych przez nas wyników. Ale ma również środki, by wyrazić – jak poezja – to, czego nie da się wyrazić w języku innym niż matematyka. Pomyślmy na przykład o różnych twierdzeniach o zmierzaniu do nieskończoności, o twierdzeniach egzystencjalnych, które mówią, że coś istnieje, choć nie potrafimy tego skonstruować, o strukturach – takich jak funkcja Riemanna – zawierających w sobie niewyobraźalnie bogatą treść.

W tym widzę poetyczność matematyki. Ale pomiędzy tym, co tradycyjnie nazywamy poezją, a poezją matematyki, istnieje jedna zasadnicza różnica. W matematyce najbardziej poetyczne jest to, że obowiązuje w niej ściśle wynikanie. Gdyby tylko w jednym miejscu ono zawiodło, wszystko by się zamieniło w kicz i kupę bzdur.

Jak w dziele sztuki. Michał Anioł miał powiedzieć, że rzeźba jest już w bryle marmuru, trzeba tylko dłutem odrzucić to, co zbędne. Z tym że ludzkie dzieła sztuki są niedoskonałe: jedna poprawka za dużo i też mamy dzieło sztuki, tylko trochę gorsze i nigdy nie wiadomo, czy nie mogłoby być lepiej. Poezja matematyki jest doskonała, bo jeżeli dysponujemy dowodem, to wiemy, że jest tak, jak powinno być.

© MICHAŁ HELLER

REKLAMA



*Jedno z niewielu miejsc w galaktyce,
gdzie dobra książka
spotyka się z dobrą kawą.*

De Revolutionibus Books&Café
ul. Bracka 14
Kraków



Spragniony dobrego słowa?

Kup roczną prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”,
a za 4 wydania specjalne wraz z dostawą do domu zapłacisz tylko **50zł!**
Szczegóły na powszech.net/prenumeruj

OGŁOSZENIE WŁASNE WS PÓŁWYDAWCY



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, czytaj!

Najnowsze wydanie specjalne „Smak wolności”
JUŻ W SPRZEDAŻY w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY WYDANIA



ORGANIZATORZY



WSPÓŁORGANIZATORZY



PRZY WSPARCIU

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNERZY MEDIALNI



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCÓW

ISBN 978-83-65811-04-2



9 788365 811042

www.copernicusfestival.com // fb.com/copernicusfestival